

Julia Quinn

Ksiaze i ja

P r o l o g

Narodziny Simona Arthura Henry'ego Fitzranulpha Basseta, lorda Clyvedon, spotkały się z nad wyraz gorącym przyjęciem. Godzinami biły dzwony na kościelnych wieżach; w wielkim zamku, który nowo narodzony będzie nazywał kiedyś swoim domem, strumieniem lał się szampan, a całe Clyvedon porzuciło pracę, by uczestniczyć w festynie i przyjęciu wyprawionym przez ojca małego lorda.

- To nie jest zwykłe dziecko - rzekł piekarz do kowala.

W istocie tak było. Bo przecież Simon Arthur Henry Fitzranulph Basset nie spędzi całego życia jako lord Clyvedon. Był to wyłącznie tytuł grzecznościowy. Simon Arthur Henry Fitzranulph Basset - który nosił więcej imion, niż to potrzebne jakiemukolwiek dziecku - był sukcesorem jednego z najstarszych i najbogatszych księstw w Anglii. Jego ojciec zaś, dziewiąty książę Hastings, czekał na tę chwilę od wielu, wielu lat.

Stojąc przed drzwiami do pokoju, w którym leżała w połogu jego żona, i kołysząc na rękach płaczące dziecko, czuł, że serce przepełnia mu duma. Już kilka lat temu skończył czterdziesty rok życia i wciąż tylko patrzył, jak wszyscy jego bliscy przyjaciele - książęta i hrabiowie - płodzą sukcesorów jednego za drugim. Niektórzy musieli pogodzić się z przyjściem na świat niejednej córki, zanim doczekali się wreszcie bezcennego syna, jednakże zyskiwali w końcu pewność, że ich linia będzie kontynuowana, że ich krew zostanie przekazana dalej, następnemu pokoleniu angielskiej elity.

Niestety, nie książę Hastings. Wprawdzie jego żona w czasie piętnastu lat małżeństwa zdołała pięciokrotnie zajść w ciążę, lecz tylko dwa razy donosiła ją do końca, a oba płody przyszły na świat martwe. Po piątej ciąży, któ-

ra zakończyła się poronieniem już w szóstym miesiącu, chirurgi i konsyliarze kategorycznie zabronili ich wysokości podejmowania nowych prób spółżenia potomka. Życie samej księżnej zawisło na włosku. Była zbyt kruche go zdrowia, zbyt wątła i - delikatnie powiedziawszy - chyba już zanadto dojrzała. Książę po prostu musiał pogodzić się z faktem, że księstwo wymyka się z rąk rodu Bassetów.

Lecz księżna, niech ją Bóg ma w swej opiece, znała swoją rolę w życiu i po sześciomiesięcznej rekonwalescencji otworzyła drzwi łączące małżeńskie sypialnie, a książę podjął na nowo starania o syna.

Pięć miesięcy później księżna poinformowała księcia, że jest brzemienna. Gwałtowne uniesienie księcia zostało poskromione przez kategoryczne postanowienie, że nic - absolutnie nic - nie zdoła tej ciąży zniweczyć. Gdy tylko nowina stała się potwierdzonym faktem, przykuto księżną do łóżka. Codziennie sprowadzano do niej medyka, a po czterech i pół miesiącu książę wyszukał w Londynie wziętego lekarza i zapłacił mu bajońską sumę, aby ten zrezygnował z dotychczasowej praktyki i na pewien okres przeniósł się do zamku Clyvedon.

Tym razem książę nie ryzykował. *Będzie* miał syna i księstwo *pozostanie* w rękach Bassetów.

Bóle chwyciły księżną na miesiąc przed terminem, więc natychmiast podłożono jej pod biodra kilka poduszek. Siła ciężenia pomoże utrzymać dziecko w środku, wyjaśnił doktor Stubbs. Książę uznał ten argument za logiczny i gdy tylko medyk wrócił wieczorem do swego pokoju, wcisnął pod małżonkę jeszcze jedną poduszkę. Lędźwie przyszłej matki wygięły się pod kątem dwudziestu dwóch stopni i pozostawały w tej pozycji przez okrągły miesiąc.

Wreszcie nadeszła chwila prawdy. Domownicy modlili się za księcia, który z całej duszy pragnął sukcesora, a kilka osób nawet nie zapomniało pomodlić się za księżną. Ta zaś chudła i mizerniała nawet wówczas, gdy jej brzuch coraz bardziej zaokrąglął się i uwydatniał. Małżonkowie starali się nie robić sobie zbyt wielkich nadziei - ostatecznie księżna

zdążyła już urodzić i pochować dwoje dzieci. A nawet jak uda jej się bezpiecznie odbyć poród, potomek może okazać się, hm, dziewczynką.

Gdy krzyki księżnej przybrały na sile i częstotliwości, książe wpadł jak burza do jej pokoju, ignorując zgodne protesty lekarza, akuszerki i pokojówki. To była krwawa scena, ale książe musiał być koniecznie obecny w chwili ustalania płci dziecka.

Najpierw pojawiła się główka, a później ramionka. Wszyscy pochylili się nad łóżkiem, by patrzeć na księżną, jak ta napina się i prze, a następnie...

A następnie książe przekonał się, że Bóg jednak istnieje i że wciąż uśmiecha się do Bassetów. Dał akuszerce minutę na obmycie malca, po czym wziął go na ręce i pomaszerował do przestronnego holu, aby się nim pochwalić.

- Mam syna! - zawołał. - Doskonałego chłopczyka!

Kiedy zaś służba zaczęła wiwatować i płakać z uczuciem ulgi, książe przyjrzał się maleńkiemu lordowi i oznajmił:

- Jesteś doskonały. Jesteś Basset. Jesteś mój.

Chciał go wynieść na dwór, aby udowodnić całemu światu, że wreszcie udało mu się spłodzić zdrowego męskiego potomka, lecz we wczesnym kwietniowym powietrzu czuć było lekki chłód, więc pozwolił akuszerce oddać dziecko matce, a sam dosiadł jednego ze swych obsypanych nagrodami rumaków i pogalopował przed siebie, świętując narodziny syna i wykrzykując swoje szczęście wszystkim, którzy chcieliby posłuchać.

Tymczasem księżna, która od chwili rozwiązania mocno krwawiła, wkrótce straciła przytomność, a potem w końcu zwyczajnie umarła.

Książe rozpaczał nad utratą żony. Szczerze rozpaczał. Nie kochał jej, rzecz jasna, tak jak księżna nie kochała jego, byli jednak parą przyjaciół na swój własny, oryginalny sposób. Książe nie oczekiwał od małżeństwa niczego oprócz syna i sukcesora, pod tym zaś względem jego żonę można było stawiać za wzór. Zarządził, by niezależnie od pory ro-

ku u wezgłowania nagrobka zawsze leżały świeże kwiaty, oraz kazał przenieść portret nieboszczki z salonu do holu i powiesić go na honorowym miejscu powyżej schodów.

A potem zabrał się do wychowywania swojego syna.

W ciągu pierwszego roku oczywiście niewiele mógł zdziałać. Niemowlę było za małe na słuchanie wykładów o zarządzaniu majątkiem ziemskim i poczuciu odpowiedzialności, toteż ksiązę zostawił Simona pod opieką bony i przeniósł się do Londynu. Tu jego życie nie różniło się specjalnie od tego, jakie wiódł wcześniej, zanim dzięki łasce boskiej stał się ojcem - z tym tylko, że zmuszał wszystkich - nie wyłączając króla - do podziwiania miniaturowego portretu synka, jaki osobiście namalował wkrótce po jego narodzeniu.

Od czasu do czasu wpadał do Clyvedon, a w dniu drugich urodzin Simona wrócił już na stałe, gotowy przejąć obowiązek wychowywania chłopca. Zakupiono kucyka, wybrano małą strzelbę do przyszłych polowań na lisa i zatrudniono guwernerów do wszystkich przedmiotów, jakie tylko zna człowiek.

- On jest za mały na to wszystko! - wykrzyknęła bona, pani Hopkins.

- Nonsens - odparł łaskawie Hastings. - Przecież nie oczekuję od niego, żeby wkrótce opanował biegle którykolwiek z tych przedmiotów, ale na rozpoczęcie edukacji księcia nigdy nie jest za wcześnie.

- On nie jest księciem - mruknęła Hopkins.

- Ale nim będzie. - Ksiązę odwrócił się plecami do bony i przykucnął obok syna, który budował na podłodze zamek z klocków pozbawiony wszelkiej symetrii. Księcia nie było w Clyvedon od kilku miesięcy, toteż bardzo ucieszył się z postępów Simona. Był to silny, zdrowy chłopczyk o lśniących, kasztanowych włosach i bystrych, błękitnych oczach.

- Co tam budujesz, syneczku?

Simon uśmiechnął się i pokazał ręką.

Ksiązę Hastings podniósł wzrok na panią Hopkins.

- On nie mówi?

Potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie, wasza wysokość.

Książę zmarszczył czoło.

- Skończył dwa lata. Czy nie powinien już mówić?

- Niektóre dzieci potrzebują więcej czasu, inne mniej, wasza wysokość. To bardzo mądry, mały chłopiec.

- Oczywiście, że mądry. To Basset.

Bona przytaknęła skinieniem głowy. Zawsze przytakiwała, gdy książę mówił o wyższości rodu Bassetów.

- Może po prostu nie wie, co mógłby powiedzieć.

Książę nie wyglądał na przekonanego, dał jednak Simonowi ołowianego żołnierzyka, pogładził syna po głowie i wyszedł z zamku, aby przegonić nową klacz, którą kupił od lorda Wortha.

Jednakże dwa lata później nie był już taki pełen optymizmu.

- *Dlaczego on nie mówi?* - zagrzemiał któregoś dnia.

- Sama nie wiem. - Bona załamała ręce.

- Co mu pani zrobiła?

- Nic nie zrobiłam!

- Gdyby wypełniała pani swoje obowiązki należycie, to *on...* - tu książę pokazał gniewnie palcem na syna - już dawno by mówił.

Simon ćwiczył pisanie przy swoim dziecinnym biurczku i z zainteresowaniem przysłuchiwał się wymianie zdań.

- Niech to diabli, przecież ma już cztery lata! - ryknął książę. - Powinien umieć mówić.

- Umie już pisać - zauważyła pani Hopkins. - Wychowałam pięcioro dzieci, a ani jedno nie zasmakowało w literkach tak bardzo jak panicz Simon.

- Dużo mu przyjdzie z tego pisania, jak nie będzie umiał mówić. - Hastings odwrócił się do chłopca, a w jego oczach malowała się furia. - Niech cię diabli, powiedz coś!

Simon cofnął się, jego dolna warga zaczęła drżeć.

- Wasza wysokość! - wykrzyknęła bona. - Dziecko się pana boi.

Hastings obrócił się na pięcie i popatrzył kobiecie w oczy.

- Może powinien się bać. Może potrzebuje dyscypliny.

Kilka porządnych klapsów na pewno pomoże mu odzyskać głos. - Chwyć zakończoną srebrną rączką szczotkę, która służyła bonie do czesania Simona, i stanął nad nim. - Zmuszę cię do mówienia, ty głupi mały...

- Me!

Pani Hopkins gwałtownie nabrała powietrza w płuca. Książę wypuścił szczotkę z ręki. Pierwszy raz w życiu usłyszał głos własnego dziecka.

- Co powiedziałaś? - szepnął ze łzami w oczach.

Dłonie chłopca zaciskały się w pięści, a jego maleńki podbródek wysunął się do przodu.

- Nie b-b-b-b-b-b...

Twarz księcia zrobiła się trupio blada.

- Co on mówi?

Simon spróbował ponownie.

- N-n-n-n-n-n...

- Mój Boże - westchnął książę z przerażeniem. - On jest kretynem.

- Nie jest kretynem! - krzyknęła bona, obejmując chłopca i przytulając go do siebie mocno.

- N-n-n-n-n-n-n nie b-b-b-b-b-b- bij - Simon wziął głęboki oddech - mnie.

Hastings opadł na głęboki fotel przy oknie i wsparł głowę na rękach.

- Czym sobie zasłużyłem na taki los? Gdzie popełniłem błąd...

- Powinien pan chłopca pochwalić! - zwróciła mu uwagę bona. - Czekał pan cztery lata na to, żeby chłopiec się odezwał, a...

- A on okazał się idiotą! - ryknął książę. - Przeklętym, małym idiotą, do diabła!

Simon się rozpłakał.

- Hastings będzie poczytywany za półgłówka - jęknął książę. - Tyle lat modliłem się o następcę, a teraz wszystko idzie na marne. Powinienem być się zgodzić, aby tytuł przeszedł na kuzyna. - Odwrócił się w stronę chłopca. Simon popłakiwał z cicha i ocierał z oczu łzy, starając się jednak

nadrabiać miną. - Nie mogę nawet patrzeć na niego - westchnął książę. - Nie mogę znieść jego widoku. - I z tymi słowami sztywnym krokiem opuścił pokój.

Bona Hopkins jeszcze mocniej przygarnęła chłopca do siebie.

- Wcale nie jesteś idiotą - szepnęła gorączkowo. - Jesteś najmądrzejszym chłopcem na świecie. Kto jak kto, ale ty na pewno nauczysz się prawidłowo mówić. - Simon wtulił się w ciepłe objęcia wychowawczynie i rozpłakał się na dobre. - Już my mu pokażemy - oświadczyła pani Hopkins. - Wepchnę mu te słowa z powrotem do gardła, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Pani Hopkins dotrzymała słowa. W czasie gdy książę Hastings mieszkał w Londynie i próbował udawać, że nie posiada syna, bona każdą wolną chwilę spędzała z Simonem, wymawiając głośno poszczególne sylaby i wyrazy, obsypując go szczerze pochwałami, ilekroć udało mu się coś wymówić prawidłowo, i nie żałując mu słów zachęty, kiedy popełnił jakiś błąd.

Wprawdzie nauka przebiegała w wolnym tempie, mowa dziecka jednak stale się poprawiała. Zanim chłopiec ukończył szósty rok życia, „n-n-n-n-n-n-n nie” przemieniło się w „n-n nie”, a nim skończył ósmy, potrafił wymawiać bez zająknięcia całe zdania. Zaczynał się w chwilach silnego wzruszenia, toteż pani Hopkins musiała mu często przypominać, że powinien się opanować, jeśli chce wypowiadać słowa w jednym kawałku.

Ale Simon był zdeterminowany, Simon był mądry, a co chyba najważniejsze, był piekielnie uparty. Nauczył się wciągać głęboko powietrze do płuc i przed każdą wypowiedzią powtarzać w myślach poszczególne słowa. Zawsze badał dotykiem wargi, kiedy mówił bezbłędnie, i starał się dokonać analizy tego, co poszło źle, kiedy mu się nie udawało.

Wreszcie pewnego dnia, w jedenastym roku życia, stanął przed panią Hopkins, chwilę zbierał myśli, po czym oznajmił:

- Myślę, że nadszedł czas, abyśmy pojechali odwiedzić ojca.

Bona podniosła gwałtownie wzrok. Książę od siedmiu lat

ani razu nie spojrzął na syna. Prócz tego nie odpisał na żaden z listów, jakie Simon do niego wysłał.

A wysłał ich niemal sto.

- Jesteś tego pewny? - zapytała.

Chłopiec pokiwał głową.

- No cóż, a więc dobrze. Zamówię powóz. Jutro rano pojedziemy do Londynu.

Podróż zajęła półtora dnia; nim powóz zajechał do Basset House, było już późne popołudnie. Kiedy Hopkins prowadziła Simona schodami do wejścia, chłopiec ze zdumieniem przyglądał się barwnemu londyńskiemu pejzażowi. Żadne z nich nie było wcześniej w Basset House, dotarłszy zatem do frontowych drzwi, bona nie sądziła, aby można było zrobić cokolwiek innego, niż zapukać.

Po kilku chwilach drzwi otwarły się na oścież i zobaczyli przed sobą dość postawnego lokaja, który skarcił ich surowym spojrzeniem.

- Zaopatrzenie - oznajmił groźnie, sięgając po klamkę - odbywa się tylnym wejściem.

- Chwileczkę! - rzuciła Hopkins, zastawiając stopą drzwi. - My nie należymy do służby.

Lokaj z pogardą obrzucił wzrokiem strój guwernantki.

- To znaczy, ja tak, ale on nie. - Chwyciła Simona za rękę i wypchnęła go do przodu. - To jest lord Clyvedon i lepiej będzie, jak potraktujecie go z szacunkiem.

Lokaj dosłownie rozdziawił usta i zamrugał kilka razy, po czym powiedział:

- O ile wiem, lord Clyvedon umarł.

- Co? - wyskrzeczwała pani Hopkins.

- Ja wcale nie umarłem! - zaprotestował Simon z całą siłą, dając wyraz oburzeniu, na jakie stać było jedenastoletka.

Lokaj obrzucił go badawczym spojrzeniem i poznawszy w jednej chwili charakterystyczną postawę Bassetów, wprowadził przybyszy do środka.

- Dlaczego sądziliście, że u-umarłem? - zapytał Simon. Przeklinał siebie w duchu za jąkanie, choć wcale mu się nie

dziwił. 'Zawsze istniało ryzyko, że może się zająknąć w momencie zdenerwowania.

- Nie mnie o tym mówić - oświadczył lokaj.

- Wprost przeciwnie - stwierdziła bona. - Nie możecie mówić takich rzeczy chłopcu w jego wieku i pozostawić je bez wyjaśnienia.

Lokaj milczał przez chwilę, po czym odrzekł:

- Jego wysokość nie wspominał o paniczu od lat. Ostatnim razem oświadczył, że już nie ma syna. Mówił to z bardzo posępną miną, więc nikt nie pytał o szczegóły. Wszyscy... to znaczy służba... doszliśmy do wniosku, że już nie żyjesz.

Simon poczuł, że zaciskają mu się zęby i coś chwyta go za gardło.

- Przecież musiałyby nosić żałobę? - zdziwiła się pani Hopkins. - Nie pomyśleliście o tym? Jak mogliście dojść do wniosku, że chłopiec nie żyje, skoro jego ojciec nie nosił żałoby?

Lokaj wzruszył ramionami.

- Jego wysokość bardzo często nosi się na czarno. Żałoba nie zmieniałaby jego stylu ubierania się.

- To ciężka zniewaga - powiedziała Hopkins. - Żądam, abyście natychmiast zawezwali tu jego wysokość.

Simon milczał. Zbyt dużo wysiłku wkładał w to, aby się opanować. A musiał się opanować. Krew w nim kipiała, tak że nie byłby w stanie rozmawiać z ojcem.

Lokaj kiwnął głową.

-Jest na górze. Zaraz go powiadomię o waszym przyjeździe.

Bona zaczęła gorączkowo przemierzać hol, mamrocząc pod nosem inwektywy pod adresem jego wysokości i wykorzystując do tego celu najbardziej wulgarne wyrazy ze swego niesamowicie bogatego repertuaru. Simon pozostał na środku holu; ciężko dyszał, a jego ramiona zwiślały niczym maczugi z obu stron ciała. Potrafisz to zrobić - krzyczał do siebie w myślach. - Potrafisz to zrobić.

Pani Hopkins podeszła do niego. Widząc, że chłopiec stara się uspokoić nerwy, westchnęła z ulgą:

- Tak, ^właśnie o to chodzi - rzuciła, klękając na oba kolana i ujmując jego dłonie w swoje własne. Lepiej niż kto-

kolwiek wiedziała, co się stanie, gdy Simon spróbuje stawić czoło ojcu, zanim zdąży się opanować. - Głęboko oddychaj. I pamiętaj, najpierw musisz powtórzyć w myślach wszystkie słowa, które chcesz wypowiedzieć. Jeśli zdołasz...

- Widzę, że znowu rozpieszczacie gówniarza - rozległ się władczy głos od strony drzwi.

Pani Hopkins wyprostowała się i odwróciła powoli. Próbowwała znaleźć w myślach wyrazy uszanowania. Próbowwała wymyślić cokolwiek dla załagodzenia tej okropnej sytuacji. Lecz kiedy popatrzyła na księcia, ujrzała w nim Simona, i w jej duszy na nowo rozgorzała wściekłość. Księżę może i przypominał wyglądem swojego syna, lecz w żadnym wypadku nie był dla niego ojcem.

- Jesteś pan, wasza wysokość - wypaliła - nikczemnikiem.

- A ty, moja pani, jesteś zwolniona.

Bona aż się zatoczyła do tyłu.

- Nikt się nie odzywa do księcia Hastings w taki sposób - ryknął. - Nikt!

- Nawet król? - roześmiał się Simon.

Hastings obrócił się na pięcie, w ogóle nie zwróciwszy uwagi na to, że jego syn wypowiedział się płynnie i wyraźnie.

- Ty... - warknął grubym głosem.

Simon kiwnął lakonicznie głową. Zdołał poprawnie wymówić jedno zdanie, tyle, że było ono krótkie, i wolał więcej nie igrać z losem. Nie teraz, kiedy był tak zdenerwowany. Zwykle potrafił nie jąkać się przez kilka dni po rząd, teraz jednak...

Wyraz oczu ojca sprawił, że Simon poczuł się smarkaczem. Smarkatym idiotą.

I nagle język stanął mu kołkiem.

Księżę uśmiechał się okrutnie.

- Co masz do powiedzenia od siebie, chłopcze? No? Co masz do powiedzenia?

- Wszystko jest dobrze, Simonie - szepnęła pani Hopkins, rzucając księciu wściekłe spojrzenie. - Nie pozwól mu wytrącić się z równowagi. Potrafisz to zrobić, mój słodziutki.

Ale w dziwny sposób zachęcający ton kobiety pogorszył

tylko sprawę. Simon przyjechał tu, żeby przekonać ojca do siebie, natomiast bona traktuje go jak dzidziusia.

- No i co? - książę parsknął śmiechem. - Zapomniałeś języka w gębie?

Mięśnie Simona napięły się tak bardzo, że chłopiec zaczął aż dygotać.

Ojciec i syn spoglądali na siebie przez pewien czas, który dłużył się jak sama wieczność, wreszcie książę zaklął i sprężystym krokiem ruszył w stronę drzwi.

- Jesteś moją największą klęską - syknął przez zęby do syna. - Nie wiem, za jakie grzechy zostałem tobą ukarany, ale niech mnie Bóg ma w swej opiece, jeśli kiedyś jeszcze skieruję na ciebie moje oczy.

- Wasza wysokość! - Pani Hopkins nie posiadała się z oburzenia. - Nie godzi się tak mówić do dziecka.

- Niech mi się nie pokazuje na oczy - Zagrzmiął do niej. - Możecie zachować posadę, tylko trzymajcie go ode mnie jak najdalej.

- Zaczekaj!

Na dźwięk głosu Simona książę odwrócił się powoli.

- Powiedziałeś coś? - wycedził.

Simon wziął trzy długie oddechy przez nos, usta miał wciąż zaciśnięte ze złości. Zmusił szczęki do rozluźnienia się i potarł językiem podniebienie. Próbował sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy się mówi płynnie. Wreszcie, gdy książę miał już ponownie go odprawić, chłopiec otworzył usta i wyrzekł:

- Jestem twoim synem.

Simon usłyszał, że pani Hopkins odetchnęła z ulgą, i zobaczył w oczach ojca dziwny błysk, jakiego nigdy przedtem u niego nie widział. Błysk dumy. Był on niezbyt wyraźny, niemniej w oczach starego księcia na pewno coś zaiskrzyło. Coś, co dawało Simonowi promyk nadziei.

- Jestem twoim synem - powtórzył, tym razem trochę głośniejszym głosem - i nie jestem d...

Nagle chwycił go za gardło strach. Ogarnęła go panika.

Potrafisz to zrobić. Potrafisz to zrobić.

Wciąż jednak czuł dławienie w gardle, język mu skołowaciał, a tymczasem oczy ojca poczęły się zwężać...

- Nie jestem d-d-d...

- Wracaj do domu - powiedział książę cicho. - Tu nie ma dla ciebie miejsca.

Simon poczuł odrzucenie przez ojca w samych kościach; czuł, że jego ciało przeszywa dziwny ból, który stopniowo zaczyna ścinać mu krew w sercu.

Gdy w jego ciele najpierw powoli wezbrała, a potem eksplodowała nienawiść, chłopiec złożył w duszy uroczystą przysięgę.

Skoro nie może być synem, jakiego pragnie ojciec, to na Boga, stanie się jego *absolutnym przeciwieństwem*.

1

Bridgertonowie są bez dwóch zdań najbardziej płodną rodziną wśród socjety. Choć taka pracowitość ze strony wicehrabiny i świętej pamięci wicehrabiego zasługuje na pochwałę, to jednakże w systemie wyboru imion dla ich dzieci odnajdujemy sam banał. Anthony, Benedict, Colin, Daphne, Eloise, Francesca, Gregory i Hiacynta - ład i porządek przynoszą rzecz jasna same korzyści, ale należałoby sądzić, że inteligentni rodzice potrafią utrzymać dzieci w ryzach bez potrzeby nadawania im imion według kolejności liter alfabetu.

Co więcej, widok wicehrabiny w towarzystwie kompletu jej ośmiorga dzieci w jednym pomieszczeniu wystarcza, by każdy, kto tam wchodzi, zdrętwiał ze strachu, że w oczach mu się dwoi - albo troi - a może jeszcze gorzej. Pisząca te słowa nigdy dotąd nie spotkała kolekcji braci i siostr tak absurdalnie podobnych do siebie pod względem fizycznym. Choć pisząca te słowa nie miała czasu na odnotowanie koloru oczu, zdołała jednak zauważyć u całej ósemki identyczną strukturę kostną i równie gęste, kasztanowe włosy. Należy współczuć wicehrabinie, która musi szukać korzystnych partii dla swojego potomstwa, że nie powiła bodaj jednego dziecka o nieco modniejszej kolorystyce. A jednak rodzina o tak jednolitym wyglądzie posiada pewną zaletę... Wszyscy ośmioro pochodzą bez wątpienia z prawego łóża.

Och, Łaskawy Czytelniku, oddana ci pisząca te słowa pragnie, aby tak się sprawy przedstawiały we wszystkich większych rodzinach...

Kronika towarzyska lady Whistledown, 26 kwietnia 1813

- Och! - Violetta Bridgerton zmięła jednokartkową gazetkę w kulkę i rzuciła ją na drugi koniec eleganckiego salonu.

Jej córka Daphne rozsądnie powstrzymała się od reakcji i udawała dalej, że jest pochłonięta haftowaniem.

- Czytałaś, co ona wypisuje? - spytała Violetta. - Czytałaś?

Daphne zerknęła na zwitek papieru, który leżał obecnie pod mahoniowym stolikiem.

- Nie miałam okazji, dopóki ty, hm, z nią nie skończyłaś.

- No, to teraz przeczytaj - jęknęła Violetta, a jej ręka dramatycznie przecięła powietrze. - Przeczytaj, jak to *babsko* nas obsmarowało.

Dziewczyna odłożyła leniwie robótkę i sięgnęła pod stolik. Wyglądziła kartkę papieru na kolanach, a potem przeczytała akapit o swojej rodzinie. Zamrugła kilka razy powiekami i podniosła wzrok na Violette.

- Nie jest tak źle, mamó. Prawdę mówiąc, to niemal błogosławieństwo w porównaniu z tym, co tydzień temu nawypisywała o Featheringtonach.

- Jak mam ci znaleźć męża, kiedy ta kobieta szarga twoje dobre imię?

Daphne zmusiła się do westchnięcia. Po prawie dwóch sezonach spędzonych w Londynie już sam dźwięk słowa *mąż* wystarczał aż nadto, by w jej skroniach zaczynała pulsować krew. Chciałaby wyjść za mąż, naprawdę by chciała, i nawet nie robiła sobie nadziei na małżeństwo z prawdziwej miłości. Ale czy to istotnie taka wielka przesada liczyć na męża, dla którego miałoby się bodaj odrobinę czułości?

Dotychczas czterech kawalerów poprosiło o jej rękę, lecz kiedy Daphne pomyślała, że będzie musiała spędzić resztę życia w towarzystwie któregośkolwiek z nich, zwyczajnie odchodziła jej ochota. Była grupka młodzieńców, którzy jej zdaniem stanowili dobry materiał na męża, trudność jednak polegała na tym, że żaden z nich nie był zainteresowany. Ach, każdy ją lubił. Wszyscy lubili Daphne. Wszyscy uważali ją za wesołą, miłą i dowcipną dziewczynę i nikt nie twierdził, że bodaj w najmniejszym stopniu brakuje jej atrakcyjności. Równocześnie jednak nikogo nie olśniewała swą urodą, nikomu nie odbierała mowy swą obecnością i nikogo nie skłaniała do pisania poezji na swoją cześć.

Mężczyźni, myślała ze wstrętem, interesują się tylko takimi kobietami, których się boją. Wydawało się, że nikt nie zamierza starać się o względy takiej dziewczyny jak ona. Wszyscy ją adorowali, przynajmniej tak twierdzili, ponieważ łatwo się z nią gawędziło i zawsze zdawała się rozumieć odczucia mężczyzn. Jeden z tych, który zdaniem Daphne byłby zgoła niezłym kandydatem na męża, powiedział nawet kiedyś: „Niech to licha, Daff, ty po prostu nie przypominasz typowej kobiety. Jesteś absolutnie normalna”.

Daphne mogłaby uznać jego słowa za komplement, gdyby młodzieniec nie oddalił się zaraz w poszukiwaniu pięknej jasnowłosej debutantki.

Dziewczyna spojrzała w dół i zauważyła, że jej dłoń zaciska się w pięść. Wówczas podniosła wzrok i poczuła na sobie spojrzenie matki, która wyraźnie czekała, aż córka coś powie. Daphne wcześniej westchnęła, więc tym razem zakasłała tylko, po czym rzekła:

- Ten krótki felieton lady Whistledown na pewno nie zniweczy moich szans na znalezienie męża.

- Daphne, to już dwa lata!

- Przecież lady Whistledown publikuje dopiero od trzech miesięcy, więc naprawdę nie rozumiem, jak można ją oskarżać.

- Będę oskarżała, kogo chcę - mruknęła Violetta.

Daphne wbiła sobie paznokcie w dłonie, powstrzymując się przed odpysknięciem matce. Wiedziała, że w głębi serca matka życzy jej jak najlepiej, wiedziała, że jest przez nią kochana. Sama też kochała tę kobietę. Ostatecznie, póki nie doszła do pełnoletności, Violetta była najlepszą matką pod słońcem. Nadal nią była, kiedy tylko nie rozpaczała nad faktem, że po Daphne ma jeszcze trzy inne córki do wydania za mąż.

Violetta przycisnęła delikatną dłoń do piersi.

- Ona rzuca kalumnie na nasz ród.

- Nie - powoli odparła Daphne. Podczas sprzeciwiania się matce wskazana była pewna doza roztropności. - Właściwie napisała tylko tyle, że na pewno wszyscy pochodzimy z prawego łoża. Czego nie można powiedzieć o większości rodzin z towarzystwa.

- Nie powinna była w ogóle podnosić tej kwestii - prychnęła niecierpliwie Violetta.

- Mamo, to autorka skandalizującego piśmidła. Jej praca polega właśnie na podnoszeniu tego rodzaju kwestii.

- Nie wiadomo nawet, co to za jedna - dodała z gniewem Violetta. Położyła dłonie na swoich wąskich biodrach, lecz po chwili zmieniła zdanie i pogroziła palcem w powietrzu.

- Whistledown, akurat! W życiu nie słyszałam o żadnych Whistledownach. Kimkolwiek jest ta zdeprawowana kobieta, wątpię, aby należała do naszej sfery. Ludzie dobrze wychowani nie wypisują takich podłych kłamstw.

- Oczywiście, że jest jedną z nas - odparła Daphne. Jej brązowe oczy rozbłysły wesołością. - Gdyby nie należała do towarzystwa, nie miałyby dostępu do tych wszystkich wiadomości, które rozgłasza. Myślisz, że to jakaś oszustka, że zagląda przez okna i podsłuchuje pod drzwiami?

- Nie podoba mi się twój ton, Daphne Bridgerton - odparła Violetta, mrużąc oczy.

Daphne powstrzymała kolejny uśmiech. „Nie podoba mi się twój ton” - było standardową odpowiedzią, kiedy matce brakowało argumentów w czasie sporu z którymś ze swoich dzieci. Ale drażnienie się z matką stanowiło zbyt wielką pokusę.

- Wcale bym się nie zdziwiła - rzekła, przechylając głowę na bok - gdyby lady Whistledown okazała się jedną z twoich przyjaciółek.

- Ugryź się w język, Daphne. Żadna z moich przyjaciółek nie upadłaby tak nisko.

- No, dobrze - zgodziła się dziewczyna - nie należy do grona twoich przyjaciółek. Ale jestem przekonana, że to ktoś, kogo znamy. Osoba postronna nie miałyby dostępu do takich wiadomości.

Violetta splotła ręce na piersiach.

- Chciałabym ją wysadzić z interesu raz na zawsze.

- Jak chcesz ją wysadzić z interesu - Daphne nie mogła się powstrzymać od uszczypliwości - to nie powinnaś bab-sku jeszcze pomagać, kupując jej piśmidło.

- A jaki byłby z tego pożytek? - zdziwiła się Violetta. - Każdy ją czyta. Wyszłabym tylko na ignorantkę, gdy wszyscy inni zaczęliby chichotać z jej najnowszej plotki.

To prawda, przyznała w duchu Daphne. Wytworny Londyn zaczytywał się nałogowo *Kroniką towarzyską lady Whistledown*. Tajemnicza gazetka przekroczyła progi wyższych sfer trzy miesiące temu. W okresie dwóch tygodni przynoszono ją bez zamówienia w każdy poniedziałek, środę i piątek. A potem, w trzeci poniedziałek, lokaje z całego Londynu na próżno wypatrywali gromadki gazeciarzy, którzy zwykle dostarczali *Whistledowna*. Odkryli natomiast, że zamiast rozdawać ją bezpłatnie, roznosiciele sprzedają plotkarską gazetkę za niegodziwą cenę pięciu pensów sztuka.

Daphne musiała przyznać, że tajemnicza lady Whistledown jest kuta na cztery nogi. Zanim kazała ludziom płacić za plotki, socjeta była już uzależniona. Każdy kupował swój egzemplarz, a gdzieś jakaś wścibska baba robiła majątek.

W czasie kiedy Violetta przemierzała pokój i fukała na tę „haniebną potwarz” rzuconą na jej rodzinę, Daphne spojrziała do góry, chcąc się upewnić, że matka nie zwraca na nią uwagi, po czym opuściła wzrok, by uważnie przeczytać pozostałą treść skandalizującej gazetki. *Whistledown* - jak ją teraz powszechnie nazywano - stanowiła ciekawą kombinację reportażu, wiadomości towarzyskich, złośliwości i sporadycznych komplementów. W przeciwieństwie do innych kronik towarzyskich autorka podawała nazwiska bohaterów swoich artykułów. Nie uciekała się do żadnych inicjałów, jak na przykład lord S... czy lady G... Kiedy lady Whistledown chciała o kimś napisać, używała pełnego imienia i nazwiska. Socjeta nie posiadała się z oburzenia, ale w głębi duszy była zafascynowana.

Ostatnie wydanie było typowym *Whistledownem*. Poza krótką wzmianką o Bridgertonach - będącą właściwie prezentacją rodziny - lady Whistledown zrelacjonowała przebieg balu, który odbył się poprzedniego wieczora. Daphne nie wzięła w nim udziału, ponieważ tego dnia jej młodsza siostra obchodziła urodziny, a Bridgertonowie zawsze robi-

li wiele szumu wokół urodzin. Kiedy się ma ośmioro dzieci, nie brakuje okazji do ich wyprawiania.

- Czytasz te brednie - rzuciła oskarżycielskim tonem Violetta.

Daphne podniosła wzrok, nie czując się do jakiegokolwiek winy.

- Dzisiejszy numer jest całkiem niezły. Wychodzi na to, że wczoraj Cecil Tumbley wyłłopał całą skrzynkę szampana.

- Doprawdy? - spytała Violetta pozornie obojętnym głosem.

- Uhm, uhm. Składa bardzo dobrą relację z balu u Middlethorpów. Wymienia kto z kim rozmawiał, co kto miał na sobie...

- I na pewno czuła się w obowiązku wypowiedzieć swoje zdanie na ten temat - wtrąciła Violetta.

Daphne uśmiechnęła się z ironią.

- Och, dajże spokój, mamó. Wiesz przecież, że pani Featherington w purpurze zawsze wygląda okropnie.

Violetta zdołała powściągnąć uśmiech. Daphne zauważyła, że matce drżą usta, że stara się zachować zimną krew, którą to umiejętność jej zdaniem powinna wykazywać zarówno jako wicehrabina, jak i matka. Ale nie minęły nawet dwie sekundy, a Violetta już uśmiechała się szeroko i siedziała na otomanie obok dziewczyny.

- Pokaż - rzekła, wrywając córce papier z rąk. - Co się jeszcze wydarzyło? Ominęło nas coś ważnego?

- Doprawdy, mamó, mając reporterkę w osobie lady Whistledown, człowiek nie musi *uczestniczyć* w żadnych wydarzeniach.

- Pokazała ręką na gazetę. - To jest prawie tak dobre jak osobiście obecność na miejscu. A nawet chyba lepsze. Głowę daję, że wczoraj wieczorem mieliśmy smaczniejsze jedzenie niż oni na tym balu. I oddaj mi ją. - Szarpnęła za gazetę, pozostawiając w dłoni matki oderwany róg papieru.

- Daphne!

- Właśnie czytałam! - Daphne udawała śmiertelnie obrażoną.

- No i co?

- Posłuchaj tego.

Violetta nadstawiła uszu.

- „Rozpustnik, znany wcześniej jako lord Clyvedon, uznał wreszcie za stosowne zaszczyścić Londyn swoją obecnością. Choć nie pokazał się ani na jednej poważnej uroczystości wieczornej, nowy książę Hastings dał się już kilkakrotnie zauważyć u White'a, a raz u Tattersalla”. - Przerwała dla nabrania oddechu. - „Jego wysokość rezydował za granicą przez sześć lat. Czy to zbieg okoliczności, że nowy książę wrócił akurat teraz, kiedy stary dokonał żywota?”

Daphne podniosła wzrok.

- Mój Boże, *faktycznie* impertynentka. Czy ten Clyvedon nie należy do przyjaciół Anthony'ego?

- Teraz jest Hastingsem - odparła machinalnie Violetta. - Tak, faktycznie, wydaje mi się, że przyjaźnił się z Anthonym w Oksfordzie. A także w Eton, jeśli się nie mylę. - Zmarszczyła czoło i zmrużyła swe niebieskie oczy w zadumie. - Był kimś w rodzaju nicponia, o ile mnie pamięć nie zawodzi. Zawsze skłócony ze swoim ojcem. Ale uchodził za znakomitość. Anthony opowiadał, zdaje się, że chłopak zajął pierwszą lokatę w matematyce. Czego... - dodała, przewracając po matczynemu oczami - nie mogę niestety powiedzieć o żadnym z *moich* dzieci.

- No dobrze, już dobrze, mamó - odcięła się Daphne. - Na pewno też zajęłabym pierwsze miejsce, gdyby Oksford przyjmował kobiety.

Violetta zachnęła się.

- Poprawiałam ci zadania z arytmetyki, kiedy twoja guwernantka zachorowała, Daphne.

- Cóż, to dawne dzieje - uśmiechnęła się dziewczyna. Wróciła wzrokiem do trzymanej w rękach gazetki, błądziła nim wokół imienia nowego księcia. - Wydaje się całkiem interesujący - mruknęła.

Violetta spojrzała gwałtownie na córkę.

- On jest absolutnie nieodpowiedni dla młodej damy w twoim wieku, absolutnie.

- Dziwne, że „mój wiek” w twoich ustach raz oznacza, że jestem za młoda na poznanie przyjaciół Anthony'ego,

a kiedy indziej, że tracisz nadzieję, czy w ogóle uda mi się jeszcze zawrzeć małżeństwo.

- Daphne Bridgerton. Nie...

- ...podoba mi się twój ton, wiem. - Daphne wyszczerzyła zęby. - Ale i tak mnie kochasz.

Violetta uśmiechnęła się ciepło i objęła córkę ramieniem.

- Kocham, i tak mi Boże dopomóż.

Daphne cmoknęła matkę w policzek.

- Oto przekleństwo macierzyństwa. Musisz nas kochać nawet wtedy, kiedy cię złościmy.

Violetta ograniczyła się do westchnięcia.

- Liczę, że pewnego dnia będziesz miała własne dzieci...

- ...takie same jak ja, wiem. - Daphne uśmiechnęła się nostalgicznie i oparła głowę na matczynym ramieniu. Matka bywała irytująco ciekawska, papa bardziej interesował się psami i polowaniem niż tym, co się dzieje w towarzystwie, ale małżeństwo rodziców było serdeczne, przepełnione miłością, śmiechem i... dziećmi. - Mogłabym skończyć dużo gorzej, niż pójść za twoim przykładem, mamó - mruknęła.

- No wiesz, Daphne. - Oczy Violetty zaszyły łzami. - Piękne rzeczy słyszę od mojej własnej córki.

Daphne owijała na palcu kosmyk swoich kasztanowych włosów, uśmiechając się szeroko. Czekała, aż ten sentymentalny nastrój pryśnie, ustępując miejsca uszczypliwości.

- Chętnie pójdę w twoje ślady pod względem małżeństwa i dzieci, mamó, żebym tylko nie musiała rodzić ich aż *ośmioro*.

W tym właśnie momencie Simon Basset, nowy książę Hastings i niedawny temat rozmowy pań Bridgerton, siedział u White'a. Towarzyszył mu nie kto inny jak Anthony Bridgerton, najstarszy brat Daphne. Tworzyli niezwykłą parę: równie wysocy i atletycznie zbudowani, o gęstych, ciemnych włosach. O ile jednak oczy Anthony'ego miały ten sam czekoladowy kolor jak u jego siostry, o tyle oczy Simona były lodowato błękitne, o dziwnie przenikliwym spojrzeniu.

Właśnie te oczy między innymi zdobyły mu renomę człowieka, z którym należało się liczyć. Gdy kierował na kogoś

swój badawczy i zuchwały wzrok, mężczyzn przejmował niepokój, a kobiety niezawodnie dostawały dreszczy.

Ale nie dotyczyło to Anthony'ego. Młodzieńcy znali się od lat i przyjaciel uśmiechał się tylko, kiedy Simon stroszył brwi i zwracał na niego swoje lodowate spojrzenie.

- Zapominasz, że widziałem cię z głową w nocniku - powiedział mu kiedyś Anthony. - Od tego dnia trudno mi traktować cię poważnie.

- Tak, lecz o ile dobrze pamiętam, to ty wciskałeś mnie do tego śmierdzącego naczynka.

- To była jedna z najbardziej wzniosłych chwil mojego życia. Tyle że zemściłeś się nazajutrz, wkładając mi tuzin węgorki pod kołdrę.

Simon pozwolił sobie na uśmiech, kiedy wspomniał ów incydent i ich późniejszą rozmowę na jego temat. Anthony był dobrym druham, takim, jakiego każdy pragnąłby mieć u swego boku w złej godzinie. Był pierwszym ze znajomych Simona, którego ten odszukał po powrocie do Anglii.

- Cholernie dobrze mieć cię z powrotem, Clyvedon - powiedział, kiedy wreszcie usadowili się przy stoliku u White'a. - Aha, zapewne teraz każesz na siebie mówić Hastings?

- Nie - odparł Simon z pewnym naciskiem. - Hastingsem zawsze będzie mój ojciec. Przez całe życie reagował tylko na to jedno słowo... - przerwał i zamyślił się. - Tytuł przyjmę, jak będę musiał, ale nie będę nosił tego nazwiska.

- Jak będziesz musiał? - Anthony lekko wybałuszył oczy. - Mało kto mówiłby z taką rezygnacją o widokach na księstwo.

Simon odgarnął z czoła swoje ciemne włosy. Wiedział, że powinien hołubić prawo, które przysługiwało mu z tytułu urodzenia, i okazywać niepohamowaną dumę ze znamienitej historii rodu Bassetów. Prawda jednak przedstawiała się tak, że to wszystko przyprawiało go o mdłości. Całe życie zawodził oczekiwania ojca; starać się teraz żyć stosownie do jego nazwiska, byłoby śmiesznością.

- To cholerne brzemie, cholerne - stwierdził burkliwie.

- Lepiej zacznij się do niego przyzwyczajać - poradził Anthony - bo wszyscy tak cię będą nazywali.

Simon wiedział, że to prawda, -wątpił jednak, czy kiedykolwiek oswoi się z tytułem księcia Hastingsa.

- Cóż, jak sobie chcesz - ustąpił Anthony. Szanował prawo przyjaciela do decydowania o -własnym losie i nie chciał dalej drażnić najwyraźniej niewygodnego tematu. - Cieszę się, że mam cię z powrotem. Będę mógł wreszcie zaznać trochę spokoju, gdy znowu przyjdzie mi eskortować siostrę na bal.

Simon odchylił się do tyłu, krzyżując -w kostkach swoje długie, muskularne nogi.

- Intrygująca uwaga.

Bridgerton nastroszył brew.

- Pewnie liczysz, że ci ją wyjaśnię?

- Ależ oczywiście.

- Powinienem pozwolić ci dowiedzieć się samemu, ale cóż, nigdy nie należałem do okrutników.

- I to mówi dżentelmen, który wymoczył mi głowę w nocniku? - zaśmiał się Simon.

- Byłem młody. - Anthony z lekceważeniem machnął ręką.

- A teraz stałeś się uosobieniem wytwornych manier i odpowiedzialności?

Anthony wyszczerzył zęby.

- A żebyś wiedział.

- No, to powiedz mi - wycodził Simon - w jaki sposób konkretnie mam zaprowadzić aż tyle spokoju w twoim życiu?

- Przypuszczam, że chcesz zająć należne ci miejsce w towarzystwie?

- Źle przypuszczasz.

- Ale *wybierasz* się na bal u lady Danbury w tym tygodniu.

- Tylko dlatego, że z niewyjaśnionych powodów bardzo lubię tę staruszkę. Mówi to, co myśli, a poza tym... - Simon przymknął powieki.

- Co? - popędzał go przyjaciel.

Simon lekko potrząsnął głową.

- Nic takiego. Po prostu w dzieciństwie była dla mnie bardzo miła. Spędziłem w jej domu kilka szkolnych wakacji razem z Riverdałem. No wiesz, z tym jej siostrzeńcem.

Anthony kiwnął twierdząco głową.

- Rozumiem. A więc nie zamierzasz uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich. Jestem pod wrażeniem tej decyzji. Pozwól jednak, że dam ci pewną przestrożę - nawet jak sam nie będziesz się udzielał, one cię znajdą.

Simon wybrał akurat ten moment na pociągnięcie z kieliszka łyka brandy. Zachłysnął się trunkiem na sam widok miny Anthony'ego, kiedy ten wymawiał słowo „one”. Po kilku chwilach kaszlu i prychnania zdołał w końcu wykrztusić:

- Powiedz, proszę, co za „one”?

Bridgerton wzruszył ramionami.

- Mamuśki.

- Nie miałem własnej, więc nie mogę przyznać, że rozumiem, do czego pijesz.

- Chodzi o matki z towarzystwa, durniu. Te ziejące ogniem smoki z córkami - Boże, zmiłuj się nad nami - na wydaniu. Możesz uciekać, dokąd chcesz, ale i tak nie uda ci się przed nimi schować. I muszę ci ostrzec, że moja matka jest najgorsza ze wszystkich.

- Dobry Boże. A ja myślałem, że to Afryka jest niebezpieczna.

Anthony przeszył przyjaciela nieco litościwym spojrzeniem.

- One cię wytropią. A jak cię dopadną, ockniesz się w pułapce konwersacji z pobladłą młodą damą, całą ubraną na biało, która nie umie rozmawiać o niczym innym tylko o pogodzie, o tym, kto dostał bilety do Almacka, i o wstążkach do włosów.

Twarz Simona rozjaśnił wesoły uśmiech.

- Rozumiem więc, że podczas mego pobytu za granicą stałeś się kimś w rodzaju kawalera do wzięcia?

- Bez żadnych aspiracji do tej roli z mojej strony, zapewniam cię. Gdyby to ode mnie zależało, unikałbym spotkań towarzyskich jak zarazy. Ale moja siostra w zeszłym roku miała debiut i od czasu do czasu muszę ją eskortować.

- Masz na myśli Daphne?

Anthony spojrział na Clyvedona ze zdziwieniem.

- Czyżbyście się już poznali?

- Nie, ale pamiętam jej listy do ciebie w szkole, poza tym

przypominam sobie, że była czwarta w rodzinie, więc musiała się zaczynać na D, i...

- Ach, tak - odparł przyjaciel, przewracając lekko oczami - bridgertońska metoda nadawania dzieciom imion. Gwarancja pewności, że nikt nie zapomni, kim jest.

- Działało, nieprawdaż? - zaśmiał się Simon.

- Słuchaj, Simonie - rzekł raptem Anthony, pochylając się w kierunku przyjaciela. - Obiecałem matce, że zjem kolację w Bridgerton House pod koniec tygodnia wraz z całą rodziną. Może byś mi towarzyszył?

Clyvedon nastroszył kasztanowe brwi.

- Czy nie ostrzegałeś mnie niedawno przed matkami z towarzystwa i debiutującymi siostrami?

Anthony zaśmiał się.

- Każę matce zachowywać się nienagannie, a Daff się nie przejmuj. To wyjątek, który potwierdza regułę. Polubisz ją niezawodnie.

Simon zmrużył oczy. Czyżby Anthony grał rolę swata? Trudno powiedzieć.

Jak gdyby czytając w jego myślach, Bridgerton wybuchnął śmiechem.

- Mój Boże, nie sądzisz chyba, że próbuję cię skojarzyć z Daphne, co?

Simon nie odpowiedział.

- W ogóle byś się nie nadawał. Jesteś trochę zbyt wyobcowany jak na jej gust.

Simon zdziwił się tą uwagą, ale nie okazał tego i spytał:

- A więc miała już jakieś propozycje?

- Kilka. - Anthony dopił resztę brandy, po czym chuchnął z zadowoleniem. - Pozwoliłem jej odmówić wszystkim.

- To dość pobłażliwe z twojej strony.

Anthony wzruszył ramionami.

- Nie ma co liczyć na miłość w małżeństwie w dzisiejszych czasach, ale nie widzę powodu, dla którego nie mogłaby zaznać szczęścia ze swoim mężem. Pierwszy konkurent był tak stary, że nadawałby się raczej na ojca Daphne, drugi na młodszego brata ojca, trzeci był raczej zanadto upo-

rządowany jak na standardy naszego rozwichrzonego klanu, a potem, w tym tygodniu, Boże drogi, ten był najgorszy!

- Co się stało? - zaciekawił się Clyvedon.

Przyjaciół potarł skronie ze znużeniem.

- Ten ostatni był nawet sympatyczny, ale dość tępawy. Można by pomyśleć, zważywszy na naszą hulaszczą przeszłość, że będę człowiekiem wyzutym z wszelkich uczuć...

- Naprawdę? - Simon wyszczerzył zęby w demonicznym uśmiechu. - Można by tak pomyśleć?

Anthony posłał mu groźne spojrzenie.

- Złamanie serca temu biedakowi nie sprawiło mi żadnej przyjemności.

- Hm, czy to nie zasługa Daphne?

- Tak, ale to ja musiałem *przekazać mu* wiadomość.

- Mało który brat pozwoliłby siostrze na taką swobodę w wyborze kandydatów - powiedział cicho Simon.

Anthony znowu tylko wzruszył ramionami, jak gdyby nie potrafił wyobrazić sobie innego sposobu traktowania Daphne.

- Zawsze była dla mnie dobrą siostrą. Przynajmniej tak mogę się odwdziaczyć.

- Nawet jeśli oznacza to eskortowanie jej do Almacka? - spytał złośliwie Simon.

- Nawet wówczas - jęknął Bridgerton.

- Chciałbym cię pocieszyć, że to nastąpi już niedługo, ale zdaje się, że masz, zaraz, trzy inne siostry, które czekają w kulisach.

Anthony wyraźnie oklapł.

- Eloise ma jeszcze dwa lata do debiutu, Francesca debiutuje rok po niej, ale będę miał chwilę wytchnienia, zanim Hiacynta dojdzie do pełnoletności.

- Nie zazdroszczę ci obowiązków w tym zakresie - zachichotał Clyvedon. Lecz kiedy to mówił, ogarnęła go dziwna tęsknota. Zadawał sobie pytanie, jakby wyglądało jego Życie, gdyby nie był tak samotnym człowiekiem na świecie. Nie miał żadnych planów co do założenia rodziny, ale gdyby w dzieciństwie posiadał normalny dom, jego życie mogłoby potoczyć się zgoła inaczej.

- A zatem przyjdiesz na kolację? - Anthony wstał od stolika. - Nieoficjalnie, rzecz jasna. Nie traktujemy posiłków oficjalnie, jeśli spożywamy je w rodzinnym gronie.

Simon miał mnóstwo rzeczy do załatwienia w ciągu najbliższych dni, jednak zanim przypomniał sobie, że musi uporządkować swoje sprawy, usłyszał własny głos:

- Z przyjemnością.

- Znakomicie. Ale najpierw zobaczymy się na fecie u lady Danbury?

Simon wzdrygnął się.

- Nie, jeśli uda mi się temu zaradzić. Zamierzam wejść i po niecałych trzydziestu minutach wyjść.

- Naprawdę sądzisz - spytał Anthony, unosząc z powątpiewaniem brwi - że uda ci się wejść na przyjęcie, złożyć lady Danbury wyrazy uszanowania i natychmiast wyjść?

Skinienie głowy Simona było szczere, ale wymuszone.

Natomiast parsknięcie śmiechem przez Anthony'ego nie podziałało nazbyt uspokajająco.

2

Nowy książę Hastings to niezwykle interesująca postać. Choć powszechnie wiadomo, że nie był w najlepszych stosunkach ze swoim ojcem, nawet pisząca te słowa nie może dociec przyczyn owej animozji.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 26 kwietnia 1813

Pewnego dnia w końcu tego tygodnia Daphne znajdowała się na skraju sali balowej lady Danbury, z dala od eleganckiego tłumu. Była całkowicie zadowolona ze swego miejsca.

W normalnych warunkach z wielką przyjemnością bawiłaby się wraz z innymi; jak każda młoda dama lubiła wytworne przyjęcia, ale kilka godzin temu dowiedziała się od Anthony'ego, że dwa dni wcześniej dopadł go Nigel Berbrooke i po-

prosił o jej rękę. Ponownie. Anthony, co oczywiste, odmówił (ponownie!), ale Daphne dostawała mdłości na myśl, że Nigel może okazać się niepokojąco wytrwały. Dwukrotne oświadczenia w przeciągu dwóch tygodni wskazywały, że niestety nie jest to człowiek, który łatwo przystaje na porażki.

Kiedy zobaczyła go po drugiej stronie parkietu, rozglądającego się na wszystkie strony, cofnęła się dalej, w głąb cienia.

Nie wiedziała, jak ma postępować z tym biedakiem. Nigel nie należał do ludzi najbystrzejszych, nie był jednak człowiekiem wstrętnym. Wiedziała, że musi w jakiś sposób położyć kres jego zaślepieniu, i doszła do wniosku, że najłatwiej będzie zachowywać się jak zwykły tchórz i po prostu Nigela unikać.

Postanowiła wymknąć się do damskiej toalety, kiedy nagle jej plany pokrzyżował znajomy głos.

- Słuchaj no, Daphne. Co ty tu robisz pod ścianą?

Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła swojego najstarszego brata, który zmierzał w jej kierunku.

- Anthony - odrzekła. Nie wiedziała, czy ma się ucieszyć na jego widok, czy zdenerwować, domyślając się, że braciшек zaraz zaczną wtrącać się w nie swoje sprawy. - Nie miałam pojęcia, że wybierasz się na bal.

- Matka - odparł ponuro. Wszelkie inne słowa były zbędne.

- Ach - westchnęła ze współczującym skinieniem głowy. - Nie musisz nic dodawać. Doskonale rozumiem.

- Sporządziła listę kandydatek na panny młode. - Obrzucił siostrę zaczepnym spojrzeniem. - Ale my ją i tak kochamy, prawda?

Daphne stłumiła wybuch śmiechu.

- Tak, Anthony. Kochamy.

- To jakiś chwilowy obłąd - powiedział oskarżycielskim tonem. - Na pewno jej przejdzie. Nie ma innego wytłumaczenia. Była idealną matką, dopóki nie osiągnęłaś wieku odpowiedniego do małżeństwa.

- Ja? - zapiszczała Daphne. - Więc to wszystko moja wina? Jesteś o całe osiem lat starszy ode mnie!

- Zgoda, ale przed twoim debiutem nie odczuwała takiego matrymonialnego zapału.

- Wybacz mi brak współczucia.- Prychnęła. - Dostałam listę w zeszłym roku.

- Naprawdę?

- Oczywiście. A ostatnio zagroziła, że będzie mi je dostarczać co tydzień. Zadręcza mnie sprawą mojego małżeństwa o wiele bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Było nie było, starzy kawalerowie to wyzwanie. Stare panny budzą jedynie litość. A ja, jeśli dotąd tego nie dostrzegłeś, jestem płci żeńskiej.

Anthony zareagował cichym, tłumionym chichotem.

- Jestem twoim bratem. Nie dostrzegam takich rzeczy - stwierdził z przebiegłym uśmiechem, spoglądając na siostrę z ukosa.

- Przyniosłaś ją?

- Moją listę? O Boże, nie. Co ty sobie myślisz?

Rozchylił usta w jeszcze szerszym uśmiechu.

- Ja swoją przyniosłem.

Daphne wciągnęła głęboko powietrze do płuc.

- Nie!

- Tak! Tylko po to, by dokuczyć matce. Zamierzam odczytać ją przed jej nosem, wyciągnę monokl...

- Nie masz monokla.

Anthony zaśmiał się szyderczo - niespiesznym, zabójczo złośliwym śmiechem, charakterystycznym, jak mówiono, dla wszystkich męskich członków rodziny Bridgertonów.

- Kupiłem go na dzisiejszą okazję.

- Nie możesz tego zrobić. Ona cię *zabije*. A potem znajdzie jakiś sposób, żeby winę zwalić na *mnie*.

- Liczę na to.

Daphne dała bratu silnego kuksańca w ramię. Anthony jęknął tak głośno, że pół tuzina balowiczów wysłało zaciekawione spojrzenia w ich kierunku.

- Masz niezły cios - przyznał, rozcierając sobie rękę.

- Dziewczyna nie przetrwa wśród czterech braci, jeśli nie nauczy się zadawania ciosów. - Założyła ręce na piersiach. - Pokaż mi swoją listę.

- W chwilę po tym, jak mnie poturbowałaś?

Daphne przewróciła swoimi brązowymi oczami i zadarała głowę wyraźnie zniecierpliwiona.

- Ach, no, dobrze. - Anthony sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął zwitek papieru i podał go siostrze. - Ciekaw jestem, co o tym sądzisz. Na pewno będziesz miała tysiące złośliwych uwag.

Dziewczyna rozwinęła papier i utkwiała wzrok w równym, eleganckim piśmie matki. Wicehrabina Bridgerton wymieniła nazwiska ośmiu kobiet. Ośmiu bardzo atrakcyjnych i bardzo bogatych młodych kobiet.

- Dokładnie tego się spodziewałam - mruknęła Daphne.

- Aż tak straszna, jak przypuszczam?

- Gorsza. Philipa Featherington jest głupia jak but.

- A reszta dziewcząt?

Daphne rzuciła bratu spojrzenie spod nastroszonych brwi.

- W rzeczywistości wcale nie chciałeś się ożenić¹ w tym roku, prawda?

Anthony skrzywił się ze wstrętem.

- A jak wyglądała twoja lista?

- Na szczęście już nieaktualna. Z wymienionych pięciu trzech ożeniło się w zeszłym sezonie. Matka dotąd ma do mnie pretensje, że pozwoliłam im wyslizgnąć mi się z rąk.

Rodzeństwo Bridgertonów westchnęło w identyczny sposób, oparłszy się plecami o ścianę. Violetta Bridgerton była niezmordowana w swojej misji swatania dzieci. Anthony, najstarszy syn, i Daphne, najstarsza córka, stali się pierwszymi ofiarami szturmu. Daphne podejrzewała jednak, że wicehrabina z radością wydałaby za mąż nawet dziesięcioletnią Hiacyntę, gdyby tylko dostała odpowiednią propozycję.

- Mój Boże, wyglądacie jak dwoje ponuraków. Dlaczego zaszyliście się w tym kącie?

Kolejny głos, który natychmiast dawał się rozpoznać.

- Benedict - powiedziała Daphne. Nie poruszając głową, zerknęła kątem oka na brata. - Tylko mi nie wmawiaj, że to matka zdołała cię nakłonić do przyjścia na dzisiejszą fetę.

Pokiwał głową z posępną miną.

- Kompletnie odstaąpiła od przypochlebiania się i odwo-

lala się do poczucia winy. W tym tygodniu już trzy razy mi przypominała, że obowiązek dostarczenia następnego wiechrabiego może spaść na mnie, jeśli obecny tu Anthony nie weźmie się do roboty.

Anthony zajęczał głucho.

- Zakładam, że to jest także powód waszej ucieczki w najciemniejszy zakamarek sali balowej? - ciągnął Benedict. - Chowamy się przed mamusią?

- Właściwie, zobaczyłem, że Daphne czai się w cieniu - odparł Anthony - więc...

- Czai się? - powtórzył z udawanym przerażeniem młodszego brata.

Daphne obezwładniła obu braci groźnym spojrzeniem.

- Przyszłam tu, żeby schować się przed Nigelem Berbrooke'em - wyjaśniła. - Zostawiłam matkę w towarzystwie lady Jersey, więc upłynie trochę czasu, zanim zaczniesz patrzeć się nade mną, natomiast Nigel...

- Przypomina bardziej małpę niż człowieka - zażartował Benedict.

- Cóż, nie ujęłabym tego w taki sposób - odrzekła Daphne, siląc się na uprzejmość - ale faktycznie nie należy do najmądrzejszych i dużo łatwiej zejść mu z drogi, niż ranić jego uczucia. Oczywiście, teraz, kiedy mnie znaleźliście, nie uda mi się zbyt długo pozostać nie zauważoną.

Z gardła Anthony'ego wydobył się jeden dźwięk:

- O?

Daphne obrzuciła wzrokiem swoich starszych braci. Obaj mieli ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona oraz marzycielskie, brązowe oczy. Jeden i drugi wyróżniali się kasztanowymi włosami, prawie identycznego koloru jak jej własne, a poza tym - co ma ściślejszy związek ze sprawą - nie mogli pojawić się w żadnym kulturalnym towarzystwie, żeby zaraz nie otoczyła ich gromadka rozchichotanych młodych dam, nie odstępujących ich nawet na krok.

A dokądkolwiek udawała się gromadka rozchichotanych młodych dam, tam niezawodnie pojawiał się Nigel Berbrooke.

Daphne zauważyła, że już kilka głów obróciło się w ich

kierunku. Ambitne mamusie trącały łokciem swoje córeczki i pokazywały na dwóch braci Bridgertonów - we własnych osobach i tylko w towarzystwie siostry.

- Wiedziałam, że trzeba było uciekać do toalety - mruknęła.

- Ejże, co to za świstek papieru trzymasz w ręku, Daff? - zapytał Benedict.

Wskutek jakiegoś roztargnienia podała mu listę potencjalnych narzeczonych dla Anthony'ego.

Kiedy Benedict głośno zarechotał, Anthony założył ręce na krzyż i powiedział:

- Postaraj się nie uprzyjemniać sobie za bardzo czasu moim kosztem. Wróżę, że w przyszłym tygodniu dostaniesz podobną listę.

- Niewątpliwie - zgodził się Benedict. - To cud, że Colin... - Nagle urwał i wybałuszył oczy. - Colin!

Kolejny młody Bridgerton dołączył do kompanii.

- O, Colin! - zawołała Daphne, zarzucając mu ręce na szyję. - Tak *milo* cię widzieć.

- Zwróć uwagę, że nas nie spotkało równie serdeczne powitanie - rzucił Anthony do Benedicta.

- Was widzę codziennie - odparła dziewczyna. - A Colin okrążył rok przebywał poza domem. - Oddała mu ostatni uścisk, cofnęła się o krok i odezwała się z pretensją w głosie: - Spodziewaliśmy się ciebie dopiero za tydzień.

Colin wzruszył tylko jednym ramieniem, co idealnie harmonizowało z krzywym uśmiechem na jego twarzy.

- Paryż zrobił się nudny.

- Ach - rzekła Daphne z przenikliwym błyskiem w oku. - Więc skończyły ci się pieniądze.

Colin roześmiał się i podniósł ręce do góry na znak kapitulacji.

- Winny zgodnie z oskarżeniem.

Anthony wziął brata w ramiona i powiedział burkliwie:

- Cholernie dobrze mieć cię znowu w domu, braciszku. Ale forsa, którą ci wysłałem, powinna była starczyć co najmniej do...

- Daj spokój - odparł Colin, a w jego głosie wciąż dawały się słyszeć wesołe tony. - Przysięgam, że jutro będziecie mogli złażać mnie do syta. Dzisiaj pragnę tylko towarzystwa mojej ukochanej rodzinie.

Benedict parsknął śmiechem.

- Musisz być kompletnie spłukany, skoro mówisz o nas „ukochana rodzinie” - zauważył, ale pochylił się do przodu, by mimo wszystko serdecznie uściskać brata. - Witaj w domu.

Colin, zawsze najbardziej beztroski członek rodziny, wyszczerzył zęby, a w jego zielonych oczach zapaliły się figlarne ogniki.

- Dobrze jest być z powrotem na starych śmieciach. Choć muszę przyznać, że tutejsza pogoda nie jest w polowie tak ładna jak na kontynencie, a co do kobiet, no cóż, Anglii trudno by było konkurować pod tym względem z *signoriną* Ital...

Daphne dała mu kuksańca w ramię.

- Nie zapominaj łaskawie, że wśród obecnych znajduje się dama, ty gburze - napomniała brata, ale w jej głosie było niewiele gniewu. Z całego rodzeństwa Colin był jej najbliższy wiekiem - był tylko o osiemnaście miesięcy starszy. W dzieciństwie stanowili nierozłączną parę - i zawsze razem wpadali w tarapaty. Colin był urodzonym psotnikiem, a Daphne wcale nie trzeba było długo namawiać do naśladowania brata. - Czy mama wie, że już wróciłeś? - zapytała.

Colin potrząsnął głową.

- Przyjechałem do pustego domu i...

- Tak. Dzisiaj mama wcześniej położyła dzieciaki do łóżka - przerwała mu siostra.

- Nie chciałem beczynn timer czekać i kręcić palcami młynka, więc wypytałem Humboldta o ciebie i przyjechałem tutaj.

Daphne rozpromieniła się, szeroki uśmiech przydał ciepła jej ciemnym oczom.

- Cieszę się, że to zrobiłeś.

- Gdzie mama? - spytał Colin, wyciągając szyję, aby spojrzeć ponad tłumem. Jak wszyscy męscy przedstawiciele rodu Bridgertonów był wysokiego wzrostu, więc nie musiał zanadto nadwerężyć szyi.

- Tam w rogu, obok lady Jersey - odrzekła Daphne.

Colin wzdrygnął się.

- Zaczekam, aż się od niej uwolni. Nie chcę zostać odarty żywcem ze skóry przez tego smoka.

- O smokach mowa - ostrzegł Benedict. Jego głowa pozostawała nieruchoma, za to oczy śmięły na lewo.

Siostra podążyła za jego wzrokiem i spostrzegła lady Danbury, która podpierając się laską, kroczyła bez pośpiechu w ich stronę. Daphne przełknęła nerwowo i skuliła ramiona. Cięty dowcip starszej damy był w towarzystwie otoczony legendą. I mimo że Daphne podejrzewała, iż pod tą maską zgryźliwości kryje się miękkie serce, zmuszanie człowieka do rozmowy przez lady Danbury zawsze budziło przerażenie.

- Nie ma dokąd uciekać - jęknął któryś z braci.

Daphne kazała mu zamilknąć, sama zaś obdarzyła starszą panią niepewnym uśmiechem.

Lady Danbury zmarszczyła czoło, a kiedy znalazła się niecałe trzy kroki od rodzeństwa Bridgertonów, zatrzymała się i warknęła:

- Nie udawajcie, że mnie nie -widzicie!

Następnie tak głośno uderzyła laską o podłogę, że Daphne aż odskoczyła do tyłu, przydeptując Benedictowi stopę.

- Oj! - syknął Benedict.

Ponieważ bracia sprawiali wrażenie, jakby chwilowo zaniemówili (oczywiście z wyjątkiem Benedicta, ale krzyki z bólu trudno uznać za mowę artykułowaną), Daphne ponownie przełknęła i powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam takiego wrażenia, lady Danbury, bo...

- Ty nie - przerwała jej władczo starsza pani. Uniosła w powietrze laskę, tak że jej koniec znalazł się niebezpiecznie blisko brzucha Colina. - Oni.

W odpowiedzi dał się słyszeć chór wymamrotanych pozdrowień.

Lady Danbury obrzuciła każdego z trzech braci najkrótszym z możliwych spojrzeń, po czym odwróciła się z powrotem do Daphne i oznajmiła:

- Pan Berbrooke pytał o ciebie.

Daphne zdrętwiała.

- Ach, tak?

Lady Danbury skinęła lekko głową.

- Na twoim miejscu zdusiłabym to w zarodku, panno Bridgerton.

- Czy powiedziała mu pani, gdzie jestem?

Usta starszej damy złożyły się w chytry, konspiracyjny uśmiech.

- Zawsze wiedziałam, że cię lubię. I nie, nie powiedziałam mu, gdzie jesteś.

- Dziękuję - szepnęła Daphne.

- Przykucie cię do tego bałwana oznaczałoby zmarnowanie bystrego umysłu - stwierdziła lady Danbury. - Dobry Pan wie, że towarzystwo nie może pozwolić sobie na utratę tej garstki bystrych umysłów, które nam jeszcze pozostały.

- Ee... dziękuję - powtórzyła Daphne.

- A jeśli chodzi o was... - lady Danbury machnęła laską w stronę braci Bridgertonów - rezerwuję sobie prawo do wyrażenia sądu. Do ciebie... - pokazała na Anthony'ego - jestem usposobiona przychylnie, bo odmówiłeś Berbrooke'owi ręki swojej siostry, ale reszta... Hmm.

Chrząknęła i oddaliła się w głąb sali.

- Hmm? - powtórzył Benedict. - Hmm? Rości sobie pretensje do oceny mojej inteligencji, a wszystko, na co ją stać, to *Hmm?*

- Mnie *lubi* - stwierdziła z uśmiechem wyższości Daphne.

- Możesz ją sobie zabrać - burknął Benedict.

- To bardzo ładnie z jej strony, że cię ostrzegła przed Berbrooke 'em - przyznaj Anthony.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Myślę, że był to dla mnie sygnał do wyjścia. - Obróciła się do Anthony'ego i posłała mu błagalne spojrzenie. - Jeśli przyjdzie tu, żeby mnie szukać...

- Ja to załatwię - odparł uspokajająco. - Nie martw się.

- Dziękuję - odparła, a potem, posławszy uśmiech każdemu z braci po kolei, wymknęła się z sali balowej.

Kiedy Simon szybkim krokiem pokonywał korytarze londyńskiej rezydencji lady Danbury, uzmysłowił sobie, że znajduje się w wyjątkowo dobrym nastroju. To naprawdę zdumiewające, zaśmiał się w duchu, zważywszy, że za chwilę miał uczestniczyć w przyjęciu towarzyskim i narazić się w ten sposób na wszelkie okropności, które Anthony Bridgerton przedstawił mu tego popołudnia.

Zdołał jednakże pocieszyć się świadomością rychłego końca kłopotów z podobnymi uroczystościami. Zgodnie z tym, co powiedział Anthony'emu kilka godzin wcześniej, weźmie udział w tym jednym balu wyłącznie z sympatii dla lady Danbury, która, mimo swoich gburowatych manier, zawsze odnosiła się do niego przychylnie, kiedy był dzieckiem.

Przyczyną jego dobrego nastroju, dochodził do wniosku, była radość z powrotu do Anglii.

Nie to, żeby poczuł wstręt do podróży po świecie. Objechał wzdłuż i wszerz całą Europę, żeglował po wyjątkowo lazurowych "wodach Morza Śródziemnego i odkrywał tajemnice północnej Afryki. Stamtąd udał się do Ziemi Świętej, a następnie, kiedy po zasięgnięciu języka w Anglii okazało się, że jeszcze nie nadszedł czas na powrót do domu, przepłynął Atlantyk i penetrował Indie Zachodnie. W tym czasie rozważał wyjazd do Stanów Zjednoczonych Ameryki, ale nowy naród akurat uznał za stosowne wejść w konflikt z Wielką Brytanią, więc Simon zrezygnował z podróży.

Poza tym właśnie wtedy dotarła do niego wiadomość o śmierci ojca, który już od wielu lat chorował.

To była naprawdę ironia losu. Simon nie zamieniłby swoich podróży na nic w świecie. Sześć lat to dużo czasu na myślenie, dużo czasu na poznawanie tego, co to znaczy być człowiekiem. A jednak jedynym powodem, dla którego dwudziestodwuletni wówczas Simon opuścił Anglię był fakt, że jego ojciec postanowił ostatecznie uznać swojego syna.

Simon natomiast nie chciał uznać swojego ojca, więc któregoś pięknego dnia po prostu spakował walizki i wyjechał z kraju. Wolał życie na wygnaniu niż podstępne zabiegi starożytnego księcia o uczucie.

Problem pojawił się wtedy, kiedy Simon skończył Oksford. Pierwotnie ksiązę nie chciał płacić za kształcenie syna: Simon zobaczył kiedyś list do jego gubernera. Ksiązę oświadczył w nim, że nie pozwoli synowi wystawiać rodziny na pośmiewisko w Eton. Ale Simon miał równie wygłodniały umysł, jak uparty charakter, toteż zamówił powóz, kazał się zawieźć do Eton, zastukał do drzwi dyrektora i powiadomił go o swoim przybyciu.

Była to najbardziej przerażająca rzecz, jaką w życiu zrobił, ale w jakiś sposób zdołał dyrektora przekonać, że winę za zamieszanie ponosi szkoła, że Eton musiało zgubić jego dokumenty wpisowe razem z czesnym. Skopiował wszystkie gesty ojca: aroganckie stroszenie brwi, zadzieranie nosa, patrzenie na ludzi z góry i dawanie do zrozumienia, że jest się właścicielem całego świata.

A przez cały czas trzęsły mu się łydki z przerażenia, że słowa zaczną się w ustach przekręcać i wpadać jedno na drugie, że „jestem lord Clyvedon i przybyłem tu po naukę” zamieni się w „jestem lord Clyvedon i p-p-p-p-p-p-”

Ale tak się nie stało i dyrektor, który spędził wystarczająco dużo czasu na edukowaniu angielskiej elity, by natychmiast rozpoznać w Simonie członka rodziny Bassetów, nie zrobił żadnych trudności i w największym pośpiechu przyjął chłopca do szkoły. Minęło kilka miesięcy, zanim ksiązę (który zawsze był bardzo zajęty własnymi sprawami) dowiedział się o nowym statusie swojego syna i zmianie miejsca zamieszkania. Do tego czasu Simon zadomowił się już w Eton i wyciągnięcie chłopca ze szkoły bez powodu zrobiłoby bardzo złe wrażenie.

A ksiązę nie lubił robić złego wrażenia.

Simon często zastanawiał się, dlaczego ojciec nie spróbował wówczas wyciągnąć ręki do zgody. Przecież w Eton nie potykał się o każde słowo; ksiązę dowiedziałyby się o tym od dyrektora, gdyby jego syn nie dawał sobie rady z nauką. Simon wprawdzie jękał się niekiedy, ale do tego czasu nabrał już biegłości w maskowaniu swoich błędów kaszlem bądź niespiesznym pociąganiem łyka herbaty albo mleka, jeśli miał tyle szczęścia, że akurat spożywał posiłek.

Jednakże książę nigdy nie napisał do niego żadnego listu. Zdaniem Simona, ojciec tak bardzo przyzwyczyił się do ignorowania syna, iż nie miało znaczenia nawet udowodnienie przez niego faktu, że wcale nie przynosi ujmy nazwisku Basset.

Po Eton naturalną kolejną rzeczą Simon poszedł do Oksfordu, gdzie zasłynął jako bystry student i rozpustnik. Prawdę mówiąc, na miano rozpustnika zasłużył nie mniej i nie bardziej od większości młodzieńców studiujących na uniwersytecie, ale lekki chłód w obejściu w jakiś sposób dopomógł mu zyskać taką opinię.

Simon nie wiedział dokładnie, jak do tego doszło, stopniowo jednak stał się dla swoich rówieśników autorytetem. Był inteligentny i wysportowany, lecz wydawało się, że jego zachowanie determinuje raczej wysoka pozycja społeczna. Nie mówił, kiedy słowa były zbędne, więc ludzie uznali go za aroganta, którym powinien być przyszły książę. Wolał otaczać się tylko tymi kolegami, wśród których naprawdę czuł się dobrze, więc ludzie stwierdzili, że nadzwyczaj skrupulatnie dobiera sobie przyjaciół, tak jak powinien czynić to przyszły książę.

Nie był zbyt rozmowny, lecz kiedy już się odezwał, mówił ze swadą i często z ironią - jego poczucie humoru gwarantowało, że słuchacze będą chłonęli każde słowo. I znowu, ponieważ nie miał zwyczaju paplać na lewo i prawo, jak na członków socjety przystało, ludzie *tym bardziej* aszczylili się na to, co miał do powiedzenia.

Mówiono o nim: „nieskończenie pewny siebie”, „zabójczo przystojny” i „żywe wcielenie angielskiej męskości”. Mężczyźni chcieli znać jego opinię na każdy temat.

Kobiety mdlały u jego stóp.

Simonowi nie chciało się w to wszystko wierzyć, niemniej taki status przynosił mu zadowolenie. Korzystał z tego, czym go obdarzano, używając życia z kolegami i bawiąc się w towarzystwie rozmaitych ciepłych wdówek i śpiewaczek operowych, które szukały jego kompanii - a świadomość, że ojciec na pewno to potępia, dodawała każdej eskapadzie pikanterii.

Jak się jednak okazało, ojciec nie *do końca* to potępiał. Za plecami Simona ksiązę Hastings zaczął się interesować jego postęпами. Zażądał szczegółowych raportów z uniwersytetu i wynajął detektywa z brygady śledczej z Bow Street, aby ten informował go o nadprogramowych poczynaniach jedynaka. Aż wreszcie ksiązę przestał wypatrywać dowodów na upośledzenie umysłowe syna w każdym urzędowym liście.

Ustalenie dokładnej daty zmiany jego nastawienia byłoby niemożliwe, w każdym razie pewnego dnia ksiązę uświadomił sobie, że mimo wszystko jego potomek łąduje całkiem dobrze.

Księżcia rozpierała duma. Jak zawsze dobre pochodzenie w końcu się sprawdziło. Powinien był wiedzieć, że ród Bassetów nie może wydać na świat imbecyla.

Skończywszy Oksford z pierwszą lokatą w matematyce Simon wraz z przyjaciółmi wrócił do Londynu. Wynajął rzecz jasna garsonierę, nie chcąc mieszkać u ojca. A kiedy zaczął bywać w towarzystwie, coraz więcej osób błędnie tłumaczyło sobie jego częste absencje arogancją, zaś wąski krąg przyjaciół - elitaryzmem.

Jego reputacja została przypieczętowana, w chwili gdy Beau Brummel - uznawany wówczas za króla towarzystwa - zadał mu dość skomplikowane pytanie na temat jakiegoś drobnego szczegółu najnowszej mody. Brummel wypowiedział je dość protekcyjnym tonem i wyraźnie miał nadzieję Wprawić młodego lorda w zakłopotanie. Cały Londyn wiedział, że Brummel za niczym nie przepada tak bardzo, jak za robieniem z przedstawicieli angielskiej elity skończonych głupców. Udając, że zależy mu na opinii Simona, zakończył pytanie przeciągłym: - Nie sądzisz?

Kiedy tłum plotkarzy wstrzymał oddech i wybałuszył oczy, Simon, którego nic nie obchodził specyficzny kształt krawata Jego Królewskiej Mości, spojrział na Brummela swoimi błękitnymi oczami i najzwyczajniej w świecie odparł: - Nie.

Żadnego wyjaśnienia, żadnego umotywowania, samo: *Nie*. A potem wyszedł.

Najdalej następnego popołudnia lord Clyvedon mógłby rów-

nie dobrze zostać nowym królem towarzystwa. Ironia była druzgocząca. Simon nie przejmował się Brummelem ani jego tonem i zapewne potrafiłyby go upokorzyć w sposób bardziej elokwentny, gdyby tylko miał pewność, że zdoła wypowiedzieć się bez zająknięcia. Jednakże w tym konkretnym przypadku *mniej* okazało się zdecydowanie *więcej* i lapidarna replika Simona okazała się dużo bardziej śmiertcionośna niż jakakolwiek rozwlekła przemowa, którą mógłby wygłosić.

Wiadomość o błyskotliwym i zabójczo przystojnym pretendencie do tytułu Hastings dotarła naturalnie do księżycy uszu. A chociaż ojciec nie od razu poszukał towarzystwa syna, wkrótce dało się słyszeć różne plotki i ploteczki, które ostrzegały Simona, że stosunki z ojcem mogą wkrótce ulec zmianie. Stary książę miał ponoć roześmiać się na wieść o incydencie z Brummelem i stwierdzić:

- Oczywiście. Simon to Basset. - Jeden ze znajomych wspomniał, że słyszano, jak książę piał z zachwyty nad pierwszą lokatą Simona w Oksfordzie.

Później zaś spotkali się twarzą w twarz na pewnym londyńskim balu.

Książę nie chciał dopuścić do tego, aby syn zrobił mu afront.

Simon się starał. Och, jak bardzo się starał. Ale nikt nie miał takich zdolności do miażdżenia jego pewności siebie jak jego własny ojciec i kiedy Simon patrzył na księcia, który był właściwie lustrzanym odbiciem jego samego, może tylko nieco starszą wersją, zeszywniał i nie zdołał wydobyć głosu.

Język mu skołowaciał, usta miał jak zasznurowane. Czuł, że ta blokada rozszerza się na cały organizm, bo raptem przestał czuć się dobrze nawet we własnym ciele.

Książę nie przegapił chwilowej straty konceptu u Simona i obejmując go w pól, rzekł z uczuciem:

- Synu.

Zaraz następnego dnia Simon wyjechał z kraju.

Wiedział, że nie zdoła unikać ojca, jeśli pozostanie w Anglii. A nie chciał odgrywać roli jego syna po tylu latach odrzucenia.

Poza tym ostatnio londyńskie życie coraz bardziej zaczynało go nudzić. Mimo złej reputacji Simon wcale nie miał temperamentu prawdziwego rozpustnika. Lubił bawić się nocami w mieście w równym stopniu jak wszyscy jego najbliżsi i rozwiążli przyjaciele, lecz po trzech latach spędzonych w Oksfordzie i roku w Londynie nie kończąca się seria bankietów i towarzystwo prostytutek, no cóż, zatraciły cechy świeżości.

A zatem wyjechał.

Teraz jednakże cieszył się z powrotu. Pobyt w domu miał w sobie coś kojącego, wiosna w Anglii przynosiła ze sobą spokój i pogodę ducha. A po sześciu latach podróży samotności cholernie dobrze było odnaleźć swoich dawnych kompanów.

Pokonywał cichym krokiem korytarze, kierując się w stronę sali balowej. Nie chciał, aby go anonsowano; zapowiedzenie jego wejścia było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Dzisiejsza rozmowa z Anthonym potwierdziła jego decyzję, aby nie odgrywać aktywnej roli w londyńskiej socjocie.

Nie zamierzał się ożenić. Nigdy. A skoro nie szukało się żony, nie miało większego sensu uczęszczanie na bale.

Czuł się jednak zobowiązany do pewnej lojalności wobec lady Danbury po tylu uprzejmościach okazanych mu przez nią w okresie jego dzieciństwa, a ponadto szczerze mówiąc miał do tej bezpośredniej starszej pani silny sentyment. Odrzucenie jej zaproszenia byłoby szczytem impertynencji, zwłaszcza że zaproszeniu towarzyszył odręczny dopisek lady witający młodego księcia z powrotem w kraju.

Ponieważ Simon znał drogę wokół domu, wszedł do środka bocznymi drzwiami. Jak wszystko pójdzie dobrze, zdoła wślizgnąć się do sali balowej, nie zwracając niczyjej uwagi, złożyć lady Danbury wyrazy uszanowania i wyjść.

Ale kiedy skręcił za róg, usłyszał jakieś głosy i stanął jak wryty.

Simon stłumił jęk. Udaremnił schadzkę kochanków. Psia-krew, cholera! Jak się stąd wycofać, nie rzucając się w oczy? Jeśli jego obecność zostanie odkryta, późniejsza scena na pewno zmieni się w komediodramat, któremu towarzyszyć

będzie uczucie zażenowania i mnóstwo innych nieciekawych emocji. Najlepiej po prostu skryć się w cieniu i niechże się kochankowie sobą cieszą.

Lecz kiedy zaczął się po cichu wycofywać, usłyszał coś, co przykuło jego uwagę.

-Nie.

Nie? Czyżby jakaś młoda dama została zaciągnięta do pustego korytarza wbrew swojej woli? Simon nie miał wielkiej ochoty zostać czymkolwiek bohaterem, ale nawet on nie mógł przystać na to, by tego rodzaju zniewaga uszła płazem. "Wyciągnął lekko szyję i nadstawił ucha, żeby lepiej słyszeć. Ostatecznie mógł się mylić. Jeśli nikt nie potrzebuje pomocy, to przecież nie będzie się rzucał do ataku niczym jakiś natrętny głupiec.

- Nigelu - mówiła dziewczyna - naprawdę nie powinienś być iść za mną aż tutaj.

- Ale ja cię kocham! - wołał z namiętnością w głosie młody mężczyzna. - Ja chcę tylko, żebyś została moją żoną.

Simon omal nie zajęczał. Biedny, zaślepiony dureń. Przykro było tego słuchać.

- Nigelu - powtórzyła nieznajoma głosem dziwnie łagodnym i cierpliwym - mój brat już ci powiedział, że nie mogę wyjść za ciebie za męża. Mam nadzieję, że możemy kontynuować znajomość jako przyjaciele.

- Twój brat niczego nie rozumie!

- Owszem - odparła stanowczo. - Rozumie.

- Do licha! Jeśli ty nie wyjdiesz za mnie, to kto zostanie moją żoną?

Simon ze zdziwienia aż zamrugał. Jak na oświadczyń, te zdecydowanie były mało romantyczne.

Dziewczyna najwyraźniej też tak uważała.

- No cóż, nie wierzę, żeby na sali balowej lady Danbury nie przebywało w tej chwili kilkadziesiąt innych młodych kobiet - odparła z nutą pewnego niezadowolenia w głosie. - Na pewno niejedna z nich z dziką rozkoszą wyszłaby za ciebie.

Simon lekko pochylił się do przodu, aby rzucić okiem na i scenę. Dziewczyna znajdowała się w cieniu, natomiast męż-

czyzną było widać całkiem wyraźnie. Stał ze skruszoną mianą i opuszczonymi na znak klęski ramionami. Z wolna potrząsnął głową.

- Nie - powiedział z rozpaczą - nie wyjdzie. Nie rozumiesz? One... one...

Simon zadrżał, słysząc, że mężczyzna się zacina. On nie tyle się jąkał, ile nie mógł opanować wzruszenia, ale tak czy inaczej nie jest to przyjemne, gdy człowiek nie może wyduścić z siebie jednego zdania.

- Żadna nie jest tak miła jak ty - rzekł wreszcie. - Ty jedna w ogóle uśmiechasz się do mnie.

- Och, Nigel. - Westchnęła głęboko. - Jestem pewna, że się mylisz.

Simon rozumiał jednak, że tylko starała się być uprzejma. A kiedy westchnęła ponownie, stało się jasne, że nie będzie potrzebowała żadnej pomocy. Zdawała się całkowicie panować nad sytuacją, i przy całym współczuciu Simona dla nieszczęsnego Nigela, jego pomoc nie mogła się na wiele przydać.

Poza tym zaczynał czuć się jak najgorszy podglądacz.

Powoli przesuwiał się do tyłu, skupiając wzrok na drzwiach, które, jak wiedział, prowadziły do biblioteki. Na drugim końcu biblioteki były jeszcze jedne drzwi, tymi z kolei wychodziło się do oranżerii. Stamtąd mógł wejść do głównego holu i skierować się do sali balowej. Byłoby to mniej dyskretne niż przejście bocznymi korytarzami, ale przynajmniej nieszczęsny Nigel nie dowie się, że jego upokorzenie miało świadka.

Aż tu nagle, będąc o pół kroku od dogodnej drogi odwrotu, Simon usłyszał pisk dziewczyny.

- Musisz za mnie wyjść! - krzyknął Nigel. - Musisz! Nigdy nie znajdę żadnej innej...

- Nigel, przestań!

Simon odwrócił się z ciężkim westchnieniem. Zanosiło się na to, że mimo wszystko będzie musiał panienkę ratować. Długim krokiem ruszył z powrotem w głąb korytarza, przybierając swój najsurowszy, najbardziej książęcy wyraz twarzy. Na końcu języka miał słowa: *Zdaje się, że pani prosiła, abys*

przystał, ale wyglądało na to, że dzisiejszego wieczora nie będzie mu dane odegrać roli bohatera, bo zanim w ogóle zdążył otworzyć usta, młoda dama wyszarpnęła prawą rękę i wymierzyła w szczękę adoratora zaskakująco skuteczny cios.

Nigel upadł, jego ramiona jeszcze przez chwilę śmiesznie młóciły powietrze, a nogi rozsunęły się na boki. Simon zatrzymał się i patrzył z niedowierzaniem, jak dziewczyna klęka na oba kolana.

- O, Boże! - zapiszczała. - Nigelu, nic ci się nie stało? Nie chciałam uderzyć cię tak mocno.

Simon parsknął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać.

Dziewczyna z przestrachem podniosła na niego wzrok.

Simon wstrzymał oddech. Dotychczas dziewczyna znajdowała się w cieniu i zdołał dostrzec tylko jej kaskadę gęstych, ciemnych włosów. Teraz jednak, gdy zadarła głowę, aby na niego spojrzeć, zobaczył duże, równie ciemne oczy i najpełniejsze, najbardziej soczyste usta, jakie widział w swoim życiu. Według norm obowiązujących w towarzystwie jej twarz w kształcie serca nie zaliczała się do pięknych, ale w tej dziewczynie było coś takiego, co kompletnie zapało mu dech.

Brwi dziewczyny, wyraziste, lecz łagodnie wygięte, ściągnęły się.

- Kim pan jest? - zapytała, a w jej głosie nie było śladu zadowolenia na widok Simona.

3

Piszącej te słowa szepnięto do ucha, że w sklepie jubilerskim Moretona widziano Nigela Berbrooke'a podczas kupowania pierścionka z brylantem. Czyż do nowej pani Berbrooke może być jeszcze daleko?

Kronika towarzyska lady Whistledown, 28 kwietnia 1813

Dzisiejsza noc po prostu nie mogłaby być już gorsza, zdecydowała Daphne. Najpierw musiała spędzić wieczór w najciemniejszym kącie sali balowej (co nie było wcale takie łatwe, bo lady Danbury wyraźnie doceniała estetyczne i świetlne walory lichtarzy). Potem, kiedy próbowała uciec, musiała się potknąć o stopę Philipę Featherington, co kazało Philipie, nie zaliczającej się bynajmniej do najbardziej małomównych dziewcząt na balu, zapisać: „Daphne Bridgerton! Nic ci się nie stało?” To oczywiście zwróciło uwagę Nigela, bo jego głowa poderwała się jak wystraszone ptaszysko i natychmiast popędził na drugi koniec sali. Daphne liczyła, że zdoła wyprzedzić Nigeła i wpaść do toalety dla pań, zanim ją dopadnie. Pech chciał, że Nigel zapędził ją w ciasny zaułek korytarza i zaczął wypłakiwać jej swoją miłość.

Już samo to było dostatecznie żenujące, a tu jeszcze okazało się, że ten mężczyzna - ten szatańsko przystojny i niemal irytująco opanowany nieznajomy - stał się naocznym świadkiem całej awantury. Co gorsza, on się śmiał!

Kiedy tak stał i chichotał, Daphne rzucała na niego piorunujące spojrzenia. Nigdy wcześniej go nie -widziała, więc musiał być Londynowi nieznany. Jej matka zadbała o to, aby została ona przedstawiona wszystkim najbardziej atrakcyjnym matrymonialnie dżentelmenom, a przynajmniej, żeby się o niej dowiedzieli. Ten oczywiście mógł być żonaty i dlatego nie trafił na ułożoną przez matkę listę potencjalnych ofiar, lecz Daphne wiedziała instynktownie, że nie mógł przebywać w mieście zbyt długo, bo inaczej cały świat by już o tym szeptał.

Jego twarz po prostu sięgała ideału. Wystarczyła jedna chwila, aby sobie uzmysłowić, że ten mężczyzna wystawiłby na pośmiewisko wszystkie rzeźby Michała Anioła. Jego spojrzenie było niezwykle intensywne - oczy tak błękitne, że dosłownie aż gorzały. Włosy miał bujne i ciemne, a wzrost wysoki - podobnie jak jej bracia, co należało do rzadkości.

Taki mężczyzna mógłby skraść gromadkę rozchichotanych młodych dam braciom Bridgertonom na dobre, myślała z goryczą Daphne.

Dlatego tak bardzo ją to denerwowało, tego nie wiedzia-

ła. Może dlatego, że według niej *mężczyzna* tego pokroju nie zainteresuje się nigdy taką dziewczyną jak ona. Może dlatego, że klęcząc tam na podłodze w jego cudownej obecności, czuła się jak najgorsze czupiradło. Może po prostu dlatego, że on stał tam i śmiał się w głos, jakby oglądał jakieś cyrkowe błazeństwa.

Bez względu na to, co było tego przyczyną, Daphne zapalała irracjonalnym gniewem. Ściągnęła brwi i spytała:

- Kim pan jest?

Simon nie miał bladego pojęcia, dlaczego nie udzielił jej tej informacji w prosty sposób, ale wstąpił w niego jakiś diabeł, który kazał mu powiedzieć:

- Zamierzałem stać się pani wybawicielem, widzę jednak, że nie potrzebuje pani moich usług.

- Och - odparła dziewczyna nieco łagodniejszym tonem. Zaciskała usta, przekrzywiając je trochę, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. - No cóż, w takim razie muszę chyba podziękować. Szkoda tylko, że nie pokazał się pan dziesięć sekund wcześniej. Nie musiałabym go uderzyć.

Simon spojrział w dół na leżącego mężczyznę. Siniak na jego podbródku z każdą chwilą ciemniał coraz bardziej.

- Laffy, och, Laffy. Kocham cię, Laffy - jęczał żałośnie.

- Pani ma imię Laffy, tak? - wymamrotał Simon, przenosząc spojrzenie na jej postać. Rzeczywiście, była to bardzo atrakcyjna istotka, a pod tym kątem jej dekolt wydawał się wręcz dekadenccko głęboki.

Dziewczyna sztyletowała go spojrzeniem, wyraźnie nie doceniając próbki jego subtelnego poczucia humoru - i nie zdając sobie sprawy, że jego demoniczny wzrok syci się tymi elementami jej anatomii, które wcale nie są twarzą.

- Co my z nim zrobimy? - spytała.

- My? - powtórzył.

Jej spojrzenie przewiercało go na wylot.

- Sam pan mówił, że chciał zostać moim wybawicielem.

- W samej rzeczy. - Simon oparł ręce na biodrach i przez chwilę badał sytuację. - Mam go wyciągnąć na dwór?

- Ależ skąd! - zawołała. - Na miłość boską, przecież wciąż pada.

- Moja droga panno Laffy - rzekł Simon, nie zwracając żadnej uwagi na protekcyjny ton swojego głosu - nie sądzi pani, że jej troskliwość jest nieco nie na miejscu? Ten człowiek próbował się na panią rzucić.

- On nie próbował się na mnie rzucić - odparła. - On tylko... Tylko... Ach, no dobrze, chciał się rzucić. Ale nigdy nie wyrządziłby mi większej krzywdy.

Simon nastroszył brwi. Doprawdy, kobiety to całkowicie odmienny rodzaj istot.

- I może pani być tego pewna?

Było widać, że dziewczyna stara się dobierać słowa.

- Nigel jest niezdolny uczynić coś złego - oznajmiła powoli. - Jego wina polega najwyżej na tym, że nieprawidłowo ocenił sytuację.

- Wobec tego ma pani szlachetniejszą duszę niż ja - odrzekł cicho.

Dziewczyna ponownie westchnęła. W jakiś sposób Simon odbierał delikatny i miękki odgłos jej westchnienia całym swoim jestestwem.

- Nigel nie jest złym człowiekiem - mówiła dalej z niewysłowioną powagą. - Po prostu czasami jest mało rozgarnięty i przez omyłkę mógł wziąć moją uprzejmość za coś więcej.

Dziewczyna zaczynała Simonowi imponować. Większość znajomych kobiet już dawno wpadłaby w histerię, natomiast ona - kimkolwiek była - najpierw zapanowała całkowicie nad sytuacją, teraz zaś okazywała niespotykaną wspaniałość. To, że w ogóle mogła tego Nigela bronić, nie mieściło mu się w głowie.

Podniosła się na nogi, strzepując odświętny, zielony jedwab swoich spódnic. Włosy miała ułożone w taki sposób, że jeden gruby pukiel opadał na jej ramię, skracając się ku szczytowi na górze biustu. Simon wiedział, że powinien słuchać jej uważnie - zwyczajem kobiet paplała coś pod nosem - ale wyraźnie nie potrafił oderwać oczu od tego samotnego pękła ciemnych włosów, wijącego się niby jedwab-

na tasiemka na jej łabędziej szyi. Miał szaloną ochotę pokonać dzielący ich dystans i przesunąć po kosmyku włosów dziewczyny swoimi wargami.

Nigdy dotąd nie figlował z niewinną panienką, ale cały świat już dawno uznał go za rozpustnika. Co by to mogło zaszkodzić? Wszak jej nie zgwałci. Tylko jeden pocałunek. Jeden mały całus.

To było kuszące, tak rozkosznie, obłędnie kuszące.

- Proszę pana! Proszę pana!

Z wielką niechęcią przeniósł wzrok w górę na jej twarz. Ta, rzecz jasna, była zachwycająca sama w sobie, ale trudno było sycić wzrok wdziękami dziewczyny, kiedy ta sztyletowała go spojrzeniem.

- Czy pan mnie słuchał?

- Oczywiście - skłamał.

- Wcale nie.

- Nie słuchałem - przyznał.

Z głębi dziewczęcej krtani dobył się dźwięk, który podejrzenie przypominał warknięcie.

- Więc dlaczego - wycedziła przez zęby - powiedział pan, że słuchał?

Wzruszył ramionami.

- Sądziłem, że właśnie to chciała pani usłyszeć.

Simon patrzył z ciekawością i zachwytem, jak dziewczyna nabiera głęboko powietrza w płuca i mruczy coś pod nosem. Nie słyszał poszczególnych słów, wątpił jednakże, by którekolwiek z nich można było uznać za komplement. Wreszcie zabawnie spokojnym głosem oświadczyła:

- Skoro nie zamierza mi pan pomóc, to wołałabym, żeby pan sobie już poszedł.

Simon uznał, że czas przestać zachowywać się jak gbur.

- Przepraszam najmocniej - powiedział. - Oczywiście, zaraz pani pomogę.

Odetchnęła z ulgą i spuściła wzrok na Nigela, który wciąż leżał na podłodze i wydawał głucho jęki. Simon też spojrział w dół i przez kilka sekund oboje stali tak, zapatrzeni w nieprzytomnego mężczyznę. Na koniec dziewczyna stwierdziła:

- Wcale nie uderzyłam go tak mocno.

- Może za dużo wypił.

Zrobiła niepewną minę.

- Tak pan sądzi? Czułam w jego oddechu alkohol, ale nigdy nie widziałam Nigela pijanego.

Simon nie mógł dodać nic nowego do powyższego stwierdzenia, więc zapytał tylko:

- A zatem co chce pani zrobić?

- Chyba możemy go tutaj po prostu zostawić - odparła z wahaniem w swoich ciemnych oczach.

Simon uznał to za świetny pomysł, nie ulegało jednak wątpliwości, że dziewczyna wolałaby potraktować tego idiotę z większą troskliwością. A Bóg mu świadkiem, Simon odczuwał przemożną chęć uszczęśliwienia tej panny.

- Oto, co zrobimy - powiedział szorstkim tonem. Cieszył się, że jego głos zaprzeczał owej dziwacznej czułości, z jaką myślał o tej dziewczynie. - Przyprawdę karetę...

- Ach, to świetnie - przerwała mu. - Naprawdę •wolałabym go tu nie zostawiać. Byłoby to okrutne.

Simon uznał to raczej za wspaniałomyślny gest, biorąc pod uwagę, że ten skończony kretyn omal się na nią nie rzucił. Zachował tę opinię dla siebie, natomiast szerzej rozwinął własny plan:

- Kiedy ja wyjdę, pani zaczeka w bibliotece.

- W bibliotece? Ależ...

- W bibliotece - powtórzył z naciskiem. - I proszę dobrze zamknąć drzwi. Naprawdę chce pani, żeby ktoś ją zastał obok ciała Nigela? Ktoś, kto przypadkiem będzie przechodził tym korytarzem?

- Obok ciała? Boże uchwaj, proszę pana. Nie musi pan mówić tak, jakby Nigel już nie żył.

- A więc zaczeka pani w bibliotece - powtórzył, całkowicie ignorując jej uwagę. - Kiedy wrócę, przeniesiemy tego Nigela do mojej karety.

- A jak to zrobimy?

Popatrzył na nią z ukosa.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Przez chwilę Daphne zapomniała o oddychaniu. Kiedy wreszcie dotarło do niej, że ten rzekomy wybawiciel jest w istocie skończonym impertynentem, Simon pospieszył obdarzyć ją uśmiechem. Jednym z tych chłopięcych uśmiechów, które roztopiały niewieście serca w promieniu dziesięciu mil.

Ku wielkiemu przerażeniu Daphne strasznie trudno było pielęgnować w sercu urazę do mężczyzny, który się tak uśmiecha. Do tej pory sądziła, że była na to uodporniona, dorastała przecież wraz z czwórką braci, a każdy z nich potrafił od urodzenia czarować kobiety.

Ale najwyraźniej nie była uodporniona. Mrowie przechodziło jej po skórze, żołądek robił fikołki, a kolana zamieniały się w roztopione masło.

- Nigel - mruknęła, próbując rozpaczliwie odwrócić uwagę od tego bezimiennego mężczyzny, który stał na wprost niej. - Trzeba zająć się Nigelem. - Przykucnęła i szarpnęła go delikatnie za ramię. - Nigel? Nigel? Musisz się już obudzić, Nigel.

- Daphne - wyjęczał mężczyzna. - Och, Daphne.

Ciemnowłosa głowa nieznajomego obróciła się gwałtownie.

- Daphne? Czy on powiedział Daphne?

Dziewczyna cofnęła się onieśmielona jego stanowczym głosem i dość natarczywym spojrzeniem.

- Tak.

- Pani ma na imię Daphne?

Teraz ona zaczęła się zastanawiać, czy nie ma do czynienia z idiotą.

- Tak.

- Nie Daphne Bridgerton - jęknął.

Skrzywiła się ze zdziwieniem.

- Ta sama.

Simon zachwiał się do tyłu. Poczuł fizyczny ból, gdy jego mózg przetworzył w końcu informację, że dziewczyna ma bujne, kasztanowe włosy. Słynne włosy Bridgertonów. Nie mówiąc już o bridgertońskim nosie, bridgertońskich kościach policzkowych oraz... Do jasnej cholery, to była *siostra* Anthony'ego!

Niech to diabli!

Wśród przyjaciół obowiązują pewne zasady, naprawdę, pewne przykazania, a najważniejsze z nich brzmi: Nie będziesz pożywał siostry przyjaciela swego.

Kiedy tak stał, gapiąc się na nią zapewne z miną bezden- nego głupca, Daphne położyła ręce na biodrach.

- A pan kim jesteś? - spytała.

- Simon Basset - przedstawił się.

- Ten książę? - aż zapiszczała.

Skinał głową z ponurą miną.

- O, Boże.

Simon patrzył z narastającym przerażeniem, jak z twa- rzy dziewczyny ucieka krew.

- Mój Boże, panienko, chyba pani nie zemdleje? - Nie znalazł powodu, dla którego miałyby to zrobić, ale Anthony - jej brat, przypominał sobie Simon - spędził prawie całe po- południe na ostrzeganiu go przed skutkami oddziaływania młodego i nieżonatego księcia na społeczność młodych i nie- zamężnych kobiet. Anthony wykluczy! z niej akurat Daph- ne, która miała być wyjątkiem od reguły, a jednak dziew- czyna zrobiła się biała jak ściana. - Chyba pani nie zemdle- je? - spytał, kiedy jej milczenie zaczęło się przedłużać.

Wyglądała na urażoną, że w ogóle przyszła mu do głowy taka myśl.

- Ależ skąd!

- To świetnie.

- Chodzi tylko o to...

- O co? - rzucił nieufnie.

- No więc... Ostrzegali mnie przed panem - odparła z dość zgrabnym wzruszeniem ramion.

Miarka się przebrała.

- Kto? - spytał.

Spojrzała na niego, jakby był durniem.

- Wszyscy.

- W to, moja d... - Raptem poczuł coś, co podejrzenie przypominało pierwsze oznaki jąkania, wziął zatem głębo- ki oddech, aby uspokoić język. Był mistrzem tego rodzaju

samokontroli. W najgorszym wypadku Daphne pomyśli, że księżę usiłuje nie stracić panowania nad sobą. A biorąc pod uwagę przebieg ich rozmowy, tego rodzaju opinia nie będzie się mogła wydawać przesadnie naciągana.

- Moja droga panno Bridgerton - zaczął równym i opanowanym głosem - trudno mi W to uwierzyć.

Wzruszyła ramionami ponownie, a Simon odniósł przygnębiające wrażenie, że dziewczyna delektuje się jego zgryzotą.

- Niech pan wierzy, w co pan chce - odrzekła pogodnie - ale to było w gazecie.

- *Co takiego?*

- W *Whistledownie* - odparła, jakby to wszystko wyjaśniało.

- W Whistle... czym?

Przez chwilę Daphne spoglądała na Simona tępym wzrokiem. Wreszcie przypomniała sobie, że młody księżę dopiero niedawno wrócił do Londynu.

- O, pan może o tym nie wiedzieć - rzekła po cichu, a jej usta wykrzywiły się złośliwie. - A to dopiero.

Księżę postąpił krok do przodu, przyjmując zdecydowanie agresywną postawę.

- Panno Bridgerton, powinienem chyba panią ostrzec, że jeszcze chwila, a wyduszę z pani tę informację.

- To takie plotkarskie piśmidło - wyjaśniła, cofając się pospiesznie o krok. - Nic wielkiego. Właściwie dosyć głupie, ale wszyscy je czytają.

Simon nic nie odpowiedział, ograniczył się do groźnego nastroszenia lewej brwi.

- W poniedziałkowym wydaniu była wzmianka o pańskim powrocie - dodała szybko.

- A co... - oczy mężczyzny zwęziły się gniewnie - *co dokładnie* - tu zamieniły się w bryłki lodu - było tam napisane?

- Niezbyt dużo, no, *dokładnie* - kluczyła Daphne. Próbowwała zrobić krok do tyłu, ale jej obcasy już przykleiły się do ściany. Jeszcze trochę, a będzie musiała wspinać się na palce. Wściekłość księcia rosła z każdą chwilą i Daphne dochodziła do wniosku, że musi jak najszybciej stąd uciekać,

pozostawiając Hastingsa razem z Nigelem. Pasowali do siebie jak ulał - wariaci, zarówno jeden, jak i drugi!

- Panno Bridgerton. - Ton jego głosu zapowiadał morze nieszczęść.

Daphne postanowiła ulitować się nad księciem, w końcu dopiero od niedawna zaczął bywać w mieście i nie zdążył się jeszcze przystosować do nowego świata według reguł *Whistledowna*. Stwierdziła, że nie ma prawa winić go za ten napad wściekłości na wieść o wzmiance na swój temat. Za pierwszym razem Daphne również była zaskoczona, mimo że właściwie spodziewała się czegoś podobnego po zapoznaniu się z wcześniejszymi edycjami *Whistledowna*. Nim jednak lady Whistledown przystąpiła do obsmarowywania Daphne, emocje dawno opadły.

- Nie musi pan się tak tym przejmować - powiedziała, usiłując nadać swemu głosowi współczujące brzmienie, ale zdaje się, że na próżno. - Ta kobieta napisała po prostu, że jest pan straszliwym rozpustnikiem, czemu pan na pewno nie zaprzeczy, bo już od dawna wiadomo, że mężczyźni tylko *marzą* o tym, żeby ich uważać za rozpustników.

Przerwała, dając mu szansę zaprzeczenia słowom lady Whistledown, udowodnienia, że się myliła.

Ale on z tej szansy nie skorzystał.

- Później moja matka - musiał pan kiedyś nawiązać z nią znajomość przed wyprawą naokoło świata - wszystko potwierdziła.

- Czyżby?

Daphne kiwnęła głową.

- I zabroniła mi pokazywać się kiedykolwiek w pańskim towarzystwie.

- Naprawdę? - zapytał przeciągle.

Dziwna nuta w jego głosie - oraz to maślane spojrzenie, kiedy skupiał na niej swoje oczy - pozbawiły Daphne pewności siebie i odtąd nie miała już siły, żeby zmuszać się do zaciskania powiek.

Nie chciała - w żadnym wypadku - pozwolić, aby się dowiedział, jak bardzo na nią działała.

Wargi księcia rozciągnęły się powoli w uśmiechu.

- Proszę mi pozwolić się upewnić, czy dobrze rozumiem. Matka powiedziała pani, że jestem bardzo złym człowiekiem i pod żadnym pozorem nie może się pani pokazywać razem ze mną.

Pokiwała głową, stropiona.

- Wobec tego, co... - zapytał, urywając nagle dla zwiększenia dramatycznego efektu - co pani matka powiedziała by na temat *tego* błahaego zajścia?

Dziewczyna zamrugła.

- Słucham?

- No cóż, nie licząc Nigela - machnął ręką w stronę nieprzytomnego mężczyzny leżącego na podłodze - nikt w zasadzie nie *widział* pani w moim towarzystwie. A jednak... - Cedził każde słowo do kresu możliwości, za bardzo bowiem intrygowała go gra emocji na jej twarzy, aby z tego zrezygnować. Przeważały oczywiście zmieniające się odcienie złości i konsternacji, ale przez to widok był jeszcze słodszy.

- A jednak... - zgrzytnęła zębami.

Pochylił się do przodu, zmniejszając dystans między nimi do zaledwie kilku cali.

- A jednak - powiedział miękko, wiedząc, że dziewczyna poczuje na twarzy jego oddech - jesteśmy tu sami, absolutnie samiuteńcy.

- Nie licząc Nigela - odparła.

Poświęcił leżącemu mężczyźnie rzut oka, po czym wrócił wygłodniałym spojrzeniem do panny Bridgerton.

- Kicham na Nigela - mruknął. - A pani?

Patrzył, jak z przerażeniem opuszcza wzrok na podłogę. Doskonale wiedziała, że odtrącony konkurent nie pośpieszy na ratunek, jeśli Simon zechce pozwolić sobie na nadmierną poufałość. To nie znaczy, oczywiście, że cokolwiek jej groziło. Była w końcu młodszą siostrą Anthony'ego. Książę musiał pewnie pamiętać o tym, nie podobna, aby fakt ten mógł popaść w zapomnienie.

Simon wiedział, że czas kończyć małą grę. Nie dlatego, że dziewczyna może donieść Anthony'emu o swojej przygo-

dzie. Czuł, że wolałaby zachować ją w sekrecie, by móc przeżuwać ją z uzasadnioną wściekłością, a może nawet - Simon ośmielił się mieć taką nadzieję - z domieszką podniecenia?

Choć wiedział, że należy położyć kres flirtowaniu i zająć się wreszcie kretyńskim wielbicielem Daphne, nie mógł powstrzymać się od jednej końcowej uwagi. Może skłonił go do tego wygląd jej ust, zaciskających się w chwili złości lub też rozchylających się w chwili zaskoczenia. Wiedział tylko jedno, że jest bezsilny wobec swej demonicznej natury, jeśli chodzi o tę dziewczynę.

Tak więc pochylił się ku niej i mrużąc uwodzicielsko oczy, oznajmił:

- Chyba wiem, co by powiedziała pani matka.

Wyglądała na lekko zamroczoną jego nagłym atakiem, zdołała jednak prowokująco wykrztusić:

- Och?

Simon bez pośpiechu skinął głową i przyłożył palec do jej podbródka.

- Powiedziałyby, że powinna się pani strasznie, strasznie bać.

Zapadła idealna cisza, następnie oczy Daphne rozszerzyły się. Usta zacisnęły się, jakby coś w nich trzymała, ramiona lekko się uniosły, po czym...

Po czym parsknęła śmiechem. Prosto w jego twarz.

- O, mój Boże - wysapała. - Och, jakie to śmieszne.

Simonowi wcale nie było wesoło.

- Przepraszam - wysapała między kolejnymi wybuchami śmiechu. - Bardzo przepraszam, ale doprawdy nie powinien pan robić z tego takiego melodramatu. To do pana nie pasuje.

Simona zamurowało. Czuł złość, że to chuchro śmiało z takim lekceważeniem potraktować jego autorytet. Z renomą niebezpiecznego mężczyzny łączyło się wiele korzyści, a jedną z nich miało być prawo straszenia młodych dziewcząt.

- A właściwie, pasuje, muszę przyznać - dodała, nadal bawiąc się jego kosztem. - Wyglądał pan bardzo groźnie. I oczywiście był pan bardzo przystojny. - Kiedy nic nie odpowiadał, zrobiła zdziwioną minę i spytała: - Taki był pański cel, prawda?

Książę wciąż milczał, więc Daphne mówiła dalej:

- Jasne, że tak. Wykazałabym brak taktu, gdybym pana nie poinformowała, że pańskie wysiłki zostałyby uwieńczone powodzeniem w przypadku wszystkich kobiet oprócz mnie.

Nie mógł się powstrzymać od zapytania:

- A to dlaczego?

- Czterej bracia. - Wzruszyła ramionami, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. - Jestem uodporniona na wasze gierki.

- Och?

Poklepała go uspokajająco.

- Ale pańskie zabiegi były nad wyraz zabawne. I szczerze mówiąc, pochlebia mi, że w pańskich oczach zasłużyłam na ową wspaniałą demonstrację książęcej rozwiązłości. - Uśmiechała się szeroko i szczerze. - A może woli pan rozwiązać książęcość?

Simon popadł w zamyślenie, gładząc się po brodzie. Starał się odzyskać nastrój budzącego przerażenie drapieznika.

- Jest pani diablo nieznośną smarkułą, wie pani o tym, panno Bridgerton?

Obdarzyła go najckliwszym z uśmiechów.

- Większość ludzi uważa mnie za wcielenie uprzejmości i galanterii.

- Większość ludzi to głupcy - stwierdził bez osłonek.

Daphne przechyliła głowę w bok, wyraźnie zastanawiając się nad jego słowami. Wreszcie obrzuciła go spojrzeniem i westchnęła.

- Niestety, muszę się z panem zgodzić, choć bardzo mnie to boli.

Simon powstrzymał się od uśmiechu.

- Czy boli panią to, że się ze mną zgadza, czy że większość ludzi to głupcy?

- I jedno, i drugie. - Znowu wyszczerzyła zęby - był to zachwycający uśmiech, który wyczyniał z jego mózgiem niesamowite rzeczy. - Ale głównie to pierwsze.

Simon wybuchnął gromkim śmiechem, a potem ze zdziwieniem uprzytomnił sobie, jak obco zabrzmiały te dźwięki w jego uszach. Należał do ludzi, którzy często się uśmie-

chają, czasami chichoczą, ale już od dawna nie odczuwał takiego spontanicznego przypływu radości.

- Moja droga panno Bridgerton - powiedział, przecierając oczy - jeśli pani jest wcieleniem uprzejmości i galanterii, to świat musi być bardzo niebezpiecznym miejscem do życia.

- Och, naturalnie - odparła. - Przynajmniej, kiedy mówi o tym moja matka.

- Trudno mi pojąć, dlaczego nie zapamiętałem pani matki, ponieważ sprawia wrażenie osoby pozostawiającej niezatarte wspomnienia.

Daphne uniosła brwi.

- Nie pamięta jej pan?

Pokręcił głową.

- Więc pan jej nie zna.

- Czy jest do pani podobna?

- Dziwne pytanie.

- Wcale nie takie dziwne - zaprzeczył, myśląc, że dziewczyna ma całkowitą rację. To było dziwne pytanie i Simon nie miał najmniejszego pojęcia, po co je zadał. Ale ponieważ zadał, a ona je zakwestionowała, dorzucił kilka słów wyjaśnienia: - Przecież wy, Bridgertonowie, podobno wszyscy wyglądacie jednakowo.

Na jej twarzy pojawił się nieznaczny, a dla Simona zagadkowy wyraz dezaprobaty.

- To prawda. Zgadza się, jednakowo. Z wyjątkiem matki. Ona właściwie ma dość jasne włosy i niebieskie oczy. Ciemne włosy przejęliśmy po ojcu. Ale podobno mam jej uśmiech.

Zaległa niezręczna cisza. Daphne przestępowała z nogi na nogę, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć, gdy raptem Nigel pierwszy raz w życiu zrobił coś we właściwym czasie, to jest usiadł prosto.

- Daphne? - wymamrotał, mrużąc oczy, jakby nie mógł patrzeć prosto przed siebie. - Daphne, czy to ty?

- Jezu Chryste, panno Bridgerton - zakrzyknął książe - jak mocno go pani uderzyła?

- Tylko tak, żeby upadł na podłogę, ale nie mocniej, przysięgam! - Zmarszczyła brwi. - Może on się faktycznie upił.

- Och, Daphne - jęczał Nigel.

Książę przykucnął obok niego, po czym zakasłał i zachwiał się do tyłu.

- Pijany? - spytała dziewczyna.

Książę o mały włos nie przewrócił się na plecy.

- Musiał chyba wypić całą butelkę whisky, żeby zebrać się na odwagę i poprosić o pani rękę.

- Kto by przypuszczał, że mogę być taka przerażająca? - mruknęła Daphne, myśląc o tych wszystkich mężczyznach, którzy uważali ją za świetną koleżankę, ale nic ponadto. - Wręcz wspaniale.

Simon patrzył na nią jak na wariatkę.

- Nie będę nawet kwestionował tego stwierdzenia.

Daphne puściła jego uwagę mimo uszu.

- Nie powinniśmy wprowadzić naszego planu w czyn?

Simon położył ręce na biodrach i krytycznym okiem jeszcze raz ocenił sytuację. Nigel usiłował wstać na nogi, ale nie wyglądało na to, przynajmniej zdaniem Simona, by w najbliższej przyszłości zdołał to uczynić. Był chyba jednak wystarczająco trzeźwy, żeby sprawiać kłopot, a z pewnością na tyle trzeźwy, by robić hałas, który zresztą robił. Z dużym skutkiem, trzeba przyznać.

- Och, Daphne. Tak ba'dzo dzie kocham, Daffery.

Wreszcie zdołał uklęknąć i ruszył w stronę dziewczyny, szurając nogami i wymachując rękami. Przypominał podchmielonego nabożnisia w trakcie przygotowań do modlitwy.

- Proszę, wyjdź za mnie, Daphne. Musisz wyjść za mnie.

- Ruszaj, chłopie - warknął Simon, chwytając Nigela za kołnierz. - To się robi żenujące. - Odwrócił się do Daphne. - Będę musiał go zaraz wynieść na dwór. Nie powinien zostać tu na korytarzu. W każdej chwili może zacząć wyć jak krowa, której zebrało się na wymioty...

- Powiedziałaabym raczej, że już zaczął - stwierdziła Daphne.

Simon poczuł, jak kącik jego ust unosi się do góry w niepewnym uśmiechu. Daphne Bridgerton może sobie być panną na wydaniu, a tym samym potencjalną katastrofą

w życiu każdego mężczyzny z jego pozycją, ale z pewnością nie brakuje jej poczucia humoru.

Gdyby była mężczyzną, pewnie nazywałby ją przyjacielem, przyszło mu do głowy w chwili niesamowitej jasności umysłu.

Ale skoro było aż nadto oczywiste - zarówno dla jego wzroku, jak i ciała - że Daphne mężczyzną nie jest, Simon postanowił jak najprędzej skończyć z tą „sytuacją” w interesie ich obojga. Po pierwsze, gdyby ich nakryto, byłby to śmiertelny cios dla reputacji dziewczyny, a po drugie, Simon nie miał do siebie zaufania, że zdoła utrzymać ręce z dala od niej przez dłuższy czas.

Było to irytujące uczucie. Zwłaszcza dla mężczyzny, który tak bardzo cenił sobie samokontrolę. Kontrola była wszystkim. Bez niej nigdy nie postawiłby się ojcu i nie zajął pierwszej lokaty na uniwersytecie. Bez niej nigdy...

Bez niej, myślał ponuro, nadal mówiłby jak idiota.

- Wyciągnę go stąd - oznajmił nagle. - A pani niech wraca do sali balowej.

Daphne nachmurzyła się, rzucając okiem w głąb korytarza, który prowadził do bawialni.

- Jest pan tego pewny? Myślałam, że mam się schować w bibliotece.

- To było wtedy, kiedy zamierzaliśmy go tutaj zostawić, a ja bym sprowadzał karetę. Lecz nie możemy tego zrobić, bo już się obudził.

Kiwnęła potakująco głową, po czym zapytała:

- Na pewno da pan sobie radę? Nigel to bardzo duży mężczyzna.

- Jestem większy.

Odrzuciła głowę do tyłu. Książę, choć szczupły, był mocno zbudowany, miał szerokie barki i muskularne uda. (Daphne wiedziała, że nie wolno jej zwracać uwagi na takie rzeczy, ale doprawdy, czy to jej wina, że najnowsza moda dyktowała takie obciste bryczesy?) Wracając do rzeczy, książę wytwarzał wokół siebie aurę siły, niemal jakiejś drapieżności, czegoś, co przywodziło na myśl trzymaną pod korcem energię i władzę.

Daphne doszła do wniosku, że pozbyła się już wątpliwości, czy księżę zdoła przenieść Nigela.

- Doskonale - powiedziała, skinąwszy głową. - I serdecznie dziękuję. To bardzo uprzejme z pana strony, że mi pan w ten sposób pomaga.

- Rzadko bywam uprzejmy - wymamrotał.

- Naprawdę? - mruknęła, pozwalając sobie na maleńki uśmiech. - To dziwne. Nie potrafiłabym inaczej tego wyrazić. No, ale z drugiej strony, dowiedziałam się, że mężczyźni...

- Wydaje się pani znawczynią mężczyzn - stwierdził z pewną uszczypliwością, a następnie zakasłał i podniósł Nigela na nogi.

Ten natychmiast wyciągnął ręce do Daphne, wołając wśród szlochów jej imię. Simon musiał spleść mu nogi, żeby nie mógł się na nią rzucić.

Daphne odskoczyła do tyłu.

- Tak, no cóż, mam jednak czterech braci. Lepszej edukacji nie umiem sobie wyobrazić.

Nie wiadomo, czy księżę zamierzał jej odpowiedzieć, ponieważ Nigel wybrał akurat tę chwilę na odzyskanie energii (choć bynajmniej nie równowagi) i wyswobodził się z uścisku Simona. Od razu rzucił się na Daphne, bełkocząc coś niezrozumiale.

Gdyby Daphne nie opierała się plecami o ścianę, jak nie upadłaby na podłogę. A tak, z głuchym szczękiem kości uderzyła o mur, aż jej zatkało dech w piersiach.

- Och, na miłość Chrystusa! - zaklął księżę z najwyższą odrazą. Odciągnął Nigela od dziewczyny, odwrócił się do niej i zapytał: - Mogę go trzepnąć?

- Ach, proszę bardzo, śmiało - odparła, starając się odzyskać oddech. Próbowwała być uprzejma i wspaniałomyślna dla swego byłego zalotnika, ale doprawdy, co za dużo, to niezdrowo.

Księżę bąknął coś w rodzaju „świetnie” i wymierzył ogłuszająco silny cios w podbródek Nigela.

Nigel padł jak kłoda.

Daphne obrzuciła leżącego spokojnym wzrokiem.

- Tym razem się chyba nie obudzi.

Simon wyciągnął zaciśniętą pięść.

- Nie.

Daphne zamrugała i wróciła spojrzeniem do góry.

- Dziękuję panu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, zerkając z pogardą na Nigela.

- Co teraz? - Oczy obojga spoczęły na ciele leżącego - tym razem naprawdę mocno nieprzytomnego.

- Wracamy do pierwotnego planu - odparł Simon zwięźle. - Zostawiamy go tutaj, a pani czeka w bibliotece. Wolałbym nie wyciągać go na zewnątrz, dopóki nie będę miał przed drzwiami czekającej karety.

Daphne skinęła głową na zgodę.

- Czy mam panu pomóc go podnieść, czy od razu iść do biblioteki?

Książę milczał przez chwilę. Odchyłał głowę w tę i w tamtą stronę, analizując pozycję Nigela na podłodze.

- Właściwie, niewielka pomoc byłaby mile widziana.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Byłam pewna, że pan odmówi.

Zasłużyła sobie tymi słowami na spojrzenie księcia, wyrażające lekkie rozbawienie i dezaprobatę.

- To dlatego pani zapytała?

- Nie, wcale nie - odrzekła dziewczyna z pewną urazą. - Nie jestem taka głupia, żeby oferować pomoc, skoro nie mam zamiaru jej udzielić. Chciałam tylko zwrócić uwagę, że mężczyźni, z mojego doświadczenia...

- Ma pani zbyt dużo doświadczenia - wymamrotał pod nosem.

- Co?!

- Przepraszam, pani się *wydaje*, że ma zbyt dużo doświadczenia - poprawił się.

Daphne przeszywała go wzrokiem, jej wielkie oczy płonęły czarnym blaskiem.

- To nieprawda, a poza tym, za kogo pan się uważa, żeby tak twierdzić?

- Nie, to też niezupełnie o to chodzi. - Zamyślił się, ignorując całkowicie napastliwy ton dziewczyny. - Raczej, że to ja sądzę, że pani myśli, że ma pani za dużo doświadczenia.

- Hola, panie... Panie... - Jak na cięte repliki, te nie były szczególnie skuteczne, lecz Daphne nie potrafiła zdobyć się na nic więcej. W chwilach gniewu na ogół traciła dar wymowy.

A teraz była bardzo zagniewana.

Simon wzruszył ramionami, najwyraźniej nie poruszało go wściekłe oblicze Daphne.

- Moja droga panno Bridgerton...

- Jeszcze raz tak się pan do mnie zwróci, przysięgam, zaczną krzyczeć.

- Nie, nie zacznie pani - odparł z łobuzerskim uśmiechem. - Na pani krzyk zebrałby się cały tłum, a jeśli sobie pani przypomina, nie chce być pani widziana w moim towarzystwie.

- Jestem gotowa zaryzykować - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Simon założył ręce i oparł się plecami o ścianę.

- Czyżby? - zapytał powoli. - Chciałbym to zobaczyć.

Daphne omal nie pękła ze złości.

- Mniejsza o to. Mniejsza o mnie. Mniejsza o cały dzisiejszy wieczór. Ja wychodzę.

Odwróciła się, ale nim zdążyła postawić choćby jeden krok, usłyszała głos księcia:

- Wydawało mi się, że zamierzała mi pani pomóc.

A bodaj go. Tu ją miał. Powoli obróciła się na pięcie.

- No cóż, owszem. Byłabym zachwycona - oznajmiła z jawnym fałszem w głosie.

- Wie pani - zaczął niewinnie - skoro nie chciała pani mi pomagać, to nie trzeba było...

- Powiedziałam, że pomogę - warknęła.

Simon uśmiechnął się w duchu. Stanowiła taki łatwy cel.

- Oto, co zrobimy - rzekł. - Postawię pani wielbiciela na nogi i zarzucę sobie jego prawe ramię na plecy. Pani przejdzie na drugą stronę i będzie go podpierać.

Daphne postąpiła zgodnie z instrukcją, narzekając pod

nosem na autorytarne zapędy księcia. Ale nie wypowiedziała ani jednej skargi. Było nie było, pominąwszy jego denerwujące maniery, księżę Hastings pomagał jej uniknąć prawdopodobnie gorszącego skandalu.

Gdyby ktoś przyłapał ją w tym korytarzu, znalazłaby się oczywiście w znacznie większych tarapatkach.

- Mam lepszy pomysł - oznajmiła nagle. - Po prostu zostawmy go tutaj.

Głowa księcia obróciła się gwałtownie w jej stronę. Miał taką minę, jakby zamierzał z rozkoszą wyrzucić Daphne przez okno - najlepiej przez to zamknięte.

- Myślałem, że nie chce go pani zostawiać na podłodze. - Wyraźnie dokładał starań, aby powiedzieć to spokojnym tonem.

- Tak było, zanim Nigel nie wbił mnie w ścianę.

- Czy nie mogła pani powiadomić mnie o zmianie poglądów, nim zużytkowałem całą swoją energię na unoszenie go z podłogi?

Daphne oblała się rumieńcem. Było jej nieprzyjemnie, że mężczyźni uważali kobiety za istoty kapryśne i niezdecydowane, a jeszcze bardziej nieprzyjemnie, że akurat potwierdziła ową opinię własnym zachowaniem.

- Doskonale - powiedział Simon, wypuszczając zwyczajnie Nigela z rąk.

Jego nagły upadek omal nie powalił na podłogę również i Daphne. Aż pisnęła zaskoczona, robiąc unik.

- Teraz możemy odejść? - spytał księżę nieznośnie cierpliwym tonem.

Spojrzała w dół na leżącego i niepewnie skinęła głową.

- Chyba jest mu niewygodnie, jak pan sądzi?

Simon popatrzył na dziewczynę. Tylko popatrzył.

- Zależy pani na jego wygodzie? - spytał w końcu.

Najpierw potrząsnęła nerwowo głową, potem kiwnęła, wreszcie znowu zaczęła trząść.

- Może powinnam... Chciałam powiedzieć... Zaraz, chwileczkę. - Przykucnęła i rozplatała Nigelowi nogi, układając go na wznak. - Moim zdaniem nie zasłużył na jazdę do do-

mu w pańskiej karecie - wyjaśniła, poprawiając mu surdut - ale zostawienie go tutaj w tej pozycji byłoby okrucieństwem. No, już skończyłam. - Wstała i podniosła wzrok.

Zdażyła tylko zauważyć, jak księżę znika w głębi korytarza, mamrocząc coś na temat Daphne i na temat kobiet w ogóle oraz coś jeszcze, czego Daphne nie udało się dosłyszeć.

Ale może to i lepiej. Miała poważne wątpliwości, czy byłoby to komplement.

4

W tych dniach Londyn zalewają fale Ambitnych Matek. Na balu u lady Worth w zeszłym tygodniu pisząca te słowa widziała nie mniej niż jedenastu Zdesperowanych Kawalerów. Młodzieńcy kulili się po kątach, aby w końcu czmychnąć z pałacu ze strachu przed depczącymi im po piętach Ambitnymi Matkami.

Trudno precyzyjnie ustalić, która jest najgorsza ze wszystkich, choć pisząca te słowa sądzi, że końcówka zapowiada się łeb w łeb między lady Bridgerton a panią Featherington, przy czym pani. F wygra z lady B. o pierś. Ostatecznie na rynku występują teraz trzy panny Featherington, podczas gdy lady Bridgerton ma zmartwienie tylko z jedną.

Mimo to zaleca się, by wszyscy ludzie przezorni trzymali się jak najdalej od kolejnego wysypu kawalerów, gdy panny Bridgerton E, F, i H dojdą do pełnoletności. Lady B. raczej nie będzie przebierała w środkach, przemierzając salę balową na czele trójki swoich latorośli. Niech nas Bóg ma w swej opiece, jeśli postanowi wdziać trzewiki zakończone metalowymi noskami.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 28 kwietnia 1813

Ta noc po prostu nie mogła być już gorsza, zdecydował Simon. W owym czasie nie dałby temu wiary, ale jego prze-

dziwne spotkanie z Daphne Bridgerton okazało się kulminacyjnym punktem wieczoru. Owszem, odkrył z przerażeniem, pożądał - choć przez moment - młodszą siostrę przyjaciela. Owszem, niezdarne próby uwiedzenia ze strony Nigeła Berbrooke'a obrażały poczucie rozwiążności Simona. Owszem, na koniec Daphne zirytowała go ponad miarę brakiem zdecydowania, czy traktować Nigela jak przestępcę, czy też z troszczyć się o niego, jakby był jej najbliższym przyjacielem.

Ale nic z powyższego - dosłownie nic - nie mogło się równać z męką, którą dopiero miał przeżyć.

Przebiegły plan wślizgnięcia się cichaczem do sali balowej, złożenia wyrazów uszanowania lady Danbury i wymknięcia się bez zwracania czyjejkolwiek uwagi, natychmiast legł w gruzach. Simon nie przeszedł nawet trzech kroków do bawialni, kiedy rozpoznał go dawny kolega z Oksfordu, który ku wielkiej konsternacji Simona niedawno był się ożenił. Małżonka, będąca anielsko czarującą młodą damą, miała niestety wysokie aspiracje towarzyskie i prędko doszła do wniosku, że nie może dopuścić, aby ktokolwiek ją ubiegł w prezentacji towarzystwu nowego księcia. Hastings zaś, choć uważał się za znużonego życiem cynika, zorientował się, że brak mu zuchwałości, by otwarcie urazić żonę swego starego przyjaciela.

Tak więc, dwie godziny później, był już przedstawiony każdej niezamężnej damie na balu, każdej matce każdej niezamężnej damy na balu i co oczywiste każdej starszej siostrze każdej niezamężnej damy na balu. Nie mógł się tylko zdecydować, który zestaw kobiet był najgorszy. Niezamężne damy były śmiertelnie nudne, matki denerwująco ambitne, a siostry - no cóż, siostry były tak chętne, że zaczął się zastanawiać, czy nie trafił przypadkiem do burdelu. Sześć panien czyniło niezwykle znaczące uwagi, dwie wsunęły mu liściki zapraszające go do buduarów, a jedna nawet przebiegła palcami po jego udzie.

Na tym tle Daphne Bridgerton istotnie zaczynała prezentować się całkiem dobrze.

A właśnie, gdzie ona się, u diabła, podziała? Zdaje się, że mignęła mu przed jakąś godziną w otoczeniu swoich potężnych i odstrasających braci. (Nie, żeby Simon uznawał każdego

z nich za odstrasżającego, ale prędko doszedł do wniosku że trzeba być idiotą, by wystąpić przeciw nim jako grupie).

Tak czy owak Simon od tej pory więcej jej nie widział. A swoją drogą była jedyną niezamężną kobietą na balu, której nie został przedstawiony.

Nie martwił się specjalnie tym, że Berbrooke mógł ją dalej niepokoić, kiedy pozostawił ich na korytarzu. Wymierzył Nigelowi solidny cios w szczękę i niewątpliwie pozbawił go przytomności na kilka dobrych minut. Może nawet na dłużej, biorąc pod uwagę ocean alkoholu, który Berbrooke wytrąbił wcześniej. A choć Daphne bezsensownie okazywała miękkie serce swemu niewydarzonemu amantowi, nie będzie aż tak głupia, by pozostawać na korytarzu razem z nim, dopóki się nie ocknie.

Spojrzał przez ramię w róg sali, gdzie zgromadzili się Bridgertonowie. Sprawiali wrażenie, że bawią się jak sztubacy. Braci zagadywało prawie tyle samo młodych kobiet i starych matek co Simona, ale jak zauważył, młode debiutantki nie spędzały nawet połowy tego czasu w towarzystwie Bridgertonów, który poświęciły jemu.

Rzucił im gniewne spojrzenie.

Anthony opierał się leniwie o ścianę. Zauważył minę Hastingsa i z głupim uśmiechem na ustach uniósł kieliszek wina w jego kierunku. Potem przechylił lekko głowę, wskazując wzrokiem na lewo od przyjaciela. Simon odwrócił się w samą porę, by dać się pochwycić kolejnej matce, tej z triem córek ubranych w makabrycznie kwieciste sukienki, pełne plisek i falbanek, przyozdobionych naturalnie mnóstwem koronki.

Pomyślał o Daphne w jej prostej, zielonej sukience. Daphne, z jej żywymi, brązowymi oczami i szerokim uśmiechem...

- Wasza wysokość! - zapiszczała matka. - Wasza wysokość!

Simon zamrugał, żeby wyostrzyć sobie wzrok. Koronkowa rodzina zdołała otoczyć go tak szczelnie, że nie mógł nawet postać Anthony'emu mściwego spojrzenia.

- Wasza wysokość - powtórzyła matka - to wielki zaszczyt móc zawrzeć z panem znajomość.

Simon zdołał skinać sztywno głową. Brakowało mu słów.

Żeński klan tak się tłoczył, że obawiał się nagłej śmierci wskutek uduszenia.

- Przysłała nas Georgiana Huxley - nie ustępowała kobieta. - Powiedziała, że koniecznie muszę przedstawić panu moje córki.

Simon nie pamiętał żadnej Georgiany Huxley, pomyślał jednak, że mógłby ją z rozkoszą udusić.

- Normalnie nie miałabym tyle śmiałości - kontynuowała - ale pański najdroższy, najdroższy papa był moim przyjacielem.

Simon aż zeszywniał.

- To był autentycznie wspaniały człowiek - ciągnęła, a każde jej słowo było niczym gwóźdź wbijany w czaszkę Simona. - Człowiek świadomy swoich obowiązków względem tytułu. Na pewno był wspaniałym ojcem.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odgryzł się Simon.

- Och! - kobieta musiała kilka razy odchrząknąć, nim zdołała dodać: - Rozumiem. Cóż. Mój Boże.

Simon milczał. Miał nadzieję, że jego powściągliwość ją zniechęci i kobieta sobie pójdzie. Do diabła, gdzie się podział Anthony? Samo towarzystwo tych pań, traktujących go niczym rasowego konia rozplodowego, było wystarczająco okropne, a jeszcze wysłuchiwanie tego, jak ta kobieta wychwała pod niebiosa zalety jego ojca, starego księcia...

To było zwyczajnie ponad jego siły.

- Wasza wysokość! Wasza wysokość!

Hastings zmusił się, by wrócić lodowatym spojrzeniem do stojącej przed nim damy, i przekonywał samego siebie, że powinien uzbroić się w cierpliwość. Przecież komplementowała jego ojca tylko dlatego, że jej zdaniem Simon właśnie to chciałby usłyszeć.

- Pragnę jedynie przypomnieć panu - rzekła - że zostaliśmy sobie przedstawieni wiele lat temu, gdy był pan jeszcze lordem Clyvedon.

- Tak - mruknął, rozglądając się za jakąś szczeliną w barykadzie, przez którą mógłby uciec.

- To są moje córki - oznajmiła, wskazując na trzy młode damy. Dwie były dość ładne, trzecią natomiast masko-

wał jeszcze dziecięcy tłuszczyk i pomarańczowa sukienka której sąsiedztwo nie wychodziło na dobre jej cerze. Dziewczyna nie sprawiała wrażenia, że świetnie się bawi.

- Czyż nie są urocze? - ciągnęła matka. - Moja radość i duma. I jak dobrze ułożone.

Simon doznał mdlącego uczucia, że identyczne słowa słyszał podczas kupowania psa.

- Wasza wysokość, pozwalam sobie przedstawić Prudencję, Philipę i Penelopę.

Dziewczęta dygnęły grzecznie, ale żadna nie miała śmiałości spojrzeć mu w oczy.

- W domu mam jeszcze jedną - ciągnęła dama. - Felicjy. Liczy sobie dopiero dziesięć lat, więc nie przyprowadzam jej na takie spotkania.

Simon nie miał pojęcia, dlaczego czuła potrzebę podzielenia się z nim tymi wszystkimi informacjami, ale postarał się nadać swemu głosowi jedynie ton znudzenia (już dawno się przekonał, że jest to najlepszy sposób maskowania irytacji):

- A pani jest?... - zagadnął.

- Och, przepraszam najmocniej. Jestem panią Featherington, ma się rozumieć. Mążzonek zmarł trzy lata temu, ale był najdroższym przyjacielem pańskiego, hm, papy. - Gdy przypomniała sobie reakcję Hastingsa na wspomnienie jego ojca, pod koniec wypowiedzi głos jej trochę się załamał.

Simon kiwnął lekko głową.

- Prudencja znakomicie gra na fortepianie - powiedziała pani Featherington z wymuszonym uśmiechem.

Simon zauważył zboląły wyraz twarzy najstarszej córki i natychmiast postanowił nigdy nie uczyćszczać na wieczorki muzykujące pani Featherington.

- A moja droga Philipa to zdolna akwarelistka.

Philipa rozpromieniła się.

Wówczas w Simona wstąpił jakiś diabeł, który kazał mu zapytać:

- A Penelopa?

Pani Featherington spojrzała panicznie przerażona na

najmłodszą córkę, która wyglądała dość żałośnie. Penelopa nie była zbyt piękna, a wybrana przez matkę toaleta nie tuszowała usterek sylwetki kluskowatej dziewczyny. Trzeba jednak przyznać, że miała całkiem ładne oczy.

- Penelopa? - powtórzyła pani Featherington nieco piskliwym głosem. - Penelopa... Hm... No cóż... to Penelopa! - odparła, wykrzywiając usta w jawnie fałszywym uśmiechu.

Penelopa zrobiła taką minę, jakby chciała dać nurka pod dywan. Simon postanowił, że jeśli będzie musiał zatańczyć, poprosi właśnie ją.

- Pani Featherington - dobiegł ich ostry i władczy głos, który mógł należeć wyłącznie do lady Danbury - czyżby pani pastwiła się nad księciem?

Simon chciał jej odpowiedzieć twierdząco, lecz wspomnienie upokorzenia na twarzy Penelopy Featherington kazało mu wymruczeć pod nosem:

- Ależ skąd.

Lady Danbury zmarszczyła czoło, obracając powoli twarz w jego kierunku.

- Kłamczuch.

Następnie odwróciła się z powrotem do pani Featherington, która tymczasem 'wręcz zzieleniała. Pani Featherington nie odzywała się. Lady Danbury milczała. Wreszcie pani Featherington wymamrotała coś o pilnej wizycie u kuzynki, zgarnęła swoje trzy córki i szybko się oddaliła.

Hastings splótł ręce na piersiach, ale nie mógł ukryć wyrazu rozbawienia na twarzy.

- To nie było zbyt grzeczne z pani strony - stwierdził.

- Ba. Głupi babsztyl, tak samo zresztą jak jej córuchny. Może poza tą małą brzydulą. - Lady Danbury potrząsnęła głową. - Gdyby przystroić ją w inny kolor.

Simon próbował stłumić chichot, ale mu się to nie udało.

- Wcale nie nauczyła się pani pilnować własnego nosa, prawda?

- Wcale. A cóż to by była za zabawa? - uśmiechnęła się. Simon poznał, że zrobiła to wbrew sobie. - A co do ciebie - ciągnęła - jesteś wstrętnym gościem. Należałoby sądzić, że

będziesz miał na tyle ogłady, by do tej pory przywitać się z panią domu.

- Otaczał panią stałe zbyt gęsty tłum admiratorów, bym w ogóle ośmielił się podejść.

- Gładko powiedziane.

Simon nic nie odrzekł, zastanawiał się, jak ma rozumieć jej słowa. Zawsze podejrzewał, że poznała jego tajemnicę, ale nigdy nie wiedział tego na pewno.

- Zbliży się twój przyjaciel Bridgerton - oznajmiła.

Hastings powędrował wzrokiem w kierunku, w którym skinęła głową. Nadszedł Anthony, lecz nie zdążył spędzić nawet pół sekundy w ich towarzystwie, kiedy lady Danbury nazwała go tchórzem.

Anthony aż zamrugał kilka razy.

- Że co, proszę?

- Już dawno mogłeś przyjść i uwolnić przyjaciela od kwartetu pań Featherington.

- Ależ ja się bawiłem jego konfuzją.

- Hmm. - Starsza dama chrząknęła i odeszła bez słowa (bądź kolejnego chrząknięcia).

- Przedziwna matrona - stwierdził Bridgerton. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to ona była tą przekłętą Whistle-down.

- Tą autorką plotkarskich felietonów?

Anthony kiwnął głową i poprowadził Simona w kierunku rogu sali balowej, gdzie czekali jego bracia.

- Zauważyłem, że rozmawiałeś z mnóstwem zacnych młodych dam - powiedział z uśmiechem.

Simon bąknął pod nosem coś sprośnego i raczej mało pochlebnego.

Ale przyjaciel tylko się roześmiał.

- Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem, prawda?

- Męczące jest to stałe przyznawanie ci we wszystkim racji, więc nie każ mi tego robić.

Anthony znowu parsknął śmiechem.

- Za tę uwagę zacznę cię przedstawiać debutantkom osobście.

- Tylko spróbuj - ostrzegł go Simon - a niedługo będziesz umierał bardzo powolną i bolesną śmiercią.

- Szpady czy pistolety? - Anthony wyszczerzył zęby.

- Ach, trucizna. Niezawodna trucizna.

- Ojej. - Anthony zakończył przemarsz na drugi koniec sali balowej i zatrzymał się przed dwoma innymi Bridgertonami. Wszyscy zdecydowanie wyróżniali się swoim kasztanowym owłosieniem, wysokim wzrostem i wspaniałą strukturą kostną. Simon zwrócił uwagę, że jeden z braci miał oczy zielone, a drugi brązowe jak Anthony, lecz poza tym w przyćmionym świetle sali jeden mógł praktycznie uchodzić za drugiego.

- Pamiętasz moich braciszków? - spytał uprzejmie Anthony. - Benedict i Colin. Benedicta na pewno pamiętasz z Eton. To on nie odstępował nas na krok przez pierwsze trzy miesiące swojej nauki.

- Nieprawda! - roześmiał się Benedict.

- W zasadzie nie wiem, czy poznałeś już Colina. Był chyba za młody, żeby wasze drogi gdzieś się skrzyżowały.

- Miło mi cię poznać - rzekł pogodnie Colin.

Simon spostrzegł szelmowskie błyski w zielonych oczach młodzieńca i nie mógł nie zrewanżować się uśmiechem.

- Anthony wyrażał się o tobie tak obraźliwe, że musimy zostać serdecznymi przyjaciółmi - powiedział Colin, uśmiechając się występnie.

Jego brat przewrócił oczami.

- Pewnie już rozumiesz, dlaczego moja matka często powtarza, że Colin jako pierwsze dziecko doprowadzi ją do szaleństwa.

- Właściwie to jestem z tego dumny - bąknął Colin.

- Na szczęście matka mogła odpocząć od jego młodzieńczego wdzięku - mówił dalej Anthony. - Niedawno wrócił z objazdu kontynentu.

- Właśnie dziś - dodał Colin z chłopięcym uśmiechem lekkoducha.

Simon doszedł do wniosku, że chłopak nie może być dużo starszy od Daphne.

- Ja też niedawno wróciłem z wojaży - powiedział.

- Owszem, tylko że podobno twoje objęły cały glob - odparł Colin. - Chciałbym któregoś dnia o nich posłuchać.

- Załatwione - Simon skinął uprzejmie głową.

- Poznałeś już Daphne? - spytał Benedict. - To jedyna z obecnych na tej sali nieodpowiedzialna przedstawicielka rodu Bridgertonów.

Księżę zastanawiał się nad najlepszą odpowiedzią na to pytanie, kiedy Colin parsknął śmiechem i stwierdził:

- Ach, Daphne jest bardzo odpowiedzialna. Nieszczęśliwa, ale odpowiedzialna.

Simon przeniósł wzrok na drugi koniec sali, gdzie Daphne stała obok kobiety, która musiała być jej matką. Dziewczyna, zgodnie z zapowiedzią Colina, miała tak nieszczęśliwą minę, że już bardziej nieszczęśliwej nie można było sobie wyobrazić.

I nagle Simonowi przyszło na myśl, że Daphne to jedna z tych przerażonych młodych dam, wystawianych przez matki na widok publiczny. Sprawiała wrażenie zbyt rozsądnej i prostolinijnej, aby chcieć grać taką rolę, ale oczywiście nie miała wyboru. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat i skoro wciąż nosiła nazwisko Bridgerton, najwyraźniej była jeszcze panną. A ponieważ miała matkę, no cóż, wpadła w pułapkę nie kończącego się pasma prezentacji.

Miała równie zbolełe spojrzenie na skutek tych przeżyć jak niedawno Simon. Ta myśl w jakiś sposób bardzo poprawiła mu humor.

- Jeden z nas powinien ją wybawić - zadumał się Benedict.

- Nie - uśmiechnął się Colin. - Matka trzyma ją tam z Macclesfieldem dopiero dziesięć minut.

- Z Macclesfieldem? - spytał Simon.

- Tym lordem - odparł Benedict. - Synem starego Castleforda.

- Dziesięć minut? - zapytał Anthony. - Biedny Macclesfield.

Księżę spojrział na przyjaciela ze zdziwieniem.

- To nie Daphne daje mu popalić - szybko dodał Anthony - tylko matka wbiła sobie do głowy, żeby, ach...

- Prześladować... - podsunął Benedict.

- Dżentelmena - dokończył Anthony, skinąwszy z wdzięcznością głową w stronę brata. - Potrafi być, ach...

- Bezwzględna - wtrącił Colin.

Anthony uśmiechnął się z przymusem.

- Tak. Święta racja.

Książę spojrział do tyłu na trójkę wymienionych osób. Faktycznie, Daphne miała minę nieszczęśliwą, Macclesfield rozglądał się dookoła sali, szukając zapewne najbliższego wyjścia, a oczy lady Bridgerton błyszcząły taką ambicją, że Simona zdjęła litość dla młodego lorda.

- Musimy ratować Daphne - rzekł Anthony.

- Naprawdę musimy - dodał Colin.

- Oraz Macclesfielda - powiedział Anthony.

- A, naturalnie - włączył się Benedict.

Simon zwrócił jednak uwagę, że żaden z nich nie wkacza do akcji.

- Same słowa, co? - zaśmiał się Colin.

- Jakoś nie widzę, żebyś pędził na ratunek siostrze - odgryzł się Anthony.

- Nie, do cholery. Ale to nie ja mówiłem, że powinniśmy. Ty zaś...

- Co się dzieje, u diabła? - zapytał w końcu Simon.

Wszyscy trzej bracia Bridgertonowie spojrzeli na niego z identyczną miną winowajcy.

- *Powinniśmy* wybawić Daphne - oznajmił Benedict.

- Naprawdę powinniśmy - dodał Anthony.

- Moi bracia są zbyt bojaźliwi - oznajmił drwiącym głosem Colin - i dlatego ci nie powiedzieli, że przeraża ich moja matka.

- Racja - odparł Anthony z bezradnym wzruszeniem ramion.

- Nie da się ukryć - dodał Benedict.

Simon nigdy dotąd nie spotkał się z czymś tak absurdalnym. W końcu to byli bracia Bridgertonowie. Wysocy, przystojni, wysportowani, wszystkie niezamężne kobiety w kraju zastawiały na nich sidła. I tacy mężczyźni byli kompletnie zastraszeni przez słabą kobietę.

Oczywiście, to *jest* ich matka. Simon doszedł do wniosku, że trzeba jednakże wziąć na to poprawkę.

- Jeśli pójde wybawić Daphne - wyjaśnił Anthony - mogę wpaść w szpony matki, a wtedy będę zgubiony.

Simon omal nie parsknął śmiechem. Oczami wyobraźni widział, jak lady Bridgerton ciągnie swego pierworodnego syna wokół sali od jednej niezamężnej damy do drugiej.

- Rozumiesz teraz, dlaczego unikam takich spędów jak zarazy - powiedział z kwaśną miną Anthony. - Jestem pod obrządem z obu stron. Jak nie odnajdą mnie debutantki i ich matki, już *moja własna* przypilnuje, żebym na *nie* trafił.

- Wiesz co! - wykrzyknął Benedict. - A może ty ją wybawisz, Hastings?

Simon zerknął na lady Bridgerton (która w tym momencie ujmowała mocno pod ramię Macclesfielda) i doszedł do wniosku, że woli raczej zostać uznanym za skończonego tchórza.

- Nie byliśmy sobie przedstawieni, więc jestem przekonany, że byłoby to pod każdym względem niestosowne - wymyślił na poczekaniu.

- A ja jestem przekonany, że nie byłoby - odparł Anthony. - Jesteś księciem.

- No to co?

- No to co? - powtórzył przyjaciel. - Matka wybaczy każdą niestosowność, jeśli dzięki temu zdoła uzyskać dla Daphne audiencję u księcia.

- Posłuchajcie - rzekł z zapałem Simon - nie jestem jakimś barankiem ofiarnym, żeby zarzynać mnie na ołtarzu waszej matki.

- Spędziłeś kupę czasu w Afryce, prawda? - wtrącił Colin. Hastings udał, że tego nie usłyszał.

- Poza tym wasza siostra powiedziała...

Wszyscy trzech Bridgertonowie gwałtownie obrócili głowy w jego stronę. Simon w jednej chwili zrozumiał, że się zdradził. A to pech.

- Poznałeś Daphne? - spytał Anthony. Pewien nadmiar uprzejmości w jego głosie zaniepokoił Simona.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć bodaj jednym słów-

kiem, Benedict przysunął się najbliżej, jak tylko mógł i zapytał:

- Czemu o tym nie wspomniałeś?

- Tak - dodał Colin, a jego usta po raz pierwszy tego wieczora miały poważny wygląd. - Czemu?

Simon przenosił wzrok z brata na brata i nagle zrozumiał, dlaczego Daphne musi być jeszcze panną. To wojownicze trio odstraszało wszystkich, może poza tymi najbardziej zdesperowanymi - albo głupimi - kandydatami do jej ręki.

Co by chyba wyjaśniało przypadek Nigela Berbrooke'a.

- "Właściwie - powiedział - wpadłem na nią na korytarzu, kiedy szedłem do sali balowej. Rzuciła się w oczy... - urwał, patrząc ironicznie na Bridgertonów - że należy do waszej rodziny, a więc przedstawiłem się.

Anthony zwrócił się do Benedicta:

- To musiało być wtedy, kiedy tak uciekała przed Berbrooke'em.

Benedict zwrócił się do Colina.

- Co się faktycznie stało z Berbrooke'em? Nie wiesz czasem? Colin wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie poszedł gdzieś pielegnować złamane serce.

Albo *złamaną czaszkę*, pomyślał złośliwie Simon.

- No, to wszystko już mamy wyjaśnione - oznajmił Anthony, tracąc wyniosłą minę starszego brata i przypominając ponownie towarzysza rozpusty i najdroższego przyjaciela.

- Z wyjątkiem jednego - stwierdził podejrzliwym głosem Benedict. - Dlaczego Hastings o tym nie wspomniał?

- Bo nie miałem okazji - odciął się Simon ze złością. - Na wypadek gdybyś nie zauważył, Anthony, masz mnóstwo rodzentwa i trzeba mnóstwa czasu, żeby zostać przedstawionym każdej osobie po kolei.

- Nas jest tylko dwóch - zwrócił uwagę Colin.

- Idę do domu - oświadczył Simon. - Wszyscy trzej zbikowaliście.

Benedict, który sprawiał dotąd wrażenie najbardziej opiekuńczego z braci, wyszczerzył raptem zęby.

- Ty nie masz siostry, co?

- Nie, uchowaj Boże.

- Jeśli kiedyś będziesz miał córkę, to zrozumiesz.

Simon dałby głowę, że nigdy nie będzie miał córki, ale trzymał gębę na kłódkę.

- Mogą być kłopoty - oznajmił Anthony.

- Chociaż Daff jest lepsza od większości dziewcząt - wtrącił Benedict - właściwie nie ma tak wielu konkurentów do ręki.

Simon nie mógł zrozumieć dlaczego.

- Ja tego nie pojmuję - zamyślił się Anthony. - Moim zdaniem to świetna i miła dziewczyna.

Nie czas wspominać, uznał Simon, że mało brakowało, a oparłby ją o ścianę, przylgnął swoimi biodrami do jej i całował jej usta do utraty tchu. Gdyby nie odkrył, że jest panną Bridgerton, to szczerze mówiąc, dokładnie tak by postąpił.

- Daff jest najlepsza - przyznał Benedict.

- Pierwszorzędna dziewczyna - skinął głową Colin. - Chodząca doskonałość.

Zapanowała niezręczna cisza. Przerwał ją Simon:

- No cóż, doskonałość czy nie, nie pójdę tam, żeby ją wybawić, ponieważ wyraźnie mi powiedziała, że wasza matka zabroniła jej pokazywać się w moim towarzystwie.

- Matka to powiedziała? - zdziwił się Colin. - Musisz mieć reputację łotra spod ciemnej gwiazdy.

- W poważnej części niezasłużoną - wymamrotał Simon, nie rozumiejąc, dlaczego niby się broni.

- Wielka szkoda - mruknął Colin. - Miałem nadzieję, że zabierzesz mnie tu i tam.

Simon wyrzucił chłopakowi długą i strasznie rozwiąłą przyszłość.

Pięść Anthony'ego utorowała sobie drogę do pleców Simona i najstarszy z Bridgertonów zaczął popychać przyjaciela ku przodowi.

- Matka na pewno zmieni zdanie, trzeba ją tylko odpowiednio zachęcić. Chodźmy.

Simonowi nie pozostawało nic innego, tylko pójść w stronę Daphne. W przeciwnym razie musiałyby urządzić

burzliwą scenę, a już od dawna wiedział, że urządzenie burzliwych scen nie wychodzi mu zbyt dobrze. Poza tym na miejscu Anthony'ego postąpiłby dokładnie tak samo.

A po wieczorze wśród siostr Featherington i im podobnych spotkanie z Daphne nie wydawało się nawet w połowie tak okropne.

- Mamo! - zawołał radośnie Anthony, kiedy podeszli do wicehrabiny. - Nie widziałem cię przez cały wieczór.

Simon zauważył, że niebieskie oczy lady Bridgerton rozjaśniły się na widok nadchodzącego syna. Ambitna Matka czy nie, lady Bridgerton wyraźnie kochała swoje dzieci.

- Anthony! - zawołała. - Jak miło cię widzieć. Daphne i ja rozmawiamy z lordem Macclesfieldem.

Anthony posłał lordowi Macclesfieldowi wręcz litościwe spojrzenie.

- Tak, widzę.

Simon na chwilę przyciągnął uwagę Daphne i najdelikatniej jak tylko mógł kiwnął głową. Odwzajemniła się jeszcze delikatniejszym ruchem głowy; rezolutna dziewczyna, nie ma co.

.- A kto to jest? - spytała lady Bridgerton, przebiegając oczami po twarzy Simona.

- Nowy księżę Hastings. Na pewno pamiętasz go z okresu mojego pobytu w Eton i w Oksfordzie.

- Oczywiście - powiedziała uprzejmie lady Bridgerton.

Macclesfield, który zachowywał idealne milczenie, wykrywał pierwszą przerwę w rozmowie i wypalił:

- Zdaje się, że widzę ojca.

Anthony popatrzył na młodego lorda wesołym i rozumnym wzrokiem.

- No, to na co czekasz, zmykaj do niego.

Miody lord nie kazał sobie tego powtarzać dwa razy.

- Sądziłam, że nie przepada za ojcem - rzekła lady Bridgerton ze zmieszaną miną.

- Nie przepada - przyznała beczelnie Daphne.

Simon stłumił śmiech. Daphne uniosła brwi, bezgłośnie prowokując go do zajęcia stanowiska.

- No cóż, i tak miał straszną reputację - westchnęła lady Bridgerton.

- To dość częste zjawisko w ostatnim czasie - mruknął Simon.

Daphne wybałuszyła oczy, więc tym razem Simon musiał nastroszyć brwi, bezgłośnie prowokując ją do zajęcia stanowiska.

Oczywiście dziewczyna tego nie zrobiła, natomiast jej matka spojrzała bystro na Simona. Odniósł wrażenie, że zastanawiała się, czy świeżo odziedziczone księstwo młodego Hastingsa rekompensuje jego fatalną reputację.

- Chyba nie miałem okazji poznać pani przed wyjazdem z kraju, lady Bridgerton - powiedział gładko. - Ale bardzo mi przyjemnie poznać panią teraz.

- Mnie też. - Pokazała na Daphne. - Moja córka, Daphne.

Simon ujął okrytą w rękawiczkę dłoń dziewczyny i złożył pedantycznie uprzejmy pocałunek na jej palcach.

- Mam zaszczyt oficjalnie poznać panią, panno Bridgerton.

- Oficjalnie? - zdziwiła się lady Bridgerton.

Daphne otworzyła usta, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Simon szybko wtrącił:

- Już mówiłem pani bratu o naszym *przelotnym* spotkaniu dziś wieczorem.

Głowa lady Bridgerton obróciła się gwałtownie w kierunku córki.

- Przedstawiono cię księciu dziś wieczorem? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Daphne uśmiechnęła się z przymusem.

- Wszak byliśmy zajęte Macclesfieldem. A przedtem lordem Westboroughem. A wcześniej...

- Rozumiem, do czego zmierzasz - wycodziła matka.

Simon zadawał sobie pytanie, czy byłaby to niewybaczalna bezczelność, gdyby teraz parsknął śmiechem.

Następnie lady Bridgerton całą potęgę swego uśmiechu przeniosła na niego - i Simon natychmiast zrozumiał, skąd Daphne ma ten szeroki, ujmujący uśmiech oraz uświadomił sobie, że lady Bridgerton zdecydowała, że jego zły reputacji można nie brać pod uwagę.

Dziwne światła zapaliły się w jej oczach, a głowa zaczęła obracać się tam i z powrotem między nim a córką.

Simon hamował się, żeby nie uciec.

Anthony pochylił się lekko nad nim i szepnął mu do ucha:

- Tak mi przykro.

- Zaraz cię zamorduję - wycodził przez zęby Simon.

Lodowate spojrzenie Daphne świadczyło, że usłyszała ich rozmowę i nie była z niej zadowolona.

Ale lady Bridgerton nie posiadała się ze szczęścia, jej głowę prawdopodobnie już przepełniała wizja wspaniałego ceremoniału ślubnego.

Nagle przymknęła powieki, skupiwszy wzrok za plecami mężczyzn. Miała tak gniewną minę, że Simon, Anthony i Daphne jednocześnie wygięli szyje, aby zobaczyć, co się święci.

Zdecydowanym krokiem maszerowała ku nim pani Featherington, a za nią Prudencja i Philipa. Simon zwrócił uwagę, że nigdzie nie było widać Penelopy.

Nadzwyczajne sytuacje wymagają nadzwyczajnych środków, rozumował szybko.

- Panno Bridgerton - powiedział i odwrócił z impetem głowę, aby spojrzeć Daphne prosto w oczy. - Czy miałyby pani ochotę zatańczyć?

5

Czy byliście wczoraj na balu u lady Danbury? Nie? To wstyd! Minęło was oglądanie największej sensacji sezonu. Wszyscy balowicze, zwłaszcza pisząca te słowa, widzieli na własne oczy, że panna Daphne Bridgerton zawładnęła myślami księcia Hastingsa, który niedawno powrócił był do Anglii.

Możemy jedynie przypuszczać, z jaką ulgą przyjęła to lady Bridgerton. Cóż to będzie za upokorzenie, jeśli panna Daphne Bridgerton pozostanie na półce na kolejny sezon!

Podobnie jak lady Bédgerton - wraz z trzema następnymi córkami na wydaniu. O zgrozo!

Kronika towarzyska lady Whistledown, 30 kwietnia 1813

Daphne w żaden sposób nie mogła odmówić.

Po pierwsze, matka przeszywała ją tym swoim spojrzeniem - jestem-twoją-matką-nie-śmiej-mi-się-przeciwstawiać.

Po drugie, księżę najwyraźniej nie złożył Anthony'emu pełnej relacji o ich spotkaniu w ciemnym korytarzu; robienie z siebie widowiska i odmawianie księciu z pewnością wzbudziłoby niepotrzebne spekulacje.

Poza tym Daphne naprawdę nie miała ochoty na rozmowę z Featheringtonami, do której zapewne by doszło, gdyby natychmiast nie pośpieszyła na parkiet.

A ponadto, właściwie, troszkę jakby *chciała* z księciem zatańczyć.

Naturalnie ten arogant nie dał jej najmniejszej szansy na przyjęcie zaproszenia. Zanim zdołała odpowiedzieć: „Byłoby mi niezmiernie miło” albo zwykle „Tak”, już obejmował ją w talii pośrodku sali.

Orkiestra wydawała wciąż te okropne dźwięki, które zawsze wydaje, ilekroć muzycy przygotowują się do grania, więc zanim w końcu puścili się w tan, musieli trochę poczekać.

- Dzięki Bogu, że pani nie odmówiła - powiedział z ulgą księżę.

- A miałam w ogóle taką możliwość? - Wyszczrzył zęby. Daphne zrewanżowała się nachmurzoną miną. - Nie dano mi również szansy na przyjęcie zaproszenia, o ile pan pamięta.

Uniósł brwi.

- Czy to znaczy, że muszę panią prosić jeszcze raz?

- Nie, ależ skąd - odparła, przewracając oczami. - Byłaby to dziecinada z mojej strony, nie sądzi pan? A ponadto zwrócilibyśmy na siebie uwagę, czego żadne z nas raczej sobie nie życzy.

Simon potrząsnął głową, omiatając Daphne taksującym spojrzeniem. Było to tak, jakby w ciągu jednej sekundy przeanalizował jej osobowość i stwierdził, że dziewczyna

przypadła mu do gustu. Daphne odczuła przez to lekkie zniechęcenie.

W tym momencie orkiestra przestała rozgrzewać się kocią muzyką i uderzyła w pierwsze tony walca.

Simon wydał pomruk niezadowolenia.

- Czy młode damy nadal potrzebują zgody na tańczenie walca?

Daphne przyłapała się na tym, że śmieje się z jego zakłopotania.

- Jak długo pana nie było?

- Sześć lat. Potrzebują?

- Tak.

- A pani je ma? - Groźba zawalenia się jego planu ucieczki wywołała na twarzy Simona grymas bólu.

- Oczywiście.

Porwał ją w objęcia i wcisnął się w tłum wytwornie odzianych par.

- To świetnie.

Zatoczyli pełny krąg dookoła sali balowej, po czym Daphne zapytała:

- Jak dużo szczegółów z naszego spotkania ujawnił pan moim braciom? Widziałam pana wśród nich, jak pan wie.

Simon uśmiechnął się tylko.

- Co pana tak śmieszy? - spytała podejrzliwie.

- Podziwiałem jedynie pani opanowanie.

- Słucham?

Wzruszył lekko ramionami, przekrzywiając głowę w prawo.

- Nie zaliczałem pani do najcierpliwszej z niewiast - odparł - a tymczasem wytrzymała pani pełne trzy i pół minuty, zanim zapytała o treść mojej rozmowy ze swymi braćmi.

Daphne spąsowiała. Prawdę mówiąc, księżę był zbyt znakomitym tancerzem, a ona zanadto rozkoszowała się walcem, aby w ogóle myśleć o rozmowie.

- Ale skoro pani już spytała - litościwie oszczędził jej konieczności poczynienia celnej uwagi - poinformowałem ich tylko, że wpadłem na panią na korytarzu, a dzięki swoistemu kolorytowi rozpoznałem ją jako siostrę Bridgertonów.

- Myśli pan, że uwierzyli?

- Tak. Raczej tak.

- Przecież nie mamy nic do ukrycia.

- Nic a nic.

- Jeśli w tej komedii występuje jakiś ciemny typ, to z pewnością jest nim Nigel.

- Ma się rozumieć.

Przygryzła wargę.

- Sądzi pan, że Nigel wciąż znajduje się na korytarzu?

- Nie mam najmniejszej ochoty tego sprawdzać.

Nastał moment niezręcznej ciszy, po czym Daphne oznajmiła:

- Minęło już trochę czasu, odkąd przebywa pan w Londynie, nieprawdaż? Nigel i ja musimy stanowić niezły widok.

- Pani stanowi piękny widok. On nie.

Komplement księcia wywołał lekki uśmiech na jej twarzy.

- Nie licząc naszej malej przygody, czy ma pan udany wieczór?

Odpowiedź Simona była tak jednoznacznie negatywna, że przed ujęciem jej w słowa właściwie parsknął śmiechem.

- Doprawdy? - zdziwiła się, unosząc brwi z ciekawością. - *To* dopiero interesujące.

- Uznaje pani moje cierpienia za interesujące? Proszę mi przypomnieć, abym nigdy nie prosił pani o pomoc w razie choroby.

- Ach, czyżby? - zadrwiła. - Nie może być aż tak okropny.

- Ależ może, może.

- Na pewno nie tak jak *mój*.

- Istotnie wyglądała pani dość nieszczęśliwie w towarzystwie swojej matki i Macclesfielda.

- Miło, że pan to zauważył - mruknęła.

- Ale i tak sądzę, że *mój* wieczór był gorszy.

Daphne roześmiała się lekko i dźwięcznie, a jej śmiech rozgrzewał Simonowi kości.

- Smutna z nas para - stwierdziła. - Umiemy chyba prowadzić rozmowę o czymś innym niż o swoich nieudanych wieczorach?

Simon milczał.

Daphne nie odzywała się.

- Cóż, nic innego nie przychodzi mi do głowy - powiedział wreszcie.

Dziewczyna znowu się roześmiała, tym razem dużo weselej, a Simon miał okazję ponownie stwierdzić, że jej uśmiech wywiera na nim hipnotyczny efekt.

- Poddaję się - westchnęła. - Co zamieniło pański wieczór w taki koszmar?

- Co czy *któ*?

- Kto? - powtórzyła za Simonem, patrząc na niego z przechyloną głową. - To się robi coraz bardziej interesujące.

- Mógłbym podać dowolną liczbę słów opisujących wszystkich „ktośiów”, których miałem przyjemność dzisiaj poznać, ale wśród nich nie ma przymiotnika „interesujący”.

- Hola, hola - poskarżyła się. - Niechże już pan nie będzie taki niegrzeczny. Przecież widziałam, jak gawędził pan z moimi braćmi.

Skinął szarmancko głową, a kiedy zatoczyli szykowny łuk, lekko przycisnął dziewczynę w talii.

- Najmocniej przepraszam. Moje zniewagi nie dotyczą oczywiście Bridgertonów.

- Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, słowo daję.

Umiejętność Daphne żartowania z kamienną twarzą przyjął z uśmiechem.

- Uszczęśliwianie Bridgertonów to cel mego życia.

- *Takie* oświadczenie może zburzyć pański spokój - stwierdziła karcąco. - Mówiąc całkiem poważnie, jaki jest powód pańskiego zdenerwowania? Skoro pański wieczór toczy się tak niefortunnie od czasu naszego intermedium z Nigelem, to nie zazdroszczę panu.

- Cóż mogę odpowiedzieć - rzekł w zadumie - nie obrażając pani ani jednym słowem?

- Ależ, proszę śmiało - odparła pogodnie. - Obiecuję, że się nie obrażę.

Uśmiechnął się z przekąsem.

- Takie oświadczenie może zburzyć pani spokój.

Lekko się zaczerwieniła. Rumieniec był ledwo widoczny w przyćmionym blasku świec, ale Simon dokładnie ją obserwował. Nie odzywała się, wobec czego dodał:

- Doskonale. Skoro musi pani wiedzieć, zostałem przedstawiony każdej niezamężnej damie na sali balowej.

Z ust Daphne wydobyło się dziwne parsknięcie. W duszę Simona wkradł się niepokój, że dziewczyna śmieje się z niego.

- Zostałem również przedstawiony wszystkim matkom. Zaśmiała się rubasznie. Właściwie zarechotała.

- To nieładnie - poskarżył się. - Śmiać się ze swojego partnera do tańca.

- Bardzo mi przykro - odparła, zaciskając usta, aby powstrzymać uśmiech.

- Nie, nie jest pani przykro.

- Zgoda - przyznała. - Nie jest. Ale tylko dlatego, że od dwóch lat muszę przeżywać ten sam koszmar. Trudno zdobyć się na wielkie współczucie z byle powodu.

- Dlaczego nie znajdzie pani sobie męża, żeby skrócić męczarnie?

Zgromiła go spojrzeniem.

- Pan się oświadcza?

Simon poczuł, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Wiedziałam, że nie. - Zerknęła na niego i niecierpliwie sapnęła. - Ach, na litość boską, może już pan znowu oddychać, wasza wysokość. Ja tylko się droczyłam.

Chciał rzucić ostrą, cierpką i nieskończenie ironiczną uwagę, ale rzeczywistość była taka, że ze strachu przed Daphne nie mógł wykrztusić słowa.

- Wracając do pańskiego pytania - dama musi rozpatrywać każdą nadarzącą się możliwość - ciągnęła głosem łamiącym się bardziej, niż Simon zdążył się do tego przyzwyczaić. - W grę wchodzi oczywiście Nigel. Muszę jednak przyznać, że on nie jest odpowiednim kandydatem.

Simon potrząsnął głową.

- Na początku roku był lord Chalmers.

- Chalmers? - nachmurzył się Simon. - Przecież on jest...

- Po sześćdziesiątce? Tak. A skoro pewnego dnia będę chciała mieć dzieci, więc wydawało mi się...

- Niektórzy mężczyźni w tym wieku mogą jeszcze płodzić bachory - zauważył Simon.

- Wolałabym nie ryzykować - odparła. - Poza tym... - Wzdrygnęła się lekko, a po jej twarzy przebiegł cień odrazy. - Nie zależało mi szczególnie, aby zachodzić w ciążę właśnie z nim.

Ku swojej irytacji oczami wyobraźni zobaczył Daphne w łóżku z podstarzałym Chałmersem. Był to widok obrzydliwy i Simon omal nie dostał ataku wściekłości. Na kogo się złościł? Tego nie wiedział; może na samego siebie, że w ogóle zawraca sobie głowę imaginowaniem takich okropieństw, ale...

- Przed lordem Chałmersem - ciągnęła Daphne, przerywając na szczęście bardzo nieprzyjemny tok myślowy księcia - byli dwaj inni, obaj równie odrażający.

Simon popatrzył na nią z troską.

- Czy chce pani w ogóle zawrzeć związek małżeński?

- No, oczywiście - odparła z wyrazem zaskoczenia na twarzy. - Jak chyba wszyscy.

- Ja nie.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Tak się panu tylko wydaje. Wszystkim mężczyznom wydaje się, że nie chcą. Ale pan się ożeni.

- Nie - odrzekł stanowczo. - Nigdy się nie ożenię.

Spojrzała na niego uważnie. Ton głosu księcia świadczył o tym, że wcale nie żartuje.

- A pański tytuł?

Wzruszył ramionami.

- Co tu ma do rzeczy tytuł?

- Jeśli pan się nie ożeni i nie będzie miał następcy, to tytuł wygaśnie. Albo przejdzie na jakiegoś wstrętnego kuzyna.

Słyszając te słowa, aż unióśł brwi z rozbawieniem.

- A skąd pani wie, że ja mam wstrętnych kuzynów?

- Wszyscy kuzyni w kolejce do tytułu to wstrętne typy. - Zadarła zawadiacko głowę. - Przynajmniej zdaniem aktualnych posiadaczy tytułu.

- Wywnioskowała to pani, opierając się na swojej gruntownej znajomości mężczyzn? - spytał złośliwie.

Posłała mu obezwładniająco wyniosły uśmiech.

- Oczywiście.

Simon milczał przez chwilę, po czym spytał:

- Czy to warto?

Wyglądała na oszołomioną nagłą zmianą tematu.

- Czy to warte - czego?

Puścił jej rękę i wskazał na tłum.

- Tego. Nieskończonego ciągu przyjęć. Towarzystwa matki depreczającej pani po piętach.

Zachichotała, zdziwiona.

- Wątpię, czy doceniłaby tę metaforę. - Zamilkła, kierując w przestrzeń nieobecne spojrzenie, po czym oznajmiła:

- Ależ tak, sądzę, że warto. Musi być warto.

Otrząsnęła się i znowu patrzyła na niego przytomnym wzrokiem. Czy miała rozczulająco szczere.

- Chcę mieć męża. Chcę mieć rodzinę. Nie jest to wcale takie głupie, kiedy się nad tym zastanowić. Jestem czwarta wśród ośmiorga dzieci. Znam tylko liczne rodziny. Nie wiedziałabym, jak istnieć poza taką rodziną.

Simon odnalazł spojrzenie Daphne, wpatrywał się w nią natarczywym i rozpalonym wzrokiem. W jego umyśle rozległ się dzwonek alarmowy. Pragnął jej. Pragnął jej tak nieprzytomnie, że mało nie wyskoczył z ubrania, ale nigdy, prze-nigdy, nie posunie się do tego, aby jej dotknąć. Ponieważ to by się równało zniszczeniu wszystkich co do jednego marzeń tej dziewczyny. Czy był rozpustnikiem, czy nie, Simon wątpił, czy mógłby żyć dalej ze świadomością, że tak postąpił.

Nigdy się nie ożeni, nigdy nie będzie miał dzieci, a ona nie oczekiwała od życia niczego innego.

Być może rozkoszuje się jej towarzystwem; być może nie potrafi go sobie odmówić. Ale musi pozostawić ją nietkniętą dla innego mężczyzny.

- Wasz?, wysokość? - szepnęła. Kiedy zamrugał oczami, Daphne uśmiechnęła się i powiedziała: - Pan bujał w obłokach.

Uprzejmie pochylił głowę.

- Rozmyślałem tylko nad pani słowami.

- I spotkały się Z pańską aprobata?

- Właściwie nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawiałem z osobą mającą tyle zdrowego rozsądku - odrzekł i dodał: - Dobrze wiedzieć, czego pani oczekuje od życia.

- A pan wie, czego od niego oczekuje?

Och, jak na to odpowiedzieć. Było kilka rzeczy, których nie mógł wymienić. Ale tak łatwo rozmawiało się z tą dziewczyną. Miała w sobie coś, co koiło duszę Simona, nawet jeśli jego ciało wibrowało z pożądania. Bogiem a prawdą, nie powinni prowadzić równie szczerej rozmowy po tak krótkim okresie znajomości, ale w jakiś sposób wydawało się to całkiem naturalne.

-W młodości powziąłem kilka ważnych decyzji - powiedział w końcu. - Staram się żyć zgodnie z tymi zobowiązaniami.

Patrzyła na niego z jawną ciekawością, ale od dalszego wypytywania księcia powstrzymały ją dobre maniery.

- Mój Boże - westchnęła z nieco wymuszonym uśmiechem - jacy zrobiliśmy się poważni. A ja myślałam, że tylko podyskutujemy, kto z nas ma dzisiaj gorszy wieczór.

Oboje znajdowali się w pułapce, uświadomił sobie Simon. W pułapce konwenansów i oczekiwań swojej warstwy społecznej.

I w tym momencie przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Niezwykły, dziki i przerażająco genialny pomysł: Zapewne również niebezpieczny, bo skazałby go na przebywanie w towarzystwie Daphne przez dłuższy czas, przez co znajdowałby się w stanie permanentnie niezaspokojonego pożądania. Jednakże Simon wysoko oceniał własną samokontrolę i był pewien, że zdoła utrzymać na wodzy swoje najniższe instynkty.

- Czy chciałaby pani chwilę odpocząć? - spytał nagle.

- Odpocząć? - powtórzyła oszołomiona, rozglądając się z boku na bok w czasie kręcenia kolejnego piruetu. - Od tego?

- Niedokładnie. To będzie pani musiała znosić dalej. Mam na myśli raczej odpoczynek od pani matki.

Daphne stłumiła w sobie objawy zdziwienia.

- Chce pan usunąć moją matkę z wiru życia towarzyskiego? Czy to nie przesada?

- Nie mówię o usunięciu pani matki. Właściwie chodzi mi o panią.

Daphne potknęła się o swoją stopę, a później, po odzyskaniu równowagi, o jego.

- Co proszę?

- Miałem nadzieję całkowicie ignorować londyńskie towarzystwo - wyjaśnił - ale widzę, że to może się okazać niewykonalne.

- Ponieważ raptem nabrał pan smaku do ratafii i rozcieńczonej lemoniady? - zażartowała.

- Nie - odrzekł, lekceważąc sarkazm jej słów - ponieważ odkryłem, że w czasie mojej nieobecności połowa mych przyjaciół z uniwersytetu ożeniła się, a ich połowice wydają się opętane urządzeniem wystawnych przyjęć...

- Na które pana zapraszają?

Skinął ponuro głową.

Daphne przysunęła się bliżej, jak gdyby miała wyznać mu wielką tajemnicę.

- Pan jest księciem - szepnęła. - Pan może odmówić.

Patrzyła z fascynacją, jak zaciskają mu się szczęki.

- Ci mężczyźni - odparł - ich mężowie... Należą do moich przyjaciół.

Daphne czuła, że jej wargi układają się w spontaniczny uśmiech.

- I nie chce pan ranić uczuć ich małżonek.

Simon zasępił się. Był wyraźnie niezadowolony z takiego komplementu.

- No cóż, a ja będę - powiedziała figlarnie. - Mimo wszystko może i jest pan miłym człowiekiem.

- Chyba nie jestem zbyt miły - zaśmiał się.

- Możliwe, ale okrutnym też raczej nie.

Walc dobiegł końca, Simon wziął Daphne pod rękę i poprowadził na skraj sali balowej. Taniec przeniósł ich na przeciwną stronę bawialni w stosunku do miejsca pobytu rodziny Daphne, tak że wracając powoli do Bridgertonów, mieli czas na kontynuację rozmowy.

- Starałem się powiedzieć - odezwał się Simon - dopóki

pani bardzo zręcznie nie zmieniła tematu, że będę musiał uczestniczyć w kilku spotkaniach towarzyskich w Londynie.

- Los niewiele lepszy od śmierci.

Zignorował jej uwagę.

- Pani, jak sędzę, również musi w nich uczestniczyć.

Poświęciła mu jedno monarsze skinienie głowy.

- Jest sposób, abym mógł uniknąć awansów Featheringtonów i im podobnych, a jednocześnie aby pani mogła oszczędzić matrymonialnych wysiłków swojej matce.

Spojrzała na niego badawczo.

- Proszę mówić dalej.

- Naważemy... - pochylił się do przodu, hipnotyzując ją wzrokiem —... romans.

Daphne nic nie odpowiedziała. Absolutnie nic. Po prostu gapiła się na niego, jak gdyby nie mogła się zdecydować, czy księżę jest najwulgarniejszym człowiekiem pod słońcem, czy po prostu zwariował.

- To nie będzie romans prawdziwy - dodał niecierpliwie. - Dobry Boże, za kogo mnie pani uważa?

- Cóż, ostrzegano mnie przed pańską reputacją. I pan sam jeszcze niedawno próbował nastraszyć mnie swoimi bezecnymi sztuczkami.

- Niczego takiego nie robiłem.

- Jak to nie? - Pogładziła go po ramieniu. - Ale ja panu wybaczam. Jestem pewna, że nie mógł się pan powstrzymać.

Spojrzał na nią z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Nie pamiętam, by jakakolwiek kobieta wcześniej okazywała mi taką wielkoduszność.

Wzruszyła ramionami.

- To już zapewne należy do przeszłości.

- Wie pani co? Kiedyś myślałem, że to bracia odstraszyli wszystkich konkurentów do pani ręki, ale teraz zastanawiam się, czy to wszystko nie była pani robota?

Ku jego zdziwieniu, Daphne jedynie się roześmiała.

- Nie - odparła. - Nie wyszłam za mąż, bo wszyscy widzą we mnie tylko koleżankę. Nikt nigdy nie zainteresował się mną z powodów romantycznych. - Uśmiechnęła się. - Poza Nigelem.

Simon przez kilka chwil zastanawiał się nad jej słowami, dochodząc do wniosku, że dziewczyna odniosłaby jeszcze większą korzyść z realizacji jego planu, niż pierwotnie myślał.

- Proszę posłuchać - powiedział - i to bez przerywania mi, bo już prawie wróciliśmy do pani rodziny, a Anthony zaraz ruszy chyba w naszą stronę.

Zerknęli na prawo. Anthony znajdował się wciąż w potrzasku rozmowy z Featheringtonami. Nie miał zbyt zadowolonej miny.

- Oto mój plan - mówił dalej Simon cichym i natężonym głosem. - Będziemy udawali, że zaangażowaliśmy się emocjonalnie. Liczba podrzucanych w moim kierunku debiutantek spadnie, gdyż będzie powszechnie wiadomo, że jestem już zajęty.

- Nie, nie będzie wiadomo - odrzekła. - Nie uwierzą, że jest pan zajęty, dopóki nie stanie pan przed biskupem, składając stosowne przysięgi.

Na samą myśl o tym Simonowi zrobiło się niedobrze.

- Nonsens - zaprzeczył. - To może trochę potrwać, ale głowę daję, że w końcu zdołam towarzystwo przekonać, że nie jestem niczym kandydatem na męża.

- Tylko moim - zauważyła Daphne.

- Tylko pani - przyznał - ale my będziemy wiedzieli, że to nieprawda.

- Oczywiście - mruknęła. - Szczerze mówiąc, nie wierzę w powodzenie pańskiego planu, ale skoro jest pan przekonany...

- Jestem.

- No dobrze, a co ja z tego będę miała?

- Po pierwsze, matka przestanie panią ciągać od jednego mężczyzny do drugiego, jak dojdzie do wniosku, że zdobyła pani moje zainteresowanie.

- To dość zrozumiałe z pańskiej strony - zadumała się - ale prawdziwe.

Simon puścił jej kpinę mimo uszu.

- Po drugie, mężczyźni zawsze bardziej interesują się kobietą, jeśli myślą, że inni też się nią interesują.

- To znaczy?

- To znaczy, po prostu, daruje pani moją *zarozumiałość* - tu posłał Daphne szydercze spojrzenie, aby pokazać, iż nie przeoczył jej wcześniejszej kpiny - że jeśli cały świat pomyśli, że zamierzam uczynić panią moją księżną, ci wszyscy mężczyźni, którzy widzą w pani tylko uprzejmą koleżankę, zaczną postrzegać ją w nowym świetle.

Zacisnęła usta.

- To znaczy, że kiedy już mnie pan porzuci, będę miała tabuny kandydatów do ręki na zawołanie?

- Ach, pozwolę pani być tą stroną, która porzuciła - oświadczył kurtuazyjnie.

Zwrócił uwagę, że nie sprawiła sobie kłopotu, aby mu podziękować.

- Mimo wszystko sędzę, że odniosę więcej korzyści z tego układu niż pan - stwierdziła.

Lekko ścisnął ją za ramię.

- A więc zgadza się pani?

Daphne spojrzała na panią Featherington, przypominającą wygłodniałego sępa, a potem na swego brata, który sprawiał wrażenie, jakby dławił się kością. Widziała już podobnie wyglądające twarze dziesiątki razy - z wyjątkiem u swojej matki oraz u pewnego niefortunnego konkurenta do jej ręki.

- Tak - odparła stanowczym głosem. - Tak, zgadzam się.

- Jak przypuszczasz, co ich tak długo zatrzymuje? - Violetta Bridgerton pociągnęła swojego najstarszego syna za rękaw. Nie mogła oderwać oczu od córki, która najwyraźniej całkowicie zawładnęła myślami księcia Hastingsa - bawiącego dopiero od tygodnia w Londynie, a już okrzykniętego najlepszą partią sezonu.

- Nie wiem - odrzekł Anthony, z wdzięcznością odprowadzając wzrokiem plecy pań Featherington, które oddalały się do swojej następnej ofiary. - Ale mam wrażenie, jakby minęło kilka godzin.

- Myślisz, że mu się podoba? - zapytała z przejęciem Violetta. - Myślisz, że nasza Daphne naprawdę ma szansę na zostanie księżną?

Oczy Anthony'ego napełniły się jednocześnie wyrazem zniecierpliwienia i niedowierzania.

- Mamo, mówiłaś, że Daphne ma się nie pokazywać razem z nim, a teraz myślisz o małżeństwie?

- Trochę się pośpieszyłam - odparła wicehrabina z wesołym machnięciem ręki. - Ten człowiek najwyraźniej odznacza się wyszukaną elegancją oraz gustem. A skąd wiesz, jeśli mogę zapytać, co powiedziałam Daphne?

- Sama mi mówiła, ma się rozumieć - skłamała.

- Hmm. No i dobrze, na pewno Portia Featherington długo nie zapomni dzisiejszego wieczoru.

Anthony wytrzeszczył oczy.

- Chcesz wydać Daff za męża, by mogła być szczęśliwą żoną i matką, czy tylko próbujesz zatriumfować nad panią Featherington przy ołtarzu?

- To pierwsze, oczywiście - zirytowała się Violetta. - Czuję się dotknięta tym, że w ogóle mogłeś myśleć inaczej. - Oderwała wzrok od Daphne i księcia w samą porę, aby zdążyć zlokalizować Portię Featherington i jej córki. - Ale nie będę miała nic przeciwko temu, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy uświadomi sobie, że to *Daphne* zrobiła najlepszą partię sezonu.

- Mamo, jesteś beznadziejna.

- Bynajmniej. Bezwstydna, zgoda, ale wcale nie beznadziejna.

Anthony potrząsnął tylko głową i bąknął coś pod nosem.

- Nieładnie tak mamrotać - rzuciła Violetta, by zdenerwować syna. Po czym odnalazła wzrokiem Daphne i księcia. - O, idą już. Anthony, zachowuj się. Daphne! Wasza wysokość! - Urwała, czekając, aż znajdą się obok niej. - Ufam, że mieliście udany taniec.

- Znakomity - mruknął Simon. - Pani córka jest równie zwinna, jak urocza.

Anthony zakasłał.

Simon zlekceważył reakcję przyjaciela.

- Mam nadzieję, że już niedługo znowu będziemy mieli okazję potańczyć ze sobą.

Violetta skinęła twierdząco głową.

- Och, jestem pewna, że Daphne byłaby *szczęśliwa*. - Kiedy ta nie odpowiedziała z możliwie największym pośpiechem, matka dodała stanowczo: - Prawda, Daphne?

- Naturalnie - odparła z powagą córka.

- Na pewno pani matka nie będzie tak lekkomyślna, aby zezwolić mi na drugiego walca - powiedział Simon z miną absolutnie dobrodusznego księcia. - Mam jednak nadzieję, że zezwoli nam na spacer po sali balowej.

- Przed chwilą wróciliście ze spaceru po sali balowej - zauważył Anthony.

Simon ponownie go zignorował.

- Przez cały czas, oczywiście - rzekł do wicehrabiny - będziemy w zasięgu pani wzroku.

Wachlarz z lawendowego jedwabiu w dłoni Violetty gwałtownie zatrzepotał.

- Byłabym zachwycona. To znaczy, Daphne byłaby zachwycona. Prawda, Daphne?

Daphne była chodzącą niewinnością.

- Och, byłabym zachwycona.

- A ja - wtrącił Anthony - chętnie zażyłbym dawkę laudanum, bo najwyraźniej dostałem gorączki. Co tu się, u licha, dzieje?

- Anthony! - wykrzyknęła Violetta, odwracając się szybko do księcia. - Proszę nie zwracać na niego uwagi.

- Ach, nigdy tego nie robię - odparł uprzejmie Simon.

- Daphne, z przyjemnością zagram rolę twojej przyzwoitki - rzeki surowo Anthony.

- Doprawdy, Anthony - wtrąciła Violetta - nie będą potrzebowali żadnej przyzwoitki, skoro pozostaną w sali balowej.

- Och, nalegam.

- Idźcie już - powiedziała Violetta do Daphne i Simona, machając na nich ręką. - Anthony zaraz do was dołączy.

Ten chciał pobiec za nimi natychmiast, ale Violetta chwyciła go za nadgarstek. I to mocno.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - syknęła.

- Chronię moją siostrę!

- Przed księciem? Nie może być aż tak zepsuty. Właściwie księżę przypomina mi ciebie.

Anthony aż zajęczał.

- W takim razie Daff zdecydowanie potrzebuje mojej ochrony.

Violetta klepnęła go w ramię.

- Nie bądź taki nadopiekuńczy. Jak spróbuje porwać ją na balkon, obiecuję, że zezwolę ci skoczyć jej na ratunek. Dopóki jednak to nieprawdopodobne zdarzenie nie nastąpi, pozwól, proszę, swojej siostrze na moment chwały.

Anthony spiorunował wzrokiem plecy Simona.

- Jutro go zamorduję.

- Boże mój! - Wicehrabina potrząsnęła głową. - Nie miałam bladego pojęcia, że potrafisz być tak przewrażliwiony. Można by sądzić, że jako twoja matka powinnam o tym wiedzieć, zwłaszcza że jesteś moim pierworodnym synem i znam cię najdłużej z moich dzieci, ale...

- Czy to Colin? - przerwał matce Anthony zduszonym głosem.

Violetta aż zamrugła, po czym spojrzała z ukosa.

- No tak, to on. Miło, że wrócił wcześniej. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy go przed godziną zobaczyłam. Faktycznie...

- Lepiej pójdę do niego - rzucił Anthony. - Wygląda na osamotnionego. Do widzenia, mamó.

Violetta patrzyła, jak Anthony oddala się, uciekając zapewne przed jej skrzekliwym wykładem. - Głuptas - mruknęła do siebie. Ani jedno z jej dzieci nie wydawało się odporne na jej sztuczki. Wystarczyło zacząć paplać o niczym konkretnym i w okamgnieniu mogła się od każdego z nich uwolnić.

Westchnęła z zadowoleniem i zaczęła ponownie obserwować córkę. Obecnie Daphne znajdowała się po drugiej stronie bawialni, jej dłoń zaś spoczywała wygodnie w zagięciu łokcia księcia. Tworzyli przepiękną parę.

Tak, Daphne byłaby wspaniałą księżną, myślała Violetta, a jej oczy robiły się coraz bardziej zamglone.

Następnie na krótko przeskoczyła spojrzeniem ku An-

thony'emu, który znajdował się w tym momencie tam, gdzie chciała jego matka - to znaczy bardzo daleko od niej. Pozwoliła sobie na sekretny uśmiezek. Tak łatwo było dziećmi manipulować.

Po chwili jej uśmiech przerodził się w groźny grymas. Zobaczyła, że Daphne idzie z powrotem w jej kierunku - pod rękę z innym mężczyzną. Oczy Violetty natychmiast zaczęły przeczesywać salę balową w poszukiwaniu księcia.

Tam do licha, co on, u diabła, wyprawia - tańczy z Penelopą Featherington?

6

Piszącej te słowa doniesiono, że wczoraj wieczorem księżę Hastings wspomniał nie mniej niż sześć razy, że nie ma żadnych planów małżeńskich. Jeśli jego zamiarem było zniechęcenie Ambitnych Matek, popełnił niewybaczalny błąd w ocenie sytuacji. One po prostu uznają jego deklarację za największe wyzwanie.

A tak na marginesie: ciekawe, że całe pół tuzina antymatrymonialnych deklaracji zostało złożonych przez księcia, nim jeszcze nawiązał on znajomość z prześliczną i rezolutną panną (Daphne) Bridgerton.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 30 kwietnia 1813

Popołudnie następnego dnia zastało Simona na frontowych stopniach domu Daphne. Jedną ręką stukał mosiężną kołatką do drzwi, drugą tulił do piersi wielki bukiet nieprzyzwoicie drogich tulipanów. Nie przewidział, że ta mała intryga może wymagać jego zaangażowania przy świetle dziennym, ale podczas spaceru wokół sali balowej poprzedniego wieczora Daphne roztropnie zauważyła, że jeśli Simon nazajutrz jej nie odwiedzi, to nikt naprawdę nie uwierzy - a już najmniej jej matka - że jest zainteresowany.

Simon uznał trafność jej argumentów, przyznając, że Daphne niemal na pewno posiadała głębszą wiedzę w tym zakresie etykiety aniżeli on. Zgodnie z poczuciem obowiązku zakupił kwiaty i powłókł się przez Grosvenor Square do Bridgerton House. Nigdy przedtem nie zalecał się do kobiety szanowanej, więc ten ceremoniał był mu obcy.

Lokaj otworzył drzwi prawie natychmiast. Simon podał mu swój bilecik wizytowy. Lokaj, wysoki i chudy mężczyzna z sokolim nosem, przyglądał się wizytówce najwyżej przez ćwierć sekundy, po czym skinął głową i mruknął:

- Proszę tędy, wasza wysokość.

Najwyraźniej spodziewają się mnie, pomyślał z ironią Simon.

Niespodzianką okazało się coś innego - widok, który ujrzał, gdy wprowadzono go do salonu Bridgertonów.

Daphne, zjawisko w srebrzysto-błękitnym jedwabiu, zajmowała brzeg otomany lady Bridgerton pokrytej zielonym adamaszkiem, a jej twarz zdobił jeszcze jeden z tych promiennych, bardzo promiennych uśmiechów.

To mógłby być piękny widok, gdyby Daphne nie otaczało co najmniej pół tuzina mężczyzn, z których jeden dosłownie klęczał na kolanie, a w jego ustach szalała nawałnica poezji.

Sądząc z kwiecistego stylu recytacji, Simon miał pełne prawo oczekiwać, że za chwilę w ustach tego durnia zakwitnie krzew różany.

Cała scena, zdecydował, była nad wyraz nieprzyjemna.

Skupił wzrok na Daphne, która kierowała swój wspaniały uśmiech do bufona deklamującego peany, i czekał, aż dziewczyna da znak, że zauważyła jego przybycie.

Nie dała.

Simon opuścił wzrok na swoją pustą dłoń i zauważył, że zaciska się w pięść. Powoli omiótł spojrzeniem cały pokój, nie mogąc się zdecydować, na twarzy którego z tych fagaśów zrobić z niej użytek.

Daphne znowu się uśmiechnęła, i znowu nie do niego.

Tego poety idioty. Koniecznie na twarzy tego poety idioty. Simon przechylił głowę nieco w bok, badając wzrokiem twarz młodego amanta. Czy jego pięść będzie pasowała lepiej

do prawego czy raczej do lewego oka? Nie, to byłoby zbyt agresywne. Może odpowiedniejszy byłby hak w podbródek? W najgorszym wypadku pomógłby się natrętowi zamknąć.

- Ten napisałem wczoraj na pani cześć - oznajmił uroczyście poeta.

Simon wydal jęk. W ostatnim wierszu rozpoznał całkiem niezłą parafrazę jakiegoś Szekspirowskiego sonetu, ale dzieło oryginalne było ponad jego siły.

- Wasza wysokość!

Simon podniósł wzrok i zrozumiał, że Daphne zauważyła wreszcie jego obecność.

Majestatycznie skinął głową, jego chłodne oblicze kłóciło się ze szczenięcymi fizjonomiami pozostałych zalotników.

- Panno Bridgerton.

- Jakże się cieszę, że pana widzę - odparła, a po jej twarzy przebiegł uśmiech zachwytu.

Ach, na tym się nie skończyło. Simon rozprostował kwiaty i ruszył w jej kierunku, ale przekonał się natychmiast, że ma na swojej drodze jeszcze trzech innych adoratorów i żaden nie ma ochoty się przesunąć. Pierwszego przebił najwyświeższym ze swoich spojrzeń, co sprawiło, że chłopiec - naprawdę, liczył sobie wszystkiego może dwadzieścia lat, trochę za mało na miano mężczyzny - zaniósł się kaszlem w najmniej atrakcyjny sposób, po czym zwiął na wolne miejsce pod oknem.

Simon ruszył naprzód, gotowy powtórzyć procedurę z następnym irytującym młodzieńcem, gdy nagle zastąpiła mu drogę wicehrabina. Zdobiła ją ciemnoniebieska sukienka i uśmiech, który mógłby zapewne rywalizować z uśmiechem Daphne pod względem promienności.

- Wasza wysokość! - zawołała z ekscytacją. - Co za przyjemność pana widzieć. Pańska obecność to dla nas zaszczyt.

- Nie mógłbym wyobrazić sobie swojej obecności gdzie indziej - wymamrotał, po czym ujął dłoń okrytą w rękawiczkę i złożył pocałunek. - Pani córka to wyjątkowa młoda dama.

Wicehrabina westchnęła z zadowoleniem.

- A jakie śliczne, prześliczne kwiaty - powiedziała, kiedy

przestała się delektować swoją matczyną dumą. - Czy pochodzą z Holandii? Musiały być strasznie drogie.

- Mamo! - rzuciła ostro Daphne. Wyplątała rękę z uścisku szczególnie energicznego zalotnika i przeciśnieła się do Simona. - Co księżę mógłby na to powiedzieć?

- Mógłbym powiedzieć, ile za nie zapłaciłem - oznajmił z demonicznym półuśmiechem.

- Pan by tego nie zrobił.

Pochylił się do przodu, ścisząc głos, żeby tylko Daphne mogła słyszeć:

- Czy nie przypominała mi pani wczoraj wieczorem, że jestem księciem? Podobno mogę zrobić, co zechcę.

- Tak, ale nie to - odparła z lekceważącym machnięciem ręki. - Przecież nie może pan być aż taki tępy.

- Oczywiście, że księżę nie może być tępy! - wykrzyknęła matka, wyraźnie przerażona, że Daphne w ogóle wymówiła to słowo w jego obecności. - O czym ty mówisz? Dlaczego miałby być tępy?

- Chodzi o kwiaty - rzekł Simon. - O ich koszt. Daphne uważa, że nie powinienem go pani ujawnić.

- Potem mi pan ujawni - szepnęła wicehrabina kącikiem ust - kiedy nie będzie słuchała. - Z tymi słowy cofnęła się na zielony adamaszek swojej otomany, gdzie wcześniej siedziała Daphne w towarzystwie zalotników, i opróżniła go w trzy sekundy. Simon ze zdumieniem podziwiał wojskową precyzję jej ruchów.

- No, prawda jak tu wygodnie? - powiedziała. - Daphne, a może byś usiadła tutaj razem z księciem?

- To znaczy w miejscu, gdzie przed chwilą siedzieli lord Railmont i pan Crane? - spytała niewinnie dziewczyna.

- Właśnie tutaj - odparła matka. Simon z podziwem przyjął brak jakiegokolwiek sarkazmu w jej głosie. - Poza tym pan Crane powiedział, że o trzeciej musi spotkać się u Guntera ze swoją matką.

Daphne spojrzała na zegar.

- Mamo, dopiero druga.

- Ruch uliczny - stwierdziła Violetta, pociągnawszy no-

sem. - W dzisiejszych czasach ruch zrobił się po prostu straszny. Za dużo koni w mieście.

- Mężczyzna źle czyni - odezwał się Simon, uderzając w ten sam ton - kiedy każe matce czekać.

- Święte słowa, wasza wysokość - rozpromieniła się Violetta. - Proszę wierzyć, że tego samego nauczałam moje dzieci.

- A na wypadek gdyby pan nie uwierzył - powiedziała ze śmiechem Daphne - z przyjemnością poręczę za moją mamę.

Violetta uśmiechnęła się tylko.

- Kto jak kto, ale ty z pewnością powinnaś o tym pamiętać, Daphne. No, wybaczcie, proszę, mam pewną sprawę do załatwienia. Ach, panie Crane! Panie Crane! Pańska matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym nie wypłoszyła pana o czasie. - Zerwała się z kanapy, wzięła nieszczęsnego Crane'a pod łokieć i zaprowadziła do drzwi, nie dając mu szansy na pożegnanie.

Daphne odwróciła się do Simona, jej twarz tryskała wesołością.

- Zupełnie nie potrafię się zdecydować, czy matka jest strasznie uprzejma, czy fantastycznie ordynarna.

- Może fantastycznie uprzejma? - spytał łagodnie Simon. Potrzęsnęła głową.

- Och, zdecydowanie nie to.

- Alternatywą, oczywiście, jest...

- Strasznie ordynarna? - Daphne uśmiechnęła się, patrząc, jak matka robi pętlę na ramieniu lorda Railmonta, obraca go twarzą ku córce, żeby mógł skłonić głowę na do widzenia, i wyprowadza z pokoju. A potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pozostali dandysi bąknęli swoje szybkie słowa pożegnania i poszli za przykładem poprzedników.

- Imponująco skuteczna, nieprawdaż? - mruknęła Daphne.

- Pani matka? Cudowna kobieta.

- Ona tu 'wróci, ma się rozumieć.

- Szkoda. A ja myślałem, że chwyciłem już panią w moje szpony na dobre.

- Nie rozumiem, jak ktokolwiek może uważać pana za rozpustnika - roześmiała się. - Ma pan zbyt genialne poczucie humoru.

- A my, rozpustnicy, myśleliśmy, że jesteśmy tacy nikczemnie śmieszni.

- Rozpustnicy mają w zasadzie okrutne poczucie humoru - oświadczyła Daphne.

Jej uwaga zastanowiła Simona. Patrzył uważnie na dziewczynę, szukając jej brązowych oczu, a jednocześnie nie wiedząc tak naprawdę, czego szuka. Jej źrenice okalał wąski pasek zieleni, ciemnej i soczystej niczym mech. Uświadomił sobie, że nie widział dotąd Daphne przy świetle dziennym.

- Wasza wysokość? - Cichy głos Daphne wyrwał go z odrętwienia.

Simon zamrugał oczami.

- Co proszę?

- Wyglądał pan, jakby był tysiące mil stąd - powiedziała, marszcząc brwi.

- Już byłem tysiące mil stąd. - Nie uległ impulsowi, aby powrócić spojrzeniem do oczu dziewczyny. - To jest zupełnie co innego.

Daphne zareagowała lekkim śmiechem, jego brzmienie przypominało tony muzyki.

- Owszem, był pan, prawda? A ja nie wyściubiłam nosa poza Lancashire. Na pewno wydaję się okropną prowincjuszka.

Zbył tę uwagę milczeniem.

- Musi mi pani wybaczyć roztargnienie. Dyskutowaliśmy o moim braku poczucia humoru, o ile pamiętam?

- Ależ skąd, i pan o tym dobrze wie. - Ręce Daphne zawędrowały na jej biodra. - Wyraźnie panu powiedziałam, że pańskie poczucie humoru góruje nad poczuciem humoru przeciętnego rozpustnika.

Lewa brew Simona uniosła się w dość wyszukany sposób.

- I nie zaliczyłyby pani swoich braci do rozpustników?

- Im się tylko *wydaje*, że są rozpustnikami - skorygowała. - To duża różnica.

Simon parsknął śmiechem.

- Jeśli Anthony nie jest rozpustnikiem, to współczuję kobiecie, która pozna mężczyznę, który nim jest.

- Bycie rozpustnikiem to coś więcej niż uwodzenie legio-

nów kobiet - stwierdziła wesoło Daphne. - Jeśli mężczyzna nie umie robić nic innego, tylko wypychać kobiecie język do ust i całować...

Simon poczuł, że coś go ścisnęło za gardło, ale zdołał jakoś wybełkotać:

- Nie powinna pani mówić o takich sprawach. - Wzruszyła ramionami. - Nie powinna pani nawet o nich *wiedzieć* - bąknął.

- Czterech braci - oznajmiła w charakterze wyjaśnienia. - No, może trzech. Gregory jest za młody, żeby go wliczać.

- Ktoś powinien ich pouczyć, aby trzymali język za zębami w pani obecności.

Znowu potraktowała jego słowa lekceważąco, ale wzruszyła tylko jednym ramieniem.

- Prawie nigdy nie uświadamiają sobie, że w ogóle tam jestem.

Tego akurat Simon nie mógł sobie wyobrazić.

- Ale zdaje się, że odbieглиśmy od tematu - dodała. - Chciałam jedynie powiedzieć, że poczucie humoru rozpustnika zasadza się na okrucieństwie. On potrzebuje ofiary, bo nie przyjdzie mu na myśl, że można śmiać się z samego siebie. Pan, wasza wysokość, ma wybitną zdolność do autoironii.

- Nie wiem, czy mam pani podziękować, czy panią udusić?

- Udusić? Na Boga, dlaczego? - znowu wybuchnęła niskim, gardłowym śmiechem, który Simon odczuł głęboko w swoich trzewiach.

Powoli odetchnął, przeciągły szum powietrza nie podziałał uspokajająco na jego tętno. Jeśli Daphne nie przestanie tak rechotać, to on nie odpowiada za siebie.

Ale Daphne nie odrywała od niego oczu, a jej szerokie usta wyginały się w jeden z tych grymasów, który sugerował, że dziewczyna za chwilę wybuchnie śmiechem.

- Uduszę panią - warknął - ze względów zasadniczych.

- A cóż to za względy?

- Względy *męskie* - wycodził.

Uniosła brwi z powątpiewaniem.

- W odróżnieniu od względów kobiecych?

Simon rozejrzał się dookoła.

- Gdzie pani brat? Pani jest nazbyt zuchwała. Ktoś chyba powinien przywołać panią do porządku.

- Ach, jeszcze się książę napatrzy na Anthony'ego. Właściwie to dziwne, że się dotąd nie pokazał. Wczoraj wieczorem był dosyć wściekły. Musiałam wysłuchać godzinnej prelekcji na temat moich uchybień i grzechów.

- Grzechy to wielka przesada.

- A uchybienia?

- Zapewne autentyczne - przyznał nieśmiało Simon.

Ta uwaga wywołała kolejny uśmiech na twarzy Daphne.

- No dobrze, autentyczne czy nie - stwierdziła - Anthony podejrzewa, że pan coś tam kombinuje.

- Ja *faktycznie* coś tam kombinuję.

Przekrzywiła głowę i wywróciła oczy do góry.

- On podejrzewa, że pan kombinuje coś sprośnego.

- Chciałbym kombinować coś sprośnego - mruknął pod nosem.

- Słucham?

- Nie, nic.

Nachmurzyła się.

- Moim zdaniem powinniśmy ujawnić nasz plan Anthony'emu.

- Jaka może być z tego korzyść?

Daphne przypomniała sobie godzinne przypiekanie na wolnym ogniu, które musiała znosić wczoraj.

- Och, niechże pan to sam wydedukuje.

Simon tylko zmarszczył czoło.

- Moja droga Daphne...

Jej wargi rozchyliły się trochę ze zdziwienia.

- Chyba nie każe mi pani mówić do siebie per „Panno Bridgerton”? - westchnął dramatycznie. - Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy?

- Niczego nie przeżyliśmy, panie figlarzu, niemniej może się pan chyba zwracać do mnie per Daphne.

- Doskonale - kiwnął łaskawie głową. - A ty możesz do mnie mówić „wasza wysokość”.

Dała mu kuksańca w bok.

- Świetnie - odparł Simon z drżeniem kącików ust. - Simon, skoro już musisz.

- Ach, muszę - odparła, przewracając oczami. - Jasne, że muszę.

Pochylił się ku dziewczynie, z głębi jego jasnych oczu bił dziwny i zgoła gorący blask.

- Musisz? - mruknął. - Byłbym poruszony, gdybym to usłyszał.

Nagle Daphne odniosła wrażenie, że księżę ma na myśli dużo większą zażyłość niż tylko zwracanie się do niego po imieniu. Poczowała, że w jej ramiona wlewa się niezwykle, świeżące ciepło, i bez namysłu odskoczyła o krok do tyłu.

- Jakie śliczne kwiaty - wypaliła.

Przyglądał im się leniwie, obracając bukiet w dłoni.

- Tak, śliczne, nieprawdaż?

- Bardzo mi się podobają.

- Nie są dla ciebie.

Wstrzymała oddech.

- Dla twojej matki - powiedział z uśmiechem.

Powoli Daphne otworzyła usta ze zdziwienia, a po chwili wypuściła powietrze z płuc.

- Ach, ty spryciarzu, ty spryciarzu. Matka roztopi się u twoich stóp bez dwóch zdań. Ale -wiesz, że to może zburzyć twój spokój.

Popatrzył na nią figlarnie.

- Ach, naprawdę?

- Naprawdę. Będzie jak nigdy zdesperowana, gotowa się zaciągnąć cię do ołtarza. Będziesz oblegany na przyjęciach, tak jakbyśmy wcale nie uknuli tej intrygi.

- Nonsens - zaśmiał się. - Wcześniej znosiłem umizgi tuzinów Ambitnych Matek. Teraz będę musiał radzić sobie tylko z jedną.

- Jej wytrwałość może cię zaskoczyć - bąknęła, odwracając się, by wyjrzeć za nie domknięte drzwi. - Musisz się jej naprawdę podobać - dodała. - Zostawiła nas sam na sam o wiele dłużej, niż wypada.

Simon zastanowił się nad jej słowami, po czym pochylił się w kierunku dziewczyny.

- Czyżby podsłuchiwała pod drzwiami?

Daphne potrząsnęła głową.

- Nie, byłoby słychać stukot jej pantofli w holu.

Coś w tym stwierdzeniu wywołało jego uśmiech, a Daphne przyłapała się na tym, że uśmiecha się wraz z nim.

- Ale faktycznie muszę ci podziękować - powiedziała - zanim wróci matka.

- O? A to dlaczego?

- Twój plan odniósł niebывały sukces. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Zauważyłeś, ilu adoratorów odwiedziło mnie dzisiaj?

Skrzyżował ramiona, tulipany dyndały płatkami w dół.

- Zauważyłem.

- To wspaniały plan, rzeczywiście. Nigdy nie miałam tylu gości w jedno popołudnie. Matka nie posiadała się z dumy. Nawet Humboldt - nasz lokaj - był rozpromieniony, a wcześniej rzadko kiedy się uśmiechał. Oj! Patrz, kapie z ciebie. - Schyliła się, aby poprawić kwiaty, i musnęła ręką przód jego surduta. Odskoczyła momentalnie, przestraszona bijącym od niego ciepłem i siłą.

Dobry Boże, gdyby mogła wyczuć przez jego koszulę i surdut to wszystko, co on musi mieć w sobie...

Daphne oblała się rumieńcem. Ciemną, intensywną czerwienią.

- Oddałbym cały majątek za twe myśli - powiedział, unosząc z ciekawością brwi.

Na szczęście Violetta wybrała akurat ten moment na wpłynięcie do salonu.

- Strasznie przepraszam, że zostawiłam was samych na tak długo - oznajmiła. - Koń pana Crane'a zgubił podkowę, więc oczywiście musiałam zaprowadzić go do stajni, żeby odszukać kowala, żeby podkuł konia.

Przez wszystkie spędzone razem lata - które stanowią oczywiście całe moje życie, pomyślała Daphne - matka nigdy nie przekroczyła progu stajni.

- Jest pani prawdziwie wyjątkową panią domu - oświadczył Simon, wyciągając rękę z kwiatami. - Proszę, to dla pani.

- Dla mnie? - Violetta otworzyła szeroko usta ze zdziwienia, a z jej gardła wydobył się dziwny, sapiący głos. - Na pewno? Bo ja... - Urwała, spoglądając na Daphne, potem na Simona, wreszcie z powrotem na córkę. - Na pewno?

- Absolutnie.

Zamrugała nerwowo, Daphne zaś zauważyła, że matka właściwie miała łzy w oczach. Nikt nigdy nie dał jej kwiatów, domyśliła się. Przynajmniej od śmierci ojca przed dziesięciu laty. Violetta była matką... Daphne dawno zapomniała, iż Violetta jest także kobietą.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Pociągnęła nosem.

- Spróbuj „dziękuję” - szepnęła Daphne do matczynego ucha. Uśmiech córki uczczył trochę ciepła jej słowom.

- Och, Daff, ty jesteś *najgorsza*. - Violetta klepnęła ją w ramię. Jeszcze nigdy tak bardzo nie przypominała młodej kobiety, pomyślała Daphne. - Ale dziękuję panu, wasza wysokość. Te kwiaty są piękne, ale co ważniejsze, to był bardzo ładny gest. Na zawsze zachowam tę chwilę w mej pamięci.

Simon sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie uśmiechnął się tylko i pochylił głowę.

Daphne spoglądała na matkę, widziała w jej szafirowych oczach niewątpliwą radość i zrozumiała ze wstydem, że jej własne dzieci nigdy nie zachowały się tak ładnie, jak ten obcy mężczyzna, stojący obok niej.

Księżę Hastings. Daphne z miejsca doszła do wniosku, że byłaby idiotką, gdyby się w nim nie zakochała.

Oczywiście byłoby miło, gdyby odwzajemnił jej uczucie.

- Mamo - spytała - czy mam przynieść wazon?

- Co? - Violetta była nadal zbyt zajęta wachaniem kwiatów z uczuciem błogości, żeby zwracać uwagę na słowa córki. - Ach, tak. Oczywiście. Poproś Humboldta o ten kryształowy po mojej babci.

Daphne rzuciła Simonowi uśmiech wdzięczności i ruszyła w stronę drzwi, ale nim zdążyła przejść bodaj dwa kroki,

na progu zmaterializowała się duża i groźna postać jej najstarszego brata.

- Daphne - warknął Anthony. - Właśnie cię szukałem.

Daphne uznała, że najlepszą taktyką będzie po prostu ignorowanie jego grubiaństwa.

- Za chwilę, Anthony - odpowiedziała słodkim głosem. - Mama poprosiła mnie o wazon. Hastings przyniósł jej kwiaty.

- Jest tu Hastings? - Anthony spojrzął przez ramię siostry na pozostałe dwie osoby w głębi pokoju. - Co ty tu robisz, Hastings?

- Składam wizytę twojej siostrze.

Anthony odepchnął Daphne i szybkim krokiem wszedł do salonu. Przypominał chmurę gradową.

- Nie dałem ci pozwolenia na zalecanie się do mojej siostry! - ryknął.

- Ja je dałam - odezwała się Violetta. Wcisnęła kwiaty w twarz syna, obracając nimi dookoła, jak gdyby chciała zostawić maksimum pyłków w obu dziurkach jego nosa. - Prawda, jakie śliczne?

Anthony kichnął i odsunął kwiaty na bok.

- Mamo, chciałbym porozmawiać z księciem.

Violetta spojrzała na Simona.

- Chce pan odbyć tę rozmowę z moim synem?

- Nieszczerze.

- A więc dobrze. Anthony, ucisz się.

Daphne zasłoniła dłonią usta, lecz i tak wydostał się z nich nerwowy chichot.

- To ty się ucisz! - Pogroził jej palcem Anthony.

- Może powinnam skoczyć po ten wazon - pomyślała głośno.

- I zostawić mnie na łasce swego brata? - rzekł łagodnym głosem Simon. - Myślę, że nie.

Daphne nastroszyła brwi.

- Brak panu męstwa, by stawić mu czoło?

- Nic z tych rzeczy. Po prostu Anthony powinien być pani problemem, a nie moim, i..

- Co tu się dzieje, *psiakrew*! - ryknął Anthony.

- Anthony! - zawołała Violetta. - Nie będę tolerować takiego nieprzyzwoitego języka w moim salonie.

Daphne uśmiechnęła się z wyższością.

Simon tylko zadarł głowę, obrzucając Bridgertona bawczym wzrokiem.

Anthony posłał wściekłe spojrzenia obydwójgu, po czym skupił uwagę na matce.

- Nie wolno mu ufać. Czy ty masz pojęcie, co tu się dzieje? - spytał.

- No, oczywiście - odparła Violetta. - Księżę składa twojej siostrze wizytę.

- I przyniosłem kwiaty twojej matce - pośpieszył jej z pomocą Simon.

Anthony popatrzył przeciągle na twarz Simona. Księżę miał nieodparte wrażenie, że przyjaciel imaginuje sobie walnięcie go prawym prostym w czubek nosa.

Anthony odwrócił głowę i spojrzał matce w oczy.

- Czy zdajesz sobie sprawę z jego reputacji?

- Z nawróconych rozpustników bywają najlepsi mężowie - odparła Violetta.

- Bzdura i ty doskonale o tym wiesz.

- Zresztą on wcale nie jest rozpustnikiem - dodała Daphne.

Spojrzenie Anthony'ego na siostrę było tak komicznie wrogie, że Simon omal nie parsknął śmiechem. Zdołał się powstrzymać, ponieważ najmniejszy przejaw wesołości mógł sprawić, że pięść Bridgertona przegra pojedynek z rozumem i główną ofiarą konfliktu okaże się jego księżęca twarz.

- Nie masz pojęcia - rzekł Anthony niskim, roztrzęsionym głosem. - Nie masz pojęcia, co on wyprawiał.

- Na pewno nie może się równać z tobą - ripostowała Violetta.

- Właśnie! - ryknął. - Mój Boże, wiem *doskonale*, co się teraz dzieje w jego mózgu, i to nie ma nic wspólnego ani z poezją, ani z różami.

Simon wyobraził sobie Daphne w pościeli z płatków róży.

- No, może z różami - mruknął.

- Zaraz go zamorduję - oznajmił Anthony.

- Zresztą to są tulipany - powiedziała sztywno Violetta. - Prosto z Holandii. A ty, Anthony, naprawdę powinieneś bardziej panować nad swoimi emocjami. Twoje zachowanie jest w najwyższym stopniu niestosowne.

- Hastings nie jest godzien lizać butów Daphne.

Głowa Simona wypełniła się bardziej erotycznymi wizjami, tym razem jego u stóp Daphne, liżącego jej paluszki. Postanowił tego nie komentować.

Poza tym już zdecydował, że nie pozwoli swoim myślom błądzić w tym kierunku. Daphne to siostra Anthony'ego, na miłość boską. Nie może jej uwieść.

- Nie chcę więcej słyszeć ani jednego słowa zniesławiającego jego wysokość - oświadczyła zdecydowanie Violetta - i na tym koniec tego tematu.

- Ale..:

- Nie podoba mi się twój ton, Anthony Bridgertonie!

Simonowi zdawało się, że usłyszał, jak Daphne tłumi chichot, i zastanawiał się, do czego to wszystko zmierza.

- Jeśli pani matka łaskawie pozwoli - odezwał się Anthony dokuczliwie spokojnym tonem - to chciałbym porozmawiać z jego wysokością na osobności.

- Tym razem naprawdę skoczę po ten wazon - oznajmiła Daphne i wybiegła z salonu.

Violetta skrzyżowała ręce i powiedziała do syna:

- Nie pozwolę, abyś znęcał się nad gościem w moim domu.

- Nie tknę go nawet palcem - odrzekł Anthony. - Masz na to moje słowo.

Ponieważ Simon nigdy nie miał matki, zafascynowała go ta rozmowa. Bridgerton House z prawnego punktu widzenia należał do Anthony'ego, nie zaś do Violetty, przyjaciel zaimponował Simonowi tym, że powstrzymał się od zwrócenia na to uwagi.

- Wszystko w porządku, lady Bridgerton - wtrącił. - Jestem pewny, że Anthony i ja mamy sobie dużo do powiedzenia.

- Bardzo dużo. - Anthony zmrużył oczy.

- Doskonale - rzekła Violetta. - I tak postąpię według waszej woli, bez względu na to, co powiem. Ale ja nie wyjdę. -

Z tymi słowy klapnęła na otomanę. - To mój salon i tutaj czuję się najlepiej. Jeśli koniecznie chcecie zająć się tą bezsensowną wymianą zdań, która wśród samców naszego gatunku uchodzi za konwersację, to możecie przeprowadzić ją gdzie indziej.

Simon zamrugał ze zdziwienia. Wicehrabina była osobą o wiele bardziej intrygującą, niż się można było tego spodziewać.

Anthony rzucił głową w kierunku drzwi i Simon wyszedł za nim do holu.

- Mój gabinet jest w tę stronę. - Wskazał.

- Masz tu swój gabinet?

- Jestem głową rodziny.

- To oczywiście - przyznał Simon - ale przecież mieszkasz gdzie indziej.

Anthony przystanął i obrzucił księcia taksującym spojrzeniem.

- Nie mogło ująć twej uwagi, że moja pozycja głowy rodziny Bridgertonów nakłada na mnie poważne obowiązki.

Simon spokojnie popatrzył Anthony'emu w oczy.

- Chodzi o Daphne? - spytał.

- Właśnie.

- O ile pamiętam, na początku tego tygodnia powiedziałaś, że chcesz nas sobie przedstawić.

- Wtedy jeszcze nie sądziłem, że będziesz nią zainteresowany!

Simon bez słowa wszedł jako pierwszy do gabinetu i zaczekał, aż przyjaciel zamknie drzwi.

- Dlaczego miałbyś przypuszczać - spytał cichym głosem - że nie zainteresuję się twoją siostrą?

- Poza faktem, że zaklinałaś się, że się nigdy nie ożenisz? - wycedził Anthony.

Trafił w sedno. Simon nie mógł znieść świadomości, że Bridgerton trafił w sedno.

- Poza tym faktem - burknął.

Anthony zmrużył oczy, po czym odparł:

- Nikt się Daphne nie interesuje. Przynajmniej żaden z tych, za których moglibyśmy wydać ją za mąż.

Simon założył ręce na piersiach i oparł się o ścianę.

- Nie darzysz jej głębszym szacunkiem, praw..? -

Nie zdążył dokończyć pytania, ponieważ Anthony chwycił go za gardło.

- Jak śmiesz obrażać moją siostrę!

W trakcie swoich wojaży księżę nauczył się trochę samoobrony i starczyły mu dwie sekundy, żeby zamienić się z Anthonym rolami.

- Nie obrażałem twojej siostry, tylko ciebie - powiedział nieprzyjemnym tonem.

Z gardła Bridgertona wydobywały się jakieś charczące dźwięki, toteż Simon go puścił.

- Tak się składa - kontynuował, wycierając jedną dłoń o drugą - że Daphne mi wytłumaczyła, dlaczego nie przyciągnęła żadnych odpowiednich konkurentów.

- Hm? - bąknął szyderczo Anthony.

- Osobiście sądzę, że ma to związek z twoimi i twoich braciszków małpimi manierami, Daphne twierdzi jednak, że cały Londyn uważa ją za świetną koleżankę, ale nikt nie patrzy na nią jak na potencjalny obiekt miłości.

Anthony milczał dobrą chwilę.

- Rozumiem - powiedział wreszcie, po czym dodał z namysłem: - Zapewne masz rację.

Simon bez słowa obserwował przyjaciela, który starał się uporządkować swoje myśli. Wreszcie Anthony stwierdził:

- I tak mi się nie podoba, że wężysz koło Daphne.

- Mój Boże, mówisz, jakbym był psem.

Anthony założył ręce na piersi.

- Nie zapominaj, że po skończeniu Oksfordu biegaliśmy w tej samej sforze. Dobrze wiem, coś ty wyprawiał.

- Och, na miłość boską, Bridgerton, mieliśmy po dwadzieścia lat! Wszyscy faceci w tym wieku to idioci. Poza tym wiesz cholernie dobrze, że m... m...

Simon poczuł, że język zaczyna mu się plątać, i aby zamaskować jąkanie, odegrał nagły atak kaszlu. Do diabła! To się obecnie zdarzało bardzo rzadko i tylko w momencie silnego zdenerwowania albo złości. Tracąc panowanie nad

emocjami, tracił panowanie nad swoją mową. To było takie proste.

Podobne incydenty niestety wzbudzały tylko zdenerwowanie i złość na samego siebie, co z kolei wzmagало jąkanie. Był to najgorszy rodzaj błędnego koła.

Anthony przyglądał mu się dziwnie.

- Dobrze się czujesz?

Simon kiwnął głową.

- Pyłek kurzu wpadł mi do gardła - skłamał.

- Mam zadzwonić po herbatę?

Simon ponownie kiwnął głową. Nie chciał wcale herbaty, pomyślał jednak, że jeśli komuś naprawdę dostał się kurz do gardła, to powinien zażądać herbaty.

Anthony pociągnął za taśmę od dzwonka, a potem odwrócił się do księcia i spytał:

- Coś mówiłeś?

Simon przełknął ślinę w nadziei, że pomoże mu to odzyskać kontrolę nad emocjami.

- Chciałem tylko zauważyć, że ty najlepiej ze wszystkich wiesz, iż moja zła reputacja co najmniej w połowie jest niezastuzona.

- Zgoda, tyle że dobrze wiem coś o tej drugiej połowie, która jest zasłużona. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś od czasu do czasu bywał w towarzystwie Daphne, ale nie zgadzam się, żebyś ją uwodził.

Simon spojrział z niedowierzaniem na przyjaciela, przynajmniej dotąd uważanego przez siebie za przyjaciela.

- Naprawdę myślisz, że mógłbym ją uwieść?

- Nie wiem, co myśleć. Wiem, że nie zamierzasz się ożenić. Wiem też, że Daphne pragnie wyjść za męża. - Wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, wystarczy mi, jeśli będziecie się trzymali po przeciwnych stronach parkietu.

Simon wziął długi oddech. Choć postawa Anthony'ego irytowała go jak diabli, uważał, że była ona zrozumiała, a nawet godna pochwały. Było nie było, Anthony działał w najlepszym interesie swojej siostry. Simon z trudem mógłby sobie wyobrazić, że jest odpowiedzialny za kogoś innego

prócz samego siebie, ale gdyby miał siostrę, też byłby cholelnie wybredny w wyborze kandydatów do jej ręki.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - zawołał Anthony.

Zamiast pokojówki z herbatą do pokoju wślizgnęła się Daphne.

- Wiem od matki, że jesteście w podłym nastroju i powinnam dać wam spokój, ale pomyślałam, że muszę się upewnić, czy żaden z was nie zamordował drugiego.

- Nie - powiedział z ponurym uśmiechem Anthony - odbyło się tylko małe duszonko.

Trzeba przyznać, że Daphne nawet nie drgnęła powieka.

- Kto kogo dusił?

- Ja jego - odparł Anthony - a potem Hastings odwzajemnił przysługę.

- Rozumiem - rzekła powoli. - Szkoda, że ominęło mnie to widowisko.

Simon nie zdołał stłumić uśmiechu.

- Daff... - zaczął.

Anthony odwrócił się gwałtownie.

- Mówisz do niej Daff? - Z powrotem przekręcił głowę w stronę siostry. - Pozwoliłaś mu zwracać się do siebie po imieniu?

- Oczywiście.

- Ale...

- Moim zdaniem - wtrącił Simon - będziemy musieli przyznać się do 'wszystkiego.

Dziewczyna ze smutkiem kiwnęła głową.

- Chyba masz rację. A nie mówiłam?

- Jak miło, że o tym wspominasz - mruknął Simon.

Uśmiechnęła się odważnie.

- Nie mogłam się powstrzymać. Mając czterech braci, trzeba wykorzystywać każdą szansę na zawołanie: „A nie mówiłam”?

Simon przenosił wzrok z brata na siostrę.

- Nie wiem, komu z was mam bardziej współczuć.

- Co się tu dzieje, u diabła? - zapytał Anthony, po czym

dodał na stronie: - A jeśli chodzi o twoją uwagę, to współczuj raczej mnie. Jestem dużo sympatyczniejszym bratem niż ona siostrą.

- To kłamstwo!

Simon puścił sprzeczkę mimo uszu i skupił uwagę na Anthonym.

- Chcesz wiedzieć, co się tu, psiakrew, dzieje? Otóż sprawa przedstawia się następująco...

7

Mężczyźni są jak te barany. Dokąd idzie jeden, tam zaraz biegnie cała reszta.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 30 kwietnia 1813

W sumie Anthony przyjmował to całkiem nieźle, myślała Daphne. Zanim Simon skończył wyjaśniać ich mały plan (z częstymi wtrąceniami z jej strony, musiała przyznać), brat podniósł głos zaledwie siedem razy.

O siedem mniej, niż Daphne mogła przypuszczać.

Wreszcie na jej prośbę Anthony obiecał trzymać język za zębami, dopóki ona i Simon nie skończą. Kiwnął głową i założył ręce na piersiach, nabierając wody w usta na czas składania wyjaśnień. Jego groźne spojrzenie starczyłoby, żeby strząsnąć tynk ze ściany, dotrzymał jednak słowa i zachował absolutne milczenie.

Dopóki Simon nie powiedział:

- I to wszystko.

Zapadła cisza. Śmiertelna cisza. Przez całe dziesięć sekund nie było słyhać nic oprócz ciszy, choć Daphne mogłaby przysiąc, że słyszała ruch swoich oczu, przeskakujących z brata na Simona i z powrotem.

Wreszcie Anthony wypalił:

- Czyś ty *oszałali*

- Przypuszczałam, że tak zareaguje - mruknęła Daphne.
- Czyście oboje kompletnie, nieodwołalnie, straszliwie powariowali? - głos Anthony'ego powoli przechodził w ryk. - Nie wiem, które z was nazwać większym idiotą.

- Cicho! - syknęła siostra. - Jeszcze cię matka usłyszy.
- *Matka* skona na atak serca, jak się o tym dowie - odparł Anthony, nie ścisząc głosu.

- Ale *matka* się nie dowie, prawda? - odcięła się Daphne.
- Nie, nie dowie - przyznał brat, wystawiając podbródek do przodu - ponieważ wasza intryga w tej chwili dobiegła końca.

Daphne założyła ręce na piersiach.

- Nie uda ci się mnie powstrzymać.
Anthony rzucił głową w kierunku Simona.
- Mogę *go* zastrzelić.
- Nie bądź śmieszny.
- Ludzie pojedynkują się z błahszych powodów.
- Tylko idioci!
- Nie kwestionuję tego miana, jeśli chodzi o *niego*.
- Czy mogę się wtrącić? - zapytał cicho Simon.
- To twój najlepszy przyjaciel! - protestowała Daphne.
- Nie - odparł Anthony, w pojedynczej sylabie nie było ani śladu agresji. - Już nie.

Dziewczyna odwróciła się ze złością do Simona.

- Nic nie powiesz?
Jego usta skrzywiły się w wesołym półuśmiechu.
- A kiedy miałem okazję?
- Opuść ten dom - zażądał Anthony.
- Nie mając szansy na obronę?
- To jest też mój dom - powiedziała z zapalem Daphne - i chcę, żeby Simon pozostał.

Bridgerton przeszywał siostrę wzrokiem, irytacja biła z niego wszystkimi porami ciała.

- Doskonale - odrzekł. - Macie dwie minuty na przedstawienie waszych racji. Nie więcej.

Daphne patrzyła niepewnie na księcia, zastanawiając się, czy będzie chciał zagarnąć całe dwie minuty dla siebie. Ale ten tylko wzruszył ramionami i powiedział:

- Mów. To twój brat.

Wzięła więc głęboki oddech dla pokrzepienia i mimowolnie położyła ręce na biodrach:

- Po pierwsze - zaczęła - muszę zwrócić uwagę, że mam dużo więcej do zyskania na tym aliansie niż jego wysokość. Simon chce wykorzystać mnie do utrzymywania na dystans pozostałych kobiet...

- Oraz ich matek - wtrącił Simon.

- ...oraz ich matek. Ale szczerze mówiąc... - zerknęła na Simona - sądzę, że popełnia wielki błąd. Kobiety nie przestaną uganiać się za nim tylko dlatego, że być może związał się z jakąś młodą damą - zwłaszcza jeśli ową młodą damą jestem ja.

- A co jest z tobą nie tak? - zdziwił się Anthony.

Daphne zaczęła mu wyjaśniać, ale zauważyła nagle dziwną wymianę spojrzeń między mężczyznami.

- O co chodzi? - spytała.

- O nic - mruknął z niepewną miną Anthony.

- Przedstawiłem twojemu bratu teorię, dlaczego masz tak mało zalotników - odezwał się łagodnie Simon.

- Rozumiem. - Wydęła usta, jakby nie mogła się zdecydować, czy powinna się o to pogniewać. - Hmm. Mógł to wydedukować sam.

Simon wydał dziwne parsknięcie, które można było uznać za śmiech.

Obrzuciła ich ostrym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że moje dwie minuty nie obejmują tych wszystkich przerw.

Simon wzruszył ramionami.

- On tu pilnuje czasu.

Anthony trzymał się kurczowo krawędzi biurka. Chyba powstrzymuje się od skoczenia Simonowi do gardła, myślała Daphne.

- A on zaraz wyleci głową do przodu przez to cholerne okno, jak nie zamknie jadaczki - zazgrzytał Anthony.

- Wiecie co? Zawsze podejrzewałam, że mężczyźni to banda idiotów, ale aż do dzisiaj nie byłam tego pewna - powiedziała Daphne.

Simon wyszczerzył zęby.

- Uwzględniając przerwy - odgryzł się Anthony, kierując te słowa do siostry i posyłając jeszcze jedno śmiercionośne spojrzenie Simonowi - zostało wam półtorej minuty.

- Świetnie - ucieszyła się. - Wobec tego ograniczę się do zaprezentowania jednego prostego faktu. Dzisiaj miałam sześciu odwiedzających. Sześciu! Pamiętasz, kiedy ostatnio miałam sześciu odwiedzających?

Brat patrzył na nią obojętnym wzrokiem.

- Ja nie pamiętam - ciągnęła spokojnym już głosem. - Bo to się *nigdy nie zdarzyło*. Sześciu mężczyzn weszło na nasze schody, zastukało do drzwi i wręczyło Humboldtowi bilety wizytowe. Sześciu mężczyzn przyniosło mi kwiaty, nawiązało ze mną rozmowę, a jeden nawet recytował poezję.

Simon skrzywił się z niesmakiem.

- A wiesz *dłaczego*? - zapytała groźnie podniesionym głosem. - Wiesz?

Anthony zmądrzał trochę ponieważ i nabrał wody w usta.

- Ponieważ *on* - pokazała palcem na księcia - był na tyle uprzejmy, że sfingował zainteresowanie moją osobą na wczorajszym balu u lady Danbury.

Simon, który opierał się swobodnie o kant biurka, nagle się wyprostował.

- No cóż - wtrącił szybko - nie ująłbym tego w taki sposób.

Daphne odwróciła się do niego z wyrazem niezwyklej pewności siebie w oczach.

- A jak byś to ujął?

Już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale dziewczyna była szybsza:

- Mogę cię zapewnić, że ci dżentelmeni nie widzieli przedtem żadnych powodów, żeby mnie odwiedzać.

- Skoro są tacy krótkowzroczni, to dlaczego tak bardzo ci na nich zależy? - zapytał cicho Simon.

Daphne zrobiła niepewną minę i ucichła. Simon poczuł mdłości ze strachu, że może powiedział coś bardzo, ale to

bardzo złego. Nie był tego pewien, do chwili gdy zobaczył, jak Daphne trzepoczą powieki.

O, cholera!

Przetarła jedno oko. Zakaszłała w tym swoim stylu, starając się to zataić udawanym przysłonięciem ust, ale Simon i tak poczuł się jak najgorszy łajdak.

- No i patrz, co narobiłeś - rzucił Anthony. Położył dłoń na ramieniu siostry, żeby ją uspokoić, przez cały czas świdrując księcia wzrokiem. - Daff, nie zwracaj na niego uwagi. To dupek.

- Być może - chlipnęła. - Ale cwany.

Anthony'emu dosłownie opadła szczeka.

Siostra spojrzała na niego z gniewem.

- Jak nie chciałeś, żebym to powtarzała, nie powinienesz być tego mówić.

Anthony westchnął ze znużeniem.

- Naprawdę było ich dzisiaj sześciu?

Kiwnęła głową.

- Siedmiu razem z Hastingsem.

- A czy byłabyś zainteresowana poślubieniem któregoś? Simon zorientował się, że żłobi palcami małe dziurki w swoim udzie, zmusił się więc do przełożenia ręki na biurko.

Daphne ponownie kiwnęła głową.

- Wcześniej cieszyłam się przyjaźnią każdego z nich. Ale zanim Hastings nie dał przykładu, żaden nie widział we mnie bohaterki romansu. Mogłabym się z którymś związać, gdyby mi dano taką możliwość.

- Ale... - zaczął Simon, lecz natychmiast ugryzł się w język.

- Ale co? - spytała, odwracając się do niego z ciekawością w oczach.

Chciał powiedzieć, że jeśli tylko dlatego zwrócili uwagę na jej wdzięki, że książę dał wyraz zainteresowaniu jej osobą, to są idiotami i nie powinna nawet myśleć o małżeństwie z nimi. Ale przecież sam to wymyślił, że jego zainteresowanie może przyciągnąć do niej tłum zalotników, toteż... cóż, szczerze mówiąc, wypominanie tego równałoby się zaprzeczaniu samemu sobie.

- Nic - powiedział w końcu, podnosząc rękę w geście nie-zwracaj-na-mnie-uwagi. - Nic ważnego.

Daphne patrzyła na niego przez kilka chwil, jak gdyby czekając, że książę zmieni zdanie, po czym odwróciła się z powrotem do brata.

- A więc przyznajesz, że nasz plan był mądry?

- „Mądry” to lekka przesada, ale... - Anthony zrobił zbołałą minę - ale domyślam się, skąd mogło ci przyjść do głowy, że możesz odnieść z tego korzyść.

- Anthony, muszę znaleźć męża. Niezależnie od tego, że matka zadręcza mnie na śmierć, ja chcę mieć męża. Chcę wyjść za mąż i mieć własną rodzinę. Chcę tego bardziej, niż możesz sądzić. Na razie jednakże nie oświadczył mi się nikt, kogo byłabym gotowa przyjąć.

Simon nie miał pojęcia, jak przyjaciel zdoła wytrzymać żar błagalnego spojrzenia jej ciemnych oczu. Nie minęła chwila, jak Anthony klapnął z żałosnym jękiem na biurko.

- Doskonale - powiedział, zamykając oczy, jak gdyby nie mógł uwierzyć we własne słowa. - Zgodzę się z tym, jeśli będę musiał.

Daphne aż podskoczyła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Anthony, wiedziałam, że jesteś najlepszym z braci. - Ucałowała go w policzek. - Tylko czasami schodzisz na manowce.

Oczy Bridgertona najpierw obróciły się w stronę nieba, a potem skupiły na Simonie.

- Rozumiesz już, co muszę cierpliwie znosić? - Potrząsnął głową. Nadał swemu głosowi ten szczególny ton, którego osaczeni mężczyźni używają tylko pomiędzy sobą.

Simon zachichotał w duchu, zadając sobie pytanie, kiedy to z nikczemnego podrywacza stał się na powrót serdecznym przyjacielem.

- Ale - Anthony odezwał się nagle tak głośno, że Daphne odruchowo się cofnęła - stawiam kilka warunków.

Daphne milczała. Mrugała oczami i czekała na to, co brat ma jeszcze do powiedzenia.

- Przede wszystkim, to nie wyjdzie poza ściany tego pokoju.

- Zgoda - rzuciła natychmiast.

Anthony spojrzał wyczekująco na Hastingsa.

- Oczywiście - odparł książę.
- Matka byłaby zdruzgotana, gdyby poznała prawdę.
- Właściwie myślę, że twoja matka pochwaliłaby naszą pomysłowość - zauważył Simon - ale oczywiście znasz ją o wiele dłużej, poddaję się zatem twojej woli.

Anthony posłał mu lodowate spojrzenie.

- Po drugie, bez względu na okoliczności, nie wolno wam przebywać sam na sam bez świadków. Nigdy.

- Cóż, to powinno być łatwe - stwierdziła Daphne. - I tak nie wolno by nam było przebywać sam na sam, gdybyśmy się naprawdę starali o swoje "względy".

Simon przypomniał sobie krótkie interludium z Daphne na korytarzu domu lady Danbury. Żałował, że nie będzie mógł spędzić więcej czasu na osobności z tą dziewczyną, uznawał jednak fakt istnienia muru, kiedy go zobaczył, zwłaszcza że w tym wypadku mur nazywał się Anthony Bridgerton. To też pokiwał tylko głową i wymamrotał swoją akceptację.

- Po trzecie...

- Jest po trzecie? - spytała Daphne.

- Może być trzydzieści, jak zdołam tyle wymyślić - warknął Anthony.

- Dobrze - ustąpiła ze smutkiem. - Jeśli musisz.

Przez ułamek sekundy Simon bał się, że Bridgerton zechce ją udusić.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Anthony.

Dopiero wtedy Simon uświadomił sobie, że parsknął śmiechem.

- Z niczego - rzucił szybko.

- To dobrze - mruknął Anthony - bo trzeci warunek wygląda następująco: jeśli kiedykolwiek, bodaj raz, przyłapię cię w sytuacji kompromitującej Daphne... Jeśli kiedykolwiek przyłapię cię na całowaniu choćby jej cholernej dłoni podczas nieobecności osoby towarzyszącej, to utnę ci łeb.

- To chyba lekka przesada, nie sądzisz? - Daphne zmrużyła oczy.

Brat spojrzał na nią karcącym wzrokiem.

- Nie.

- Och.

- Hastings?

Simonowi nie pozostawało nic innego, tylko skinąć twierdząco głową.

- Dobrze - burknął Anthony. - A teraz, skoro załatwiliśmy tę sprawę... - gwałtownie przechylił głowę w stronę księcia - zabieraj się stąd.

- Anthony! - wykrzyknęła Daphne.

- Czy to znaczy, że zostałem wyproszony z dzisiejszej kolacji? - spytał Simon.

- Tak.

- Nie! - Daphne dźgnęła brata w ramię. - Hastings był zaproszony na kolację? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- To było przed kilku dniami - odparł gderliwie Anthony. - Latami.

- To było w poniedziałek - skorygował Simon.

- A więc musisz zjeść z nami kolację - orzekła stanowczo Daphne. - Matka będzie zachwycona. A ty... - szturchnęła brata w ramię - lepiej byś przestał myśleć o sposobie otrucia księcia Hastingsa.

Anthony nie miał czasu odpowiedzieć, bo Simon z wesołym chichotem unieważnił jej słowa:

- Nie martw się o mnie, Daphne. Zapominasz, że prawie przez dziesięć lat chodziliśmy razem do szkoły. Nigdy nie rozumiał podstaw chemii.

- Ja go zamorduję - powiedział do siebie Anthony. - Do niedzieli będzie martwy.

- Nie, nie zrobisz tego - roześmiała się Daphne. - Do jutra zapomnisz o tym wszystkim i będziesz pykał swoje cygara u White'a.

- Nie sądzę - bąknął złowrogo.

- Oczywiście, że będziesz. Prawda, Simonie?

Simon przyglądał się twarzy przyjaciela i dochodził do wniosku, że widzi w niej coś nowego. Coś w oczach Anthony'ego. Coś poważnego.

Sześć lat temu, kiedy wyjechał z Anglii, byli z Anthonym chłopcami. Ach, uważali się za mężczyzn. Uprawiali hazard,

gonili za dziwkami i paradowali w wytwornym towarzystwie, zapatrzeni w siebie, teraz jednak byli już innymi ludźmi.

Teraz rzeczywiście stali się mężczyznami.

Simon odczuł tę zmianę w sobie podczas wojaży po świecie. Transformacja odbywała się powoli wraz z podejmowaniem przez niego nowych wyzwań. Teraz zaś doszedł do wniosku, że po powrocie do Anglii w dalszym ciągu traktował Anthony'ego jak dwudziestodwuletniego chłopca, z którym się pożegnał przed wyjazdem z kraju.

Nie rozumiejąc, że on także dorósł przez ten czas, oddał przyjacielowi niedźwiedzią przysługę, uświadomił sobie. Anthony miał obowiązki, o jakich Simonowi nawet się nie śniło. Miał braci, którymi musiał kierować, i siostry, które musiał chronić. Simon miał księstwo, Anthony natomiast miał *rodzinę*.

To była wielka różnica i Simon doszedł do wniosku, że nie może winić przyjaciela za jego nadopiekuńczość i istotnie trochę ośli upór.

- Myślę - powiedział bez pośpiechu, udzielając w końcu Daphne odpowiedzi na jej pytanie - że twój brat i ja jesteśmy zupełnie innymi ludźmi niż wtedy, gdy sześć lat temu włączyliśmy się samopas. Sądzę też, że to nie musi być "wcale takie złe.

Kilka godzin później dom Bridgertonów ogarnął chaos.

Daphne przebrała się w wieczorową suknię z ciemnozielonego aksamitu, w której, jak ktoś kiedyś powiedział, jej oczy traciły swój brązowy kolor. Teraz kręciła się po obszernym holu, szukając sposobu na ukojenie rozstrojonych nerwów matki.

- Nie mogę w to uwierzyć - irytowała się Violetta, trzepocząc prawą dłońią przy piersiach. - Anthony zapomniał mi powiedzieć, że zaprosił księcia na kolację. Nie mam czasu, żeby się przygotować. Nawet sekundy.

Daphne przyglądała się menu, które trzymała w ręku. Najpierw zupa żółwiowa, potem trzy inne dania, a na koniec jagnię pod beszamełem (i oczywiście cztery różne desery).

- Myślę, że książę nie będzie miał powodu do narzekań

- stwierdziła, starając się, aby jej słowa nie zabrzmiały ironicznie.

- Modlę się o to - odparła Violetta. - Ale gdybym wiedziała, że przyjdzie, postarałabym się również o "wołowinę". Nie można podejmować gości bez dania z •wołowiny.

- Księżę wie, że to nieoficjalny posiłek.

Wicehrabina posłała jej złośliwe spojrzenie.

- Posiłek przestaje być nieoficjalny, kiedy zaprasza się nań księcia.

Daphne przyjrzała się matce troskliwie. Violetta załamywała ręce i zgrzytała zębami.

- Mamo, nie sądzę, by księżę był tego rodzaju człowiekiem, który oczekuje od nas dramatycznej zmiany rodzinnych planów kolacyjnych ze swojego powodu.

- On może nie oczekiwać - odrzekła Violetta - ale ja tak. Daphne, w towarzystwie obowiązują pewne zasady. Oczekiwania. I szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak możesz być taka spokojna i obojętna.

- Wcale nie jestem obojętna!

- W każdym razie nie wyglądasz na zdenerwowaną - Violetta bacznie jej się przyglądała. - Jak możesz nie być zdenerwowana? Na litość boską, Daphne, ten mężczyzna myśli o małżeństwie z tobą.

Dziewczyna w ostatniej chwili stłumiła jęk.

- On nigdy tego nie mówił, mamo - oznajmiła.

- Nie musiał. Niby dlaczego tańczył z tobą na wczorajszym balu? Inną panną, którą w ten sposób zaszczycił, była Penelopa Featherington, a obie wiemy, że musiał powodować się litością.

- *Lubię* tę Penelopę - odparła Daphne.

- Ja też ją lubię i wyczekuję dnia, kiedy jej matka wreszcie zrozumie, że dziewczyny z jej cerą nie można spowijać w pomarańczowy atłas, ale nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Nie wiem! - Wicehrabina omal się nie rozpłakała.

Daphne pokiwała głową.

- Poszukam Eloise.

- Tak, zrób to - odparła z roztargnieniem Violetta. - I dopilnuj, żeby Gregory był czysty. On się w ogóle nie myje za uszami. I Hiacyntę... O Boże, co zrobimy z Hiacyntą? Hastings nie spodziewa się przy stole dziesięcioletniej smarkuli.

- Przeciwnie, spodziewa - odrzekła cierpliwie Daphne. - Anthony go poinformował, że jemy kolację w rodzinnym gronie.

- Większość rodzin nie pozwala najmłodszym dzieciom siedzieć przy jednym stole z dorosłymi - zauważyła matka.

- To ich problem. - Daphne zmiękła w końcu pod wpływem irytacji matki i głośno westchnęła: - Mamo, rozmawiałam z księciem. On rozumie, że to nie jest oficjalny posiłek. I wyraźnie mi powiedział, że pragnie zmiany tempa życia. Nie ma własnej rodziny, więc nigdy nie przeżywał czegoś takiego jak rodzinna kolacja u Bridgertonów.

- Niech nas Bóg ma w swej opiece. - Twarz Violetty pokryła się bledością.

- No, mam - rzuciła prędko Daphne - wiem, co myślisz, i zapewniam cię, że nie musisz się martwić o Gregory'ego, że znowu wysmaruje puree ziemniaczanym krzesło Franceski. Jestem przekonana, że wyrósł już z takich sztubackich figli.

- Zrobił to w zeszłym tygodniu!

- No cóż - Daphne nie dała się zbić z pantałyku - wszak dostał chyba dobrą nauczkę.

Mina, z jaką wicehrabina spoglądała na córkę, wyrażała skrajną wątpliwość.

- No trudno, wobec tego - ciągnęła Daphne znacznie mniej rzeczowym tonem - wobec tego zagrozę mu śmiercią, jeśli cię czymkolwiek zirytuje.

- Śmierć go nie przestraszy - zauważyła matka - ale może ja zdołam przerazić go sprzedażą konia.

- W życiu ci nie uwierzy.

- Tak, to prawda. Mam za miękkie serce. - Violetta nachmurzyła się. - Ale może mi uwierzy, jeśli go uprzedzę, że może się pożegnać ze swoją codzienną przejażdżką konną.

- To może poskutkować - przyznała Daphne.

- Świetnie. Pójdę już i napędzę mu takiego stracha, że zaraz zmądrzeje. - Violetta zrobiła dwa kroki, po czym od-

wróciła się. - Posiadanie dzieci to prawdziwe wyzwanie.

Daphne uśmiechnęła się tylko. Wiedziała, że było to wyzwanie, które jej matka uwielbia.

Violetta odchrząknęła cicho, sygnalizując poważny zwrot w rozmowie.

- Daphne, liczę na to, że kolacja będzie udana. Uważam, że Hastings mógłby być dla ciebie świetną partią.

- Mógłby? - zadrwiła dziewczyna. - Myślałam, że księżęta zawsze są świetnymi partiami, nawet jeśli mają dwie głowy i plują w czasie jedzenia. - Roześmiała się. - Z obu ust naraz!

Wicehrabina uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Może trudno będzie ci w to uwierzyć, Daphne, ale ja wcale nie chcę wydawać cię za byle kogo. To prawda, że przedstawiam cię bezlikowi kawalerów, lecz ja tylko pragnę zapewnić ci jak największą liczbę konkurentów, byś mogła zdobyć takiego męża, jakiego będziesz chciała. - Violetta uśmiechnęła się melancholijnie. - Szczytem moim marzeń jest widzieć cię tak szczęśliwą, jak ja byłam z twoim ojcem.

Z tymi słowy Violetta zniknęła w głębi holu, nie dając Daphne czasu na odpowiedź.

Pozostawiając ją za to z nurtującymi ją wątpliwościami.

Może ten plan z Hastingsem mimo wszystko nie jest takim dobrym pomysłem? Matka będzie zdruzgotana, kiedy zakończy swój fałszywy alians. Simon powiedział, że ona może być stroną, która zadecyduje o zerwaniu, lecz Daphne zaczynała się zastanawiać, czy może nie byłoby lepiej postąpić odwrotnie? Odtrącenie jej przez Hastingsa byłoby dla niej upokarzające, ale może dzięki temu nie będzie musiała przynajmniej wysłuchiwać starej i dokuczliwej śpiewki matki: *dłaczego*

Matka dojdzie do wniosku, że Daphne straciła rozum, pozwalając księciu odejść.

A Daphne zaczęłaby się zastanawiać, czy matka czasem nie miała racji.

Simon nie był przygotowany na kolację u Bridgertonów. Była to głośna, zgiełkliwa impreza z dużą ilością śmiechu i na szczęście tylko jednym incydentem z latającym groszkiem.

(Wydawało się, że wzmiankowany groszek pochodził z końca stołu zajmowanego przez Hiacyntę, tyle że najmłodsza panienska Bridgerton miała tak niewinną i anielską minkę, że Simonowi trudno było uwierzyć, że to 'właśnie ona strzelała w brata).

Pomyślnym zbiegiem okoliczności Violetta nie zauważyła lecącego groszku, choć ten opisał nad jej głową wręcz idealny łuk.

Jednakże Daphne, siedząca na wprost Simona, jak nic wszystko widziała, ponieważ z wielką skwapliwością uniosła swą serwetkę, aby zasłonić usta. Sądząc ze zmarszczek w kącikach jej oczu, musiała pękać ze śmiechu za tym kwadratem płótna.

W trakcie posiłku Simon odzywał się rzadko. Bogiem a prawdą, dużo łatwiej było słuchać Bridgertonów, niż próbować włączyć się do ich rozmowy, szczególnie zważywszy na częstotliwość spojrzeń Anthony'ego i Benedicta, które na sobie czuł.

Ale Simon siedział przy stole daleko od najstarszych braci (nie przypadkowo, jeśli chodzi o Violette), więc stosunkowo łatwo było ich ignorować, a zamiast tego delectować się poznawaniem relacji między Daphne a jej rodziną. Od czasu do czasu ktoś zwracał się z bezpośrednim pytaniem do niego, Simon odpo'wiadał, a potem znowu wracał do swojej dyskretnej obserwacji.

Wreszcie Hiacynta, siedząca po prawej stronie Daphne, spojrzała mu prosto w oczy i oznajmiła:

- Milczek z pana, co nie?

Violetta aż się zachłysnęła winem.

- Książę zachowuje się dużo grzeczniej niż my. My się przekrzykujemy i przerywamy sobie wzajemnie, jakbyśmy się bali, że nikt nas nie usłyszy.

- Ja się nie boję, że nikt mnie nie usłyszy - odezwał się Gregory.

- Ja też nie - bąknęła oschle Violetta. - Gregory, jedz groszek, proszę.

- Ale Hiacynta...

- Lady Bridgerton - powiedział głośno Simon - czy mógłbym panią poprosić o dokładkę tego pysznego groszku?

- Ależ naturalnie. - Violetta zerknęła z ukosa na Gregory'ego. - Przyjrzyj się, jak księżę go je.

Gregory wziął się do pałaszowania.

Nakładając sobie drugą porcję na talerz, Simon uśmiechał się w duchu. Czuł wdzięczność wobec lady Bridgerton, że nie zdecydowała się podawać kolacji *a la russe*. Gdyby musiał za każdym razem wołać lokaja, trudno byłoby zapobiegać niektórym oskarżeniom Gregory'ego wysuwanych pod adresem Hiacynty jako osoby miotającej groszkiem.

Zajął się jedzeniem, ponieważ naprawdę nie pozostawało mu nic innego, jak wykończyć wszystko do ostatniej zielonej kulki. Przez cały czas zerkał jednak na Daphne, której nie schodził z ust tajemniczy uśmieszek. Jej oczy promieniały radością i Simon wkrótce poczuł, że kąciki jego ust również wyginają się ku górze.

- Anthony, co tak patrzysz spode łba? - spytała jedna z dziewcząt. Pewnie Francesca, pomyślał Simon, ale trudno było mieć pewność. Dwie siostry były niezwykle do siebie podobne, aż po niebieskie oczy, identyczne jak u matki.

- Nie patrzę spode łba - odburknął Anthony, ale Simon, jako adresat tych spojrzeń od blisko godziny, stwierdził, że jego przyjaciel kłamie.

- A właśnie że tak - oznajmiła Francesca albo Eloise.

Ton odpowiedzi Anthony'ego był do granic ostateczności wyniośle pobłażliwy.

- Jeśli sądzisz, że powiem „wcale nie”, to się grubo mylisz.

Daphne znowu parsknęła śmiechem zza swojej serwetki.

Simon doszedł do wniosku, że życie jest dużo weselsze, niż było przez całe wieki.

- Wiecie co? - odezwała się nagle Violetta. - Myślę, że jest to jeden z najprzyjemniejszych wieczorów roku. Nawet... - posłała spojrzenie człowieka dobrze poinformowanego na drugi koniec stołu w stronę Hiacynty - nawet jeśli moja najmłodsza ciska po stole groszkiem.

Simon podniósł wzrok w tej samej chwili, kiedy Hiacynta wykrzyknęła:

- Skąd wiedziałaś?

Violetta pokiwała głową i przewróciła oczami.

- Moje drogie dzieci - westchnęła. - Kiedy się wreszcie nauczycie, że ja wiem wszystko?

Simon stwierdził, że czuje dla lady Bridgerton głęboki szacunek.

Za chwilę jednak zdołała całkowicie zbić go z tropu swoim pytaniem zadany z towarzyszeniem uśmiechu:

- Proszę mi powiedzieć, wasza wysokość, czy jest pan jutro zajęty?

Kierując do niego te słowa, tak bardzo przypominała Daphne na przekór swoim blond włosom i niebieskim oczom, że Simona na chwilę aż zamurowało. Co musiało być jedynym powodem, dla którego zapomniał pomyśleć, nim wyjąkał:

- N... nie. Nie, o ile pamiętam.

- Wspaniale! - rozpromieniła się. - A więc musi się pan przyłączyć do naszej wycieczki do Greenwich.

- Do Greenwich? - powtórzył jak echo Simon.

- Tak, planujemy rodzinną wyprawę już od kilku tygodni. Chcielibyśmy popłynąć statkiem, a potem może urządzić piknik na brzegach Tamizy. - Uśmiechnęła się do niego poufale. - Przyjdzie pan, prawda?

- Mamo - wtrąciła Daphne. - Księżę na pewno ma mnóstwo obowiązków.

Wicehrabina posłała córce tak oziębłe spojrzenie, że Simon nie mógł się nadziwić, dlaczego żadna z nich nie zamieniła się w lód.

- Nonsens - odrzekła Violetta. - Księżę sam powiedział, że nie jest zajęty. - Odwróciła się z powrotem do Simona.

- Zamierzamy również zwiedzić Królewskie Obserwatorium, więc nie musi się pan martwić, że to będzie jakiś bezmyślny wypad. Obserwatorium jest zamknięte dla publiczności, ale nieboszczyk mąż był wielkim jego protektorem, toteż mamy tam zapewniony wstęp.

Simon spojrział na Daphne. Dziewczyna wzruszyła tylko ramionami i przeprosiła go oczami.

Odwrócił głowę do wicehrabiny.

- Z wielką przyjemnością.

Rozpromieniona Violetta trąciła go łokciem w ramię.
A Simon odniósł ponure wrażenie, że jego los został właśnie przypieczonecowany.

8

Do uszu piszącej te słowa dotarło, że cały bez wyjątku klan Bridgertonów (plus pewien książę) wypuścił się w sobotę statkiem do Greenwich.

Do uszu piszącej te słowa dotarło również, że wzmiankowany książę wraz z pewnym członkiem rodziny Bridgertonów wrócili do Londynu przemoknięci do suchej nitki.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 3 maja 1813

-Jeśli jeszcze raz mnie przeprosisz - oznajmił Simon, odchylając do tyłu głowę i wspierając ją na rękach - to chyba przyjdzie mi cię zamordować.

Daphne rzuciła mu gniewne spojrzenie ze swego pokładowego fotelika na małym jachcie, który wynajęła jej matka, aby zabrał całą rodzinę - oraz księcia - do Greenwich.

- Wybacz, jeśli jestem na tyle uprzejma, że przepraszam za wyraźne manipulacje matki - odpowiedziała. - Myślałam, że celem naszej małej intrygi było uchronienie cię od czulej opieki swatających matek.

Simon zbył jej uwagę machnięciem ręki i rozparł się jeszcze wygodniej w swoim foteliku.

- Gdybym nie miał dobrej zabawy, to dopiero byłby problem.

Na twarzy Daphne odmalował się wyraz zdziwienia.

- Och - bąknęła (głupio, jej zdaniem). - Jak miło.

Roześmiał się.

- Szalenie lubię wypływać w rejs, choćby nawet do Greenwich. Zresztą spędziłem tyle czasu na morzu, że chętnie zwiedzę Królewskie Obserwatorium i obejrzę południk

Greenwich. - Zadarł głowę w jej kierunku. - Znasz się trochę na nawigacji i długości geograficznej?

Pokręciła głową.

- Bardzo słabo. Muszę się przyznać, że nawet dokładnie nie wiem, co to jest ten południk Greenwich.

- To miejsce, od którego mierzy się całą długość geograficzną. Kiedyś żeglarze i nawigatorzy mierzyli długość geograficzną, poczynając od portu, z którego wypływali, ale w zeszłym wieku astronom królewski zdecydował, że punktem początkowym będzie Greenwich.

Daphne uniosła brwi.

- To dość zarozumiałe z naszej strony, nie sądzisz, żeby ulokować siebie w centrum świata?

- Właściwie istnienie uniwersalnego punktu odniesienia jest bardzo przydatne, kiedy próbuje się pływać po otwartych morzach.

Daphne miała nadal niepewną minę.

- I tak po prostu wszyscy umówili się na Greenwich? Trudno uwierzyć, że Francuzi nie upierali się przy Paryżu, a papież, dając głowę, na pewno wolał Rzym...

- Jeśli chodzi o ścisłość, nikt się z nikim nie umawiał - odparł książę ze śmiechem. - Nie zawarto oficjalnego traktatu, jeśli to masz na myśli. Po prostu Królewskie Obserwatorium publikuje co roku zestaw doskonałych tabel i wykresów - pod nazwą *Nautical Almanac*. Żeglarze musieliby być szaleni, gdyby próbowali przepłynąć ocean, nie posiadając na pokładzie któregoś z takich zestawów. A skoro *Nautical Almanac* mierzy długość geograficzną, począwszy od Greenwich jako od punktu zerowego... to inni poszli w jego ślady.

- Widzę, że nieźle się na tym znasz.

Wzruszył ramionami.

- Kiedy człowiek spędza tyle czasu na statku, ma okazję nauczyć się niejednego.

- Tego przedmiotu nie można się niestety nauczyć w szkółce państwa Bridgerton - wyznała samokrytycznie, przekrzywiając głowę na bok. - Większość mojej nauki ograniczała się do zasobu wiedzy guwernantki.

- Szkoda - mruknął, po czym zapytał: - Tylko większość?
- Kiedy coś mnie zainteresowało, zwykle mogłam znaleźć kilka książek na ten temat w naszej bibliotece.

- Mógłbym się założyć, że twoje zainteresowania nie obejmowały matematyki abstrakcyjnej?

- Inaczej niż twoje? - roześmiała się. - Niestety. Mama zawsze powtarzała, że tylko jakimś cudem nauczyłam się dodawać do tyłu, aby móc założyć pantofle na nogi.

Simon skrzywił się.

- Wiem, wiem - ciągnęła z uśmiechem. - "Wy, geniusze arytmetyki, po prostu nie rozumiecie, jak my, zwykli śmiertelnicy, możemy spojrzeć na zapisaną liczbami kartkę i nie dać natychmiastowej odpowiedzi - albo przynajmniej, gdzie ją można znaleźć. Colin jest taki sam.

Simon uśmiechnął się, ponieważ miała całkowitą rację.

- Więc jakie były twoje ulubione przedmioty?

- Hmm? Aha, historia i literatura. Na szczęście, bo mieliśmy mnóstwo książek z tych dziedzin.

"Wypił kolejny łyk lemoniady.

- Nigdy za bardzo nie pasjonowałem się historią.

- Naprawdę? Jak myślisz, dlaczego?

Simon zastanawiał się przez chwilę, czy brak zamiłowania do historii nie wynikał może z jego niechęci do księstwa i całej tradycji, która się z tym wiązała. Ojciec tak bardzo pasjonował się tytułem... Ale oczywiście zostawił te myśli dla siebie.

- Sam nie wiem, naprawdę. Chyba nie lubiłem jej po prostu.

Pograżyli się na kilka chwil w towarzyskim milczeniu; łagodny wiaterek rozwiewał włosy Daphne. Nagle uśmiechnęła się i powiedziała:

- No dobrze, nie będę cię już więcej przeproszała. Za bardzo cieszę się życiem, żeby niepotrzebnie składać je w ofierze w twoje ręce. Ale to miło, że nie jesteś zdeprymowany po tym, jak matka przymusiła cię do popłynięcia z nami na wycieczkę.

Popatrzył na nią z lekką ironią.

- Gdybym nie chciał z wami popłynąć, to twoja matka nie znalazłaby słów, którymi mogłaby zapewnić sobie moją obecność.

Daphne aż się zachnęła.

- I to mówi człowiek, który udaje zaloty-właśnie do *mnie*, spośród wszystkich ludzi, dlatego, że jest za uprzejmy, by odmawiać prośbom młodych żon swoich przyjaciół.

Simon zrobił kwaśną minę.

- Co miałaś na myśli, mówiąc właśnie do *ciebie*, spośród wszystkich ludzi?

- No... - Zdziwiona aż zamrugała powiekami. Sama nie wiedziała, co miała na myśli. - No... nie wiem - wykrztusiła na koniec.

- Wobec tego przestań tak mówić - burknął, a potem zatonął z powrotem w swoim fotelu.

Kiedy Daphne starała się zmazać absurdalny uśmiech z twarzy, jej oczy w niezrozumiały sposób skupiły się na mokrej plamie na relingu. Simon robi się taki słodki, kiedy się złości.

- Na co patrzysz? - spytał.

Dziewczynie drżały wargi.

- Na nic - odparła.

- To dlaczego się uśmiechasz?

Tego akurat nie zamierzała mu wyjawiać.

- Wcale się nie uśmiecham.

- Jeśli się nie uśmiechasz - mruknął - to pewnie dostaniesz zaraz ataku apopleksji albo zaczniesz kichać.

- Ani jedno, ani drugie - odparła wesoło. - Po prostu rozkoszuję się piękną pogodą.

Simon trzymał głowę na oparciu fotela, więc obrócił ją trochę, żeby popatrzeć na dziewczynę.

- I towarzystwo jest niezgorsze.

Daphne spojrzała surowo na Anthony'ego, który opierał się o poręcz po drugiej stronie pokładu i obrzucał oboje groźnym wzrokiem.

- *Całe* towarzystwo? - zapytała.

- Jeśli masz na myśli swego wojowniczego braciszka - odparł Simon - to prawdę mówiąc, jego strapienie niezmiernie mnie bawi.

- Niezbyt to życzliwe z twojej strony - orzekła, próbując bez powodzenia powściągnąć uśmiech.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem życzliwy. I spójrz... - Przechylił lekko głowę w stronę Anthony'ego. Groźne spojrzenie Bridgertona w niewiarygodny sposób teraz zrobiło się wręcz zabójcze. - Wie, że o nim rozmawiamy. To go dobija.

- Myślałam, że jesteście przyjaciółmi.

- Jesteśmy. Przyjaciele właśnie tak postępują wobec siebie.

- Mężczyźni to wariaci.

- Ogólnie biorąc - przyznał jej rację.

Przewróciła oczami.

- Myślałam, że pierwsza zasada przyjaźni zabrania dobierać się do siostry przyjaciela.

- Ach, ja się przecież nie dobieram. Ja tylko udaję, że się dobieram.

Daphne kiwnęła w zamyśleniu głową i zerknęła na brata.

- I tak go to dobija - mimo że zna całą prawdę.

- Wiem - Simon wyszczerzył zęby. - Czy to nie cudowne?

W tym momencie przetoczyła się po pokładzie Violetta.

- Dzieci! - wykrzyknęła. - Dzieci! Ach, przepraszam najmocniej, wasza wysokość - dodała, kiedy już go wyszpiegowała. - Oczywiście nie powinnam podciągać pod ten sam strychulec pana i moich dzieci.

Simon uśmiechnął się tylko, nie zwracając uwagi na jej przeprosiny.

- Kapitan mówi, że już dopływamy - wyjaśniła. - Musimy pozbierać nasze rzeczy.

Simon uniósł się z fotela i wyciągnął pomocną dłoń ku Daphne. Dziewczyna przyjęła ją z wdzięcznością i kołysząc się, również wstała.

- Nie mam jeszcze moich „morskich” nóg - roześmiała się, ściskając mocno jego ramię dla zachowania równowagi.

- A płyniemy tylko rzeką - wymamrotał.

- Łotr. Nie masz prawa wytykać mi braku gracji.

Mówiąc to, Daphne obróciła twarz w jego stronę, i w tym momencie, gdy wiatr rozwiewał jej włosy i malował na różowo policzki, wyglądała tak czarująco, że Simonowi aż zatkało dech w piersiach.

Soczyste wargi dziewczyny znajdowały się w pół drogi mię-

dzy uśmiechem i śmiechem, a na jej włosach pobłyskiwało czerwone słońce. Tutaj, na wodzie, z dała od dusznych sal balowych, wśród mas rzeńskiego powietrza, Daphne wyglądała tak naturalnie i pięknie, iż samo przebywanie w jej obecności sprawiało, że Simonowi chciało się szczerzyć zęby jak wariatowi.

Gdyby nie wpływali już do portu, gdyby nie obecność wszystkich członków rodziny Bridgertonów, krzątających się dookoła nich, Simon byłby Daphne pocałował. Wiedział, że nie może się do niej dobierać, wiedział, że nigdy się z nią nie ożeni, a jednak przyłapał się na tym, że pochyla się w jej stronę. Zresztą nie uświadamiał sobie tego, dopóki nie stracił na chwilę równowagi, że aż musiał się gwałtownie wyprostować.

Na nieszczęście Anthony widział całe zdarzenie i dość obcesowo wcisnął się między księcia a Daphne, chwytając siostrę za rękę z dużo większą siłą aniżeli gracją.

- Jako twój najstarszy brat - warknął - będę zaszczycony, mogąc towarzyszyć ci na brzeg.

Simon tylko złożył ukłon i pozwolił Anthony'emu postawić na swoim. Był zbyt wstrząśnięty i zdenerwowany chwilową utratą równowagi, żeby zaprotestować.

Łódź zatrzymała się przy redzie i spuszczone trap. Simon obserwował, jak rodzina Bridgertonów schodzi na ląd, po czym zajął miejsce na samym końcu i pomaszerował na porośniętą trawą brzeg Tamizy.

Na wierzchołku wzgórza wznosiło się Królewskie Obserwatorium, stara, okazała budowla z ciemnoczerwonej cegły, której wieże zwieńczały szare kopuły. Simon doznał uczucia, że znajduje się - jak to ujęła Daphne - w samym środku świata. Zdał sobie sprawę, że wszystko mierzy się właśnie od tego punktu.

Kiedy przebyło się niemałą część globu, taka myśl była dość przygnębiająca.

- Czy nikogo nie zgubiliśmy? - zawołała wicehrabina. - Zatrzymajcie się, chcę się upewnić i wszystkich policzyć. - Zaczęła liczyć głowy, wreszcie skończyła na samej sobie z triumfalnym: - Dziesięć! Świetnie, nikogo nie brakuje.

- Dobrze, że nie każe nam się już ustawiać według wieku.

Simon zerknął w lewo i zobaczył, że Colin szczerzy do niego zęby.

- Wiek tak długo regulował porządek, jak długo zgadzał się ze wzrostem. Ale kiedy Benedict przerósł o cal Anthony'ego, a potem Gregory przerósł Franceskę... - Colin wzruszył ramionami - matka dała spokój.

Simon chwilę przyglądał się czeredzie, po czym wzruszył ramieniem.

- Próbuję wydedukować, w którym miejscu ja bym się mieścił.

- Gdzieś w pobliżu Anthony'ego, gdybym musiał zgadywać - odparł Colin.

- Boże broń - mruknął Simon.

Colin popatrzył na niego z rozbawieniem i ciekawością.

- Anthony! - wykrzyknęła Violetta. - Gdzie jest Anthony? - Najstarszy syn ujawnił swoją pozycję dość agresywnym chrząknięciem. - Ach, tam jesteś, Anthony. Chodź tutaj, zaprowadzisz mnie do Obserwatorium.

Anthony niechętnie puścił ramię Daphne i zaczął iść obok matki.

- Bezwstydna kobieta, nie uważasz? - szepnął Colin.

Księżę uznał, że najlepiej pozostawić to bez komentarza.

- No, nie spraw jej zawodu - ciągnął Colin. - Po tylu jej machinacjach przynajmniej mógłbyś podejść do Daphne i wziąć ją pod ramię.

Simon odwrócił się twarzą do Colina.

- Potrafisz być równie okropny, jak twoja matka - powiedział, marszcząc czoło.

- Tak, ale ja przynajmniej nie *udaję*, że jestem subtelny - zaśmiał się Colin.

Daphne wybrała akurat ten moment, aby do nich podejść.

- Jestem bez eskorty - oznajmiła.

- Co ty powiesz? - odrzekł Colin. - No, wybaczcie mi, proszę, idę poszukać Hiacynty. Jak przyjdzie mi eskortować Eloise, to chyba będę musiał rzucić się do Tamizy i popłynąć z powrotem do Londynu wpław. Odkąd skończyła czternaście lat, zrobiła się z niej straszna jędrza.

Simon aż zamrugał ze zdziwienia.

- Przecież dopiero w zeszłym tygodniu wróciłeś z konty-
nentu?

Colin kiwnął głową.

- Owszem, ale czternaste urodziny Eloise odbyły się pół-
tora roku temu.

Daphne dała mu kuksańca w łokieć.

- Jak będziesz miał szczęście, to nie powtórzę jej, co o niej
powiedziałeś.

Colin przewrócił oczami i zniknął w małym tłumie, wo-
łając Hiacyntę.

Simon podał Daphne ramię. Dziewczyna położyła dłoń
na zgięciu jego łokcia.

- Przestraszyliśmy cię? - zapytała.

- Co, proszę?

Obdarowała go smutnym uśmiechem.

- Nic nie męczysz tak bardzo jak rodzinny wypadek za mia-
sto klanu Bridgertonów.

- Aha, to. - Simon szybko skręcił na prawo, by ominąć
Gregory'ego, który gonił Hiacyntę i wrzeszczał coś na te-
mat błota oraz krwawej zemsty. - Cóż, zdobywam nowe do-
świadczenia.

- Bardzo ładnie powiedziane, wasza wysokość - stwier-
dziła z podziwem. - Jestem pod wrażeniem.

- Tak, cóż... - Odskoczył do tyłu, ustępując drogi rozpę-
dzonej Hiacyncie. Dziewczynka wydawała taki przeraźliwy
pisk, że pewnie 'wszystkie psy stąd aż do Londynu zaczęły
wyć, pomyślał Simon. - Ostatecznie nie mam rodzeństwa.

- Nie mieć rodzeństwa - westchnęła z rozmarzeniem Da-
phne. - W tej chwili to brzmi niebiańsko. - Jeszcze przez
kilka sekund jej spojrzenie pozostawało nieobecne, w koń-
cu przyszła do siebie. - Jednakże, tak czy inaczej... - Rap-
townie wystawiła rękę i złapała za ramię przebiegającego
obok Gregory'ego. - Gregory Bridgertonie, powinieneś być
trochę mądrzejszy i nie rozpychać się tak w tłumie ludzi.
Możesz kogoś przewrócić.

- Jak to zrobiłaś? - spytał Simon.

- Co, jak go złapałam?

- Tak.

Wzruszyła ramionami.

- Lata praktyki.

- Daphne! - zaskomlał Gregory. I nic dziwnego, jego ramię nadal tkwiło w zaciśniętej dłoni siostry.

Puściła.

- No, zwolnij trochę.

Chłopak zrobił dwa przesadnie długie kroki, po czym przeszedł w szybki trucht.

- Żadnych połajanek dla Hiacynty?

Daphne pokazała za siebie.

- Wygląda na to, że Hiacyntę dorwała matka.

Simon zobaczył, że Violetta gwałtownie grozi córce palcem.

- Co chciałaś mi powiedzieć, zanim pojawił się Gregory?

Zamrugała powiekami.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Sądzę, że oddawałaś się marzeniom o nie posiadaniu rodzeństwa?

- A, faktycznie - zaśmiała się. Szli obok siebie pod górę za resztą Bridgertonów w kierunku Obserwatorium. - Właściwie, możesz wierzyć albo nie, chciałam powiedzieć, że choć perspektywa wiecznej samotności wydaje mi się pociągająca, to boję się, że bez rodziny czułabym się bardzo osamotniona.

Simon nie odpowiedział.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że sama miałabym tylko jedno dziecko - dodała.

- Niekiedy człowiek ma niewielki wybór w tym zakresie - rzekł Simon poważnym tonem.

Daphne natychmiast zaczerwieniły się policzki.

- Och, bardzo przepraszam - wyjąkała, zatrzymawszy się, nie mogąc zrobić kolejnego kroku. - Zupełnie zapomniałam. Twoja matka...

Przystanął obok niej.

- Nie znałem mojej matki. - Wzruszył ramionami. - Nie płakałem za nią.

Lecz spojrzenie błękitnych oczu księcia stało się dziwnie

puste i bezradne i Daphne intuicyjnie wyczuła, że jego słowa nie oddają prawdy.

A jednocześnie zdała sobie sprawę, że on wierzył w nie na sto procent.

I zadawała sobie pytanie, co takiego przytrafiło się temu człowiekowi, że od tylu lat sam siebie okłamuje?

Przyglądała mu się uważnie, z lekko przechyloną głową studiowała rysy jego twarzy. Wiatr zaróżowił mu policzki i rozwiął jego ciemne włosy.

Simon czuł się dość nieswojo pod baczny spojrzeniem dziewczyny, zakasłał w końcu i powiedział:

- Pozostajemy w tyle.

Daphne spojrzała w stronę zbrocza. Jej rodzina znajdowała się dobry kawałek drogi przed nimi.

- Tak, istotnie - odparła, rozprostowując ramiona. - Powinniśmy przyspieszyć kroku.

Ale wspinając się z mozołem pod górę, nie myślała wcale o swojej rodzinie, o Obserwatorium ani nawet o długości geograficznej. Zastanawiała się, dlaczego tak niesamowicie pragnie wziąć księcia w ramiona i już nigdy go nie wypuścić.

Kilka godzin później wszyscy byli z powrotem na porośniętym trawą brzegu Tamizy i rozkoszowali się ostatnimi kęsami wykwintnego aczkolwiek skromnego drugiego śniadania, przygotowanego przez kucharkę rodziny Bridgertonów. Tak jak poprzedniego wieczoru Simon odzywał się niewiele, obserwował natomiast zaskakujące często zachowanie członków rodziny Daphne.

Ale Hiacynta miała inny pomysł.

- Dzień dobry waszej wysokości - przywitała się, sadowiąc się obok niego na kocu, który jeden z lokajów rozłożył przed rozpoczęciem śniadania. - Czy miał pan udaną wycieczkę do Obserwatorium?

Simon nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Naturalnie, Hiacynto. A ty?

- O, bardzo. Szczególnie podobał mi się pański wykład o długości i szerokości geograficznej.

- Cóż, nie wiem, czy można to nazwać wykładem - odparł. Dźwięk tego słowa sprawił, że Simon poczuł się trochę staro i ociężale.

Siedząca na drugim końcu koca Daphne z figlarną miną cieszyła się z jego strapienia.

A Hiacynta uśmiechała się uwodzicielsko - *uwodzicielsko!*

- Czy wiedział pan - spytała - że z Greenwich wiąże się też pewna bardzo romantyczna historia?

Daphne zaczęła pokładać się ze śmiechu; mała zdrajczyni.

- Tak? - zdołał wykrztusić Simon.

- W samej rzeczy - odparła dziewczynka. Mówiła takim wytwornym tonem, jakby w duszy dziesięciolatki siedziała czterdziestoletnia matrona. - To tutaj sir Walter Raleigh rozpostarł na ziemi swój płaszcz, żeby królowa Elżbieta nie musiała w kałuży zabrudzić pantofelków.

- Doprawdy? - Simon wstał, omiatając wzrokiem okolicę.

- Wasza wysokość! - Hiacynta zerwała się na równe nogi, z powrotem przybierając zniecierpliwioną minę dziesięcioletniej dziewczynki. - Co pan robi?

- Sprawdzam teren - odrzekł. Wymienił ukradkowe spojrzenia z Daphne. Patrzyła na niego z taką radością, życzliwością i czymś jeszcze, że poczuł się, jakby miał trzy metry wzrostu.

- Czego pan szuka? - nalegała Hiacynta.

- Kałuż.

- Kałuż? - Zaczynała pojmować, o co mu chodzi, i na jej twarzy powoli zaczął malować się zachwyty. - Kałuż?

- Owszem. Jeśli będę musiał zniszczyć płaszcz dla ratowania twoich pantofelków, Hiacynto, to wolałbym zawczasu o tym "wiedzieć.

- Przecież pan nie ma na sobie płaszcza.

- Na Boga! - odparł Simon takim głosem, że siedząca Daphne wybuchnęła śmiechem. - Czyżbyś sugerowała, że będę musiał zdjąć *koszulę!*

- Nie! - pisnęła Hiacynta. - Nie musi pan niczego zdejmować! Nie ma żadnych kałuż.

- Dzięki Bogu - westchnął z ulgą, poklepując prawą ręką klat-

kę piersiową dla wzmocnienia efektu. Sprawiało mu to większą uciechę, niż mógłby kiedykolwiek marzyć. - Wy, panie Bridgerton, jesteście bardzo wymagające, czy wiedziałyście o tym?

Hiacynta popatrzyła na Simona, a na jej twarzy nieufność mieszała się z rozradowaniem. Nieufność stopniowo wzięła górę. Dziewczynka oparła ręce na swoich wąskich biodrach, przymknęła powieki, tupnęła dwa razy i zapytała:

- Czy pan sobie ze mnie żartuje?

- A jak panienka myśli? - Uśmiechnął się.

- Myślę, że pan żartuje.

- A ja myślę, że mam szczęście, że w pobliżu nie ma żadnych kałuż.

Hiacynta zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Jak się zdecyduje pan ożenić z moją siostrą... - zaczęła.

Daphne zakrztusiła się ciasteczką.

- ...to ma pan moją aprobatę.

Simon zakrztusił się powietrzem.

- W przeciwnym razie - ciągnęła Hiacynta z chytrym uśmieszkiem - byłabym bardzo zobowiązana, gdyby zechciał pan poczekać na mnie.

Na szczęście dla Simona, który miał niewielkie doświadczenie z małymi dziewczynkami i nie wiedział, co powiedzieć, obok nich przebiegł Gregory i pociągnął siostrę za włosy. Ta natychmiast rzuciła się w pogoń za bratem, a jej twarz pałała chęcią zemsty.

- Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale chyba zostałeś przed chwilą uratowany przez mojego młodszego brata - powiedziała Daphne ze śmiechem.

- Ile lat ma Hiacynta?

- Dziesięć, bo co?

Potrząsnął głową, oszołomiony.

- Bo przez chwilę mógłbym przysiąc, że czterdzieści.

Daphne wyszczerzyła zęby.

- Czasami tak bardzo przypomina matkę, że aż ogarnia mnie przerażenie.

W tym momencie kobieta, o której była mowa, wstała i zaczęła wzywać dzieci do powrotu na jacht.

- Chodźcie wszyscy! - wołała Violetta. - Robi się późno!
Simon zerknął na swój kieszonkowy zegarek.

- Dopiero trzecia.

Daphne wstała z koca i wzruszyła ramionami.

- Dla niej już jest późno. Według matki dama zawsze powinna być w domu o piątej.

- Dlaczego?

Schyliła się po koc.

- Nie mam pojęcia. Pewnie, żeby się przygotować do wieczoru. To jedna z tych zasad, według których się wychowałam, i uważałam, że najlepiej ich nie kwestionować. - Wyprostowała się, przyciskając do piersi miękką, niebieską koca.

- Jesteśmy gotowi do drogi? - spytała z uśmiechem.

Simon wyciągnął rękę.

- Oczywiście.

Kiedy przeszli kilka kroków w kierunku łodzi, Daphne powiedziała:

- Bardzo ładnie radziłeś sobie z Hiacynta. Musiałeś spędzić dużo czasu wśród dzieci.

- Ani jednej chwili - odrzekł zwięźle.

- Hmm - mruknęła, a jej twarz ozdobił wyraz zaskoczenia. - Wiedziałam, że nie masz rodzeństwa, sądziłam jednak, że miałeś kontakt z jakimiś dziećmi w czasie swoich wojaży.

- Nie.

Daphne milczała przez chwilę. Zastanawiała się, czy powinna kontynuować rozmowę. Simon odpowiadał jej szorstkim, opryskliwym głosem, a jego twarz...

Nie przypominał tego samego mężczyzny, który zaledwie kilka minut wcześniej przekomarzał się z Hiacynta.

Ale z jakiegoś powodu - może dlatego, że popołudnie było takie udane, a może wskutek ładnej pogody - zdobyła się na promienny uśmiech i oznajmiła:

- Cóż, nabyłeś doświadczenia czy nie, w każdym razie masz dobry kontakt z młodzieżą. Inni dorośli nie potrafią rozmawiać z dziećmi, a ty potrafisz.

Księżę milczał.

Poklepała go po ramieniu.

- Któregoś dnia jacyś mali szczęściarze będą mieli w twojej osobie wspaniałego ojca.

Gwałtownie obrócił głowę w jej stronę, a spojrzenie jego lodowatych oczu omal nie zmroziło dziewczynie krwi w żyłach.

- Przecież już ci mówiłem, że nie zamierzam się ożenić - odrzekł. - Nigdy.

- Lecz ty pewnie...

- A zatem to niemożliwie, abym kiedykolwiek miał dzieci.

- Ro... rozumiem - Daphne przełknęła nerwowo ślinę i próbowała zdobyć się na słaby uśmiech. Miała jednak uczucie, że zdobyła się tylko na lekkie drżenie warg. A choć wiedziała, że ich zaloty stanowią jedynie fikcję, przeżyła lekkie rozczarowanie.

Dotarli na skraj przystani, gdzie krzątała się większość pozostałych członków rodziny Bridgertonów. Kilka osób weszło już na pokład, a Gregory skakał po trapie.

- Gregory! - zawołała ostrym tonem Violetta. - Natychmiast masz przestać!

Uspokoił się, ale pozostał na miejscu.

- Albo wejdź na pokład, albo wracaj na przystań.

Simon uwolnił rękę z ramienia Daphne.

- Ten trap wydaje się mokry - mruknął i ruszył naprzód.

- Słyszałeś mamę! - wykrzyknęła Hiacynta.

Och, Hiacynto, westchnęła w duchu Daphne. Po co się wtrącasz?

Gregory pokazał język.

Daphne jęknęła, po czym zauważyła, że Simon wciąż idzie w kierunku trapu. Dogoniła go i szepnęła:

- Simonie, na pewno nic mu nie będzie.

- Może się poślizgnąć i wpaść między liny. - Wskazał podbródkiem na płataninę lin, które zwieszały się z jachtu.

Dotarł do końca trapu, idąc spokojnie, jakby niczym w świecie się nie przejmował.

- Posuniesz się, żebym mógł przejść? - zawołał, wchodząc na wąską deskę pomostu.

Gregory zrobił zdziwioną minę.

- Nie musisz towarzyszyć Daphne?

Simon westchnął ciężko i ruszył pod górę, ale w tym samym momencie u szczytu trapu pokazał się Anthony, który już wcześniej wszedł na pokład małego żaglowca.

- Gregory! - zawołał ostrym głosem. - Natychmiast wejdź na jacht!

Daphne patrzyła z dołu ze zgrozą, jak zdziwiony Gregory odwraca się i traci punkt oparcia na śliskim drewnie. Anthony skoczył przed siebie, wymachując szaleńczo ramionami i próbując złapać brata, ale Gregory już klapnął na tyłek i Anthony schwycił tylko powietrze.

Zanim odzyskał równowagę, Gregory zsunął się już po trapie, siłą rozpędu uderzając księcia w łydki.

- Simon! - zawołała nerwowo Daphne, biegnąc naprzód.

Kiedy książę wpadał do ciemnych wód Tamizy, Gregory wystękał szczerze: - Przepraszam! - i zaczął się z powrotem gramolić po trapie tyłem naprzód - niczym rak - w ogóle nie patrząc, dokąd idzie.

Co prawdopodobnie wyjaśnia jego kompletny brak świadomości, że Anthony - który już prawie odzyskał równowagę - znajdował się tylko kilka stóp za nim.

Gregory staranował brata z głuchym łoskotem i zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, Anthony miotał się w wodzie obok Simona.

Daphne przysłoniła usta dłonią, oczy miała szerokie niczym spodki.

Violetta szarpnęła ją za rękę.

- Proponowałabym, żebyś się nie śmiała.

Dziewczyna zacisnęła usta stosownie do matczynego życzenia, ale okazało się to dosyć trudne.

- Sama się śmiejesz - zauważyła.

- Bynajmniej - skłamała Violetta. Cała jej szyja drżała z wysiłku niezbędnego do utrzymania śmiechu w krtani. - A poza tym jestem matką. Mnie nie ośmiela się nic zrobić.

Anthony i Simon wydostali się na redę, ociekali wodą i spoglądali po sobie.

Gregory przeczołgał się resztę drogi w górę trapu i zniknął po drugiej stronie na pokładzie jachtu.

- Może powinnaś interweniować? - zaproponowała Violetta.

- Ja? - Daphne aż pisnęła.

- Może dojść do rękoczynów.

- Niby dlaczego? To wszystko wina Gregory'ego.

- Oczywiście - odparła niecierpliwie Violetta - ale nie znasz mężczyzn? Obaj są wściekli i zawstydzeni, a nie mogą przecież wyładować złości na dwunastoletnim chłopcu.

W tym momencie usłyszała, jak Anthony wymamrotał: - Byłbym mu pomógł. - A Simon na to: - Gdybyś go nie przestraszył...

Violetta przewróciła oczami.

- Każdy mężczyzna, wkrótce się o tym przekonasz - pouczała córkę - ma nieprzewyciężoną skłonność do zrzucania winy na innych, kiedy boi się, że może wyjść na idiotę.

Daphne pobiegła w stronę brzegu z ambitnym zamiarem przemówienia mężczyznom do rozsądku, ale jeden dokładny rzut oka na ich twarze wystarczył, by zrozumiała, że nie zdoła ich przekonać, mając taki poziom inteligencji i wrażliwości, jaki w podobnej sytuacji miewa kobieta, więc tylko rozpląnęła się w promiennym uśmiechu, chwyciła Simona za łokieć i spytała:

- Pomożesz mi wejść na jacht?

Simon sztyletował wzrokiem Anthony'ego.

Anthony sztyletował wzrokiem Simona.

Dziewczyna szarpnęła ręką.

- To jeszcze nie koniec, Hastings - syknął Anthony.

- Żebyś wiedział, że nie - odsyknął książę.

Daphne uświadomiła sobie, że po prostu szukają pretekstu do bójki. Szarpnęła jeszcze mocniej, gotowa zwichnąć Simonowi rękę, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Po kolejnym wściekłym błysnięciu oczami Simon uspokoił się i udał się za Daphne po trapie na statek.

Powrotny rejs do domu ciągnął się wyjątkowo długo.

Późnym wieczorem tego samego dnia, w czasie przygotowań do snu, Daphne odczuwała dziwny niepokój. "Wie-

działa już, że nie będzie mogła zasnąć, toteż narzuciła na siebie szlafrok i zeszła na dół poszukać ciepłego mleka i jakiegoś towarzystwa. W takiej gromadzie braci i siostr, myślała z goryczą, ictoś musi być jeszcze na nogach.

Po drodze do kuchni usłyszała jakieś szmery w gabinecie Anthony'ego i natychmiast wetknęła głowę do środka. Najstarszy brat pochylał się nad biurkiem, palce miał zaplamione atramentem, jako że odpisywał na listy. Rzadko można było go zastać tutaj o tak późnej porze. Po przeprowadzce do garsoniery postanowił zachować swój gabinet w Bridgerton House, ale na ogół zajmował się interesami w ciągu dnia.

- Nie masz sekretarza do tych spraw? - spytała z uśmiechem.

Anthony podniósł wzrok.

- Przeklęty bałwan ożenił się i wyprowadził do Bristolu - mruknął.

- Aha. - Weszła do pokoju i przycupnęła na krześle przed biurkiem. - To by wyjaśniało twoją poranną obecność w gabinecie.

Anthony zerknął na zegar.

- Północ to raczej nie poranek. A zresztą, cały wieczór musiałem zmywać z włosów Tamizę.

Daphne udało się nie uśmiechnąć.

- Ale masz rację - westchnął, odkładając gęsie pióro. - Już późno, a to wszystko może poczekać do jutra. - Odchylił się do tyłu i rozprostował kark. - Dlaczego nie jesteś w łóżku?

- Nie mogłam zasnąć - wyjaśniła, wzruszając ramionami. - Zeszłam na dół napić się trochę gorącego mleka i usłyszałam, jak klniesz.

Anthony wydał jęk.

- To to cholerne pióro. Klnę się, że... - Uśmiechnął się niepewnie. - Chyba to „klnę się” może zostać, co?

Daphne zrewanżowała się uśmiechem. Bracia nigdy nie zwracali uwagi na język w jej obecności.

- A więc niedługo będziesz jechał do domu?

Kiwnął głową.

- Ale to ciepłe mleko brzmi zachęcająco. Czemu po nie nie zadzwonisz?

Daphne 'wstała.

- Mam lepszy pomysł. Może *przyrządzimy* je sami? Nie jesteśmy skończonymi idiotami. Powinniśmy umieć podgrzać trochę mleka. A poza tym służba na pewno leży już w łózkach.

Anthony wyszedł za nią z gabinetu.

- Doskonale, ale to ty będziesz musiała wykonać całą robotę. Nie mam zielonego pojęcia, jak się gotuje mleko.

- Nie sądzę, żeby trzeba było je ugotować. - Zmarszczyła czoło. Wzięła ostatni zakręt na drodze do kuchni i pchnęła drzwi na oścież. W środku panował mrok, rozjaśniony bijącym z okien blaskiem księżyca.

- Ty znajdź lampę, a ja poszukam mleka - poleciała z uśmiechem. - Umiesz zapalić lampę, prawda?

- Och, na pewno sobie poradzę - odparł dobrodusznie.

Zaczęła przebierać rękami w ciemnościach, uśmiechając się do siebie, i po chwili z przybitego wysoko na ścianie wisząca zdjęła mały rondel. Zwykle była z Anthonym na przyjacielskiej stopie i ucieszyła się, że brat jest z powrotem sobą. Przez ostatni tydzień był w okropnym nastroju, a prawie całą swoją złość wyładowywał bezpośrednio na niej.

Oraz na Simonie, rzecz jasna, tyle że Simon rzadko wchodził na linie strzału skwaszonych min Anthony'ego.

Z tyłu za nią mignęło światło. Daphne odwróciła się i zobaczyła uśmiechającego się triumfalnie brata.

- Znalazłaś mleko, czy muszę wybrać się na poszukiwanie krowy?

Roześmiała się i podniosła butelkę.

- Znalazłam! - Podeszła do zamkniętego pieca kuchennego, zgoła nowoczesnie wyglądającego urządzenia, które kucharz zakupił na początku roku. - Wiesz, jak się go obsługuje?

- Pojęcia nie mam. A ty?

- Też nie - potrząsnęła głową. Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła fajerek. - Nie jest gorący.

- Ani trochę?

- Właściwie, to dosyć zimny.

Brat i siostra milczeli przez kilka chwil.

- Wiesz co - odezwał się wreszcie Anthony - zimne mleko może być równie pokrzepiające.

- Myślałam dokładnie o tym samym!

Anthony uśmiechnął się i poszukał dwóch kubków.

- Proszę, ty nalewasz.

Daphne napełniła oba kubki i niebawem siedzieli już na stołkach, sącząc świeże mleko. Anthony opróżnił swój kubek kilkoma szybkimi łykami i nalał sobie drugi.

- Chcesz jeszcze? - spytał, ścierając mleko z wąsów.

- Nie, prawie nie widać dna - odparła, biorąc kolejny łyk. Oblizywała wargi, wierząc się nerwowo na krześle. Teraz, kiedy przebywała sam na sam z Anthonym, a brat sprawiał wrażenie, że jest z powrotem w swoim zwykłym, dobrym humorze, nadszedł chyba właściwy moment, żeby... Cóż, prawdę mówiąc...

Ach, do diabła, myślała w duchu, nie namyślaj się, po prostu go spytaj.

- Anthony? - bąknęła z lekkim wahaniem. - Czy mogę ci zadać jedno pytanie?

- No jasne.

- Dotyczy księcia.

Kubek brata walnął o stół z głośnym hukiem.

- W czym rzecz?

- Ja wiem, że go nie lubisz... - zaczęła, a każde słowo ciągnęło się prawie w nieskończoność.

- Nie to, że go nie lubię - powiedział z ciężkim westchnieniem. - To jeden z moich najbliższych przyjaciół.

Brwi dziewczyny powędrowały do góry.

- Trudno byłoby to wydedukować z twojego aktualnego zachowania.

- Po prostu nie ufam mu, jeśli chodzi o kobiety. W szczególności jeśli chodzi o ciebie.

- Anthony, musisz wiedzieć, że powiedziałeś teraz największe głupstwo w twoim życiu. Być może księżę był rozpustnikiem - o ile wiem, zapewne dalej nim jest - ale on nigdy by mnie nie uwiódł, choćby dlatego, że jestem twoją siostrą.

Anthony nie wyglądał na przekonanego.

- Nawet gdyby nie istniał męski kodeks honorowy w sprawie takich rzeczy - nie poddawała się Daphne, z najwyższym trudem tłumiąc pokusę przewrócenia oczami - księżę dobrze wie, że go zabijesz, jeśli mnie tknie. Nie jest głupi.

Brat darował sobie komentarz.

- O co chciałaś mnie zapytać?

- Właściwie zastanawiałam się, czy wiesz, dlaczego księżę jest takim strasznym wrogiem małżeństwa.

Anthony rozlał mleko na stół.

- Na miłość boską, Daphne! Wszak ustaliliśmy, że to tylko jest intryga! Czemu w ogóle zastanawiasz się nad wyjściem za niego za mąż?

- Nie zastanawiam się nad tym! - upierała się. Brała pod uwagę, że być może okłamuje brata, ale nie chciała sprawdzić swoich uczuć na tyle, żeby mieć pewność. - Pytam z czystej ciekawości - wymamrotała ustępliwie.

- Lepiej nie snuj żadnych planów zmuszenia go do małżeństwa ze sobą - oznajmił z gniewnym pomrukiem. - Słuchaj mnie uważnie - on nigdy się na to nie zgodzi. Nigdy. Rozumiesz, Daphne? On się z tobą nie ożeni.

- Byłabym idiotką, gdybym ciebie nie rozumiała - odparła gderliwie.

- To dobrze. I na tym koniec tej dyskusji.

- Nie, wcale nie koniec! - zaprotestowała. - Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie.

Anthony posłał jej lodowate spojrzenie.

- Czemu nie chce się ożenić? - nalegała.

- Dlaczego tak cię to interesuje? - spytał znużonym głosem.

Oskarżenia Anthony'ego trochę za bardzo ocierają się o prawdę, pomyślała Daphne, ale powiedziała tylko:

- Jestem ciekawa, a zresztą mam chyba prawo wiedzieć, bo jak nie znajdę szybko odpowiedniego kandydata, to kiedy księżę mnie porzuci, w oczach wszystkich stanę się pariašką...

- Myślałem, że to *ty* miałaś porzucić *jego* - zauważył podejrzliwie.

- A kto w *to* uwierzy? - zachnęła się.

Nie rzucił się natychmiast na jej ratunek, co trochę Da-

phne zdeprymowało, natomiast odpowiedział na jej pytanie:

- Nie mam pojęcia, dlaczego Hastings nie chce się ożenić. Wiem tylko, że podtrzymuje tę opinię, odkąd go znam.

Daphne otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz Anthony nie dał jej dojść do głosu.

- I komunikował to w taki sposób, że nie wierzę, aby to były chwilowe śluby kawalerskie młodzieńca znajdującego się w szponach pazernych matek.

- To znaczy?

- To znaczy, że w przeciwieństwie do większości mężczyzn, kiedy Hastings mówi, że się nie ożeni, to mówi serio.

- Rozumiem.

Anthony odetchnął przeciągle i głęboko, Daphne zaś spostrzegła wokół jego oczu maleńkie zmarszczki zatroskania, których nigdy wcześniej nie widziała.

- Wybierz sobie kogoś z tego nowego tłumu adoratorów - ciągnął - i machnij ręką na Hastingsa. Dobry człowiek z niego, ale nie nadaje się dla ciebie.

Daphne uchwyciła się pierwszej części zdania.

- Skoro uważasz go za dobrego...

- On się dla ciebie nie nadaje - powtórzył Anthony.

Ale Daphne nie mogła przestać myśleć, że być może - tylko być może - brat nie ma racji.

9

Ponownie zauważono księcia Hastingsa w towarzystwie panny Bridgerton (konkretnie panny Daphne Bridgerton, informując tych spośród was, którzy, jak pisząca te słowa, z trudem orientują się w chmarze potomstwa w tej rodzinie). Pisząca te słowa już dawno nie widziała pary tak wyraźnie do siebie przywiązanej.

A jednak to dziwne, że poza wycieczką Bridgertonów do Greenwich, o której informowano na tych łamach przed

dziesięcioma dniami, widuje ich się razem tylko podczas wieczornych imprez. Pisząca te słowa wie z najlepszego źródła, że choć dwa tygodnie temu książkę złożył pannie Bridgerton wizytę w jej domu, gest ów nie został odtąd ponowiony. Mało tego, ani razu nie widziano ich na wspólnej przejażdżce po Hyde Parku!

Kronika towarzyska lady Whistledown, 14 maja 1813

Dwa tygodnie później Daphne znajdowała się w Hampstead Heath i stała na końcu sali balowej lady Trowbridge, z dala od eleganckiego tłumu. Była zupełnie zadowolona ze swego miejsca.

Nie chciała przebywać w centrum fety. Nie chciała, aby tuziny adoratorów z wrzaskiem dopominały się o taniec z nią. Bogiem a prawdą, Daphne w ogóle nie chciała znajdować się w sali balowej lady Trowbridge.

Ponieważ nie było tam Simona.

Nie oznaczało to wcale, że była skazana na spędzenie całego wieczora w charakterze podpory ściany. Wszelkie przewidywania Simona co do rozkwitu jej popularności sprawdziły się i Daphne, dziewczyna dotychczas przez wszystkich lubiana, ale przez nikogo nie adorowana, nagle została obwołana Ideą sezonu. Kto chciał (a że to była socjeta, więc każdy) popisać się własną opinią na ten temat, ten twierdził, iż zawsze wiedział, że Daphne jest chodzącą doskonałością, i tylko czekał, aż inni to zauważą. Lady Jersey opowiadała wszystkim, którzy chcieli słuchać, że od miesięcy przewidywała sukcesy Daphne, i jedyną tajemnicą pozostawało to, dlaczego nikt nie posłuchał jej wcześniej.

Co było oczywiście wierutnym kłamstwem. Wprawdzie Daphne nigdy nie była obiektem pogardy lady Jersey, ale nikt z Bridgertonów nie pamięta, aby słyszał kiedykolwiek, jak lady Jersey nazywa ją „Jutrzejszym skarbem” (jak czyni to obecnie).

Choć karnet Daphne zapełniał się teraz już w kilka minut od pojawienia się jej w sali balowej i choć mężczyźni kłócili się o przywilej przyniesienia jej szklaneczki lemoniady (kiedy doszło do tego po raz pierwszy, omal nie ryknęła śmie-

chem), Daphne doszła do wniosku, że żaden wieczór nie staje się naprawdę pamiętny, jeśli u jej boku nie ma Simona.

Nie miało znaczenia, że księżę najwyraźniej uznał za konieczne przypomnienie co najmniej raz każdego wieczora, że jest nieprzejednanym wrogiem instytucji małżeństwa. (Trzeba mu jednak przyznać, że przeważnie okraszał to wyrazami wdzięczności dla Daphne za wybawienie go od namiętności Ambitnych Matek). I nie miało znaczenia, że od czasu do czasu pogrążał się w milczeniu, a nawet bywał prawie ordynarny wobec niektórych członków socjety.

Znaczenie miały tylko te chwile, kiedy byli niezupełnie sami (zupełnie sami nie bywali nigdy), a jednak jakimś sposobem pozostawieni sami sobie. Wesoła rozmowa w kącie, walc wkoło parkietu. Daphne spoglądała w jego jasnoblękitne oczy i prawie zapominała o tym, że otacza ją pięćset gapiów, bez wyjątku nadmiernie zainteresowanych stanem jej zalotów.

I prawie zapominała o tym, że jej zaloty to całkowita mistyfikacja.

Nie próbowała ponownie rozmawiać z Anthonym na temat Simona. Antypatia brata wyraźnie rzucała się w oczy. A kiedy faktycznie dochodziło do spotkania obu panów - cóż, Anthony zwykle zachowywał się nad wyraz uprzejmie, ale nie było go chyba stać na nic 'więcej.

Nawet pośród tych wszystkich niesnasek potrafiła jednak dostrzec przebłyski starej przyjaźni między nimi. Mogła tylko żywić nadzieję, że jak już raz to wszystko się skończy - i wyjdzie za jakiegoś nudnego, choć kulturalnego lorda, który nigdy naprawdę nie zdoła rozśpiewać jej duszy - wtedy obaj panowie zostaną z powrotem najlepszymi przyjaciółmi.

Na kategoryczne żądanie Anthony'ego Simon przestał uczestniczyć w każdym spotkaniu towarzyskim, na które Violetta i Daphne otrzymywały i przyjmowały pisemne zaproszenia. Anthony stwierdził, że przystał na ten idiotyczny plan tylko po to, by umożliwić siostrze znalezienie męża w tłumie nowych zalotników. Na nieszczęście, zdaniem Anthony'ego (a na szczęście, zdaniem Daphne) żaden z tych młodych gorliwców nie ośmielał się zbliżyć do niej w obecności księcia.

- Cholerna z tego korzyść - oto własne słowa Anthony'ego.

Szczerze mówiąc, jego wypowiedź była okraszona masą przekleństw i inwektyw, ale Daphne nie widziała powodu, by się nad tym rozwodzić. Od incydentu nad Tamizą - a raczej w Tamizie - Anthony poświęcał mnóstwo czasu na okraszanie imienia księcia przeróżnymi ozdobnikami.

Tenże jednak rozumiał punkt widzenia Anthony'ego i powtarzał Daphne, że chce, aby znalazła dobrego męża.

Tak więc Simon trzymał się na uboczu.

A Daphne była nieszczęśliwa.

Powinna była wiedzieć, myślała często, że będzie nieszczęśliwa. Powinna była zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa wynikającego z wystawienia się na zaloty - nawet fałszywe - mężczyzny, któremu socjeta nadała ostatnio miano Zabójczego Księcia.

Przydomek ten zrodził się w dniu, w którym Philipa Featherington określiła Simona jako „zabójczo przystojnego”, a ponieważ Philipa nie znała znaczenia słowa „szept”, cała socjeta została zapoznana z jej opinią. W kilka chwil jakiś ucieszny młody byczek prosto z Oksfordu dokonał przeróbki i powstał Zabójczy Książę.

Daphne uznawała ten przydomek za boleśnie ironiczny. Dlatego że Zabójczy Książę zabijał jej duszę.

Nie, żeby robił to z rozmysłem. Traktował ją wyłącznie z szacunkiem, czcią i humorem. Nawet Anthony musiał przyznać, że książę nie daje mu żadnych powodów do narzekań pod tym względem. Simon nigdy nie próbował znaleźć się z Daphne sam na sam, nigdy nie posuwał się do niczego więcej niż ucałowanie jej dłoni w rękawiczce (a ku wielkiemu zmartwieniu Daphne zdarzyło się to tylko dwa razy).

Stali się najlepszymi kompanami, ich rozmowy wahały się od niekrępującej ciszy do najzjadliwszych docinków. Na przyjęciach tańczyli ze sobą dwa razy - na więcej nie można było sobie pozwolić, aby nie gorszyć socjety.

A Daphne nie miała już cienia wątpliwości, że zaczyna go kochać.

Była to ironia losu. Wszak ona postanowiła spędzać tyle

czasu w towarzystwie Simona z rozmysłem, aby przyciągnąć innych kawalerów. Ze swej strony Simon postanowił spędzać czas w *jej* towarzystwie, aby móc uniknąć małżeństwa.

Na dobrą sprawę, myślała Daphne, kuląc się pod ścianą, ironia losu była dokuczliwie bolesna.

Choć Simon wciąż trwał przy swojej opinii na temat małżeństwa i postanowieniu, aby nigdy tego błogosławionego związku nie zawrzeć, od czasu do czasu przyłapywała go jednak na tym, że patrzył na nią tak, jakby jej pożądał. Nigdy nie powtórzył bodaj jednej ryzykownej uwagi, które poczynił, zanim się dowiedział, że należała do rodziny Bridgertonów, ale czasami przyłapywała go na tym, że wpatruje się w nią tak samo chciwie i bezwstydnie, jak owego pierwszego wieczoru. Naturalnie odwracał wzrok, w chwili gdy napotkał jej oczy, ale wystarczył moment, by przeszły po niej ciarki i skrócił jej się oddech z pożądania.

A te jego oczy! Ich kolor przyrównywali wszyscy do lodu i kiedy Daphne obserwowała go, jak rozmawiał z innymi członkami socjety, rozumiała dlaczego. Przy innych Simon nie był już tak elokwentny jak przy niej. Jego wypowiedzi były bardziej skrótkowe, ton bardziej obcesowy, a z oczu wycierał chłód.

Kiedy zaś śmiali się razem, tylko we dwoje szydzili z jakiejś idiotycznej reguły socjety, oczy Simona zupełnie się zmieniały. Stawały się łagodniejsze, życzliwsze, bardziej bez troskie. W chwilach kiedy puszczała wodze fantazji, zdawało jej się nieomal, że oczy Simona robią się maślane.

Westchnęła, jeszcze mocniej opierając się o ścianę. Zdawało się, że bujanie na skrzydłach fantazji przytrafia się jej ostatnio coraz częściej i częściej.

- Hej tam, Daff, dlaczego czaisz się w kącie?

Daphne podniosła wzrok i zobaczyła zbliżającego się Colina. Do przystojnej twarzy przyklejony miał swój zwykły, chełpliwy uśmiech. Od powrotu do Londynu brał miasto szturmem i Daphne z łatwością mogła wymienić tuzin młodych dam, *bezwzględnie* przekonanych, że są w nim zakochane po uszy, i *rozpaczliwie* starających się zwrócić na sie-

bie jego uwagę. Jednak nie martwiła się o ewentualne odwzajemnienie przez brata jednego z tych uczuć; Colin miał najwyraźniej ochotę dłużej poszaleć, zanim się ustatkuje.

- Wcale się nie chowam - poprawiła go. - Ja tylko unikam.

- Kogo? Hastingsa?

- Nie, ależ skąd. I tak go tutaj dzisiaj nie ma.

- Owszem, jest.

Ponieważ to był Colin, którego głównym celem w życiu (oczywiście poza uganianiem się za wolnymi kobietami i obstawianiem koni) było dręczenie siostry, Daphne zamierzała początkowo zrobić zblazowaną minę, ale odbiła się od ściany i spytała: - Czyżby?

Brat uśmiechnął się chytrze i wskazał podbródkiem w stronę wejścia na salę balową.

- "Widziałem, jak wchodził niecały kwadrans temu.

Daphne zwięzła oczy.

- Nabierasz mnie? Wyraźnie powiedział, że dzisiaj go nie będzie.

- A mimo to przyszłaś? - Colin przyłożył dłonie do policzków w geście udawanego zaskoczenia.

- No pewnie - odparła. - Moje życie nie toczy się wokół Hastingsa.

- Czyżby?

Daphne aż ścisnęło w żołądku na samą myśl, że tym razem być może Colin wcale nie żartuje.

- Nie, wcale nie - skłamała przez zaciśnięte zęby. Jej życie może i nie toczyło się wokół Simona, ale myśli z pewnością tak.

Smaragdowe oczy brata zrobiły się nietypowo poważne.

- Ale chciałybyś, prawda?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Uśmiechnął się z wyższością.

- Zrozumiesz.

- Colin!

- Przecież... - kiwnął głową do tyłu w stronę wejścia - możesz pójść i go poszukać. Mój błyskotliwy umysł najwyraź-

niej błędnie w porównaniu. Widzę, że już przebierasz nogami, żeby ode mnie uciec.

Przerażona, że ciało może zdradzić ją w ten sposób, spuściła wzrok.

- Cha, cha, cha! Zmusiłem cię do spojrzenia.

- Colinie Bridgerton - zazgrzytała Daphne - jak Boga kocham, czasami wydaje mi się, że masz dopiero trzy lata.

- Ciekawy pomysł - zadumał się. - Zgodnie z nim byłabyś półtoraroczną smarkułą, siostrzyczko.

Z braku odpowiednio ciętej riposty Daphne zrobiła tylko najkwaśniejszą z repertuaru swoich min.

Ale Colin jedynie się roześmiał.

- Pociągająca mina, bez dwóch zdań, siostruniu, jedna z tych, które chyba wolałabyś usunąć ze swojej buzi. Jego Zabójczość kieruje się w tę stronę.

Tym razem Daphne nie chciała dać się złapać na jego przynętę. Nie uda mu się *zmusić jej do spojrzenia*.

Colin pochylił się ku przodowi i powiedział konspiracyjnym szeptem:

- Tym razem nie żartuję, Daff.

Przybrała obojętną minę.

Brat zachichotał.

- Daphne! - zabrzmiał głos Simona. Tuż obok jej ucha. Obróciła się na pięcie.

Chichot Colina przybrał na serdeczności.

- Naprawdę powinnaś mieć więcej zaufania do swego ulubionego brata, kochana siostrzyczko.

- *On* jest twoim ulubionym bratem? - zdziwił się Simon, strosząc z niedowierzaniem ciemną brew.

- Tylko dlatego, że Gregory wczoraj w nocy włożył mi do łóżka ropuchę - odgryzła się Daphne - a Benedict nie poprawił jeszcze lokaty po tym, jak urwał głowę mojej ukochanej lalce.

- Ciekawe, co takiego zmalował Anthony, że nawet nie zasługuje na wzmiankę honorową? - mruknął Colin.

- Nie masz niczego do roboty gdzieś indziej? - spytała uszczypliwie.

- Nie za bardzo. - Colin wzruszył ramionami.
- Czyż nie wspominałeś mi, że obiecałeś taniec Pruden-
cji Featherington?
- Jak Bożię kocham, nie wspominałem. Musiałaś się prze-
słyszeć.

- To może matka cię szuka. No i faktycznie, chyba sły-
szę, jak woła twoje imię.

Colin zaśmiewał się ze zgryzoty siostry.

- Nie powinnaś walić prosto z mostu - oznajmił scenicz-
nym szeptem, tak że księżę usłyszał każde słowo. - Jeszcze
się domyśli, że ci się podoba.

Simon aż zadrżał z pohamowanej ostatek sił radości.

- Nie chodzi mi o zapewnienie sobie towarzystwa księcia -
powiedziała kwaśno. - Chcę się tylko uwolnić od twojego.

Brat przycisnął rękę do klatki piersiowej.

- Ranisz me serce, Daff - rzekł i odwrócił się do Hasting-
sa. - Ach, jakże ona rani me serce.

- Minałeś się z powołaniem, Bridgerton - zauważył we-
soło Simon. - Powinieneś występować na scenie.

- Ciekawy pomysł - odparł Colin - ale mógłby przypra-
wić matkę o atak hysterii. - Oczy mu rozblęły. - Niezły kon-
cept. I to teraz, gdy przyjęcie zaczęło robić się takie nudne.
Życzę udanego wieczoru. - Złożył elegancki ukłon i odszedł.

Daphne i Simon bez słowa przyglądali mu się, jak znika
w tłumie.

- Jak usłyszysz czyjś okrzyk, to na pewno wydała go mo-
ja matka.

- A łoskot będzie znaczył, że straciła przytomność i upa-
dła na podłogę?

Dziewczyna skinęła głową, na jej ustach igrał niepewny
uśmiech.

- Ależ oczywiście. - Odczekała chwilę, po czym dodała: -
Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

Wzruszył ramionami, czarny materiał wieczorowego sur-
duta marszczył się lekko przy każdym ruchu ciała.

- Nudziło mi się.

- Nudziło ci się, więc postanowiłeś przejechać taki kawał

drogi do Hampstead Heath, aby wziąć udział w dorocznym balu lady Trowbridge? - Jej brwi uniosły się do góry. Hampstead Heath leżało dobre siedem mil od Mayfair, co najmniej godzinę jazdy w najlepszych warunkach, a jeszcze dłużej w nocy, zwłaszcza takiej jak ta, kiedy cała socjeta stała w korkach na ulicach Londynu. - Wybacz, lecz zaczynam wątpić w twój zdrowy rozsądek.

- Sam zaczynam w niego wątpić - mruknął.

- Cóż, tak czy siak, cieszę się, że jesteś - westchnęła z uczuciem zadowolenia. - To był upiorny wieczór.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową.

- Wszyscy zadreżczali mnie pytaniami o ciebie.

- No proszę, to się robi ciekawe.

- Zastanów się, co mówisz. Zaczęło się od mojej matki. Chce wiedzieć, dlaczego w ogóle nie składasz mi wizyt po południu.

Simon nachmurzył się.

- Uważasz je za konieczne? Sądziłem raczej, że moja niepodzielna uwaga na takich wieczorkach starczy do przeprowadzenia intrygi.

Daphne sama była zdziwiona, że nie warknęła ze złości. Nie musiał mówić tak, jakby to była jakaś ciężka harówka.

- Twoja niepodzielna uwaga - odparła - może starczyć do oszukania wszystkich oprócz mojej matki. Jej chodzi tylko o to, że twoje powstrzymywanie się od odwiedzin zostało opisane w *Whistledownie*.

- Doprawdy? - spytał z wielkim zainteresowaniem.

- Doprawdy. Więc lepiej przyjdź jutro, bo co ludzie powiedzą?

- Ciekawe, kim są szpiegzy tej kobiety - mruknął. - Chętnie wynająłbym ich dla siebie.

- Do czego potrzebujesz szpiegów?

- Do niczego. Ale to chyba szkoda, by takie wybitne talenty miały się marnować.

Daphne miała wątpliwości, czy mityczna lady Whistledown zgodziłaby się, że ktoś się tu marnuje, ale nie chciała

dać się 'wciągnąć' w dyskusję na temat zalet i wad tego brukowca, tak więc skwitowała jego uwagę wzruszeniem ramion.

- A potem - kontynuowała - kiedy skończyła ze mną matka, zbiegli się pozostali, a ci byli jeszcze gorsi.

- Boże uchowaj.

Posłała mu cierpkie spojrzenie.

- Z wyjątkiem jednej osoby wszystkie były kobietami, i choć prześcigały się w uprzejmościach, najwyraźniej próbowały dociec, na ile jest to prawdopodobne, że do naszych zaręczyn nie dojdzie.

- Powiedziałaś im, że jestem rozpaczliwie w tobie zakochany, mam nadzieję?

Daphne poczuła, że coś jej się przekręca na drugą stronę w klatce piersiowej.

- Tak - skłamała, obdarzając go przesłodzonym uśmiechem. - Było nie było, muszę dbać o moją reputację.

Simon roześmiał się.

- W takim razie kim był ten samotny interlokutor?

Wykrzywiła usta.

- Właściwie to był inny książę. Dziwny staruszek, twierdzi, że przyjaźnił się z twoim ojcem.

Twarz Simona nagle stężała.

Daphne jedynie wzruszyła ramionami, nie dostrzegając zmian w wyrazie jego twarzy.

- Opowiadał bez końca, jakim *dobrym księciem* był twój ojciec. - Roześmiała się lekko, próbując naśladować głos starca. - Nie miałam zielonego pojęcia, że wy, książęta, musicie aż tak uważać na siebie wzajemnie. Bądź co bądź, nie życzymy sobie, aby jakiś niewydarzony książę ukazywał tytuł w złym świetle.

Simon nie odpowiedział.

Daphne zamyśliła się i popukała kilka razy palcem w policzek.

- Wiesz, że właściwie nigdy w mojej obecności nie wspomniałeś o swoim ojcu?

- Dlatego, że nie chcę o nim dyskutować - odparł szorstko.

Zamrugała zaniepokojona.

- Czy coś się stało?
- Nic a nic - odrzekł łamiącym się głosem.
- Ach. - Przyłapała się na przygryzaniu dolnej wargi i zmusiła się do poskromienia ciekawości. - No, to nie będę pytała.
- Powiedziałem, że *nic się nie stało*.
- Oczywiście - odparła, zachowując obojętność w głosie.
Zapanowała długa, męcząca cisza. Daphne bawiła się niezgrabnie materiałem swoich spódnic, a w końcu oznajmiła:
- Pięknych kwiatów użyła lady Trowbridge do dekoracji, nie uważasz?
Simon poszedł wzrokiem za jej ręką wskazującą duże zgrupowanie różowych i białych róż.

- Tak.

- Ciekawe, czy sama je wyhodowała.

- Nie mam pojęcia.

Kolejna chwila kłopotliwej ciszy.

- Róże są bardzo trudne do hodowania.

Tym razem odpowiedź Simona ograniczyła się do chrząknięcia.

Daphne zakasłała, a potem, kiedy nawet na nią nie spojrział, zapytała:

- Czy próbowałeś już lemoniady?

- Nie pijam lemoniady.

- Cóż, a ja tak - rzuciła, dochodząc do wniosku, że ma już tego dosyć. - Chce mi się pić. Zatem wybaczyć, proszę, pójdę na szklaneczkę i pozostawię cię w tym ponurym nastroju. Na pewno znajdziesz kogoś bardziej ode mnie zajmującego.

Odwróciła się, żeby odejść, ale nim zdążyła postawić bodaj jeden krok, poczuła na ramieniu ciężką dłoń. Spuściła wzrok, zahipnotyzowana przez chwilę widokiem jego dłoni w białej rękawiczce, spoczywającej na brzoskwińowym jedwabiu jej sukni. Wpatrywała się w tę dłoń, czekając nieomal, ażeby się przesunęła, żeby ześlizgnęła się wzdłuż jej ramienia i opadła na gołą skórę łokcia.

Ale oczywiście on by tego nie uczynił. Takie rzeczy robił tylko w jej marzeniach.

- Daphne, proszę - powiedział - odwróć się do mnie.

Jego głos był niski, pełen napięcia, że aż zadrżała.

Odwróciła się, a gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, księżę rzekł:

- Przyjmij, proszę, moje przeprosiny.

Kiwnęła głową.

Jednakże on najwyraźniej czuł potrzebę dalszych wyjaśnień.

- Ja nie... - urwał i zakasłał cicho w zaciśniętą dłoń - nie byłem w dobrych stosunkach z moim ojcem. Ja... ja nie lubię o nim rozmawiać.

Spoglądała na niego zafascynowana. Nigdy dotąd nie przyłapała go na takich trudnościach w mówieniu.

Zrobił długi wydech, dając upust złości. To dziwne, myślała, ponieważ Simon wydawał się zły na samego siebie.

- Kiedy o niego spytałaś... - Potrząsnął głową, jak gdyby chciał zmienić kierunek rozmowy. - To zaprzęta mój umysł. Nie mogę przestać o nim myśleć. To do... doprowadza mnie do strasznej złości.

- Przepraszam - odparła. Wiedziała, że na jej twarzy widać zakłopotanie. Doszła do wniosku, że powinna coś dodać, ale nie wiedziała jakich użyć słów.

- Nie na ciebie - dodał szybko, a jego błękitne oczy skoncentrowały się na niej. Miała wrażenie, jakby coś zaczynało w nich jaśnieć. Również twarz Simona zdawała się rozprężyć, zwłaszcza te głębokie bruzdy, które uformowały się wokół ust. Przełknął nerwowo.

- Jestem zły na siebie.

- I najwyraźniej na swego ojca także - wyszeptała.

Nie odpowiedział. Daphne wcale tego nie oczekiwała. Jego dłoń wciąż spoczywała na jej ramieniu. Nakryła ją swoją -własną.

- Nie chciałbyś łyknąć trochę świeżego powietrza? - spytała miękko. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś go potrzebował.

Skinął potakująco.

- Ty zostań. Anthony skróci mnie o głowę, jeśli wyprowadzę cię na taras.

- Anthony może się wypchać, jeśli o mnie chodzi. - Usta

Daphne zacisnęły się ze złości. - Po dziurki w nosie mam tej jego stałej asysty.

- On tylko stara się być dla ciebie dobrym bratem.

Rozchyliła wargi, skonsternowana.

- Po czyjej stronie właściwie jesteś?

- Doskonale. Ale tylko krótki spacerok - zignorował sprytnie jej pytanie. - Anthonym mogę się zająć, ale jak wezwie na pomoc twoich pozostałych braciszków, to już po mnie.

Drzwi na taras znajdowały się o parę kroków od nich. Daphne kiwnęła głową w ich stronę, a dłoń Simona zsunęła się po jej ramieniu i zatrzymała w zgięciu łokcia.

- Zresztą na tarasie przebywają tuziny par - stwierdziła. - Nie będzie mógł mieć pretensji.

Zanim jednak zdążyli wyjść na zewnątrz, za ich plecami rozległ się gromki męski głos.

- Hastings'.

Simon zatrzymał się i odwrócił głowę, uświadamiając sobie ze smutkiem, że przyzwyczał się już do tego nazwiska. Niebawem zacznie uważać je za własne.

Świadomość tego w jakiś sposób sprawiła mu przykrość.

W ich kierunku kuśtykał starszawy mężczyzna, podpierając się laską.

- To właśnie ten książę, o którym ci wspominałam - powiedziała Daphne. - Książę Middlethorpe, jak mi się zdaje.

Simon skinął lekko głową; nie miał ochoty na jakąkolwiek rozmowę.

- Hastings! - zawołał starzec, poklepując go po ramieniu. - Od dawna chciałem pana poznać. Jestem Middlethorpe. Pański ojciec był moim dobrym przyjacielem.

Simon ponownie ograniczył się do kiwnięcia głową, powtarzając go z niemal wojskową precyzją.

- Wie pan, on za panem tęsknił. W czasie pańskich podróży po świecie.

W Simonie zaczęła wzbierać wściekłość. "Wściekłość, która sprawiła, że język mu spuchł, a policzki zdrętwiały. "Wiedział, bez cienia wątpliwości, że jeśli spróbuje coś powie-

dzieć, jego wymowa będzie taka sama, jak wówczas, kiedy był ośmioletnim chłopcem.

A nigdy w życiu nie skompromituje się w taki sposób przy Daphne.

- O? - bąknął bez zająknięcia. Nie wiedział, jak tego dokonał - może dlatego, że poza słowem „ja” nie miał większych trudności z wymawianiem słów jednosylabowych. Cieszył się, że jego głos zabrzmiał ostro i protekcjonalnie.

Jeśli nawet starzec dosłyszał w nim złośliwość, nie dał tego po sobie poznać.

- Byłem przy nim, kiedy umierał - powiedział.

Simon milczał.

Daphne - niech ją Bóg błogosławi - chwyciła za oręż w postaci współczucia.

- Jezu Chryste - wyszeptała.

- Prosił, abym przekazał panu szereg wiadomości. Mam w domu kilka listów.

- Proszę je spalić.

Daphne aż zatkało, lecz chwyciła starego księcia za rękę.

- Och, nie, proszę tego nie robić. Może nie chce ich oglądać teraz, ale w przyszłości z pewnością zmieni zdanie.

Simon obrzucił ją lodowatym spojrzeniem, po czym zwrócił się do księcia Middlethorpe'a:

- Powtarzam, proszę je spalić.

- Ja... ach... - Na twarzy Middlethorpe'a malowała się bezradność i zakłopotanie. Musiał wiedzieć, że stary i młody Basset żyli w niezgodzie, ale najwyraźniej zmarły książę nie wyjawiał mu całej prawdy o przyczynie oziębienia stosunków. Patrzył na Daphne, wyczuwając w niej ewentualnego sojusznika.

- Poza listami - rzekł do dziewczyny - były także różne inne sprawy, które zgodnie z wolą zmarłego miałem przekazać młodemu Hastingsowi ustnie. Mógłbym uczynić to teraz.

Ale Simon puścił już rękę Daphne i wymknął się na taras.

- Tak mi przykro - powiedziała do Middlethorpe'a. Czuła potrzebę przeproszenia starca za okrutne zachowanie Simona. - Jestem pewna, że nie chciał być niegrzeczny. - Wyraz twarzy Middlethorpe'a przekonał ją, że starszy pan *dobrze wiedział*, iż

Simon chciał być niegrzeczny. Nie dawała jednak za wygraną.
- Jest trochę przewrażliwiony na punkcie swojego ojca.

Middłethorpe pokiwał głową.

- Książę ostrzegał mnie, że syn tak będzie reagował. Jednakże oznajmił to ze śmiechem, a później opowiedział jakiś dowcip na temat próżności Bassetów. Wie pani, odniosłem wówczas wrażenie, że nie mówił tego na serio.

Daphne wyglądała nerwowo na taras przez otwarte drzwi.

- Najwyraźniej na serio - mruknęła. - Chyba powinnam się z nim zobaczyć.

Middłethorpe kiwnął głową.

- Proszę tych listów nie palić - powiedziała.

- Ani mi się śni. Lecz...

Daphne zrobiła już pierwszy krok w kierunku drzwi na taras, ale odwróciła się sparaliżowana tonem głosu starca.

- Tak, słucham? - spytała.

- Nie jestem człowiekiem zdrowym - oznajmił Middłethorpe. - Ja... Lekarz twierdzi, że to może nastąpić w każdej chwili. Czy mogę powierzyć te listy pani opiece?

Wybałuszyła oczy na księcia i oniemiała ze zdumienia i zgrozy. Zdumienia - bo nie mieściło jej się w głowie, że Middłethorpe mógłby powierzyć taką poufną korespondencję młodej kobiecie, którą poznał niecałą godzinę temu. Zgrozy - dlatego, że gdyby zaakceptowała jego prośbę, Simon nigdy by jej tego nie wybaczył.

- Czy ja wiem - odparła nieswoim głosem. - Obawiam się, że nie jestem właściwą osobą.

Poorana zmarszczkami twarz księcia wypogodziła się.

- Chyba właśnie pani może okazać się najwłaściwszą osobą - powiedział łagodnym tonem. - Ufam, że znajdzie pani odpowiedni moment na oddanie mu tych listów. Czy mogę kazać je pani dostarczyć?

Pokiwała w milczeniu głową. Nie wiedziała, co mogłaby zrobić innego.

Middłethorpe podniósł laskę i wymierzył ją w stronę tarasu.

- A teraz, niechże już pani do niego idzie.

Daphne poszukała wzroku starego księcia, skłoniła głowę.

wę i pośpieszyła na zewnątrz. Taras rozjaśniało zaledwie kilka kinkietów, toteż wokół panował mrok i tylko dzięki blaskowi księżycy zdołała dojrzeć w rogu twarz Simona. Stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i z nachmurzoną miną patrzył na trawnik, który ciągnął się w nieskończoność, ale Daphne była pewna, że Simon nie uświadamia sobie niczego prócz swoich własnych, gwałtownych emocji.

Ruszyła cicho w jego kierunku, chłodny wiatr stanowił miłą odmianę po dusznym powietrzu w zatłoczonej sali balowej. Zewsząd sączył się cichy szmer głosów, który wskazywał, że nie są na tarasie sami, ale ona nie dostrzegała nikogo w nikłym świetle. Zapewne reszta gości postanowiła odizolować się -w ciemnych zakątkach. A może zeszła po stopniach do ogrodu i siedziała na ławkach.

Zbliżała się do Hastingsa z zamiarem powiedzenia czegoś w rodzaju: „Byłeś bardzo niegrzeczny -wobec księcia” albo „Dlaczego jesteś taki zły na swojego ojca?”, ostatecznie jednak zadecydowała, że nie czas sondować jego uczucia, toteż kiedy znalazła się obok niego, wsparła się tylko na balustradzie i rzekła:

- Szkoda, że nie wdać gwiazd.

Spojrzał na nią, najpierw ze zdziwieniem, a potem z ciekawością.

- W Londynie w ogóle nie można ich zobaczyć - stwierdziła, celowo nadając swemu głosowi pewną lekkość. - Albo lampy palą się zbyt jaskrawię, albo kłębi się mgła. A czasami w powietrzu jest po prostu tyle brudu, że nie można nic zobaczyć. - Wzruszyła ramionami i znowu podniosła wzrok na zachmurzone niebo. - Miałam nadzieję, że uda mi się dostrzec je tutaj, w Hampstead Heath. Niestety, chmury odmówiły mi swej -współpracy.

Nastąpiła bardzo długa chwila milczenia. Wreszcie Simon zakasłał i spytał:

- Czy wiesz, że na półkuli południowej gwiazdy są zupełnie inne?

Nie zdawała sobie sprawy z napięcia nerwowego, w jakim się znajdowała, dopóki nie poczuła, jak całe jej ciało rozluź-

niło się na dźwięk głosu Simona. Widocznie próbował przywrócić pogodny nastrój ich wspólnego wieczoru i z radością mu na to pozwoliła. Spojrzała na niego pytająco.

- Nie żartujesz?

- Nie, ani trochę. Zajrzyj do pierwszego lepszego podręcznika astronomii.

- H m .

- Ciekawe, że nawet ludzie bez wykształcenia astronomicznego - ciągnął głosem brzmiącym z każdym słowem coraz spokojniej - a ja go przecież nie mam...

- Ani ja, na pewno - wtrąciła Daphne z nutą pewnego lekceważenia samej siebie.

Z uśmiechem pogładził ją po rękę. Spojrzała z ulgą, że w jego oczach rozbłysła szczęście. W tym momencie odczuwana przez nią ulga przerodziła się w coś o wiele cenniejszego - w radość. Ponieważ to właśnie ona wypędziła złe cienie z jego oczu. Pragnęła zabronić im tam wstępu już na zawsze.

Gdybyż tylko jej na to pozwolił...

- Zauważyliby różnicę - dokończył. - Właśnie to jest takie dziwne. Nigdy nie chciało mi się uczyć o konstelacjach gwiazdnych, kiedy jednak trafiłem do Afryki i spojrzałem na niebo... noc była niesamowicie jasna. Nigdy nie widziałem podobnej nocy.

Daphne patrzyła na niego zafascynowana.

- Spojrzałem na niebo - potrząsnął z oszołomieniem głową - i wszystko wyglądało nieprawdopodobnie.

- Jak niebo może wyglądać nieprawdopodobnie?

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Po prostu tak wyglądało. Wszystkie gwiazdy były nie na swoich miejscach.

- Chciałabym zobaczyć południowe niebo - zadumała się. - Gdybym miała zamiłowanie do egzotyki i przygód i była tego rodzaju kobietą, o których mężczyźni piszą poezję, zapewne chciałabym podróżować.

- Ty *jesteś* tego rodzaju kobietą, o których mężczyźni piszą poezję - przypomniał jej Simon z nieco szyderczym uśmiechem. - Wtedy to była po prostu zła poezja.

- Och, nie drwij sobie ze mnie - roześmiała się. - To było takie ekscytujące. Mój pierwszy dzień, w którym sześciu gości złożyło mi wizytę, a Neville Binsby ułożył nawet wiersz.

- Siedmiu - poprawił ją Simon. - Łącznie ze mną.

- Siedmiu łącznie z tobą. Ale ty się w zasadzie nie liczysz.

- Ranisz mnie - zadrwił, znakomicie naśladując Colina. -

Och, jakże mnie ranisz.

- Może ty również powinieneś zastanowić się nad karierą w teatrze?

- A może nie - odparł.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Może nie. Chciałam tylko powiedzieć, że jako nudna angielska dziewczyna nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać. Jestem szczęśliwa tutaj.

Potrząsnął głową, a w jego oczach zapaliło się dziwne, niemal elektryczne światło.

- Wcale nie jesteś nudna. A ja... - jego głos opadł do drżącego szeptu - cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Znam tak niewielu naprawdę szczęśliwych ludzi.

Daphne spojrzała na księcia i zorientowała się, że przysunął się do niej bliżej. Podejrzewała, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, iż jego ciało przegina się w kierunku jej ciała, tymczasem ona nie była w stanie oderwać wzroku od jego oczu.

- Simonie? - szepnęła.

- Tu są ludzie - odrzekł dziwnie zduszonym głosem.

Omiotła spojrzeniem rogi tarasu. Szmer rozmów, który słyszała wcześniej, ustał teraz, ale mogło to oznaczać, że ich niedawni sąsiedzi zamienili się w słuch.

Rozciągający się przed nią ogród wyglądał zachęcająco. Gdyby to był bal londyński, nie dałoby się przejść po tarasie, ale lady Trowbridge pyszniła się swoją odmiennością i zawsze urządzała doroczny bal w swojej drugiej rezydencji, w Hampstead Heath. Posiadłość ta oddalona była o niecałe osiem mil od Mayfair, lecz równie dobrze mogła leżeć w innym świecie. Eleganckie posesje upstrzone były tu i ówdzie płatami zieleni, a park lady Trowbridge porastały drze-

wa i kwiaty, żywopłoty i krzewy... Mnóstwo ciemnych zakątków, gdzie dwoje ludzi mogło się zgubić.

Daphne czuła, że opanowują ją jakieś dzikie i zdrożne pragnienia.

- Przespacerujmy się po parku - powiedziała cicho.

- Nie możemy.

- Musimy.

- *Nie możemy.*

Rozpacz w głosie Simona poinformowała ją o wszystkim, co chciała wiedzieć. On jej pragnął. On jej pożywał. *Szalał* za nią.

Miała wrażenie, że jej serce śpiewa arię z *Czarodziejskiego fletu*, fikając koziołka po dotarciu do górnego C.

I zadawała sobie pytanie - a gdyby go pocałowała? A gdyby zaciągnęła go do ogrodu, zadarła głowę do góry i poczuła jego wargi na swoich ustach? Czy pojałby wówczas, jak bardzo go kocha? Jak bardzo on mógłby ją pokochać? A może - tylko może - zrozumiałby wtedy, jak "wielkie daje mu szczęście?

A potem może przestałby wreszcie powtarzać, jak bardzo pragnie uniknąć małżeństwa.

- Idę na spacer do parku - oznajmiła. - Możesz też iść, jak chcesz.

Kiedy zaczęła się oddalać - powoli, aby mógł ją dogonić - usłyszała, jak zaklął szpetnie pod nosem, a następnie ruszył za nią, szybko pokonując dzielącą ich odległość.

- Daphne, to obłąd - powiedział, ale pewna szorstkość w jego głosie dała jej znać, że bardziej starał się przekonać siebie aniżeli ją.

Nic nie odpowiedziała, dalej zapuszczała się w głąb ogrodu.

- Na miłość boską, kobieto, czy ty mnie słuchasz? - Jego dłoń złapała ją za nadgarstek i obróciła dookoła. - Obiecałem twojemu bratu - rzucił z furją. - Złożyłem przysięgę.

Uśmiechnęła się uśmiechem kobiety, która wie, że jest pożądana.

- No, to zostaw mnie w spokoju.

- Wiesz, że nie mogę. Nie mogę zostawić cię tutaj w ogrodzie bez asysty. Ktoś mógłby spróbować cię wykorzystać.

Wzruszyła ramionami lekko i zgrabnie, próbując wyswobodzić rękę z jego uchwytu.

Ale palce mężczyzny zaciskały się coraz bardziej.

I tym sposobem, choć wiedziała, że nie to było zamiarem Simona, pozwoliła mu się przyciągnąć do siebie, stopniowo przysuwając się coraz bliżej, aż dzieliło ich tylko niecałe pół kroku.

Oddech Simona stał się bardzo płytki.

- Daphne, nie rób tego.

Chciała powiedzieć coś dowcipnego; chciała powiedzieć coś uwodzicielskiego. Ale w ostatniej chwili straciła rezon. Nikt jej dotąd nie pocałował, a teraz, gdy już prawie księcia zachęciła, aby został tym pierwszym, nie wiedziała, co robić.

Uchwyt na jej nadgarstku nieco zelżał, lecz po chwili poczuła gwałtowne szarpnięcie - to Simon ruszył naprzód, ciągnąc ją ze sobą za wysoki, pracowicie wystrzyżony żywopłot.

Wyszeptał jej imię, musnął jej policzek.

Jej oczy rozwarły się szeroko, rozchyliły się usta.

Ostatecznie, to było nieuniknione.

10

Mnóstwo kobiet zgubił jeden pocałunek.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 14 maja 1813

Simon nie był pewny, w którym momencie wiedział już, że ją pocałuje. Prawdopodobnie nie wiedział tego w ogóle, tylko czuł.

Aż do tej ostatniej chwili był w stanie przekonać siebie, że ciągnie dziewczynę za żywopłot wyłącznie po to, aby ją skarcić, zganić za beztroskie zachowanie, które mogło jedynie narobić im straszного kłopotu.

Lecz wówczas coś się wydarzyło - a może działo się to przez cały czas, tylko on robił wszystko, by tego nie dostrzec. Jej oczy się zmieniły; teraz jarzyły się niemal. I rozchyliła usta

- tylko troszkę, tylko tyle, żeby zaczerpnąć powietrza, ale wystarczająco, aby nie mógł oderwać od niej wzroku.

Jego ręka wspięła się do góry po jej ramieniu, po jasnym atłasie rękawiczki, po gołej skórze, lądując za wiotkim jedwabiem rękawa. Zakradła się na plecy i przyciągała Daphne coraz bliżej, wyciskając powietrze spomiędzy nich. Pragnął mieć ją jeszcze bliżej. Pragnął mieć ją wokół siebie, na sobie i pod sobą. Pragnął jej tak bardzo, że aż ogarniało go przerażenie.

Opasał ją rękami i zaciskał w ramionach niczym w imadle. Czuł teraz dotyk całego jej ciała, do ostatniego cala. Była znacznie niższa od niego, więc piersi rozpląszczały się o jego dolne żebra, natomiast uda...

Zadrżał z pożądania. Jego udo wbiło się klinem między jej nogi, twarde mięśnie poczuły żar, którym buchała jej skóra.

Hastings wydał głuchy jęk, prymitywny odgłos, w którym pragnienie mieszało się z frustracją. Nie zdołał osiągnąć jej tej nocy - nie zdołał osiągnąć jej nigdy i musi sprawić, aby ten dotyk wystarczył mu na całe życie.

Jedwab sukienki był miękki i delikatny, a kiedy dłonie Simona błędziły po plecach dziewczyny, koniuszki palców wyczuwały każdy najmniejszy załamek jej figury.

Nagle jakimś cudem - do śmierci nie zrozumie, jak to się stało - odstąpił od niej. Tylko na jeden cal, ale wystarczyło, by chłodne nocne powietrze wdarło się pomiędzy ich ciała.

- Nie! - wykrzyknęła i Simon był ciekaw, czy to proste słowo nie oznaczało aby zaproszenia.

Ujął jej policzki w dłonie i trzymał mocno, aby nasycić się jej widokiem; Z powodu gęstych ciemności nie widział szczegółów jej niezapomnianej twarzy, wiedział jednak, że wargi są miękkie, różowe, z delikatnym odcieniem brzoskwiniowym w kącikach. Wiedział, że w jej oczach odnaleźć można tuziny odcieni brązu oraz ten pojedynczy, czarujący krążek zieleni, który nieustannie przyciągał wzrok Simona, jakby chciał go upewnić, że nie jest tylko wytworem jego wyobraźni.

Ale całą resztę - jaka byłaby w dotyku, jakby smakowała - całą resztę mógł sobie tylko wyobrazić.

Na Boga, jakże pracowała jego wyobraźnia. Mimo całej swej powściągliwości, mimo wszelkich obietnic, które złożył Anthony'emu, Simon dał się porwać namiętności. Kiedy widział Daphne po drugiej stronie zatłoczonej sali, jego skóra robiła się gorąca, a kiedy nawiedzała go we śnie - cały stawał w płomieniach.

Teraz - trzymając ją w ramionach, słysząc przyspieszony i urywany z pożądania oddech dziewczyny, kiedy jej oczy rozpalala potrzeba, której z pewnością nie zdoła zaspokoić - teraz czuł, że mógłby eksplodować.

Tak więc całowanie Daphne stawało się aktem samoobrony. To było proste. Jeśli nie pocałuje jej teraz, jeśli jej nie *posmakuje*, to zginie. Brzmiało to bardzo melodramatycznie, ale w tym momencie mógłby przysiąc, że to prawda. Dłoń pożądania, opasująca jego lędźwie, w każdej chwili mogła stanąć w ogniu i spopielić go.

Tak bardzo jej pragnął.

Gdy swymi ustami nakrył wreszcie usta Daphne, nie działał delikatnie. Nie postępował okrutnie, lecz jego krew pulsowała zbyt gwałtownie, zbyt nagłąco, jego pocałunek zatem bardziej przypominał dotyk wyposzczonego kochanka niż czułego zalotnika.

Byłby zmusił ją do otwarcia ust, lecz ona także dała się porwać chwili, więc kiedy jego język odnalazł wejście, nie natrafił na żaden opór.

- O mój Boże, Daphne - wyjęczał. Jego dłonie wpijały się w miękką krągłość jej pośladków, przyciągając ją wciąż bliżej, pozwalając jej poczuć twardy dowód pożądania. - Nigdy nie sądziłem... Nie marzyłem...

Ale to było kłamstwo. Marzył. Marzył ze wszystkimi wyrazistymi szczegółami. Lecz to było nic w porównaniu z rzeczywistością.

Każde dotknięcie, każde poruszenie sprawiało, że pragnął jej jeszcze bardziej, i z każdą sekundą jego ciało przejmowało coraz większą kontrolę nad umysłem. Nie miało już znaczenia, co jest słuszne, co jest właściwe. Liczyło się tylko to, że ona jest tutaj, w jego ramionach, i że on jej pragnie.

I wtedy zrozumiał, że ona pragnie jego również.

Jego dłonie przyciskały ją kurczowo, jego usta dosłownie ją pożerały.

Nie był w stanie się nasycić.

Czuł, jak jej dłoń w rękawiczkach przesuwana się niepewnie wzdłuż górnej części jego pleców i nieruchomieje na szyi. W miejscu, gdzie go dotykała, skóra go szczypała, a potem parzyła.

Wciąż było mu za mało. Jego wargi opuściły usta dziewczyny i zjechały po skórze szyi aż do miękkiego zagłębienia nad obojczykiem. Najmniejsze poruszenie jego warg wydobywało z niej cichy jęk, a te delikatne kwilenia tylko rozpałały w nim ogień namiętności.

Drżącymi rękami sięgnął do obrębnego koronką kołnierzyka jej sukienki. Miała ona luźny krój i Simon wiedział, że starczy lekko pociągnąć, a miękki jedwab zsunie się aż na wypukłość biustu.

Nie miał prawa oglądać tego widoku, nie zasłużył na złożenie tego pocałunku, ale nie mógł się oprzeć.

Jeszcze mogła go powstrzymać. Poruszał się z dręczącą powolnością, nieruchomiejąc na sekundę przed obnażeniem jej ciała, dając Daphne ostatnią szansę na odmowę. Ale ona zamiast wystraszyć się, jak na niewinną pannę przystało, odrzuciła głowę do tyłu i wydała najszybsze, najbardziej podniecające tchnienie.

I Simon był stracony.

Pozwolił tkaninie sukienki opaść i przez oszłamiającą, przyprowadzającą o dreszcze chwilę wpatrywał się tylko w gołe ciało. Po czym, zjeżdżając ustami po odbiór niezasłużonej nagrody, usłyszał raptownie:

- Ty łajdaku!

Daphne poznała ten głos wcześniej aniżeli Simon i z piskiem odskoczyła.

- O Boże! - wysapała. - Anthony!

Jej brat znajdował się tylko cztery kroki od nich i szybko skracał dystans. Jego brwi ściągnęły się w wyrazie kompletnej furii, a kiedy rzucił się na księcia, z jego gardła wy-

darł się jakiś pierwotny okrzyk. To prawie w ogóle nie przypominało ludzkiego głosu.

Daphne ledwie zdołała się zasłonić, zanim ciało Anthony'ego runęło na Simona z taką siłą, że czyjeś odskakujące ramię przewróciło na ziemię również ją.

- Zamorduję cię, cholerny... - Reszta dość gwałtownego przekleństwa Bridgertona przepadła w jego krtani wskutek ciosu, którym Simon go odepchnął, zatykając mu dech w piersiach.

- Anthony, nie! Przestań! - zawołała Daphne, nadał trzymając się za stanik, choć już wcześniej naciągnęła go na siebie i nie groziło niebezpieczeństwo, że opadnie.

Ale Anthony był człowiekiem opętanym. Rzucił się na księcia z kułakami, a w jego spojrzeniu, w ciosach i w prymitywnych okrzykach furii, które wydobywały się z jego ust, była sama wściekłość.

Hastings bronił się co prawda, ale w zasadzie nie oddawał ciosów.

Daphne stała na uboczu i czuła się jak bezradna idiotka. Nagłe doszła do wniosku, że musi interweniować. W przeciwnym razie Anthony zabije Simona, tu i teraz, w ogrodzie lady Trowbridge. Sięgnęła w dół, by oderwać brata od ukochanego mężczyzny, ale nagle obaj przeturlali się po ziemi, Ścinając dziewczynę z nóg, tak że ta zatoczyła się do tyłu i z całym impetem wpadła w żywopłot.

- Oooojeeeeeeej! - zawyła, kalecząc boleśnie ciało w o wiele większej liczbie miejsc, niż uważałyby za możliwe.

W tym okrzyku musiał pobrzmiwać ostrzejszy ton bóleści, niż na to liczyła, gdyż obaj panowie znieruchomieli natychmiast.

- O mój Boże! - Na ratunek skoczył jej Simon, który w momencie jej upadku dominował nad Anthony'ym. - Daphne! Nic ci się nie stało?

Biedaczka tylko pisnęła załóżnie, starając się nie ruszać. W jej skórę wbijały się ciernie i najmniejsze drgnienie ciała jedynie powiększało zadrapania.

- Chyba jest ranna - powiedział Simon do Anthony'ego głosem ostrym ze zmartwienia. - Musimy unieść ją pionowo do gó-

ry. Nie możemy jej obracać, bo się jeszcze bardziej pokaleczy.

Anthony skinął lakonicznie głową, wściekłość na Hastingsa została tymczasowo odsunięta na bok. Daphne jęczała z bólu i najpierw trzeba było zająć się nią.

- Trzymaj się, Daff - zawołał Simon uspokajającym głosem. - Zaraz cię obejmę. A potem uniosę cię do przodu i wyciągnę stamtąd. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową.

- Padrapiesz się.

- Mam długie rękawy. Nie martw się o mnie.

- Ja to zrobię - odezwał się Anthony.

Ale Simon go zignorował. Bridgerton stał więc bezradnie na uboczu, podczas gdy książę sięgnął do płataniny kolczastych gałęzi i powoli przepchnął dłonie w rękawiczkach przez gęstwinę krzaków, usiłując wcisnąć ramiona między kłujące łodygi a nagą, umęczoną skórę Daphne. Kiedy dotarł do jej rękawów, musiał się jednak zatrzymać i powymować ostre jak brzytwa ciernie z jedwabiu sukienki. Kilka-naście kolców przebiło materiał na wylot i tkwiło w skórze.

- Nie mogę wyciągnąć cię do samego końca - oznajmił. - Sukienka ci się podrze.

Kiwnęła gwałtownie głową.

- Pal ją sześć - wysapała. - I tak już się zniszczyła.

- Ależ... - Choć przed chwilą sam ściągnął z niej tę sukienkę aż do pasa, to jednak niezręcznie było mu wyjaśniać, że materiał na pewno odpadnie od jej ciała, bo gałęzie porwały jedwab na strzępy. Odwrócił się zatem do Anthony'ego i powiedział:

- Przydałby jej się twój surdut.

Bridgerton już z niego wyskakiwał.

Simon odwrócił się z powrotem do Daphne i zatrzymał spojrzenie na jej oczach.

- Jesteś gotowa? - spytał po cichu.

Kiwnęła głową. Może mu się tylko tak zdawało, ale odnosi! wrażenie, że teraz, kiedy skupiała wzrok na jego twarzy, była trochę spokojniejsza.

Upewniwszy się, że ani jeden kolec nie przecina już jej

skóry, wepchnął ramiona głębiej w cierniste gałęzie, aż jego dłonie spotkały się i zacisnęły mocno za plecami Daphne.

- Policz do trzech - mruknął.

Znowu kiwnęła głową.

- Raz... dwa... - zaczęła.

W tym momencie szarpnął dziewczynę do góry i wyciągnął ją z żywopłotu, a siła rozpędu powaliła ich oboje na trawę.

- Mówiłeś, do trzech! - zawołała.

- Kłamałem. Nie chciałem, żebyś napinała mięśnie.

Być może Daphne kontynuowałyby kłótnię, ale w tym momencie uświadomiła sobie, że sukienka poszła w strzępy, i z piskiem zamachała rękami, pragnąc się zasłonić.

- Weź to - powiedział Anthony, rzucając w nią surdudem. Daphne z wdzięcznością przyjęła dar i natychmiast owinęła się najprzedniejszego gatunku surdudem brata. Na nim leżał jak ulał, na niej zaś wisiał tak luźno, że z łatwością okryła się nim po szyję. - Nic ci nie jest? - burknął Anthony.

Kiwnęła głową, że nic.

- To dobrze - powiedział i odwrócił się do księcia: - Dzięki, że wyciągnąłeś ją z krzaków.

Simon nic nie odpowiedział, tylko leciuteńko skinął głową.

Anthony przeniósł spojrzenie z powrotem na siostrę.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Trochę piecze - przyznała. - Chyba będę musiała narzecz się w domu maścią, ale jakoś wytrzymam.

- To dobrze - powtórzył. Następnie wziął zamach i grzmotnął Simona pięścią w twarz, bez żadnego problemu powalając zaskoczonego przyjaciela na ziemię. - To za zhańbienie mojej siostry - wykrztusił.

- Anthony! - wrzasnęła Daphne. - Nie pleć głupstw! On mnie nie zhańbił!

Bridgerton obrócił się na pięcie i spiorunował siostrę wzrokiem.

- Sam widziałem twoją...

Żołądek podszedł jej do gardła i bała się przez chwilę, że zaraz zwymiotuje. Dobry Boże, Anthony widział jej pierś! Własny, rodzony brat! To było wbrew naturze.

- Wstawaj - warknął w stronę księcia - żebym mógł cię znowu trzepnąć.

- Czyś ty oszalał? - wykrzyknęła, "wskakując między niego a Simona, który leżał wciąż na trawie i trzymał się za podbite oko. - Anthony, przysięgam, że jak znowu go uderzysz, to nigdy ci tego nie daruję.

Anthony odepchnął siostrę, i to zgoła nie delikatnie.

- Teraz - wycodził - dostaniesz za sprzeniewierzenie się naszej przyjaźni.

Ku przerażeniu Daphne Hastings podniósł się na nogi.

- Nie! - zawyła, wskakując z powrotem między nich.

- Zejdź z drogi, Daphne - rozkazał miękko Simon. - To sprawa między nami.

- Wcale nie! Na wypadek, gdybyś nie pamiętał, to przecież ja... - urwała w pół zdania. Nie było sensu mówić dalej. Nikt jej nie słuchał.

- Zejdź z drogi, Daphne - powiedział Anthony przerażająco spokojnym głosem. Nawet na nią nie spojrzął, jego wzrok sięgał ponad jej głowę i koncentrował się na oczach księcia.

- To śmieszne! Czy nie możemy porozmawiać jak dorośli? - Przeniosła wzrok z Simona na brata, po czym gwałtownie odwróciła głowę w stronę księcia. - Miłosierne nieba! Simon! Spójrz na swoje oko!

Pospieszyła ku niemu, sięgając do jego oka, które skrywała już gruba opuchlizna.

Simon nie dawał żadnych oznak bólu, ani jeden nerw mu nie zadrżał pod troskliwym dotykiem dziewczyny. Delikatnie muskała palcami obrzmiałą skórę, co przynosiło osobliwie kojący efekt. Nadal jej pragnał, choć tym razem nie budziła już w nim pożądania. Tak dobrze było mieć ją obok siebie - przyzwoitą, godną szacunku i czystą.

A tak niewiele brakowało, by zrobił najbardziej haniebną rzecz w swoim życiu.

Kiedy Anthony'emu przejdzie złość i zażąda wreszcie, żeby Simon poślubił jego siostrę, ten zamierzał mu odmówić.

- Odsuń się, Daphne - powiedział tak nieswoim głosem, że aż sam się zdziwił.

- Nie, ja...

- *Odsuń się!* - ryknął.

Odkoczyła, przylegając plecami do tego samego żywo-
plotu, w który wpadła wcześniej, i ze zgrozą przyglądała się
obu mężczyznom.

Z ponurym wyrazem twarzy księżę kiwnął głową na
Bridgertona.

- Walnij mnie.

Anthony wyglądał na oszołomionego tą prośbą.

- Zrób to - dodał Simon. - Skończ z tym wreszcie.

Pięść Anthony'ego zwisała luźno. Nie poruszając głową,
przemknął wzrokiem po Daphne.

- Nie mogę - wypalił. - Kiedy tak stoi i sam się o to prosi.

Hastings postąpił krok do przodu, podsuwając twarz
prowokacyjnie blisko.

- Na co czekasz? Niech zapłacę za wszystko.

- Zapłacisz przy ołtarzu - odparł Anthony.

Daphne wzięła głęboki oddech, co zwróciło uwagę Simo-
na. Dlaczego tak się zdziwiła? Musiała rozumieć konse-
kwencje, jeśli nie ich uczynków, to na pewno głupoty, że
dali się przyłapać.

- Ja go nie zmuszę - oznajmiła.

- A ja tak - odgryzł się Anthony.

Simon pokręcił głową.

- Jutro rano będę już na kontynencie.

- Wyjeżdżasz? - zdziwiła się. Zawód w jej głosie przeciął
serce Hastingsa ostrzem poczucia winy.

- Jeśli zostanę, będziesz na zawsze splamiona moją obec-
nością. Najlepiej, jeśli wyjadę.

Dziewczyźnie drżała dolna warga. Ten widok rozdzierał
Simonowi duszę. Z jej ust wyrwało się jedno słowo. To by-
ło jego imię, wypowiedziane z taką tęsknotą, że aż mu się
serce ścisnęło.

Zebranie myśli zajęło mu tylko chwilę.

- Nie mogę się z tobą ożenić, Daff.

- Nie możesz czy nie chcesz? - chciał się dowiedzieć An-
thony.

- I jedno, i drugie.

Anthony grzmotnął go powtórnie.

Simon runął na trawę, ogłuszony siłą ciosu w podbródek. Ale zasłużył na każde uklucie, na każdy strzał bólu. Nie chciał patrzeć na Daphne, nie chciał rzucić najbardziej nawet ukradkowego spojrzenia na jej twarz. Tymczasem ona uklękła obok niego, a jej ręka wsuwała się delikatnie pod jego plecy, żeby pomóc mu się wyprostować.

- Przykro mi, Daff - powiedział, zmuszając się do spojrzenia na nią. Czuł się nieswojo, wytracony z równowagi, patrzący tylko jednym okiem. Przyszła mu z pomocą, choć on ją odtrącił, a tyle jej zawdzięczał. - Bardzo mi przykro.

- Daruj sobie ten patos - rzucił Anthony. - Zobaczymy się o świcie.

- Nie! - wykrzyknęła.

Hastings podniósł wzrok na Bridgertona i posłał mu najłżejszy ze skłonów głowy. Potem odwrócił się z powrotem do Daphne i oświadczył:

- Gdyby to mogła być jakakolwiek kobieta, Daff, to byłabyś nią ty. Przrzekam ci to.

- O czym ty mówisz? - spytała, a zakłopotanie mieszało się w jej ciemnych oczach z przerażeniem. - Co masz na myśli?

Simon tylko zamknął oczy i westchnął. Jutro o tej porze będzie martwy, bo jak amen w pacierzu, nie podniesie pistoletu na Anthony'ego, ten zaś nie ostygnie - w gniewie na tyle, żeby strzelać w powietrze.

A jednak - w jakiś osobliwy i wzniosły sposób otrzyma wszystko to, czego zawsze od życia oczekiwał. Dokona ostatecznej zemsty na swoim ojcu.

To dziwne, lecz mimo wszystko nie takiego końca się spodziewał. Myślał kiedyś... Cóż, nie wiedział, co myślał kiedyś - większość mężczyzn nie lubi przewidywać okoliczności własnej śmierci - w każdym razie nie miała być taka. Nie z ręki najbliższego przyjaciela, którego oczy płoną nienawiścią. Nie na jakiejś pustej łące o świcie.

Nie z piętnem hańby.

Ręce Daphne, które tak delikatnie go gładziły, zacisnęły

się teraz wokół jego ramion i zaczęły dygotać. Wskutek tych wstrząsów załzawione oko Simona otworzyło się i zobaczył wtedy, że jej twarz znajduje się tuż obok jego - bliska i zagniżwana.

- Co się z tobą dzieje? - spytała. Nigdy nie widział u niej takiego spojrzenia, z jej oczu zionęła furia, boleść, a nawet rozpacz. - On cię zabije! Spotka się z tobą na jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi ziemi i cię zastrzeli. A ty się tak zachowujesz, jakbyś chciał, żeby on to zrobił.

- Nie chcę um-m-mierać - odrzekł za bardzo wyczerpany na ciele i umyśle, by w ogóle zwracać uwagę na swoje jękanie. - Ale nie m-m-mogę się z tobą ożenić.

Oderwała ręce od jego ramion i odwróciła się. Wyraz bólu i cierpienia w jej oczach był prawie nie do zniesienia. Wyglądała tak smętnie, owinięta w za duży surdut brata, z resztkami gałęzi i kolców we włosach. Kiedy zaś przemówiła, wydawało się, że jej słowa zostały wydarte z najgłębszych zakamarków duszy.

- Z... zawsze wiedziałam, że nie należę do kobiet, o jakich marzą mężczyźni, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś będzie -wolał śmierć od małżeństwa ze mną.

- Nie! - wykrzyknął Simon, gramoląc się na nogi mimo tępego bólu i ostrych kłuć, przenikających jego ciało. - Daphne, to nie tak.

- Już dość powiedziałaś - rzucił Anthony szorstkim głosem, "wchodząc między nich. Położył dłonie na ramionach siostry, odrywając ją od człowieka, który złamał jej serce i być może na zawsze zaszargał reputację.

- Jeszcze jedno - rzeki Simon. Z pewną odrazą myślał o błagalnym i patetycznym wyrazie swoich oczu, lecz musiał porozmawiać z Daphne. Musiał się upewnić, że zrozumiała.

Ale Bridgerton tylko potrząsnęła głową.

- Zaczekajcie. - Książę chwycił za rękaw mężczyznę, który do niedawna był jego najbliższym przyjacielem. - Nie mogę załatwić tego inaczej. Złożyłem... - Westchnął chrapliwie, starając się zebrać myśli. - Złożyłem śluby, Anthony. Ja nie mogę się z nią ożenić. Nie mogę załatwić tego inaczej. Ale mogę jej powiedzieć...

- Co, mianowicie? - spytał Anthony głosem wypranym z wszelkich emocji.

Simon puścił jego rękaw i odgarnął włosy z czoła. Nie mógł powiedzieć Daphne. Ona nie zrozumie. Albo gorzej, zrozumie, a wtedy pozostanie mu tylko jej litość. Wreszcie, świadomy, że Bridgerton przygląda mu się niecierpliwie, oświadczył:

- Może zdołam to naprawić choć trochę.

Anthony ani drgnął.

- Proszę. - Simon zadawał sobie pytanie, czy kiedykolwiek przedtem miał okazję nadać tyle znaczenia temu słowu.

Anthony milczał przez kilka chwil, po czym odszedł na bok.

- Dziękuję ci - powiedział uroczystym głosem Hastings. Poświęcił Anthony'emu najkrótsze ze spojrzeń, a potem skupił wzrok na Daphne.

Bał się, że nie zechce na niego nawet zerknąć, że ubliży mu swoją wzgardą, zamiast tego zobaczył jej bródkę zadarętą do góry, a wzrok mężny i wyzywający. Nigdy nie podziwiał jej bardziej.

- Daff... - zaczął, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Liczył jednak, że właściwe słowa odnajdą się same i dadzą się wypowiedzieć w jednym kawałku. - Tu... tu nie chodzi o ciebie. Gdyby to mogła być jakakolwiek kobieta, Daff, to byłabyś nią ty. Tylko że małżeństwo ze mną zniszczyłoby ciebie. Nigdy nie mógłbym dać ci tego, czego pragniesz. Umierałabyś po trochu każdego dnia, a ten widok wpędziłby mnie do grobu.

- Nigdy nie potrafiłbyś mnie zranić - szepnęła.

Pokręcił głową.

- Musisz mi uwierzyć.

Jej oczy patrzyły łagodnie i szczerze.

- Ja tobie wierzę - powiedziała miękko. - Ale zastanawiam się, czy ty -wierzysz mnie?

Słowa te padły niczym cios poniżej pasa, Simon poczuł się bezsilny i wewnętrznie pusty.

- Wiedz, proszę - rzekł - że nigdy nie chciałem cię zranić.

Pozostawała w bezruchu tak długo, aż Simon zląkł się, że być może przestała oddychać. Wtem, nie spojrzawszy nawet na swego brata, oznajmiła:

- Chciałabym już iść do domu.

Anthony objął ją w pół i odwrócił tyłem, jakby wystarczyło zasłonić jej po prostu widok na księcia, aby ją przed nim ochronić.

- Zabierzemy cię do domu - powiedział uspokajającym tonem - położymy do łóżka, damy ci szklaneczkę brandy.

- Nie chcę brandy - rzuciła ostro. - Chcę myśleć.

Simon odniósł wrażenie, że oświadczenie Daphne zaskoczyło Anthony'ego, ale ten umiał się zachować, bo tylko czule ścisnął siostrę za rękę i odpowiedział:

- Niech ci będzie.

Simon zaś stał tak, zmaltretowany i zakrwawiony, dopóki nie zniknęli w ciemnościach.

11

Doroczny bal Jady Trowbridge w Hampstead Heath w sobotę wieczorem stanowił jak zwykle punkt kulminacyjny sezonu plotkarskiego. Pisząca te słowa wysłedziła, że Colin Bridgenon tańczył ze wszystkimi trzema siostrami Featherington (nie naraz, rzecz jasna); trzeba jednak przyznać, że ten wyjątkowo buńczuczny Bridgenon nie wyglądał na szczególnie zadowolonego ze swego losu. Na dodatek widziano Nigela Berbrooke 'a, jak zalecał się do innej niż panna Daphne Bridgenon kobiety - być może pan Berbrooke zrozumiał w końcu daremność swych wysiłków.

A wracając do panny Daphne Bridgenon, wyszła wcześniej. Benedict Bridgenon poinformował osoby zainteresowane, że rozboleła ją głowa, lecz kiedy pisząca te słowa widziała ją tego wieczora, jak rozmawiała z księciem Middlethorpe'em, panna B. wydawała się idealnie zdrowa.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 17 maja 1813

Nie było oczywiście mowy o zażnięciu.

Daphne przemierzała sypialnię tam i z powrotem, wydeptując ścieżkę w biało-niebieskim dywanie, który rozciągał się w jej pokoju od dzieciństwa. Tysiące myśli kłębiło się w jej głowie, lecz jedna sprawa była jasna.

Musi zapobiec temu pojedynkowi.

Nie lekceważyła jednak trudności, które łączyły się z realizacją tego zadania. Po pierwsze, mężczyźni lubią wykazywać ośli upór, jeśli chodzi o takie rzeczy, jak honor i pojedynki, nie liczyła więc na to, że Anthony i Simon docenią jej ingerencję. Po drugie, nie wiedziała nawet, gdzie ten pojedynek ma się odbyć. Panowie nie przedyskutowali tej sprawy w ogrodzie lady Trowbridge. Daphne przypuszczała, że Anthony powiadomi o tym Simona za pośrednictwem służącego. A może wybór miejsca będzie należał do Simona, ponieważ jest stroną wyzwaną. Była pewna, że istnieją określone wymagania etykiety co do pojedynku, ale rzecz jasna nie miała o nich zielonego pojęcia.

Zatrzymała się przy oknie i uchyliła zasłony, aby wyrzecć na dwór. Godzina była jeszcze młoda według standardów socjety; ona i Anthony wyszli z balu przedwcześnie. O ile wiedziała, Benedict, Colin i matka przebywali nadal w rezydencji lady Trowbridge. Fakt, że jeszcze nie wrócili (Daphne i Anthony byli już w domu od ponad dwóch godzin), uważała za dobry znak. Gdyby ktoś był świadkiem sceny z księciem, plotka o tym z pewnością rozniosłaby się po sali balowej lotem błyskawicy, wskutek czego matka uciekłaby do domu z piętnem hańby.

I być może ta noc uszłaby Daphne płazem, w strzępach najwyżej byłaby sukienka - a *nie* reputacja.

Ale troska o dobre imię była najmniejszym z kłopotów Daphne. Potrzebowała obecności rodziny w domu z jeszcze innego powodu. Nijak nie mogła zapobiec temu pojedynkowi bez czyjejś pomocy. Tylko idiotka pojechałaby bladym świtem na drugi koniec Londynu i sama próbowała przekonać dwóch wojowniczo nastawionych postrzelców. Ktoś jej musi w tym pomóc.

Bala się, że Benedict natychmiast stanie po stronie Anthony'ego; faktycznie byłaby mocno zdziwiona, gdyby nie został jego sekundantem.

Ale Colin - Colin po namyśle mógłby zgodzić się z jej tokiem rozumowania. Najpierw trochę pogdera, powie na pewno, że Simon zasługuje na kulkę o świcie, ale ponieważ Daphne błaga na wszystkie świętości, to on jej pomoże.

A nie wolno dopuścić do pojedynku. Daphne nie rozumiała, co się działo w głowie Simona, ale najwyraźniej księżę z jakiegoś powodu cierpiał, prawdopodobnie łączyło się to jakoś z jego ojcem. Już od dawna była przekonana, że Simona gnębi jakiś wewnętrzny demon. Dobrze to ukrywał, rzecz jasna, zwłaszcza w jej obecności, lecz nader często widziała w jego oczach czarną rozpacz. I musiał istnieć jakiś powód, dla którego Simon tak często pograżał się w milczeniu. Daphne miała niekiedy wrażenie, że była jedyną osobą, przy której naprawdę się odprężył, a nawet potrafił śmiać się, żartować i wdawać się w miłe pogawędki.

Może oprócz Anthony'ego. No, może oprócz niego, ale przed *tą* całą awanturą.

Minio wszystko, mimo fatalistycznego nastawienia Hastingsa w ogrodzie lady Trowbridge, Daphne nie mieściło się w głowie, że on może pragnąć śmierci.

Usłyszała turkot kół po bruku i podbiegła z powrotem do otwartego okna. Zdażyła jeszcze zobaczyć rodzinny powóz, który toczył się wzdłuż ściany budynku w stronę stajni.

Zaciskając dłonie, przebiegła przez pokój i przyłożyła ucho do drzwi. Nie było wskazane schodzić na dół; Anthony sądził, że już zasnęła albo przynajmniej zwinęła się w kołdrę i roztrząsa swoje postępowanie tego wieczora.

Obiecał, że nic matce nie powie. Przynajmniej dopóki nie ustali, co matka wie. Opóźniony powrót matki do domu podsunął Daphne myśl, że żadne wielkie ani straszne plotki na jej temat nie krążą, co jeszcze nie znaczyło, że wyszła z opresji cało. Zaczną się szeptki. Szeptki są zawsze. A te, jeśli się ich nie powstrzyma, szybko przeradzają się we wrzaski.

Wiedziała, że w końcu będzie musiała stawić czoło mat-

ce. Prędzej czy później Violetta coś usłyszy. Już socjeta dopilnuje, żeby coś usłyszała. Daphne miała tylko nadzieję, że nim matkę osaczają plotki - na ogół niestety prawdziwe - jej córka będzie już bezpiecznie zaręczona z księciem.

Ludzie wybaczą wszystko, jeśli wejdzie się do książęcej rodziny.

I to będzie oś strategii Daphne ocalenia Simonowi życia. Simon nie chce ocalić siebie, ale może ocalić ją.

Cołin Bridgerton szedł po korytarzu na palcach, jego buty przemieszczały się powoli po dywanie, który rozciągał się na podłodze. Matka poszła już spać, a Benedict i Anthony zaszyli się w gabinecie najstarszego brata. Ale to nie oni interesowali Colina. Chciał się zobaczyć z Daphne.

Zapukał delikatnie do jej drzwi, zachęcony bladą smugą światła, widoczną przez szparę u dołu. Musiała zostawić kilka zapalonych świec. Siostra była zbyt rozważna, aby zasnąć, nie utarłszy świeczkom knotów, a więc jeszcze nie spała.

A skoro jeszcze nie spała, to będzie musiała z nim porozmawiać.

Miał już podnieść rękę, aby zapukać ponownie, gdy drzwi bezszelestnie otworzyły się na oścież i Daphne milczącym gestem zaprosiła go do środka.

- Muszę z tobą porozmawiać - szepnęła, gwałtownie wydechając powietrze.

- Ja też muszę z tobą porozmawiać.

Wciągnęła go do sypialni, a potem, zerknąwszy na lewo i na prawo w głąb korytarza, zamknęła drzwi.

- Wpadłam w okropne tarapaty - oświadczyła.

- Wiem.

Zbladła jak ściana.

- Wiesz?

Colin skinął głową, a jego zielone oczy przynajmniej tym razem były śmiertelnie poważne.

- Pamiętasz mojego kumpla Macclesfielda?

Skinęła twierdząco głową. Macclesfield był młodym lordem, któremu dwa tygodnie temu Violetta starała się usil-

nie ją przedstawić. Na tym samym przyjęciu, na którym poznała Simona.

- Otóż widział, jak zniknęłaś dzisiaj w ogrodzie z Hastingsem.

Daphne poczuła raptowne drapanie i dławienie w gardle, zdołała jednakże wykrztusić:

- Naprawdę?

- On nic nie powie. - Colin pokiwał głową ze srogą miną. - Daję głowę. Przyjaźnimy się prawie od dziesięciu lat. Ale skoro on cię widział, ktoś inny też mógł cię zobaczyć. Lady Danbury patrzyła na nas bardzo dziwnym wzrokiem, kiedy mi o tym opowiadał.

- To ona widziała? - rzuciła ostro Daphne.

- Nie wiem, czy widziała, czy nie. Wiem tylko... - Colin wzdrygnął się lekko - że patrzyła na mnie, jakby znała wszystkie moje grzeszki.

Daphne potrząsnęła lekko głową.

- Ona zawsze ma takie spojrzenie. A jeśli faktycznie coś zobaczyła, nie piśnie ani słowa.

- Lady Danbury? - spytał z powątpiewaniem.

- Ten smok potrafi być bardzo cięty, ale nie należy do tych, którzy lubią niszczyć kogoś dla zabawy. Jeśli cokolwiek widziała, zwróci się z tym bezpośrednio do mnie.

Colin nie wyglądał na przekonanego.

Daphne odchrząknęła parę razy, rozważając następne pytanie.

- Co widział konkretnie?

Brat przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałam - omal nie "warknęła, nerwy miała napięte do ostatnich granic. - Co widział Macclesfield? Plecy Colina wyprostowały się powoli, a jego rysy stężały.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odgryzł się. - Widział, że zniknęłaś w ogrodzie z Hastingsem.

- I nic więcej?

- Nic więcej? - powtórzył. Oczy mu się rozszerzyły, a następnie zwężyły. - Co tam się stało, u diabła?

Daphne klapnęła na otomanę, ukrywając twarz w dłoniach.

- Och, Colinie, w jakąż kabałę się wplątałam.

Milczał, wobec tego w końcu przetarła oczy, z których zresztą nie wylała się ani jedna łza, choć faktycznie były podejrzanie wilgotne, i podniosła wzrok na brata. Sprawiał wrażenie o wiele starszego - i surowszego - niż kiedykolwiek przedtem. Stał sztywno ze skrzyżowanymi ramionami i szeroko rozstawionymi nogami, a jego oczy - na ogół tak wesołe i psotne - były równie twarde, jak szmaragdy. Najwyraźniej powstrzymywał się od mówienia, dopóki siostra nie podniesie na niego wzroku.

- Jeśli zakończyłaś pokaz litowania się nad sobą - rzucił ostro - to może dowiem się wreszcie, co ty i Hastings wyuczynialiście dziś wieczorem w parku lady Trowbridge?

- Nie używaj wobec mnie takiego tonu - odcięła się - i nie oskarżaj mnie o litowanie się nad sobą. Na miłość boską, jutro zginie człowiek. Chyba mam prawo być trochę zdenerwowaną.

Twarcz Colina natychmiast zmiękła i ukazała się na niej troska. Usadowił się przed siostrą na krześle i polecił:

- Najlepiej opowiedz mi wszystko po kolei.

Daphne kiwnęła głową i zaczęła relacjonować przebieg wydarzeń wieczoru. Nie rozwodziła się jednak nad wielkością swojej hańby. Colin nie musiał dokładnie wiedzieć tego, co zobaczył Anthony; fakt, że została przyłapana w kompromitującej sytuacji, powinien wystarczyć.

Na koniec oznajmiła:

- A teraz odbędzie się pojedynek i Simon zginie!

- Skąd to możesz wiedzieć, Daphne.

Potrząsnęła głową z nieszczęśliwą miną.

- On nie strzeli do Anthony'ego. Daję sobie za to uciąć rękę. A Anthony... - głos uwiązł jej w gardle i zanim mogła mówić dalej, musiała przełknąć ślinę - Anthony jest strasznie zawzięty. Wątpię, czy da za wygraną.

- Co zamierzasz?

- Sama nie wiem. Nie znam nawet miejsca tego pojedynku. Wiem tylko jedno - muszę mu zapobiec!

Brat zaklął pod nosem.

- Wątpię, czy ci się uda - powiedział cicho.

- Muszę! - wykrzyknęła. - Colinie, nie mogę siedzieć i patrzeć na sufit, kiedy Simon umiera - oznajmiła łamiącym się głosem, po czym dodała: - Ja go kocham.

Colin zrobił skwaszoną minę.

- Nawet po tym, jak cię odtrącił?

Skinęła z przygnębieniem głową.

- Wszystko mi jedno, czy wychodzę na pompatyczną idiotkę, ale nic nie mogę na to poradzić. I tak go kocham. On mnie potrzebuje.

- Jeśli to prawda - odparł Colin - to czy nie sądzisz, że powinien zgodzić się na małżeństwo z tobą, kiedy Anthony tego zażądał?

Pokręciła głową.

- Nie. Jest coś jeszcze, o czym nie wiem. Naprawdę nie umiem tego wytłumaczyć, ale miałam wrażenie, że jedna połowa Simona chciała małżeństwa ze mną. - Czuła, że ogarnia ją wzburzenie; czuła, że jej oddech przechodzi w gwałtowne spazmy, ale mówiła dalej: - Sama nie wiem, Colinie. Ale gdybyś mógł widzieć jego twarz, tobyś zrozumiał. Starał się mnie przed czymś uratować. Jestem tego pewna.

- Nie znam Hastingsa tak dobrze jak Anthony - odrzekł Colin - ani nawet tak dobrze jak ty, ale nigdy nie słyszałem bodaj najmniejszej wzmianki o jakiejś głębokiej, mrocznej tajemnicy. Czy jesteś pewna... - Urwał w pół zdania, przez chwilę opierał głowę na rękach, a następnie ponownie podniósł wzrok. - Czy jesteś pewna - przemówił boleśnie łagodnym tonem - że nie uroiłaś sobie, że on coś do ciebie czuje?

Nie poczuła się dotknięta. Zdawała sobie sprawę, że jej opowieść brzmiała jak fantazja. W głębi serca wiedziała jednak, że się nie myliła.

- Nie chcę, żeby zginął - oznajmiła półgłosem. - W sumie tylko to się liczy.

Colin kiwnął głową, lecz po chwili zadał jeszcze jedno pytanie.

- Nie chcesz, żeby zginął, czy nie chcesz, żeby zginął przez ciebie?

Stanęła na drżących nogach.

- Chyba lepiej już idź - bąknęła, zużywając resztkę energii na zachowanie spokoju w głosie. - Wprost nie mogę uwierzyć, że zadałeś mi to pytanie.

Ale Colin nie wyszedł. Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń siostry.

- Pomogę ci, Daff. Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Na te słowa Daphne wpadła mu w ramiona, zalewając się łzami, które tak dzielnie przez cały czas w sobie dusiła.

Trzydzieści minut później jej oczy były już suche, a umysł jasny. Musiała się wypłakać; zdała sobie z tego sprawę. Zbyt dużo się w niej nagromadziło - zbyt dużo emocji, zbyt dużo zażenowania, bólu i złości. Musiała to z siebie wyrzucić. Teraz jednak nie było już czasu na wzruszenia. Musiała zachować chłodny umysł i koncentrować uwagę na wyznaczonym celu.

Colin poszedł zasięgnąć języka u Anthony'ego i Benedicta, którzy, jak poinformował siostrę, szeptali z napięciem w głosie w gabinecie Anthony'ego. Zgodził się z nią, że Anthony najprawdopodobniej prosi Benedicta na swojego sekundanta. Zadaniem Colina było skłonienie braci do wyjawienia mu miejsca pojedynku. Daphne była pewna, że mu się uda. Zawsze potrafił nakłaniać ludzi do wyjawienia mu wszystkiego.

Daphne ubrała się w najstarszy, najwygodniejszy kostium do konnej jazdy. Nie miała pojęcia, czym poranek się zakończy, ale ostatnią rzeczą, na której jej zależało, było potknięcie się o sznurowadło albo halkę.

Raptowne stukanie do drzwi ocknęło ją z zadumy i nim zdążyła w ogóle sięgnąć do klamki, do pokoju wszedł Colin. On też rozebrał się już ze stroju wieczorowego.

- Dowiedziałaś się czegoś? - spytała natychmiast.

W odpowiedzi krótko kiwnął głową.

- Nie mamy czasu do stracenia. Zakładam, że chciałybyś znaleźć się tam wcześniej niż każdy z nich?

- Jeśli Simon przyjedzie wcześniej od Anthony'ego, to może uda mi się go przekonać do małżeństwa ze mną, nim ktokolwiek w ogóle wyciągnie pistolet.

Colin westchnął ciężko.

- Daff - zaczął - czy wzięłaś pod uwagę, że może ci się nie udać?

Przełknęła z uczuciem, że w jej gardle ugrzęzła armatnia kula.

- Staram się o tym nie myśleć - odparła z napięciem w głosie.

- Ale...

- Myśląc o tym - przerwała mu - mogę się zdekoncentrować. Mogę stracić panowanie nad sobą. A do tego nie wolno mi dopuścić. Ze względu na Simona, nie wolno mi do tego dopuścić.

- Mam nadzieję, że Hastings zdaje sobie sprawę, kogo ma w twojej osobie - powiedział cicho Colin. - Bo inaczej, może będę musiał zastrzelić go sam.

Odparła jedynie:

- Lepiej już chodźmy.

Colin skinął głową i już ich nie było.

Księżę prowadził swego konia wzdłuż Broad Walk, kierując się ku najdalszemu, najbardziej peryferyjnemu zakątkowi w nowym Regent's Park. Anthony zasugerował, a Simon przystał na to, aby załatwili swoje porachunki jak najdalej od Mayfair. Był świt, rzecz jasna, i o tej porze nikt raczej nie powinien przebywać poza domem, lecz nie było żadnego powodu, by popisywać się pojedynkiem w Hyde Parku.

Nie, żeby Simon przejmował się za bardzo tym, że pojedynki są nielegalne. Ostatecznie nie będzie go już na świecie, kiedy zacznie się wyciąganie konsekwencji prawnych.

A jednak był to cholernie nieprzyjemny sposób umiarkowania. Niestety, Simon nie widział innego wyjścia. Zhańbił szlachetnie urodzoną damę, z którą nie może się ożenić, więc teraz będzie musiał ponieść karę. Doskonale zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, zanim pocałował Daphne.

Zbliżając się do wyznaczonego miejsca, zobaczył, że Anthony i Benedict zsiadli już ze swoich koni i czekają na niego. Kasztanowe włosy obu braci rozwiewał wiatr, ich twarze były posępne.

Niemal tak bardzo jak serce Simona.

Zatrzymał konia kilka kroków przed Bridgertonami i zeskoczył na ziemię.

- Gdzie masz sekundanta? - zawołał Benedict.

- Nie zatroszczyłem się o niego - odparł Simon.

- Przecież musisz mieć sekundanta! Pojedynek bez sekundanta to nie pojedynek.

Simon wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się to bez znaczenia. Przywiozłeś pistolety. Mam do ciebie zaufanie.

Nadszedł Anthony.

- Nie chcę się strzelać - oznajmił.

- Nie masz wyboru.

- Ale ty masz - rzucił gwałtownie Anthony. - Mógłbyś się z nią ożenić. Może i jej nie kochasz, ale wiem, że bardzo ci się podoba. Z jakiego powodu nie chcesz się z nią ożenić?

Simon myślał o ujawnieniu im całej prawdy, wszystkich przyczyn, dla których złożył ślubowanie, że nigdy nie weźmie sobie żony i nie przedłuży swojego rodu. Ale oni by tego nie zrozumieli. Nie Bridgertonowie, którzy wiedzieli tylko tyle, że rodzina jest dobra, serdeczna i wierna. Nie mieli pojęcia o nikczemnych słowach i zniszczonych marzeniach. Nie znali strasznego uczucia odrzucenia.

Potem przyszło mu do głowy, żeby powiedzieć coś okropnego, po czym Anthony i Benedict okażą mu pogardę i szybciej zakończą tę parodię pojedyнку. Musiałby jednak spotwarzyć Daphne, a tego Simon po prostu uczynić nie mógł.

Ostatecznie poprzestał na rzucaniu spojrzeń na twarz Anthony'ego Bridgertona, człowieka, który był jego przyjacielem od pierwszych dni w Eton.

- Chcę cię zapewnić - oznajmił - że tu nie chodzi o Daphne. Twoja siostra jest najwspanialszą kobietą, jaką miałem zaszczyt poznać.

A później, skinąwszy głową zarówno Anthony'emu, jak i Benedictowi, wyjął jeden z dwóch pistoletów z futerału, który Benedict położył na ziemi, i rozpoczął długi spacer na północny kraniec łąki.

- Zaaaaaaczeeeeekaaaaaj!

Hastings wstrzymał oddech, obracając się na pięcie. Dobry Boże, to była Daphne!

Pędziła przez park w pełnym galopie, pochylona nisko nad swoją klaczą, i przez jeden oszałamiający moment zamiast wściec się na nią za mieszanie się do pojedynku, Simon podziwiał, jak wspaniale prezentowała się w siodle.

Ale nim szarpnęła za cugle i zatrzymała przed nim wierzchowca, wściekłość Simona rozgorzała z całą mocą.

- Co ty, *do diabła*, wyprawiasz? - spytał.

- Ratuję twoje nędzne życie! - Jej oczy miały błyskawice i Simon zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział jej aż tak rozgniewanej.

Niemal tak bardzo jak on.

- Daphne, ty mała idiotko. Czy zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczny był twój głupi wyczyn? - Otoczył ją mimowolnie ramionami i zaczął nią potrząsać. - Jeden z nas mógł cię postrzelić.

- Och, proszę - zaśmiała się. - Nie doszedłeś jeszcze nawet do końca łąki.

Miała rację, ale Hastings był zanadto wzburzony, aby to przyznać.

- Jechałaś tutaj w głuchą noc sama jedna?! - krzyczał. - Powinnaś mieć więcej rozumu.

- Mam -więcej rozumu - odgryzła się. - Towarzyszył mi ,Colin.

- Colin? - Głowa Simona zaczęła obracać się gwałtownie tam i z powrotem w poszukiwaniu najmłodszego z jej starszych braci. - Ja go zabiję!

- Przedtem czy po tym, gdy Anthony przestrzelił ci serce?

- Och, zdecydowanie przedtem - warknął. - Gdzie on jest? Bridgerton! - zawył.

Trzy kasztanowe głowy obróciły się w jego kierunku.

Simon stapał ciężko po trawie, w jego oczach malowała się żądza mordy.

- Chodziło mi o tego Bridgertona idiotę.

- To by się odnosiło do ciebie - powiedział spokojnie Anthony, wskazując podbródkiem na Colina.

Colin obrócił swój zacięty wzrok na brata.

- Miałem pozwolić, żeby została w domu i wypłakiwała oczy?

- Tak! - rozległo się z trzech stron jednocześnie.

- Simonie! - krzyknęła Daphne, kuśtykając po trawie za księciem. - Wracaj!

- Zabierz ją stąd - powiedział księżę do Benedicta.

Benedict zrobił niepewną minę.

- Zrób to! - rozkazał Anthony.

Benedict stał nieruchomo, obrzucając wzrokiem swoich braci, siostrę i mężczyznę, który ją zhańbił.

- Na rany Chrystusa! - rozjuszył się Anthony.

- Zasługuje na to, żeby móc coś powiedzieć - odparł Benedict i założył ręce na piersiach.

- Co się z wami dzieje, u diabła? - ryknął Anthony, pionunując wzrokiem obu młodszych braci.

- Simonie, musisz mnie wysłuchać - wysapała Daphne, chwytając z trudem powietrze po długim biegu.

Szarpała go za rękaw, ale księżę próbował to ignorować.

- Daphne, daj spokój. Nie możesz nic poradzić.

Dziewczyna patrzyła błagalnie na swoich braci. Colin i Benedict współczuli jej oczywiście, choć niewiele mogli zrobić, aby jej pomóc. Anthony w dalszym ciągu wyglądał jak zagniewany bóg.

Wreszcie zrobiła jedyną rzecz, którą zdołała wymyślić, aby opóźnić pojedynek. Zadała Simonowi cios pięścią.

W zdrowe oko.

Hastings zatoczył się do tyłu, wyjąc z bólu.

- Za co, do diabła?

- Przewróć się, ty idioto - syknęła. Jeśli położy się na ziemi, Anthony nie będzie mógł dobrze do niego celować.

- Nie zamierzam się przewracać! - mruknął, trzymając

się za oko. - Dobry Boże, dać się powalić przez kobietę. To nie do zniesienia.

- Mężczyźni - zachnęła się. - Sami idioci. - Odwróciła się w stronę braci, którzy przyglądali jej się z identycznym zdumieniem na twarzach. - Na co się tak gapiecie?

Colin zaklaskał w dłonie.

Anthony pacnął go w ramię.

- Czy mogę prosić o jedną króciutką chwilkę z jego wysokością? - zapytała, połowę słów sycząc przez zaciśnięte zęby.

Colin i Benedict kiwnęli głowami i odeszli. Anthony nie poruszył się.

Daphne świdrowała go wzrokiem.

- Ciebie też zaraz rąbnę.

I byłaby go rąbnęła, ale akurat wrócił Benedict i silnym szarpnięciem odciągnął brata na bok, o mało nie wrywając mu ramienia ze stawu.

Daphne popatrzyła na Simona, który przyciskał palce do brwi, jakby dzięki temu ból oka mógł się zmniejszyć.

- Nie chce mi się wierzyć, że mnie uderzyłaś - wymamrotał.

Zerknęła na braci dla sprawdzenia, czy wraz z księciem znajdują się poza zasięgiem ich słuchu.

- W swoim czasie pomysł ten wydawał się całkiem niezły.

- Nie wiem, na co tutaj liczyłaś.

- Można by sądzić, że to jest absolutnie oczywiste.

Westchnął, sprawiając wrażenie człowieka zmęczonego, smutnego i nieskończenie starego.

- Już ci mówiłem, że nie mogę się z tobą ożenić.

- *Musisz.*

Słowo to zostało wypowiedziane z takim przekonaniem i siłą, że Simon podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę przenikliwie.

- Co masz na myśli? - zapytał głosem będącym wzorem opanowania.

- To, że nas wdziano.

- Kto nas widział?

- Macclesfield.

Hastings odetchnął z wyraźną ulgą.

- On nic nie powie.

- Ale byli też inni! - Daphne zagryzła wargę. To wcale nie musiało być kłamstwo. Mogli być inni. W gruncie rzeczy prawdopodobnie *byli*.

- Kto?

- Nie wiem - przyznała. - Ale słyszałam szemrania. Jutro będzie o tym mówił cały Londyn.

Książę zaklął tak szpetnie, że aż cofnęła się o krok.

- Jeśli się ze mną nie ożenisz - powiedziała cicho - to będę zgubiona.

- To nieprawda - odparł, ale bez przekonania.

- To prawda, dobrze o tym wiesz. - Zmusiła się do spojrzenia mu w oczy. Jej cała przyszłość - oraz jego życie! - wisiały na włosku. Nie mogła pozwolić sobie na wahania. - Nikt mnie nie zechce. Wyląduję w jakiejś zapadłej dziurze na prowincji...

- "Wiesz, że twoja matka nigdy by cię nie odesłała.

- Ale nie wyjdę za mąż. Wiesz o tym. - Postąpiła krok do przodu, zmuszając go do odczuwania jej bliskości. - Do końca życia będę napiętnowana jako towar używany. Nigdy nie wyjdę za mąż, nie urodzę dzieci...

- Przestań! - Simon dosłownie zawył. - Na miłość boską, przestań.

Anthony, Benedict i Colin jak jeden mąż zerwali się na jego krzyk, ale szaleńcze potrząśnięcia głową siostry zatrzymały ich w pół kroku.

- Dlaczego nie możesz się ze mną ożenić? - spytała cicho. - Wiem, że ci na mnie zależy. O co chodzi?

Ukrył twarz w dłoni, kciuk i palec wskazujący wbijały się bezlitośnie w jego skronie. Chryste, dostał bólu głowy. A Daphne - wielki Boże, Daphne przysuwała się coraz bliżej. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, a później policzka. Brakowało mu sił. Wielki Boże, zabraknie mu sił.

- Simonie - szepnęła błagalnie - ocal mnie.

I był zgubiony.

Pojedynek, pojedynek, pojedynek. Czy jest coś bardziej ekscytującego, bardziej romantycznego... lub aż tak bezden- nie idiotycznego?

Do uszu piszącej te słowa dotarło, że na początku tygodnia w Regent's Park odbył się pojedynek. Ponieważ pojedynki są nielegalne, pisząca te słowa nie ujawni nazwisk zwycięzców, niech będzie jednak wiadomo, że pisząca te słowa srodze krzywi się na taką przemoc.

Zdaje się, w chwili oddawania niniejszej edycji do druku oczywiście, że obaj pojedynkujący się idioci (wzdragam się przed określeniem ich dżentelmenami; implikowałoby to pewien stopień inteligencji, przymiotu, który, o ile w ogóle mają, najwyraźniej zawiódł ich tego poranka), a więc że obaj idioci są cali i zdrowi.

Kto wie, może tego fatalnego ranka uśmiechnął się do nich anioł rozsądku i subtelności?

Jeśli tak było, zdaniem piszącej te słowa anioł ów powinien otoczyć opieką znacznie więcej mężczyzn z elity towarzyskiej. Działanie to mogłoby jedynie uczynić środowisko bardziej przyjaznym, sprzyjając kolosalnej poprawie naszego świata.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 19 maja 1813

Simon podniósł swoje zmaltretowane oczy na Daphne.

- Ożenię się z tobą - wyszeptał - powinnaś jednakże wiedzieć...

Jego wypowiedź została przerwana zarówno okrzykiem triumfu Daphne, jak i jej szaleńczym uściskiem.

- Ach, Simonie, nie będziesz żałował - zawołała z uczuciem gwałtownego odprężenia. Oczy dziewczyny zalśniły tłumionymi łzami, ale zapłonęły też radością. - Uczynię cię

szczęśliwym, przyrzekam. Uczynię cię bardzo szczęśliwym. Nie pożałujesz tego.

- Przestań! - zazgrzytał Hastings, odpychając ją na bok. Wylewna radość Daphne stała się nie zniesienia. - Musisz mnie wysłuchać.

Znieruchomiała, a na jej twarzy malował się przestach.

- Wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia - rzekł szorstkim tonem - dopiero potem zdecydujesz, czy chcesz wyjść za mnie za mąż.

Dziewczyna kiwnęła delikatnie głową, jej dolna warga tkwiła między zębami.

Simon z trudem łąpał oddech. Jak jej powiedzieć? Co jej powiedzieć? Nie mógł ujawnić prawdy. Przynajmniej nie całą... Ale będzie musiała zrozumieć. Wychodząc za niego...

Nawet jej się nie śniło, ile na tym straci.

Musiał dać jej szansę na rezygnację z niego. Zasłużyła na aż tyle. Przełknął ślinę, poczucie winy dokuczliwie ścisnęło mu krtań. Zasłużyła na wiele więcej, ale mógł dać jej tylko to.

- Daphne - powiedział, jej imię jak zawsze działało kojąco na jego zszarpane nerwy - jeśli wyjdiesz za mnie...

Podeszła do niego, wyciągając dłoń, aby natychmiast cofnąć ją w reakcji na jego piorunujące spojrzenie.

- W czym rzecz? - wyszeptała. - Chyba nic nie może być aż tak straszne, żeby...

- Ja nie mogę mieć dzieci.

No, to miał już to za sobą. I było w tym dużo prawdy.

Usta Daphne rozchyliły się, lecz poza tym nie dostrzegł żadnych oznak, że w ogóle go usłyszała.

Wiedział, że jego słowa zabrzmiały brutalnie, nie znał jednak innego sposobu zmuszenia jej, aby zrozumiała.

- Jeśli zostaniesz moją żoną, nigdy nie będziesz miała dzieci. Nigdy nie będziesz trzymała w ramionach małego dzidziusia, wiedząc, że on jest twój, że dałaś mu życie z miłości. Nigdy nie...

- Skąd wiesz? - przerwała mu drewnianym i nienaturalnym głosem.

- Po prostu wiem.

- Ale...

- Nie mogę mieć dzieci - powtórzył dobitnie. - Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

- Rozumiem. - Jej usta drżały lekko, jak gdyby nie była pewna, czy ma coś do powiedzenia, a powieki mrugały trochę szybciej niż zwykle.

Simon badał wzrokiem oblicze Daphne, lecz nie umiał odczytać jej emocji tak łatwo, jak to robił kiedyś. Miała prawdomówną twarz i wstrząsająco szczere oczy - tak że odnosił wrażenie, że zagłębia w samą jej duszę. Teraz jednak miała nieprzenikniony wyraz twarzy.

Denerwowała się - to nie ulegało wątpliwości. Ale nie miał pojęcia, co zamierzała powiedzieć. Nie miał pojęcia, jak zareaguje.

Wtem przyszła mu do głowy niesamowita myśl, że ona również tego nie wie.

Zdał sobie sprawę z czyjejs obecności po swej prawej stronie. Odwrócił się i ujrzał przed sobą Anthony'ego, na jego twarzy gniew mieszał się z niepokojem.

- Jakież problemy? - zapytał łagodnie, błędząc oczami po znękaną twarz siostry.

Zanim księżę zdążył coś powiedzieć, Daphne rzuciła:

- Żadnych.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

- Pojedynku nie będzie - oznajmiła. - Jego wysokość i ja bierzemy ślub.

- Rozumiem. - Anthony sprawiał wrażenie, jakby chciał zareagować ze znacznie większą ulgą, ale dostojna mina siostry wymusiła na nim dziwny spokój.

- Powiem tamtym - rzekł i oddalił się.

Simon poczuł, że jego płuca wypełniają się nagle jakąś zdziwiająco obcą treścią. To było powietrze, uświadomił sobie z osłupieniem. Przez cały ten czas wstrzymywał oddech. Nawet sobie tego nie uświadamiał.

Wypełniło go jeszcze coś innego. Coś gorącego i straszego, coś triumfalnego i -wspaniałego. To było uczucie czyste i wyraziste, dziwna mieszanina ulgi, radości, namiętności

i strachu. I Simon, który spędził większość życia, unikając takich gwałtownych "wzruszeń, nie wiedział, co z tym zrobić.

Jego wzrok odnalazł Daphne.

- Jesteś pewna? - spytał cichym szeptem.

Kiwnęła głową, a jej twarz była wyprana z wszelkich emocji.

- Jesteś tego wart. - Z tymi słowy powoli oddaliła się do swego wierzchowca.

A Simon pozostał na miejscu, zadając sobie pytanie, czy właśnie wzięto go do nieba - czy może zepchnięto do najciemniejszego zakątka piekła.

Resztę dnia Daphne spędziła w otoczeniu rodziny. Wszyscy byli oczywiście poruszeni wiadomością o jej zaręczynach. Wszyscy, to znaczy oprócz jej starszych braci. Wprawdzie cieszyli się z jej szczęścia, ale wydawali się odrobinę przygaszeni. Nie miała do nich o to pretensji. Sama również była w podobnym nastroju. Wydarzenia tego poranka wyczerpały wszystkich.

Zadecydowano, że ślub musi odbyć się możliwie najprędzej. (Violetta została powiadomiona, że Daphne *być może* całowała się z Simonem w ogrodzie lady Trowbridge, i informacja ta wystarczyła jej, by natychmiast wystosować prośbę do arcybiskupa o specjalną dyspensę.) Wicehrabina rzuciła się zatem w wir przygotowań najdrobniejszych szczegółów ceremonii; to że ślub ma być skromny, oświadczyła, nie znaczy wcale, że musi być dziadowski.

Eloise, Francesca i Hiacynta, wszystkie ogromnie podniecone perspektywą wystrojenia się w sukienki druhen, bez przerwy zarzucały siostrę pytaniami. Jak Simon się oświadczył? Czy przyklęknął na jedno kolano? Jaki kolor będzie nosiła i kiedy Simon da jej pierścionek?

Daphne dokładała wszelkich starań, by odpowiedzieć na każde pytanie, ale nie mogła się skoncentrować, i zanim popołudnie przeszło w wieczór, ograniczyła się do mamrotania monosylab. W końcu, kiedy Hiacynta zagadnęła ją o kolor róż, które chciałyby mieć w bukietcie, a Daphne odpowiedziała: -

Trzy - dziewczynki przestały z nią rozmawiać i dały jej spokój.

Świadomość dokonanych wyczynów wprawiła Daphne niemal w osłupienie. Ocaliła ludzkie życie. Uzyskała obietnicę małżeństwa od mężczyzny, którego wielbiła. Oraz skazała się na życie bez dzieci.

Wszystko w przeciągu jednego dnia.

Roześmiała się z pewną desperacją. Ciekawe, co jutro zdoła wykonać na bis.

Nie mogła sobie przypomnieć, jakie myśli snuły jej się po głowie w tych ostatnich momentach, zanim odwróciła się do Anthony'ego i powiedziała: „Pojedyнку nie będzie”, ale w gruncie rzeczy nie była pewna, czy coś w ogóle utrwaliło się w jej pamięci. Cokolwiek przelatywało jej przez umysł - nie składało się ze słów, zdań ani uformowanych wyobrażeń. Była wówczas jakby spowita przez kolory. Czerwienie i żółcie oraz wirującą mieszaninę barwy pomarańczowej w miejscach, gdzie tamte zachodziły na siebie. Czyste uczucie oraz instynkt. Nic więcej. Żadnej rozważki, żadnej logiki, niczego, co nosiłoby choćby ślady racjonalności i rozsądku.

W czasie kiedy wszystko się w niej gotowało, jakimś sposobem zrozumiała, co ją czeka. Będzie mogła żyć bez dzieci, których jeszcze nie urodziła, ale nie mogłaby żyć bez Simona. Dzieci były bezpostaciowymi, nieznanymi istotami, których nie mogła sobie wyobrazić ani dotknąć.

Natomiast Simon - Simon był kimś rzeczywistym i znajdował się *tutaj*. Wiedziała, co się czuje, dotykając jego policzka i śmiejąc się w jego obecności. Znała słodki smak jego pocałunku i to jego wygięcie ust w czasie uśmiechu.

Poza tym kochała go.

I choć z trudem ośmielała się o tym myśleć, Simon mógł się mylić. Może *mógł* mieć dzieci. Może jakiś niekompetentny chirurg wprowadził go w błąd, a może Bóg po prostu czekał na dogodny moment, by uczynić cud. W przeciwieństwie do matki nie zamierzała poświęcić się wyłącznie prokreacji, wiedziała jednak, że gdyby mogła urodzić bodaj jedno dziecko, czułaby się spełniona.

Ale nie podzieli się tymi myślami z Simonem. Gdyby do-

wiedział się, że karmiła się choćby znikomą nadzieją na dziecko, nie ożeni się z nią. Była o tym przekonana. Przecież posunął się do takiej brutalnej szczerości. Nie umożliwiłby jej samodzielnego podjęcia decyzji, gdyby nie był pewny, że wszystko dokładnie zrozumiała.

- Daphne?

Daphne, która siedziała apatycznie na otomanie w salonie Bridgertonów, podniosła wzrok i zobaczyła, że matka przygląda się jej z wyrazem głębokiej troski na twarzy.

- Dobrze się czujesz? - spytała Violetta.

Zdobyła się na smutny uśmiech.

- Czuję się zmęczona - odparła. I to była prawda. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że od ponad trzydziestu sześciu godzin nie spała.

Violetta przysiadła obok niej.

- Myślałam, że będziesz bardziej podekscytowana. Wiem, jak bardzo kochasz Simona.

Daphne obróciła zdziwione oczy na twarz matki.

- Nietrudno to zauważyć - powiedziała wicehrabina łagodnie i poklepała córkę po dłoni. - To dobry człowiek. Dokonałaś właściwego wyboru.

Daphne czuła, że jej usta rozchylają się w niepewnym uśmiechu. *Dokonała* właściwego wyboru. I zrobi z tego małżeństwa jak najlepszy użytek. Jeśli nie zostaną pobłogosławieni dziećmi - to trudno, myślała, zresztą sama też mogła okazać się bezpłodna. Znała kilka par, które w ogóle nie miały dzieci, i nie wierzyła, by którakolwiek z nich wiedziała o swoich ułomnościach przed złożeniem przysięgi małżeńskiej. A mając siedmioro braci i sióstr, mogła się nie obawiać, że zabraknie jej siostrzenic i bratanków do rozpieszczania i psucia.

Lepiej żyć z mężczyzną, którego kocha, niż płodzić dzieci z jakimś innym, którego nie kocha.

- Może się prześpisz? - zaproponowała Violetta. - Wyglądasz na strasznie zmęczoną. Nie mogę patrzeć na te twoje worki pod oczami.

Daphne skinęła głową i z trudem dźwignęła się na nogi. Matka wiedziała, co mówi. Potrzebowała snu.

- Za dwie godziny na pewno będę się czuła o niebo lepiej - powiedziała, ziewając szeroko i przeciągle.

Wicehrabina wstała, podając córce ramię.

- Obawiam się, że nie dasz rady sama wejść po schodach - uśmiechnęła się, wyprowadzając ją z salonu. - Szczerze wątpię, czy zobaczę cię na nogach za dwie godziny. Przekażę wszystkim, że nie wolno ci przeszkadzać aż do rana.

Dziewczyna kiwnęła sennie głową.

- Dobrze... - mruknęła, kuśtykając do swego pokoju. - Dobrze, do ran...

Violetta skierowała Daphne w stronę łóżka i pomogła jej się położyć. Zdjęła córce pantofle, ale na tym poprzestała.

- Równie dobrze możesz spać w ubraniu - powiedziała cicho, pochylając się nad córką i całując ją w czoło. - Nie wyobrażam sobie, abym zdołała cię obrócić i ściągnąć z ciebie kieckę.

Jedyną reakcją Daphne było chrapanie.

Simon również czuł się wykończony. Nie każdego dnia mężczyzna patrzy śmierci w oczy. A potem zostaje ocalony przez dziewczynę - i zaręcza się z nią! - która przez ostatnie dwa tygodnie odwiedzała go we wszystkich snach.

Gdyby nie paradował z podbitymi oczami i sporym siniakiem na brodzie, mógłby pomyśleć, że to wszystko mu się tylko przywidziało.

Czy Daphne zdawała sobie sprawę z powagi swojej decyzji? Z czego rezygnowała? Była dziewczyną zrównoważoną, nie oddawała się marzeniom ani nie ponosiła jej fantazja; wątpił, czy zgodziłaby się go poślubić, nie przemyślawszy wszystkich konsekwencji.

Swoją drogą, decyzję powzięła w ułamku sekundy. W jaki sposób udało jej się to wszystko tak błyskawicznie rozważyć?

Chyba że się w nim zadurzyła. Czy to z miłości do niego porzuciła marzenia o licznej rodzinie?

A może zrobiła to z poczucia winy? Gdyby zginął w tym pojedynku, na pewno znalazłaby jakiś pretekst, żeby obarczyć odpowiedzialnością siebie. Do diabła, *podobła* mu się

ta dziewczyna. Była jedną z najbardziej ujmujących osób, jakie znał. Wątpił, czy mógłby żyć, mając na sumieniu jej śmierć. Pewnie odczuwała to samo w stosunku do niego.

Ale niezależnie od jej motywów wszystko wskazywało na to, że od najbliższej soboty - lady Bridgerton już przysłała mu liścik z informacją, że zaręczyny nie potrważą zbyt długo - będzie związany z Daphne na całe życie.

A ona z nim.

Nie da się już tego zatrzymać, uświadomił sobie. Daphne nie wycofałaby się z małżeństwa w tym momencie, on zresztą też nie. I ku jego niebotycznemu zdziwieniu to niemal fatalistyczne przekonanie sprawiło, że poczuł...

Zadowolenie.

Daphne będzie jego. Znała jego wady, wiedziała, czego nie może jej dać, a mimo to nie chciała nikogo innego. Świadomość tego rozgrzała jego serce bardziej, niż mógłby przypuszczać.

- Wasza wysokość?

Zagłębniony w skórzanym fotelu gabinetu Simon spojrzał w górę. Nie, żeby musiał to zrobić - ten gruby, beznamietny głos należał oczywiście do jego lokaja.

- Tak, Jeffries?

- Przyszedł lord Bridgerton. Czy mam go poinformować, że nie ma pana w domu?

Hastings dźwignął się na nogi. Do cholery, ależ był zmęczony.

- Nie uwierzy ci.

- Doskonałe, proszę pana. - Jeffries skinął głową. Zrobił trzy kroki, po czym się odwrócił. - Czy na pewno wasza wysokość chce przyjmować gości? Wydaje się pan trochę, hm, niedysponowany.

Z gardła Simona wydobył się pojedynczy, pozbawiony radości chichot.

- Jeśli chodzi ci o moje oczy, lord Bridgerton odpowiada za tego większego z dwóch siniaków.

Jeffries zamrugał niczym sowa.

- Większego, wasza wysokość?

Simon zdobył się na półuśmiech. To nie było łatwe. Bolała go cała twarz.

- Rozumiem, że trudno to rozróżnić, ale moje prawe oko jest nieco gorsze od lewego.

Jeffries pochylił się bardziej, wyraźnie zaintrygowany.

- Zaufaj mi.

Lokaj wyprostował się.

- Oczywiście. Czy mam zaprowadzić lorda Bridgertona do salonu?

- Nie, poproś go tutaj - polecił księżę, a w odpowiedzi na nerwowe przełknięcie śliny przez Jeffriesa dodał: - I nie musisz się martwić o moje bezpieczeństwo. W tych okolicznościach lord Bridgerton nie przysporzy mi ran. Poza tym - mruknął - trudno by mu było znaleźć miejsce, którego jeszcze nie uszkodził.

Jeffries otworzył szeroko oczy i wybiegł z gabinetu.

Po chwili wkroczył Anthony Bridgerton. Spojrzał na Hastingsa i powiedział:

- Wyglądasz jak wszyscy diabli.

Simon wstał i zmarszczył czoło - co nie było łatwe w jego aktualnym stanie.

- Dziwi cię to?

Anthony roześmiał się. Głos miał z lekka ponury, nieco głuchy, ale Simon usłyszał w nim echo głosu starego przyjaciela. Echo starej przyjaźni. Ku swemu zdziwieniu przyjął to ze szczerą wdzięcznością.

Bridgerton pokazał ręką na jego oczy.

- Które jest moje?

- Prawe - odparł księżę, ostrożnie dotykając zranionej skóry. - Daphne ma niezły cios jak na dziewczynę, ale brak jej twojej krzepy i dynamiki.

- A jednak sprawiła się całkiem niezłe - stwierdził Anthony, przysunawszy się bliżej, by ocenić dzieło siostry.

- Możesz być z niej dumny - mruknął Simon. - Boli jak cholera.

- No i dobrze.

A potem obaj milczeli. Mieli tyle do powiedzenia i nie wiedzieli, jak to powiedzieć.

- Nigdy nie chciałem, żeby do tego doszło - oznajmił w końcu Anthony.

- Ja też nie.

Bridgerton oparł się o krawędź biurka Simona, ale zaraz zaczął się wiercić, wyglądając dziwnie nieswojo we własnym ciełe.

- Nie było mi łatwo pozwolić ci ją uwodzić.

- Wiedziałeś, że robiłem to na niby.

- Wczoraj wieczorem *przestałeś* robić to na niby.

Co miał powiedzieć? Że to Daphne była uwodzicielką, a nie on? Że to ona uprowadziła go z tarasu i zaciągnęła w mrok nocy? Ani jedno, ani drugie nie miało znaczenia. Miał więcej doświadczenia niż Daphne. Powinien był umieć ją powstrzymać.

Nic nie odpowiedział.

- Mam nadzieję, że zdołamy o tym zapomnieć - ciągnął Anthony.

- Byłoby to zapewne najgorętsze pragnienie Daphne.

Oczy Bridgertona zwięzły się.

- A czy teraz celem twojego życia będzie spełnianie najgorętszych pragnień mojej siostry?

Wszystkich prócz jednego, pomyślał Simon. Wszystkich oprócz tego, które liczy się naprawdę.

- Wiesz, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby dać jej szczęście - powiedział cichym głosem.

Anthony skinął głową.

- Jak ją skrzywdzisz...

- Nigdy jej nie skrzywdzę - ślubował Simon z blaskiem w oczach.

Anthony obrzucił go przeciągłym i chłodnym spojrzeniem.

- Byłem gotów zabić cię za znieważenie Daphne. Jeśli zniszczysz jej duszę, bądź pewien, że nie zaznasz spokoju do końca życia. Które - dodał z groźną miną - nie potrwa wtedy długo.

- W sam raz na zadanie mi rozdzierającego bólu? - spytał z opanowaniem książe.

- Właśnie.

Simon pokiwał głową. Choć Anthony groził mu torturami i śmiercią, szanował go za to. Oddanie dla siostry przynosiło zaszczyt.

Zadawał sobie pytanie, czy może Anthony dostrzegł w nim coś, czego nikt inny nie zauważył. Znali się przez ponad połowę życia. Czyżby przyjaciel odkrył najciemniejsze zakamarki jego duszy? Udrękę i wściekłość, które tak bardzo próbował zachować w ukryciu?

A jeśli to prawda, czy właśnie dlatego Anthony niepokoił się o szczęście swojej siostry?

- Daję ci słowo - odparł Simon. - Uczynię wszystko, co w mej mocy, aby zapewnić Daphne szczęście i bezpieczeństwo.

Anthony kiwnął lakonicznie głową.

- Lepiej dobrze się postaraj. - Odepchnął się od biurka i podszedł do drzwi. - Bo inaczej będziesz miał do czynienia ze mną.

Z tymi słowy wyszedł.

Simon jęknął i opadł bez sił na skórzany fotel. W którym momencie jego życie tak cholernie się skomplikowało? Kiedy przyjaciele stali się wrogami, a niewinny flirt przeistoczył się w namiętność?

I co on, do cholery, zrobi z Daphne? Nie chciał jej skrzywdzić, właściwie nie byłby w stanie jej skrzywdzić, a jednak był na to skazany przez małżeństwo z nią. Pałał do niej namiętnością, nie mógł doczekać się dnia, kiedy będzie mógł ją położyć, nakryć jej ciało swoim i powoli wchodzić w nią, aż wyjęczy jego imię...

Wzdrygnął się. Takie myśli nie mogą odbić się korzystnie na jego zdrowiu.

- Wasza wysokość?

Znowu Jeffries. Zmęczenie nie pozwoliło Simonowi podnieść oczu i tylko machnięciem ręki zareagował na słowa lokaja.

- Może zechciałby pan udać się na spoczynek, wasza wysokość?

Hastings zdołał spojrzeć na zegar tylko dzięki temu, że nie musiał jednocześnie ruszyć głową. Dopiero siódma wieczór. Rzadko o tej porze chodził spać.

- Jeszcze wcześniej - wymamrotał.
- Może jednak zechciałby pan udać się na spoczynek - nalegał lokaj.

Simon przymknął oczy. Jeffries miał rację. Może faktycznie potrzebuje dłuższego kontaktu z puchowym materacem i miękką, lnianą pościelą. Mógłby schronić się w sypialni, gdzie zdoła uniknąć widoku Bridgertonów przez całą noc.

Do cholery, w takim stanie ducha, mógłby zaszyć się tam na wiele dni.

13

Mariaż księcia Hasdnsga i panny Bridgerton!

Pisząca te słowa musi skorzystać z okazji, aby przypomnieć ci, drogi czytelniku, że nadchodzące zaślubiny zostały trafnie przewidziane na tejże kolumnie. Nie uszło uwagi piszącej te słowa, że ilekroć ogłosi się tu wiadomość o widocznym zainteresowaniu dżentelmena bez zobowiązań panną na wydaniu, notowania w księgach bukmacherskich w Klubach Dżentelmena zmieniają się z godziny na godzinę, i to zawsze na korzyść mariażu.

Choć pisząca te słowa nie jest wpuszczana do White'a, ma ona powody sądzić, że oficjalne notowania mariażu księcia z panną Bridgerton wynosiły 2: 1 za.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 21 maja 1813

Reszta tygodnia przeleciała jak z bicia trząśł. Daphne nie widziała Simona kilka dni. Niemal się przestraszyła, że wyjechał z miasta, lecz Anthony uspokoił ją, że w tym czasie odwiedził księcia w Hastings House celem ustalenia szczegółów kontraktu małżeńskiego.

Ku wielkiemu zdumieniu Anthony'ego Simon odmówił przyjęcia choćby jednego pensa posagu. Ostatecznie obaj panowie zadecydowali, że pieniądze odłożone przez wice-

hrabiego Bridgertona na posąg dla córki Anthony wpłaci na oddzielny fundusz powierniczy, którym będzie osobiście zarządzać. Daphne będzie mogła je wydawać albo oszczędzać według własnej woli.

- Możesz pozostawić je waszym dzieciom - zaproponował.

Daphne uśmiechnęła się jedynie. Do wyboru miała jeszcze tylko łyzy.

Kilka dni później po południu książę zjawił się w Bridgerton House. Do ślubu pozostawały wówczas dwa dni.

Po zaanonsowaniu jego przybycia przez Humboldta Daphne przeszła do salonu. Siedziała sztywno na brzegu adamaszkowej otomany, a dłonie trzymała splecione na kolanach. Wyglądała, była o tym przekonana, jak żywe wcielenie damy z angielskiej elity.

Była jednym kłębkim nerwów.

Poprawka, szepnęła w duchu, kiedy żołądek przekręcił się jej na drugą stronę - jednym kłębkim rozigranych nerwów.

Zerknęła w dół na swoje ręce i zorientowała się, że paznokcie zostawiają czerwone, półokrągłe nacięcia na wewnętrznych stronach dłoni.

Druga poprawka - jednym kłębkim rozigranych nerwów przebitych strzałą. Może ognistą na dodatek.

Pokusa, żeby się roześmiać, była niemal równie silna, jak i niestosowna. Daphne nigdy dotąd nie denerwowała się przed spotkaniem z Simonem. W istocie był to prawdopodobnie najbardziej godny uwagi aspekt ich przyjaźni. Nawet gdy przyłapywała go na wpatrywaniu się w nią z żarem w oczach, wiedząc, że jej oczy wyrażają identyczne emocje, czuła się w jego obecności absolutnie swobodnie. Owszem, żołądek podchodził jej do gardła, a po skórze chodziły ciarki, lecz były to symptomy pożądania, a nie skrępowania. Przede wszystkim Simon był jej przyjacielem i Daphne wiedziała, że uczucie bez troski i szczęścia, jakiego doznawała • wcześniej w jego obecności, nie było jej dane raz na zawsze.

Była pewna, że znajdą jakiś sposób, by odzyskać owo poczucie serdeczności i spokoju ducha, ale po zajęciach w Re-

gent's Park bała się strasznie, że może to nastąpić raczej później niż wcześniej.

- Dzień dobry, Daphne.

W wejściu pojawił się Simon, wypełniając je swoją piękną postawą. Cóż, być może jego prezencja nie była aż tak piękna jak zazwyczaj. Oczy wciąż zwracały na siebie uwagę świetnie dobranymi kolorystycznie, ciemnymi siniakami, podobnie jak pręga na podbródku, która już zaczęła nabierać wspaniałego odcienia zieleni.

Ale i tak było to lepsze niż kulka w sercu.

- Simonie - rzekła - jak miło cię widzieć. Co cię sprowadza do Bridgerton House?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Czyż nie jesteśmy zaręczeni?

Oblała się rumieńcem.

- Tak, oczywiście.

- Zdawało mi się, że mężczyźni powinni odwiedzać swoje narzeczone. - Usiadł na drugim końcu otomany. - Czyżby łady Whistledown nie napisała niczego na ten temat?

- Nie sądzę - mruknęła - ale na pewno moja matka musiała o tym wspomnieć.

Oboje uśmiechnęli się i Daphne pomyślała przez chwilę, że znowu wszystko będzie dobrze, ale z chwilą gdy uśmiechy zniknęły, w pokoju zaległa nieprzyjemna cisza.

- Jak tam twoje oczy, czy już z nimi lepiej? - spytała w końcu. - Opuchlizna jakby się zmniejszyła.

- Tak sądzisz? - Simon odwrócił się twarzą do wielkiego, pozłacanego lustra. - Moim zdaniem te siniaki nabrały wspaniałego odcienia błękitu.

- Szkarłatu.

Pochylił się do przodu, co wcale nie przybliżyło go do lustra.

- A zatem szkarłatu, sądzę jednak, że to może być kwestia dyskusyjna.

- Bola?

Uśmiechnął się smutno.

- Tylko kiedy ktoś dźgnie je palcem.

- Więc postaram się powściągnąć - wymamrotała, krzywiąc się znacząco. - To będzie trudne, rzecz jasna, ale jakoś wytrzymam.

- Tak - bąknął z kamienną twarzą. - Często mi powtarzано, że zachęcam kobiety do dźgania mnie w oczy.

Uśmiechnęła się z ulgą. Skoro potrafią żartować z takich rzeczy, to wszystko wróci do stanu poprzedniego.

Hastings zakasłał.

- W gruncie rzeczy miałem powód, aby złożyć ci wizytę. Spojrzała na niego wyczekująco, ciekawa, co też jeszcze usłyszy.

Wręczył jej etui jubilerskie.

- To dla ciebie.

Ze wstrzymanym oddechem sięgnęła po małe, aksamitne puzderko.

- Jesteś tego pewny? - spytała.

- Pierścionki zaręczynowe traktuje się chyba jako *de rigueur* - rzucił pośpiesznie.

- Och. Ależ się wygłupiłam. Nie przyszło mi do głowy...

- Że to pierścionek zaręczynowy? Myślałaś, że co to jest?

- W ogóle *nie myślałam* - przyznała się potulnie. Dotychczas Simon nigdy nie dawał jej prezentów. Jego dzisiejszy gest zaskoczył ją do tego stopnia, że kompletnie zapomniała, iż właściwie był jej winny pierścionek zaręczynowy.

Winny - nie podobało jej się to słowo, było jej przykro, że w ogóle tak o tym pomyślała. Mogłaby się jednak założyć, że Simon pomyślał o tym w ten sam sposób, idąc do sklepu z biżuterią.

Było to przygnębiające uczucie. Zmusiła się jednak do uśmiechu.

- Czy to klejnot rodowy?

- Nie! - wykrzyknął tak gwałtownie, że aż kilkakrotnie zamrugała oczami.

- Och.

Kolejna chwila niezręcznej ciszy.

Książę zakasłał, a następnie powiedział:

- Pomyślałem, że może chciałabyś mieć coś własnego.

Wszystkie kosztowności Hastingsów były wybierane dla innych osób. Ten wybrałem dla ciebie.

Daphne uznała to za cud, że nie rozkleiła się na miejscu.

- Jesteś taki słodki - rzekła, siłą powstrzymując się od sentymentalnego siąknięcia nosem.

Simon wiercił się niespokojnie na swoim końcu otomany, co wcale Daphne nie zdziwiło. Mężczyźni bardzo nie lubią, żeby ich nazywać słodkimi.

- Nie otworzysz? - mruknął.

- Ach, tak. Naturalnie. - Pokiwała lekko głową, otrząsając się z zamyślenia. - Głupio się zachowałam. - Błyszczącymi oczami przyglądała się jubilerskiemu etui. Mrugnęła kilkakrotnie, żeby lepiej widzieć, odpięła ostrożnie klamerkę i otworzyła wieczko.

- O mój Boże! - wyszeptwała, nie będąc w stanie powiedzieć niczego więcej, a i to bardziej przypominało westchnienie niż głos.

W etui leżał niezwykle pierścionek z białego złota, w którym osadzony był duży, owalny szmaragd, ozdobiony z obu stron pojedynczymi, nieskazitelnymi diamentami. Był to najpiękniejszy klejnot, jaki dotąd widziała, błyszczący, ale wykwintny, drogocenny, co oczywiste, ale nie efekciarski.

- Cudowny - szepnęła. - Już go kocham.

- Na pewno? - Simon zdjął rękawiczki, pochylił się i wyjął klejnot z etui. - Ponieważ ten pierścionek należy do ciebie. Ty jedna będziesz go nosiła i powinien wyrażać twój gust, a nie mój.

- Najwyraźniej nasze gusty się pokrywają - odparła łamiącym się trochę głosem.

Książę odetchnął z niejaką ulgą i ujął dłoń dziewczyny. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie znaczenie będzie miał dla niego fakt, że Daphne spodobał się pierścionek. Żałował, że się na nią złościł, choć przez kilka poprzednich tygodni łączyła ich taka serdeczna przyjaźń. Żałował, że ich rozmowy przeplatają się z okresami ciszy, mimo że przedtem Daphne była jedyną osobą, przy której w ogóle nie odczuwał potrzeby ważenia w myślach każdego słowa.

Nie, żeby miał teraz jakikolwiek kłopot z mówieniem. Sprawiał po prostu wrażenie, że nie wie, co ma powiedzieć.

- Czy mogę go włożyć? - zapytał miękko.

Kiwnęła głową i zaczęła zdejmować rękawiczkę.

Ale Simon unieruchomił jej palce swoimi i wziął to zadanie na siebie. Delikatnie szarpnął koniuszek każdego palca rękawiczki, a później zaczął ściągać ją bez pośpiechu z dłoni dziewczyny. Gest ten był bezwstydnie erotyczny i najwyraźniej stanowił skróconą postać marzeń księcia, by zedrzeć z jej ciała ubranie aż do ostatniej niteczki.

Obserwowała z zapartym tchem, jak skraj rękawiczki przesuwają się po opuszkach palców. Melodia wydychanego przez nią powietrza budziła w Simonie coraz większe pożądanie.

Drżącymi rękami włożył pierścionek na jej palec, obracając lekko przy zgrubieniu, póki nie spoczął na swoim miejscu.

- Pasuje idealnie - stwierdziła, poruszając dłonią w różne strony, aby zobaczyć, jak klejnot odbija światło.

Simon jednak nie wypuścił jej dłoni. Przy każdym ruchu jej skóra ocierała się o jego, wywołując w nim falę ciepła, co działało osobliwie kojąco. Potem uniósł jej dłoń do swoich ust i na kostkach jej palców złożył delikatny pocałunek.

- Cieszę się - szepnął. - Ze pasuje na ciebie.

Usta Daphne wygięły się w łuk - zapowiedź tego promiennego uśmiechu, który tak uwielbiał. Być może zapowiedź tego, że wszystko między nimi ułoży się dobrze.

- Skąd wiedziałeś, że lubię szmaragdy?

- Nie wiedziałem. Przypominały mi twoje oczy.

- Moje... - Zadarła nieznacznie głowę, a jej usta wykrzywiły się w coś, co można by nazwać tylko grymasem niezadowolenia. - Simonie, przecież ja mam brązowe oczy.

- Na ogół brązowe - poprawił ją.

Zaczęła się wiercić, aż znalazła się twarzą do złoconego lustra, w którym wcześniej Hastings oglądał swoje siniaki, po czym zamrugała kilka razy.

- Nie - rzekła powoli, jak gdyby kierowała te słowa do osoby wyjątkowo tępej - one są brązowe.

Wyciągnął dłoń i musnął łagodnie palcem dolną powiekę jej

oka, delikatne rzęsy łaskotały go niczym pocałunek motyla.

- Nie wokół źrenicy.

Zerknęła na niego głównie z lekkim powątpiewaniem, ale i pewną dozą nadziei, po czym westchnęła zabawnie i wstała.

- Sama poszukam.

Simon obserwował z rozbawieniem, jak Daphne unosi się z otomany, maszeruje do lustra i przykłada do niego twarz. Zamrugła parę razy, wytrzeszczyła oczy i ponownie zamruwała.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Nigdy tego nie widziałam!

Simon również wstał, podszedł do Daphne i pochylił się obok niej nad mahoniowym sekretarzykiem, który stał przed lustrem.

- Niedługo nauczysz się, że ja zawsze mam rację.

Posłała mu drwiące spojrzenie.

- Ale jak ty to zauważyłeś?

Wzruszył ramionami.

- Przyjrzałem się bardzo dokładnie.

- Ty... - zaczęła, ale najwyraźniej postanowiła nie kończyć zdania, bo z powrotem oparła się o sekretarzyk i otworzyła szeroko powieki, żeby raz jeszcze przyjrzeć się dobrze oczom.

- Kto by pomyślał? - mruknęła. - Ja mam zielone oczy.

- Cóż, nie posunąłbym się aż tak daleko, żeby...

- Dzisiaj - przerwała mu - odrzucam pogląd, że są inne niż zielone.

Książę wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jak sobie życzysz.

- Zawsze strasznie zazdrościłam Colinowi - westchnęła. - Do czego to podobne, żeby takie piękne oczy marnowały się u mężczyzny.

- Daję głowę, że wszystkie panny, które się w nim zadurzyły, byłyby przeciwnego zdania.

Posiała mu dumne spojrzenie.

- Owszem, ale one nie mają znaczenia, prawda?

Przyłapał się na chęci parsknięcia śmiechem.

- Nie mają, skoro tak twierdzisz.

- Niedługo nauczysz się - powiedziała filuternie - że ja mam zawsze rację.

Tym razem już parsknął śmiechem. Nijak nie mógł się powstrzymać. Wreszcie przestał, zdając sobie sprawę z milczenia Daphne. Ale dziewczyna przyglądała mu się ciepłym wzrokiem, a jej wargi wyginały się w nostalgicznym uśmiechu.

- Jest tak miło - rzekła, kładąc swoją dłoń na jego. - Prawie tak samo jak kiedyś, nie sądzisz?

Kiwnął głową, obracając dłoń do góry, by móc zacisnąć palce na jej dłoni.

- Znowu tak będzie, prawda? - W jej oczach zamigotały isierki niepokoju. - Wrócimy do tego, jak było, prawda? Wszystko będzie dokładnie tak samo.

- Tak - odrzekł, choć wiedział, że to niemożliwe. Mogą odnaleźć zadowolenie, ale nigdy nie będzie już tak jak kiedyś.

Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i położyła dłoń jego na ramieniu.

- To dobrze.

Simon patrzył przez kilka chwil na jej odbicie w lustrze. Zaczynał powoli wierzyć, że może będzie potrafił dać jej szczęście.

Nazajutrz wieczorem - ostatniego dnia Daphne jako panny Bridgerton - do drzwi jej sypialni zapukała Violetta.

Daphne siedziała akurat na łóżku, rozkładając przed sobą pamiątki z dzieciństwa, kiedy usłyszała pukanie.

- Proszę! - zawołała.

Wicehrabina wetknęła głowę do środka, na twarzy miała jakiś dziwaczny uśmiech.

- Daphne, można na chwileczkę? - spytała zduszonym głosem.

Córka spojrzała na matkę niespokojnie.

- Jeszcze się pytasz? - Wstała z łóżka, a matka wślizgnęła się do pokoju. Cera Violetty harmonizowała nadzwyczajnie z jej żółtą sukienką.

- Dobrze się czujesz, mamó? Jesteś jakby trochę zielona'.

- Nic mi nie jest. Ja tylko... - Wicehrabina zakasłała, przę-
żąc ramiona. - Pora, abyśmy porozmawiały.

- Ochhhhh! - westchnęła Daphne. Serce waliło jej co-
raz szybciej. Nie mogła już się tego doczekać. Wszystkie
przyjaciółki jej mówiły, że w wigilię ślubu matki dzielą się
z córkami wszelkimi sekretami małżeńskimi. W ostatniej
możliwie chwili przyjmowane są do świata dojrzałych ko-
biet i zapoznawane z wszystkimi tymi wszetecznymi i pi-
kantnymi szczegółikami, których z takim uporem strzeże
się przed dorastającymi dziewczętami. Niektóre młode da-
my z jej otoczenia były już oczywiście po ślubie i Daph-
ne wraz z przyjaciółkami nakłaniała je do ujawnienia
prawdy, której nikt inny nie chce ujawnić, ałe młode mę-
żatki chichotały jedynie i odpowiadały: - Wkrótce same się
dowiecie.

„Wkrótce” zamieniło się w „teraz” i Daphne nie mogła
się już doczekać.

Violetta natomiast wyglądała tak, jakby w każdej chwili
mogła zwrócić zawartość swojego żołądka.

Daphne poklepała dłonią po łóżku.

- Może byś tak usiadła, mamó?

Wicehrabina, dość rozkojarzona, przymknęła oczy.

- Tak, tak, bardzo chętnie. - Przysiadła na brzeжку łóż-
ka. Nie miała zbyt zadowolonej miny.

Daphne postanowiła zlitować się nad matką i sama zaga-
iła rozmowę.

- Chodzi o ślub? - spytała łagodnie.

Kiwnięcie głową Violetty było ledwo dostrzegalne.

Dziewczyna stłumiła szaloną radość w swoim głosie.

- O noc poślubną?

Tym razem wicehrabinie udało się podnieść i opuścić
podbródek aż o cały cal.

- Doprawdy nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. To jest
wysoce nieprzyzwoite.

Daphne starała się cierpliwie czekać. W końcu matka
przystąpi do rzeczy.

- Widzisz... - zaczęła niepewnie - jest coś, o czym musisz

wiedzieć. Coś, co wydarzy się jutrzejszej nocy. Coś... - zakasłała - ...co odnosi się do twojego męża.

Daphne pochyliła się do przodu, jej oczy były szeroko rozwarte.

Violetta cofnęła się gwałtownie, wyraźnie speszona nadmierną ciekawością córki.

- Widzisz, twój mąż... to znaczy Simon, ma się rozumieć, gdyż to on będzie twoim mężem...

Matka nie dawała żadnych oznak, że ma zamiar zakończyć swoją myśl, toteż Daphne mruknęła pod nosem:

- Tak, moim mężem będzie Simon.

Violetta jęknęła, jej chabrowe oczy patrzyły na wszystko, tylko nie na twarz córki.

- To dla mnie bardzo trudne.

- Właśnie widzę - wymruczała Daphne.

Wicehrabina wzięła głęboki oddech i usiadła prosto. Jej wąskie ramiona były odrzucone do tyłu, jakby sprężała się do wykonania nadzwyczaj nieprzyjemnego zadania.

- W czasie waszej nocy poślubnej - zaczęła - mąż będzie oczekiwał od ciebie spełnienia twojego obowiązku małżeńskiego.

Daphne nie usłyszała nic, czego by jeszcze nie wiedziała.

- Wasze małżeństwo musi zostać skonsumowane.

- No jasne - mruknęła dziewczyna.

- Księżę złączy się z tobą w waszym łóżku.

Daphne kiwnęła głową. O tym również wiedziała.

- I dopuści się na twojej osobie... - matka szukała rozpaczliwie właściwych słów - pewnych *poufałości*.

Usta Daphne rozchyliły się nieco, jej nerwowe wciągnięcia powietrza do płuc stanowiły jedyne dźwięki w sypialni. To się wreszcie zaczynało robić interesujące.

- Jestem tu, aby cię uprzedzić - matka mówiła coraz szybciej - że twój obowiązek małżeński nie musi być nieprzyjemny.

Ale *na czym* on polega?

Policzki Violetty płonęły rumieńcem.

- Wiem, że niektóre kobiety uważają ten... hmm, ten akt, za odrażający, ale...

- Naprawdę? - zdziwiła się Daphne. - To dlaczego tyle

pokojówek spotyka się po kryjomu z lokajami? Sama wiedziałam.

W wicehrabinie z miejsca odezwał się znieważony pracodawca.

- Która to była pokojówka?

- Nie próbuj zmieniać tematu - ostrzegła ją Daphne. -
Czekam na to cały tydzień.

Zapał matki nieco ostygł.

- Serio?

Daphne zrobiła minę w stylu a-czego-się-spodziewałaś?

- No, oczywiście.

- Na czym to ja skończyłam? - westchnęła Violetta.

- Że niektóre kobiety uważają swój obowiązek małżeński za nieprzyjemny.

- Racja. No tak. Mhm.

Dziewczyna spojrzała w dół na rękę matki i zauważyła, że ta porwała na kawałki całą chusteczkę do nosa.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała - oznajmiła Violetta, wyrzucając z siebie poszczególne słowa, jakby chciała się już ich nareszcie pozbyć - że to wcale nie musi być nieprzyjemne. Kiedy dwojgu ludzi zależy na sobie - zakładam, że księżciu bardzo na tobie zależy...

- A mnie na nim - przerwała jej miękko Daphne.

- Oczywiście. Racja. Otóż, widzisz, zważywszy, że zależy wam na sobie, zapewne będzie to bardzo urocza i szczególnie chwila. - Wicehrabina zaczęła wycofywać się w nogi łóżka, rozpościerając na kołdrze jasnożółty jedwab swoich spódnic. - I nie masz powodu do niepokoju. Księżę na pewno będzie niezwykle delikatny.

Daphne przypomniała sobie namiętny pocałunek Simona. Słowa „niezwykle delikatny” nie miały tu raczej zastosowania.

- Ale...

Violetta piorunem się wyprostowała.

- W porządku. Życzę ci dobrej nocy. Przyszłam tutaj, żeby ci to powiedzieć.

- *To wszystko?*

Matka rzuciła się do drzwi.

- Eee, wszystko - odparła, przewracając oczami z miną winowajczynie. - Spodziewałaś się czegoś więcej?

- Tak! - Daphne pobiegła za Violetta i zasłoniła drzwi, uniemożliwiając jej ucieczkę. - Nie możesz wyjść, mówiąc mi tylko tyle!

Wicehrabina spojrzała przeciągle na okno. Daphne była wdzięczna, że jej pokój mieści się na drugim piętrze, bo inaczej matka mogłaby spróbować utorować sobie drogę tędy.

- Daphne... - bąknęła Violetta zduszonym głosem.

- Ale co *ja* mam robić?

- Twój mąż będzie wiedział - odparła sztywno wicehrabina.

- Nie chcę wyjść na idiotkę, mamó.

Violetta aż zajęczała.

- Nie wyjdiesz na idiotkę. Zaufaj mi. Mężczyznę można...

Daphne uczepliła się tej na wpół nie dokończonych myśli.

- Mężczyznę można co? Co, mamó? Skończ to zdanie.

W tym czasie cała twarz wicehrabiny pokryła się już ja-skrawą czerwieńią, a szyja i uszy zrobiły znaczne postępy w zabarwianiu się na lilaróż.

- Mężczyznę można łatwo zadowolić - wymamrotała. - Książę nie będzie rozczarowany.

- Ale...

- Ale już dosyć! - oznajmiła stanowczo Violetta. - Powiedziałam ci wszystko, co usłyszałam od mojej matki. Nie bądź zdenerwowaną fajtlapą i zrób swoje, a będziesz miała dziecko.

Daphne dosłownie rozdziawiła usta.

-Cóż>

Wicehrabina aż zachichotała nerwowo.

- Czyżbym zapomniała poruszyć ten punkt o dziecku?

- Mamó!

- Doskonale. Spełnianie obowiązku małżeńskiego - to znaczy, hmm, konsumowanie małżeństwa - to sposób na płodzenie dzieci.

Daphne aż oparła się o ścianę.

- Więc zrobiłaś to osiem razy? - wyszeptwała.

- Nie!

Dziewczyna zamrugała, skonsternowana. Wyjaśnienia

matki były nieprawdopodobnie mętne i dalej nie wiedziała, na czym konkretnie polega ten obowiązek małżeński, lecz i tak coś tu się nie zgadzało.

- Ale czyż nie musiałaś tego robić osiem razy?

Violetta zaczęła się wachlować szaleńczo.

- Tak. Nie! Daphne, to bardzo osobista sprawa.

- No, to jak zdołałaś urodzić ośmioro dzieci, skoro...

- Robiłam to więcej razy niż osiem - zgrzytnęła zębami wicehrabina. Wyglądała, jakby chciała zapaść się pod ziemię.

Daphne gapiła się na matkę z niedowierzaniem.

- Więcej?

- Czasami ludzie robią to wyłącznie dla przyjemności - oznajmiła Violetta, prawie nie poruszając ustami, a już na pewno nie odrywając oczu od pojedynczego punktu na podłodze.

- Dla przyjemności? - wydyszała Daphne.

- Eee, tak.

- Jak wtedy, kiedy mężczyzna i kobieta się całują?

- Właśnie. - Matka westchnęła z ulgą. - Bardzo podobnie... - Nagle zwięziła oczy. - Daphne, czy całowałaś się z księciem? - spytała szorstkim tonem.

Daphne zauważyła, że jej skóra przybrała odcień rywalizujący z odcieniem matczynej skóry.

- Może - mruknęła.

Violetta pogroziła córce palcem.

- Daphne Bridgerton, nie mieści mi się w głowie, że mogłaś zrobić coś takiego. Dobrze wiesz, że przestrzegałam cię, abyś nie pozwalała mężczyznom na takie bezeceństwa!

- Jakie to ma znaczenie teraz, skoro mamy się pobrać!

- Mimo wszystko... - Wicehrabina głośno wypuściła powietrze z płuc. - Mniejsza z tym. Masz rację. To bez znaczenia. Wychodzisz za mąż. I to za samego księcia, a jeśli cię pocałował, to trudno. Można się było tego spodziewać.

Daphne patrzyła na matkę z niedowierzaniem. Nerwowe paplanie takimi krótkimi zdaniami nie leżało w jej charakterze.

- A zatem - stwierdziła - jeśli nie masz więcej pytań, pozostawię cię twoim, hmm... - urwała, z obłądem w oczach,

wpatrując się w pamiątki, którymi bawiła się córka. —... twoim dotychczasowym zajęciom.

- Ależ ja mam więcej pytań!

Jednakże wicehrabina zdążyła już uciec.

A Daphne, choć tak rozpaczliwie chciała poznać sekrety aktu małżeńskiego, nie miała zamiaru wybiec w pogoni za matką aż na korytarz - na oczach całej rodziny tudzież służby - żeby się tego dowiedzieć.

Poza tym słowa matki dały jej nowe powody do niepokoju. Violetta powiedziała, że do wydania na świat potomstwa potrzebny jest akt małżeński. Skoro Simon nie może mieć dzieci, czy to znaczy, że nie jest w stanie dopuszczać się tych poufałości, o których wspominała matka?

Do licha, *na czym* polegają te poufałości? Daphne podejrzewała, że mają coś wspólnego z całowaniem, ponieważ socjeta wydawała się zdecydowana na wszystko, by tylko usta młodych dam zachowały czystość i niewinność. Poza tym, myślała, z wypiekami na policzkach wspominając chwile spędzone z Simonem w ogrodzie, mogą mieć też coś wspólnego z kobiecymi piersiami.

Daphne aż jęknęła. Matka praktycznie zabroniła jej się denerwować, ale ona wciąż nie rozumiała, dlaczego miała-by się zachowywać inaczej - zawierała ten kontrakt, nie mając zielonego pojęcia, jak wypełniać swoje obowiązki.

A jeśli chodzi o Simona? Jeśli nie będzie mógł skonsumować małżeństwa, czy to w ogóle *będzie* jeszcze małżeństwo?

Zaiste, panny młode mają powody do niepokoju.

W końcu tylko drobne szczegóły ceremonii ślubnej utrwaliły się w pamięci Daphne. Matka miała łzy w oczach (zresztą na twarzy później też), natomiast przekazanie panny młodej narzeczonemu Anthony obwieścił dziwnie ochrypłym głosem. Hiacynta rozrzuciła swoje płatki róż za szybko i nim dotarła do ołtarza, nie został jej już ani jeden. Gregory kichnął trzy razy, zanim jeszcze narzeczeni przystąpili do składania swoich przysięg małżeńskich.

Zapamiętała także wyraz skupienia na twarzy Simona,

powtarzającego słowa przysięgi. Każda sylaba była wymawiana powoli i dokładnie. Jego oczy płonęły determinacją, a głos był cichy, lecz dobitny. Dla Daphne cały świat stracił jakiegokolwiek znaczenie w chwili składania przez Simona ślubów, kiedy stali przed arcybiskupem.

Serce Daphne odnalazło w jego głosie ukojenie: żaden mężczyzna, który z taką determinacją składa przysięgę, nie może uważać małżeństwa za czysty konwenans.

Tych, których Bóg połączył, niech żaden śmiertelnik nie odważy się rozłączyć.

Ciarki przeszły jej po plecach, że aż zachwiała się na nogach. Już za chwilę będzie należała do tego mężczyzny na zawsze.

Głowa Simona obróciła się powoli, a jego oczy spoczęły na jej twarzy. Czy dobrze się czujesz? - pytały.

Skinęła nieznacznie podbródkiem, co tylko on mógł dostrzec. Coś błysnęło w jego oczach - czyżby uczucie ulgi?

A teraz ogłaszam was...

Gregory kichnął po raz czwarty, potem po raz piąty i szósty, kompletnie zagłuszając arcybiskupie „mężem i żoną”. Daphne czuła ze zgrozą, że za chwilę dostanie ataku śmiechu. Zaciśnęła mocno szczęki, zdecydowana za wszelką cenę zachować dostojne oblicze. Było nie było, małżeństwo to instytucja poważna i nie powinno się stroić z niej żartów.

Zerknęła na Simona. Patrzył na nią z jakąś dziwną miną. Jego jasne oczy koncentrowały się na jej ustach, a kąciki jego warg zaczynały podskakiwać.

Daphne poczuła, że paroksyzm śmiechu już łaskocze ją w gardło.

Możesz pocałować pannę młodą.

Simon chwycił ją w ramiona niemalże z desperacją, a jego usta przywarły do jej z taką siłą, że obecne niewielkie grono gości całe naraz wstrzymało oddech.

A potem obie pary ust - panny młodej i pana młodego - eksplodowały salwą śmiechu, chociaż wcale nie oderwały się od siebie.

Violetta Bridgerton opowiadała później, że był to najdziwniejszy pocałunek, jaki miała zaszczyt oglądać.

Gregory Bridgerton - jak już przestał w końcu kichać - uznał go za obrzydliwość.

Na twarzy arcybiskupa, bynajmniej nie młodzieniaszka, malowało się zażenowanie.

Natomiast Hiacynta Bridgerton, która jako dziesięciolatka powinna znać się na całowaniu najmniej z nich wszystkich, zamrugała tylko i powiedziała rezolutnie:

- Mnie się podoba. Skoro śmieją się teraz, to na pewno będą śmiali się zawsze. - Na koniec zwróciła się do matki.
- To chyba dobrze, co nie?

Violetta ujęła dłoń najmłodszej córki i mocno ją ścisnęła.

- Śmiech to zawsze dobra rzecz, Hiacynto. Poza tym dziękuję ci, że nam o tym przypomniałaś.

Tak oto zrodziła się plotka, że nowo poślubieni książę i księżna Hastings są najbardziej urzekająco szczęśliwą i odaną sobie parą, jaka pobierała się w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Bądź co bądź, czy ktoś pamięta inny ślub okraszony taką dawką śmiechu?

14

Doszło do naszej wiadomości, że ślub księcia Hastingsa i byłej panny Bridgerton, choć skromny, obfitował w wydarzenia. Panna Hiacynta Bridgerton (dziesięciolatka) szepnęła panie Felicycie Featherington (również dziesięciolatce), że nowożeńcy śmiali się autentycznie na całe gardło podczas ceremonii. Następnie panna Felicyta powtórzyła tę nowinę swojej matce, pani Featherington, która z kolei przekazała ją całemu światu.

Piszącej te słowa nie pozostaje nic innego, jak tylko zaufać słowom panny Hiacynty, jako że pisząca te słowa nie została zaproszona na ceremonię.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 21 maja 1813

Podróży poślubnej miało nie być. Zresztą w ogóle nie było czasu na jej zaplanowanie. W zamian za to młoda para miała spędzić kilka tygodni w zamku Clyvedon, w rodowej siedzibie Bassetów. Daphne uznała to za świetny pomysł; marzyła o wyrwaniu się z Londynu, znalezieniu się z dala od ciekawskich oczu i uszu socjety.

Poza tym dziwnie była spragniona widoku miejsca, w którym Simon dorastał.

Próbowała wyobrazić go sobie jako młodego chłopca. Czy był tak samo nieokiełzany jak teraz przy niej? Czy może był dzieckiem cichym, Zachowującym rezerwę, z jaką następnie odnosił się do większości śmietanki towarzyskiej?

Młoda para opuściła Bridgerton House wśród wiwatów i uścisków. Księżę szybko wpakował Daphne do swojej najlepszej karety. Choć było lato, w powietrzu czuło się chłód, toteż bardzo dokładnie opatulił kocem jej kolana.

- Czy to nie przesada? - śmiała się. - Raczej nie zdążę złapać kataru, przejeżdżając te dwie czy trzy przecznice do twojego domu?

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Jedziemy do Clyvedon.

- Już dzisiaj? - Nie mogła ukryć zaskoczenia. Sądziła, że wyruszą w drogę dopiero nazajutrz. Wioska Clyvedon leżała w pobliżu Hastings, aż na południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Było późne popołudnie i zanim dotrą na miejsce, będzie już środek nocy.

Nie takiej nocy poślubnej oczekiwała.

- Czy nie rozsądniej byłoby odpocząć tu, w Londynie, przez noc i dopiero jutro wyruszyć do Clyvedon? - spytała.

- Wszystko już zostało przygotowane - mruknął.

- Ja... rozumiem. - Daphne mężnie podjęła próbę zatajenia swego rozczarowania. Milczała dobrą minutę, a tymczasem kareta zakołysała się i ruszyła w drogę, podskakując na kocich łbach, czemu wspaniałe resory nie potrafiły zapobiec. Kiedy skręcali w Park Lane, Daphne zadała Simonowi pytanie:

- Czy zatrzymamy się w jakiejś gospodzie?

- Ależ oczywiście. Przecież musimy zjeść kolację. Nie

wypada, abym głodził cię już w pierwszym dniu naszego małżeństwa, prawda kochanie?

- Czy spędzimy w tej gospodzie noc? - dociekała.

- Nie, ale... - Usta Simona zacisnęły się w sztywną kresekę, po czym w niewytłumaczalny sposób zmiękły. Zwrócił się do niej z roztopiającą duszę czułością: - Zachowałem się jak gbur, racja?

Zaczerwieniła się. Zawsze się czerwieniła, kiedy patrzył na nią w taki sposób.

- Nie, nie, tylko nie spodziewałam się, że...

- Nie, masz słuszość. Staniemy na noc w gospodzie. Znam jedną dobrą w połowie drogi na wybrzeże. Pod Psami i Zajacem. Jedzenie mają ciepłe, a łóżka czyste. - Pogładził ją po twarzy. - Nie chcę nadużywać swych praw i kazać ci jechać aż do Clyvedon w jeden dzień.

- Nie w tym rzecz, że jestem za mało wytrzymała na taką podróż - powiedziała. Kiedy obmyślała następne słowa, jej twarz pokryły jeszcze -większe rumieńce. - Chodzi o to, że przecież dzisiaj wzięliśmy ślub, i jeśli nie zatrzymamy się nigdzie, to gdy zapadnie noc, będziemy siedzieli w karecie, no i...

- Nie mów nic więcej - szepnął, kładąc palec na jej ustach.

Daphne pokiwała głową z wdzięcznością. Wcale nie chciała rozmawiać o ich nocy poślubnej w taki sposób. Poza tym miała wrażenie, że ten temat winien poruszać mąż, a nie żona. Ostatecznie z nich dwojga Simon lepiej znał się na tych rzeczach.

Niepodobna, aby znał się bodaj trochę *gorzej*, pomyślała ze skwaszoną miną. Matka, mimo całego swojego chrząkania i pokastywania, nie zdołała wyjaśnić jej absolutnie niczego. No, chyba z wyjątkiem tego punktu o płodzeniu dzieci, nie, żeby Daphne zrozumiała bodaj jeden szczegół. Jednak swoją drogą, zapewne...

Nagle oddech ugrzązł jej w gardle. A co, jeśli Simon nie może... Lub nie ma ochoty...

Nie, zdecydowała stanowczo, na pewno ma ochotę. Co więcej, Simon na pewno ma ochotę na *nią*. Nie wymyśliła sobie tego żaru w jego oczach ani tego gwałtownego bicia jego serca tamtego wieczora w ogrodzie.

Wyglądała za okno, obserwując, jak miasto stopniowo przechodzi w wieś. Kobieta może zwariować, myśląc obsesyjnie o takich sprawach. Postanowiła usunąć je ze swej świadomości. Była absolutnie i stanowczo zdecydowana usunąć je ze swej świadomości na zawsze.

No, przynajmniej do tej nocy.

Jej nocy poślubnej.

Zadrżała na tę myśl.

Simon spoglądał na Daphne - własną żonę, napominał siebie, choć wciąż trudno było mu w to uwierzyć. Nigdy nie zamierzał mieć żony. W gruncie rzeczy, zdecydowanie zamierzał nigdy jej *nie* mieć. A jednak znajduje się tutaj wraz z Daphne Bridgerton - nie, z Daphne Basset. Do diabła, ona jest księżną Hastings, oto, kim ona jest.

To było chyba najbardziej niesamowite ze wszystkiego. Za jego życia księstwo nie posiadało księżnej. Ten tytuł brzmiał obco, staroświecko.

Simon westchnął przeciągle dla uspokojenia, wodząc wzrokiem po profilu Daphne. Nagle zmarszczył brwi.

- Czy nie jest ci zimno? - spytał. Ona drżała!

Miała rozchylone usta, zobaczył więc, że jej język przyciska się do podniebienia, aby wydać dźwięk N, lecz ona przesunęła się lekko i odpowiedziała:

- Tak. Tak, ale tylko trochę. Nie musisz się...

Owinął ją kocem nieco dokładniej, zadając sobie pytanie, dlaczego, u licha, skłamała w tak błahej sprawie.

- To był długi dzień - mruknął. Nie, żeby tak uważał - gdy jednak faktycznie zaczął się nad tym zastanawiać, doszedł do wniosku, że to *był* długi dzień - ale ponieważ tego rodzaju uwaga wydawała mu się najbardziej w tym momencie stosowna.

Dużo myślał na temat uspokajających uwag i delikatnego traktowania. Zamierzał postarać się być dla niej dobrym mężem. Zasługiwała przynajmniej na tyle. Istniało wiele rzeczy, których nie będzie mógł jej dać - wśród nich niestety prawdziwego i spełnionego szczęścia, ale może się postarać

zapewnić jej bezpieczeństwo i opiekę oraz względne zadowolenie z życia.

Wybrała go, napominał siebie. Wiedziała, że nigdy nie będzie miała dzieci, ale mimo to wybrała go. Bycie dobrym i wiernym mężem wydawało się minimum tego, czym mógłby się odwdziaczyć.

- Było miło - wyszeptała.

Zamrugnął oczami i odwrócił się do niej z zakłopotaną miną.

- Co proszę?

Po jej ustach przebiegł cień uśmiechu. To był piękny uśmiech - serdeczny, zuchwały, a nawet z lekka wyzywający, który działał osobiwie drażniąco na zmysły Simona. Ledwie potrafił skoncentrować się na jej słowach, kiedy odpowiedziała:

- Stwierdziłeś, że to był długi dzień. Powiedziałam, że było miło.

Patrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

Wykrzywiła usta z wyrazem tak czarującej frustracji, że Simon poczuł drganie uśmiechu, który błąkał się na jego wargach.

- Ty stwierdziłeś, że to był długi dzień - powtórzyła. - Ja powiedziałam, że było miło. - Kiedy dalej milczał, parsknęła śmiechem i dodała: - Może to wszystko będzie bardziej zrozumiałe, jeśli podkreślę, że potraktowałam słowa *tak* i *ale* jak w *Taaak, aaale było miło*.

- Rozumiem - bąknął z całą powagą, na jaką mógł się zdobyć.

- Podejrzewam, że rozumiesz niejedno - wymamrotała - a co najmniej połowę z tego ignorujesz.

Zmarszczył brwi, co kazało jej mruknąć do siebie, co z kolei 'wzbudziło w nim chęć pocałowania jej.

Wszystko wzbudzało w nim chęć pocałowania jej.

Ona się zaczynała robić dość bolesna, ta chęć.

- Powinniśmy zdążyć do gospody przed nocą - oznajmił lakonicznie, jak gdyby oficjalny ton mógł osłabić napięcie, które w nim narosło.

Nie osłabił, rzecz jasna. Przypomniał mu tylko, że odłożył noc poślubną o całą dobę. O całą dobę pożądania i tę-

sknoty, wołania jego ciała o ukojenie. Ale niech go piekło pochłonie, jeśli weźmie ją w jakiejś przydrożnej oberży, obojętnie jak czystej i schludnej.

Daphne zasługiwała na coś lepszego. To będzie jedyna noc poślubna w jej życiu i on zrobi *wszystko*, żeby stała się dla niej niezapomniana.

Spojrzała na niego trochę zdziwiona raptowną zmianą tematu.

- To dobrze.

- Po zmroku drogi nie są bezpieczne w dzisiejszych czasach - dodał, starając się zapomnieć, że pierwotnie chciałjechać bez zatrzymywania aż do Clyvedon.

- To prawda - potwierdziła.

- I będziemy głodni.

- Owszem - odparła. Wydawała się zaintrygowana jego najnowszą obsesją na temat świeżo zaplanowanego postojuw jakiejś gospodzie. Simon nie mógł winić Daphne, lecz do wyboru miał nie kończące się dyskusje o planach podróży albo zapakowanie żony do karety i zawieszenie jej na miejscu przeznaczenia.

Co *nie* było żadną alternatywą.

Toteż oznajmił:

- Mają dobre jedzenie.

Mrugnęła powiekami, tylko raz.

- Już to mówiłeś - stwierdziła.

- Faktycznie - zakasłał. - Chyba się zdrzemnę.

Ciemne oczy Daphne otworzyły się szeroko, a cała jej postać wyrażała najwyższe zdumienie.

- Teraz?

Przytaknął energicznym kiwnięciem głowy.

- Chyba faktycznie się powtarzam, ale jak raczyłaś mi przypomnieć, powiedziałem, że to był długi dzień.

- Rzeczywiście. - Obserwowała z ciekawością, jak przesuwa się na swoim miejscu, szukając możliwie najwygodniejszej pozycji.

- Naprawdę będziesz mógł tu zasnąć, w tej trzęsącej się karecie? - spytała w końcu. - Nie przeszkadzają ci te wyboje?

Wzruszył ramionami.

- Potrafię zasnąć na zawołanie. Nauczyłem się tego w czasie moich podróży.

- Masz talent.

- I to nie byle jaki - zgodził się, po czym zamknął oczy i przez niemal trzy godziny udawał, że śpi.

Daphne nie odrywała od niego wzroku. Udawał, że śpi. Jako osoba mająca siedmioro rodzeństwa, znała wszystkie takie sztuczki na wylot, i Simon zdecydowanie *nie* spał.

Klatka piersiowa podnosiła się i opadała w podziwu godny, miarowy sposób, a jego oddech zawierał dokładnie tyle świstu i charkotu, żeby mógł trochę - ale nie do końca - przypominać chrapanie.

Ale Daphne nie była taka głupia.

Ile razy się poruszyła, zaszeleściła czymś albo trochę za głośno odetchnęła, tyle razy podbródek mężczyzny lekko zadrżał. Było to ledwo dostrzegalne, ale nie ulegało wątpliwości. A kiedy ziewnęła przeciągle, wydając niski, senny i jęczący dźwięk, widziała, jak pod jego zamkniętymi powiekami poruszają się gałki oczne.

A jednak było to godne podziwu, że przez z górą dwie godziny potrafił nie wypaść z roli.

Sama nigdy nie wytrzymała dłużej niż dwadzieścia minut.

Skoro chciał udawać, że śpi, to niech mu będzie, postanowiła w porywie wspaniałości. Daleka była od tego, aby przerywać sobie taki wspaniały spektakl.

Ziewnąwszy po raz ostatni - i to głośno, bo chciała zobaczyć, jak jego oczy zrywają się pod powiekami na baczność - odwróciła się do okna i uchyliła zasłonę, żeby móc wyglądać na zewnątrz. Widoczne na horyzoncie zachodzące słońce było pomarańczowe, jedna trzecia tarczy słonecznej już spoczywała poniżej krawędzi ziemi.

Jeśli Simon dobrze oszacował czas ich podróży - a miała wrażenie, że on na ogół w takich sprawach się nie myli; miłośnicy matematyki zwykle znają się na tym - to powinni być już prawie w połowie drogi. Prawie Pod Psami i Zajacem.

Prawie na miejscu jej nocy poślubnej.

Dobry Boże, *musi* przestać myśleć aż tak melodramatycznie. To się powoli robi głupie.

- Simon?

Nie poruszył się. Daphne poczuła złość.

- Simon? - Tym razem nieco głośniej.

Kąciki jego ust lekko zadrżały, po czym opadły z nieznanym wyrazem niezadowolenia. Na pewno ją podejrzewał, myślała, że specjalnie zawołała go tak głośno, żeby przerwać mu ten fałszywy sen.

- Simonie! - Szturchnęła go. Mocno, dokładnie w tym miejscu, gdzie ramię łączyło się z tułowiem. Chyba nie sądził, że po czymś takim ktokolwiek może spać?

Zamrugnął powiekami i otworzył oczy, wydając śmieszne sapnięcie - jak wszyscy w chwili przebudzenia.

Znał się na rzeczy, stwierdziła z niechętnym podziwem.

- Daff? - ziewnęła.

- Czy już jesteśmy na miejscu? - cedziła każde słowo.

Otarł symulowany sen z powiek.

- Słucham?

- Czy już jesteśmy na *miejscu*?

- Ufff... - Rozejrzał się wokół karety, nie, żeby mu to mogło cokolwiek powiedzieć. - Czyż wciąż nie jedziemy?

- Owszem, ale może jesteśmy już blisko.

Westchnął z cicha i wyrżał przez okno. Patrzył na wschód, więc tutaj niebo wydało się znacznie ciemniejsze niż za oknem Daphne.

- O - rzucił z wyrazem zaskoczenia. - "Właściwie, oberżę mamy już przed sobą.

Daphne zrobiła, co mogła, żeby się nie uśmiechnąć.

Kareta zatrzymała się i Simon zeskoczył na ziemię. Zamienił parę słów ze stangretem, informując go zapewne, że zmienili plany i zamierzają spędzić noc tutaj. Następnie sięgnął do góry, ujął dłoń żony i pomógł jej wysiąść.

- Podoba ci się? - zapytał, kiwając głową i ręką w stronę oberży.

Daphne nie wiedziała, jak można wyrobić sobie pogląd,

nie obejrząwszy wnętrza, ale w końcu powiedziała, że tak. Wprowadził ją do środka, a potem zostawił przy drzwiach i poszedł rozmówić się z oberżystą.

Z dużą ciekawością przyglądała się krzątaniu. Akurat jakąś młodą parę - wyglądającą na właścicieli ziemskich - odprowadzono do prywatnej jadalni, a matka pędziła czwórkę swoich latorośli schodami na górę. Simon kłócił się z oberżystą, a jakiś wysoki, chudy jegomość opierał się o...

Odwróciła głowę z powrotem w stronę swojego męża. Simon kłócił się z oberżystą? W jakim celu, u licha? Wyciągnęła szyję. Rozmawiali po cichu, ale rzucało się w oczy, że Simon jest wyjątkowo niezadowolony. Oberżysta miał taką minę, jakby miał zaraz paść trupem ze wstydu, że nie jest w stanie sprostać wymaganiom księcia Hastingsa.

Daphne nachmurzyła się. To nie zapowiadało niczego dobrego.

Może powinna interweniować?

Przyglądała się ich kłótni jeszcze przez kilka chwil. Wyraźnie powinna interweniować.

Zrobiła kilka kroków - co prawda nie były one niepewne, ale zbyt zdecydowanymi też nie można by ich było nazwać - i przystanęła obok męża.

- Coś nie tak? - zapytała uprzejmie.

Simon poświęcił jej krótki rzut oka.

- Myślałem, że czekasz przy drzwiach.

- Czekałam - uśmiechnęła się promiennie. - Przeniosłam się.

Księżę spojrział na nią spode łba i odwrócił się z powrotem do oberżysty.

Daphne zakasłała delikatnie, w sam raz, żeby sprawdzić, czy Simon się odwróci. Nie odwrócił się. Zrobiła posępną minę. Nie lubiła, kiedy ją ignorowano.

- Simonie? - Szturchnęła go w plecy. - Simonie?

Obrócił się powoli, jego twarz była istną chmurą burzową. Znowu się uśmiechnęła niczym chodząca niewinność.

- O co chodzi?

Trzymający ręce uniesione do góry w błagalnym geście

oberżysta zaczął mówić pierwszy, nim księżę zdążył mu cokolwiek wytłumaczyć:

- Został mi tylko jeden pokój - oznajmił tonem uniżonych przeprosin. - Nie miałem pojęcia, że dziś wieczorem wasza wysokość zamierza zaszczyścić nas swoją obecnością. Gdybym wiedział, na pewno nie oddałbym ostatniego pokoju pani Weatherby i jej szczeniakom. Zapewniam waszą wysokość...

- Oberżysta pochylił się do przodu, rzucając Daphne błagalne spojrzenie. - Byłbym ich przepędził na cztery wiatry!

Ostatnie zdanie wypowiedział z tak żywą gestykulacją obu rąk, że dziewczyna poczuła lekkie mdłości.

- Czy ta niewiasta, która przed chwilą przechodziła tędy z czworgiem dzieci, to była pani Weatherby?

Oberżysta pokiwał głową.

- Gdyby nie te dzieciaki, tobym...

Daphne przerwała mu, nie chcąc wysłuchiwać reszty zdania, które oczywiście zapowiadałoby przegnanie niewinnej kobieciny w głuchą noc.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy zadowolić się jednym pokojem. Nie zadzieramy nosa aż tak wysoko.

Simon zacisnął szczęki i Daphne mogłaby przysiąc, że usłyszała zgrzytanie zębów.

Zażądał osobnych pokoi, tak? Pannie młodej nie trzeba było więcej, żeby poczuła się urażona do żywego.

Oberżysta odwrócił się do księcia i czekał na jego aprobatę. Ten kiwnął obcesowo głową, na co oberżysta zakłaskał w dłonie z zachwytem (i na pewno z ulgą; nie ma nic gorszego dla interesów niż goszczenie księcia w stanie furii). Chwytał klucz i wybiegł z za kontuaru.

- Proszę za mną...

Simon dał żonie znak, aby szła pierwsza, więc śmignęła obok niego i wbiegła za oberżystą na schody. Już po paru zakrętach znaleźli się w przestronnym, wygodnie urządzonej pokoju z widokiem na pola.

- No, no - westchnęła, gdy tylko oberżysta zamknął za sobą drzwi. - Wydaje się całkiem znośny.

Odpowiedzią Hastingsa było zakasłanie.

- Jaka staranna dykcja - mruknęła, znikając za parawanem. Simon szukał jej dłuższą chwilę, nim zrozumiał, gdzie się podziała.

- Daphne? - zawołał zduszonym głosem. - Przebierasz się? Wytknęła głowę.

- Nie. Po prostu się rozglądam.

Serce dalej mu waliło, choć może nie aż w takim szybkim tempie.

- To świetnie - mruknął. - Niedługo będziemy chcieli schodzić na kolację.

- Naturalnie - rozchyliła wargi w uśmiechu. Zresztą dość irytująco ujmującym i zuchwałym, według Simona. - Jesteś głodny?

- Jak wilk.

Mrukliwy głos męża zmroził nieco jej dobry nastrój. Simon robił sobie wyrzuty. To, że gniewał się na siebie, nie znaczyło wcale, że musi rozciągać swój gniew także na nią. Przecież nie zrobiła nic złego.

- A ty? - zapytał uprzejmie.

Wyłoniła się zza parawanu i przycupnęła na brzegu łóżka.

- Troszeczkę - przyznała. Przełknęła nerwowo. - Ale chyba nie zdołałabym niczego zjeść.

- Jedzenie było wyśmienite, kiedy ostatnio się tu zatrzymałem. Zapewniam cię...

- Nie tutejsza kuchnia mnie martwi - przerwała mu. - Boję się o moje nerwy.

Patrzył na nią bez wyrazu.

- Simonie - ciągnęła, w oczywisty sposób starając się ukryć zniecierpliwienie w swoim głosie (jednakże bez powodzenia, według Simona) - dziś rano wzięliśmy ślub.

Wreszcie doznał olśnienia.

- Daphne - szepnął łagodnie - nie musisz się o nic martwić.

- Nie muszę? - zdziwiła się.

Nerwowo zaczerpnął oddechu. Bycie delikatnym, troskliwym mężem nie było takie proste, jak się wydawało.

- Odłożymy skonsumowanie naszego małżeństwa do czasu, aż znajdziemy się w Clyvedon.

- Odłożymy?

Simon czuł, że jego oczy wybałuszają się ze zdziwienia. Chyba nie jest rozczarowana?

- Nie chcę cię brać w jakiejś przydrożnej gospodzie. Mam dła ciebie -więcej szacunku.

- Nie chcesz? Masz?

Wstrzymał oddech. Faktycznie *jest* rozczarowana.

- Uhm, nie.

Przysuwała się powoli.

- Czemu nie?

Patrzył na jej twarz przez kilka chwil, po prostu siedział na łóżku i gapił się na nią. Jej ogromne, ciemne oczy, które oddawały mu spojrzenie, przepełniała tkliwość, ciekawość i pewna doza wahania. Oblizła wargi - pewnie kolejny objaw zdenerwowania, ale sfrustrowane ciało Simona zareago- wało na ten uwodzicielski ruch gwałtownym ożywieniem.

Uśmiechała się drżącymi ustami, ale omijała jego wzrok.

- Nie miałabym nic przeciwko temu.

Simon siedział jak zastygły, jakby w dziwny sposób przy- rósł do tego miejsca, a jego ciało krzyczało: *Dobierz się do niej! Zaciągnij ją do łóżka! Zrób cokolwiek, zgarnij ją pod siebie!*

I właśnie -wtedy, kiedy jego żądze zaczęły brać górę nad godnością, Daphne wydała cichy, dręczący okrzyk, po czym zerwała się na równe nogi. Stanęła plecami do męża, przy- ciskając rękę do ust.

Simon brał akurat zamach, żeby przyciągnąć ją do siebie, to- też stracił równowagę i zwałił się na łóżko twarzą do pościeli.

- Daphne? - mruknął w materac.

- Powinnam się była domyślić - jęknęła. - Tak mi przykro.

Przykro? Simon przyjął znowu pozycję pionową. Ona ję- czy? Co się dzieje, do cholery? Daphne nigdy nie jęczy.

Odwróciła się z powrotem, spoglądając na niego udrę- czonym wzrokiem. Książę powinien być bardziej zaniepo- kojony, chyba że nie zaczął jeszcze pojmować, co ją tak na- głe przeraziło. A skoro on tego nie pojmuje, to znaczy, że jest skłonny uważać to za nieistotne.

To była arogancja z jego strony, ale dostała za swoje.

- Daphne, co się stało? - spytał z powściągliwą łagodnością. Usadowiła się naprzeciw niego i przyłożyła dłoń do jego policzka.

- Jestem taka nieczuła - szepnęła. - Powinnam się była domyślić. Nie powinnam była nic mówić.

- Czego nie powinnaś była mówić? - zazgrzytał.

Odjęła rękę od jego policzka.

- Ze nie możesz... że nie mogłeś...

- *Czego!*

Spuściła wzrok na swoje kolana, gdzie jej palce próbowały połączyć się wzajemnie na kawałki.

- Proszę, nie każ mi tego mówić - odrzekła.

- Oto, dlaczego mężczyźni nie chcą się żenić - mruknął Simon.

Skierował te słowa bardziej do siebie niż do niej, ale Daphne wszystko usłyszała i niestety zareagowała na to kolejnym patetycznym jęknięciem.

- Co się dzieje, do cholery? - spytał w końcu.

- Nie jesteś w stanie skonsumować małżeństwa - wyszeptowała.

Jakimś cudem jego erekcja nie zanikła w tym momencie. Szczerze mówiąc, to nadzwyczajne, że w ogóle zdołał wydusić z siebie tych kilka słów:

- Że co, proszę?

Zwiesiła głowę.

- I tak będę dla ciebie dobrą żoną. Nikomu nie powiem, przyrzekam.

Od czasów dzieciństwa, kiedy jąkanie i zacinięcie atakowało każde jego słowo, Simonowi nigdy jeszcze nie odjęło mowy do tego stopnia.

Daphne myślała, że jest *impotentem*?

- Czemu... Czemu... Czemu?... - Czy to jąkanie? Czy to stary dobry szok? Uznał, że to szok. Jego mózg wydawał się niezdolny do skupienia się na czymkolwiek innym poza tym pojedynczym słowem.

- Wiem, że mężczyźni są bardzo wyczuleni na te sprawy - dodała cicho.

- Zwłaszcza kiedy to nieprawda! - wybuchną!
- Zadarła głowę do góry.
- Nieprawda?
- Jego oczy zwęziły się w cienkie szparki.
- Czy brat ci to powiedział?
- Nie! - Oderwała wzrok od jego twarzy. - Matka.
- Matka? - wykrztusił. Chyba żaden mężczyzna na świecie nie wycierpiał tyle w swoją noc poślubną. - Matka ci powiedziała, że jestem *impotentem*!
- Tym słowem się to określa? - spytała z ciekawością.
- A potem, w reakcji na jego piorunujące spojrzenie, dodała szybko: - Nie, nie, nie użyła aż tylu sylab.
- Co konkretnie powiedziała? - Simon dobywał resztek głosu.
- No, niezbyt dużo - przyznała. - To było w zasadzie de-nerwujące, ale wyjaśniła mi, że akt małżeński...
- Nazwała to aktem?
- Czy nie tak to wszyscy nazywają?
- Zbył jej pytanie machnięciem ręki.
- Co ci jeszcze powiedziała?
- Ze ten... Ach, obojętnie, jak ty chcesz to nazywać...
- Simon uznał sarkazm jej słów za dziwnie czarujący w tych okolicznościach.
- ...ma w jakiś sposób związek z płodzeniem dzieci oraz...
- Hastings miał wrażenie, że zaraz udławi się własnym językiem.
- W jakiś sposób?
- No, tak - nachmurzyła się Daphne. - Naprawdę nie podała mi żadnych konkretów.
- Najwyraźniej.
- Naprawdę się starała - powiedziała z naciskiem, dochodząc do wniosku, że powinna bodaj spróbować matkę uratować. - Onieśmieliło ją uczucie wstydu.
- Po urodzeniu ośmiorga dzieci - mruknął - należałoby sądzić, że będzie go już miała poza sobą.
- Nie widzi mi się - odparła Daphne, potrząsając głową. - A potem, kiedy zapytałam, czy uczestniczyła w tym... - Spoj-

rżała na niego z rozgoryczeniem. - Nie wiem doprawdy, jak inaczej mam to nazywać niż aktem.

- Mów śmiało. - Zachęcił ją gestem ręki. W jego głosie dało się słyszeć wielkie napięcie.

Jego żona zamrugała z niepokojem.

- Dobrze się czujesz?

- Nieźle - odparł zdławionym głosem.

Kiwnął na nią ręką jeszcze raz, wywołując u Daphne dziwne wrażenie, że nie może mówić.

- "Więc - rzekła powoli, wracając do przerwanej myśli - zapytałam ją, czy chce przez to powiedzieć, że uczestniczyła w tym akcie osiem razy, a ona zaczęła się dziwnie płatać i...

- Zapytałaś ją o to? - wybuchnął, miotając każde słowo Z siłą armaty.

- No, tak. - Zwęziła oczy. - Ty się śmiejesz?

- Nie - wysapał.

Ściągnęła wargi w nachmurzoną minkę.

- Chyba jednak się śmiejesz.

Simon tylko pokręcił głową w zdecydowanie szaleńczy sposób.

- Więc sądziłam - ciągnęła wyraźnie poirytowana - że moje pytanie zawiera istotny sens, skoro urodziła ośmioro dzieci. Ale wtedy powiedziała mi, że...

Potrząsnął głową i unióś rękę. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, czy ma śmiać się, czy płakać.

- Nie opowiadaj mi tego. Błagam.

- Och. - Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko złożyła ręce na kolanach i zamknęła usta.

Wreszcie usłyszała, że Simon bierze długi, urywany oddech.

- Wiem, że będę żałował mojego pytania - powiedział. - Szczerze mówiąc, już żałuję, ale *dłaczego* właściwie sądziłaś, że jestem... - wzdrygnął się - do tego niezdolny?

- No, przecież sam mówiłeś, że nie możesz mieć dzieci.

- Daphne, jest mnóstwo, całe mnóstwo innych powodów, dla których dwoje ludzi może nie mieć dzieci.

Ogromnym Y/ysiłkiem woli przestała zgrzytać zębami.

- Tak strasznie mi głupio - mruknęła.

Pochylił się do przodu i odciągnął jej ręce od siebie.

- Daphne - szepnął, masując jej palce - czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje między mężczyzną a kobietą?

- Nie mam pojęcia - odparła szczerze. - Można by pomyśleć, że mam, przy trzech starszych braciach, i wczoraj wieczorem liczyłam, że w końcu poznam prawdę, kiedy matka...

- Nie mów nic więcej - przerwał jej niesamowitym głosem. - Ani jednego słowa. Nie zniósłbym tego.

- Ale...

Wsparł głowę na rękach i Daphne wydawało się przez chwilę, że on płacze. Ale kiedy siedziała tak z poczuciem winy, że doprowadziła męża do łez w czasie jego nocy poślubnej, nagle uświadomiła sobie, że jego ramiona drżą ze śmiechu.

Szatan wcielony.

- Śmiejesz się ze mnie? - warknęła.

Pokiwał przecząco głową, nie podnosząc na nią wzroku.

- No, to z czego tak rżysz?

- Och, Daphne - wysapał - o tylu rzeczach jeszcze nie wiesz.

- Nigdy tego nie negowałam - mruknęła. Doprawdy, gdyby ludzie nie trzymali młodych kobiet tak uparcie w niewiedzy na temat realiów małżeńskich, podobnych scen można by uniknąć.

Książę pochylił się ku niej, opierając łokcie na kolanach. Oczy płonęły mu niczym gwiazdy.

- Mogę cię nauczyć - szepnął.

Żołądek Daphne fiknął małego koziołka.

Nie odrywając wzroku od żony, Simon ujął jej dłoń i przyłożył do swoich ust.

- Zapewniam cię - wymamrotał, muskając językiem środkowy palec - że jestem absolutnie w stanie zadowolić cię w łóżku.

Nagle oddychanie zaczęło sprawiać Daphne wielką trudność. A kiedy to pokój zdążył napełnić się takim zarem?

- N... nie jestem pewna, czy wiem, co masz na myśli.

Porwał ją w swoje ramiona.

- Zaraz się dowiesz.

Londyn wydaje się w tym tygodniu strasznie cichy, ulubiony książę towarzystwa i ulubiona księżna księcia wyjechali bowiem na wieś. Pisząca te słowa mogłaby donieść, że widziano pana Nigela Berbrooke'a, jak prosił pannę Penelope Featherington do tańca, albo że panna Penelopa, mimo radosnych zachęt swojej matki i ostatecznej zgody na jego prośbę, nie wydawała się specjalnie zachwycona tym pomysłem.

Bądźmy jednak szczerzy, kto chce czytać o panu Berbrooke'u albo pannie Penelopie? Nie oszukujmy się. Wszyscy nadal jesteśmy chciwi wiadomości o księciu i o księżnej.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 28 maja 1813

To będzie jak ponowne wejście do ogrodu lady Trowbridge, myślała szaleńczo Daphne, tyle że tym razem nie będzie przerw - żadnych rozwścieczonych starszych braci, żadnego strachu przed dekonspiracją - nic, tylko mąż, żona i perspektywa namiętności.

Wargi Simona odnalazły jej usta, delikatne, ale pożądlive. Za każdym dotknięciem, za każdą wibracją jego języka czuła fale podniecenia rozlewające się w jej ciele, niewielkie spazmy żądz, coraz intensywniejsze i częstsze.

- Czy już ci mówiłem - wyszeptał - jak bardzo zakochałem się w kącikach twoich ust?

- N... nie - odparła z drżeniem, zdumiona, że już zdążył je choć raz przebadać.

- Jak ja je uwielbiam - mruknął, po czym zaczął demonstrować jak. Zębami pocierał jej dolną wargę, by po chwili wysunąć język i prześledzić owal jej ust.

To trochę Daphne łaskotało i czuła, że jej usta otwierają się w pełnym, szerokim uśmiechu.

- Przestań - zachichotała.

- Nigdy - poprzysiągł. Cofnął się, kołyszając jej twarz w swoich dłoniach. - Masz najpiękniejszy w świecie uśmiech.

W pierwszej chwili Daphne chciała powiedzieć: „Głupstwa pleciesz”, ale potem pomyślała - Po co psuć taką chwilę?

- Naprawdę? - spytała.

- Naprawdę. - Złożył całusa na jej nosie. - Twój uśmiech zajmuje połowę twarzy.

- Simonie! - wykrzyknęła. - To musi wyglądać okropnie.

- Zachwycający.

- Skrzywiony.

- Pociągający.

Zrobiła grymas, lecz jakoś roześmiała się przy tym.

- Widzę, że w ogóle nie znasz się na kanonach kobiecej urody.

Nastroszył brew.

- Od teraz liczą się tylko moje kanony, ponieważ odnoszą się one do ciebie.

Oniemiała na chwilę, po czym cała opadła na niego, a ich ciałami wstrząsnął paroksyzm śmiechu.

- Och, Simonie - westchnęła - jakiś ty postrzelony. Cudownie, wspaniale, niedorzecznie postrzelony.

- Niedorzecznie? - powtórzył. - Więc jestem dla ciebie niedorzeczny?

Jej usta zacisnęły się, by zapobiec kolejnemu wybuchowi śmiechu, ale nie do końca im się to udało.

- To było prawie tak podłe, jak nazwać kogoś impotentem.

Twą Daphne z miejsca spoważniała.

- Och, Simonie. Wszak wiesz, że ja nie... - urwała, dając sobie spokój z wyjaśnieniami, a zamiast tego powiedziała: - Przepraszam cię najmocniej za te słowa.

- Nie musisz przeproszać - odparł. - Być może przyjdzie mi zamordować twoją matkę, ale ty nie masz się z czego tłumaczyć.

Przerażony chichot wyrwał się z jej ust.

- Matka naprawdę wychodziła z siebie, a gdybym nie była zmylona tym, co powiedziałeś...

- Aha, więc to teraz wszystko moja wina? - udawał oburzenie. Ale po chwili jego twarz przybrała chytry i uwodzicielski wyraz. Przyniósł się bliżej, wyginając ciało w łuk, żeby Daphne musiała przechylić się do tyłu. - Chyba będę musiał pracować ze zdwojoną energią, aby udowodnić ci moje możliwości.

Jego lewa ręka ześlizgnęła się w dół pleców Daphne, żeby podtrzymać jej ciało, a potem opuścił ją na łóżko. Patrząc w jego intensywnie błękitne oczy, czuła, że uchodzi z niej powietrze. Kiedy leżało się na wznak, świat wydawał się zupełnie inny. Ciemniejszy, bardziej niebezpieczny. I tym bardziej wstrząsający, że unosił się nad nią Simon, wypełniając jej pole widzenia.

I w tym momencie, kiedy przestał istnieć dzielący ich dystans, Simon stał się dla niej całym światem.

Tym razem jego pocałunek nie był lekki. Simon jej nie łaskotał; on ją wprost pożerał. On się z nią nie przekomarzył; on ją brał w posiadanie.

Ręce Simona wsunęły się pod nią, ujmując ją za pośladki i przyciskając do swojej nabrzmiałej męskości.

- Dzisiaj - szepnął jej do ucha chrapliwym i rozgorączkowanym głosem - uczynię cię moją.

Daphne zaczęła oddychać coraz szybciej i szybciej, a każdy wdech i wydech odbijał się nieprawdopodobnie głośnym echem w jej uszach. Simon znajdował się tak blisko niej, każda piędź jego ciała otulała ją zmysłowo. Wyobrażała sobie tę noc tysiąc razy od owej chwili w Regent's Park, kiedy przyrzekł, że się z nią ożeni, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że sam ciężar jego ciała będzie aż tak niesamowity. Simon był duży, twardy i świetnie umięśniony: w żaden sposób nie zdołałaby uniknąć jego miłosnego szturmu, nawet gdyby chciała.

Jakie to dziwne, zakosztować takiego zachwycającego szczęścia w poczuciu własnej bezsilności. Mógł zrobić z nią wszystko, czego zapragnie - na co ona i tak chętnie mu pozwoli.

Lecz kiedy jego ciałem wstrząsnął dreszcz i usta próbowały wyrzec jej imię, a zatrzymały się na: „D-D-Daph...” - zrozumiała, że dysponuje swoim własnym rodzajem kon-

troli. Pożądał jej tak bardzo, że nie mógł oddychać, czuł do niej tak silny pociąg fizyczny, że odebrało mu mowę.

I w dziwny sposób, kiedy upajała się swoją nowo odnalezioną siłą, stwierdziła, że jej ciało zdaje się wiedzieć, co należy robić. Biodra wygięły się w łuk na jego przyjęcie, dłonie zadarły spódnicę powyżej talii, nogi owinęły się dookoła niego, przyciskając go jeszcze mocniej do jej łona.

- Mój Boże, Daphne - westchnął, unosząc na łokciach swoje drżące ciało. - Ja chcę... Nie mogę...

Objęła go, starając się przytulić z powrotem do siebie. Powietrze chłodziło miejsca, które przed momentem dotykało jego ciało.

- Nie mogę zwolnić - wyrzęził.

- Nie dbam o to.

- Ale ja tak. - Jego oczy płonęły występny zamysłem. - Chyba za bardzo się śpieszymy.

Spojrzała na niego zdziwiona, starając się złapać oddech. Usiadł prosto, jego oczy wędrowały po jej ciele, a lewa dłoń sunęła wzdłuż łydki w kierunku kolana.

- Po pierwsze - mruknął - musimy coś zrobić z tymi wszystkimi twoimi fatałaszkami.

Daphne zaczęła dyszeć z wrażenia, gdy Simon wstał, podnosząc ją razem ze sobą. Jej nogi były miękkie, nie mogła utrzymać równowagi, lecz on trzymał ją w pozycji wyprostowanej, a jego dłonie zgarniały spódnicę w fałdy na jej biodrach. Poczwała na uchu jego wargi:

- Trudno rozebrać cię do naga, kiedy leżysz na łóżku.

Odszukał dłonią krzywiznę jej pośladków i okrężnym ruchem zaczął je masować.

- Pytanie brzmi - medytował - którędy mam ściągnąć tę sukienkę, górą czy dołem?

Daphne modliła się, żeby nie kazał jej odpowiadać na to pytanie, bo nie zdołałaby wydobyć głosu.

- A może - dodał bez pośpiechu, wsuwając palec pod jej gorset z fiszbinami - i tak, i tak?

Po chwili, nim się spostrzegła i miała czas zareagować, szarpnął sukienką w dół, tak że cały materiał spoczął na jej

biodrach. Nogi miała gołe i gdyby nie cienka jedwabna halka, stałaby jak ją Pan Bóg stworzył.

- Co za niespodzianka - wymamrotał, ujmując w dłoń pierś przez halkę. - Nie mówię oczywiście, że przykra. Jedwab nie dorównuje miękkością skórze, ale ma swoje zalety.

Z zapartym tchem patrzyła, jak przesuwa materiał z boku na bok, a to słodkie pocieranie sprawiło, że jej sutki zaczęły nabrzmiwać i twardnieć.

- Nie wiedziałam... - szepnęła, a każdy oddech nawilżał i rozgrzewał jej wargi.

Teraz zajął się drugą piersią.

- Czego?

- Ze jesteś taki zepsuty.

Wyszczrzył zęby w niespiesznym, szatańskim uśmiechu. Jego usta przybliżyły się do jej ucha.

- Jesteś siostrą mojego najlepszego przyjaciela. Zakazanym owocem. Co miałem zrobić?

Daphne drżała z pożądania. Oddech Simona muskał tylko jej ucho, ale skóra szczypała ją na całym ciele.

- Nic nie mogłem zrobić - ciągnął, zsuwając ramiączko halki z jej ramienia. - Tylko marzyć.

- Marzyłeś o mnie? - szepnęła i na samą myśl o tym dostała dreszczy. - Marzyłeś o tym?

Jego dłoń na jej biodrze wzmocniła uścisk.

- Co noc. W każdej chwili, nim zasnąłem, aż moja skóra zaczynała płonąć, a ciało błagało o ukojenie.

Czuła, że chwieje się na nogach, ale on ją mocno trzymał.

- Dopiero kiedy zasypiałem... - Przeniósł się na jej szyję, jego ciepły oddech był niczym dotyk jego warg w czasie pocałunku. - Stawałem się naprawdę nieprzyzwoity.

Z jej ust wydobył się jęk, zduszony, chaotyczny, przepełniony pożądaniem.

Drugie ramiączko halki opadło z jej ramienia, a wargi Simona odnalazły rozkoszną bruzdę między piersiami.

- Ale dzisiejszej nocy - szepnął, ciągnąc jedwab w dół, aż odsłoniły się kolejno obie piersi - wszystkie moje marzenia się spełniają.

Daphne ledwo zdążyła zaczerpnąć powietrza, gdy usta Simona odnalazły jej pierś i zacisnęły się na twardniejącym sutku.

- To właśnie chciałem zrobić w ogrodzie lady Trowbridge - oznajmił. - Wiedziałaś o tym?

Gwałtownie potrząsnęła głową, ściskając mocno jego plecy, żeby nie upaść. Chwiała się z boku na bok, resztkami się utrzymując głowę prosto. Przenikały ją fale czystego uczucia, pozbawiając ją oddechu, równowagi, a nawet zdolności rozumowania.

- Pewnie, że nie - odpowiedział zamiast niej. - Jesteś taka niewinna.

Zręcznymi i wprawnymi palcami rozebrał ją do końca i znalazła się w jego ramionach nagusienka. Wiedząc, że jej zdenerwowanie dorównuje jego podnieceniu, położył ją na łóżku z wielką delikatnością.

Nieopanowanymi i nieskładnymi ruchami począł zrywać z siebie ubranie. Jego skóra stała w ogniu, całe jego ciało płonęło pożądaniem. Lecz ani na jedną chwilę nie odrywał wzroku od Daphne. Leżała na łóżku, prezentując się w całej krasie - czegoś równie kuszącego nie widział nigdy w życiu. W migotliwym blasku świec jej skóra połyskiwała brzoskwiniową gładkością, a długie, bezładnie rozrzucone włosy okalały twarz.

Palce, którymi tak delikatnie i szybko rozebrał żonę, teraz wydawały się sztywne i niezgrabne, gdy próbował dopatrzeć się sensu we własnych guzikach i pętelkach.

Kiedy jego ręce zajęły się spodniami, zobaczył, że Daphne naciąga na siebie pościel.

- Nie rób tego - powiedział, z trudem poznając własny głos. A kiedy ich spojrzenia się spotkały, dodał: - Ja będę twoją kołdrą.

Następnie zrzucił z siebie resztę odzieży, podszedł do łóżka i nakrył Daphne sobą, nie dając jej czasu na wypowiedzenie bodaj słowa protestu. Czuł, że wstrzymała oddech, zaskoczona dotykiem jego ciała, po czym jej własne ciało usztywniło się lekko.

- Szszz - zanucił, wtulając twarz w szyję żony, kręcąc

palcem kółka na jej udzie, żeby się uspokoiła. - Zaufaj mi.

- Ufam ci - odparła roztrzęsionym głosem. - Tylko że...

Jego ręka powędrowała wyżej, na jej biodro.

- Tylko że co?

- Że wolałabym nie być taką skończoną ignorantką - Simon usłyszał w jej głosie ton niezadowolenia.

Gromki śmiech zatrzęsł jego klatką piersiową.

- Przestań - skarciła go, dając mu kuksańca w bok.

- Nie śmieję się z ciebie.

- Właśnie że tak - mruknęła - i nie wmawiaj mi, że śmiejesz się *do* mnie, bo ta wymówka *wcale* nie działa.

- Śmiałem się, bo zrozumiałem, jak bardzo *cieszę się* z twojej ignorancji - odparł, unosząc się na łokciach, aby móc zajrzeć w jej oczy. Teraz opuścił twarz, muskając jej usta wargami delikatnymi niczym piórka. - Mam zaszczyt być jedynym mężczyzną, który dotykał cię w ten sposób.

Jej oczy rozbłyły tak szczerym uczuciem, że już było prawie po Simonie.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Naprawdę - odpowiedział, zdumiony grubością własnego głosu. - Ale zaszczyt to tylko połowa przyjemności.

Nie odpowiedziała, ale jej oczy napełniły się uroczym zaciekawieniem.

- Zdaje się, że będę musiał zabić pierwszego mężczyznę, który na ciebie spojrzy - wymamrotał.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu Daphne wybuchnęła śmiechem.

- Och, Simonie - westchnęła - jak cudownie, fantastycznie i wspaniale być obiektem takiej irracjonalnej zazdrości. Dziękuję.

- Później mi podziękujesz.

- Kto wie - mruknęła, a jej ciemne oczy stały się nagle bardziej uwodzicielskie, niż miały do tego jakiegokolwiek prawo - może i ty mi podziękujesz?

Kiedy Simon przykrył ją swoim ciałem, a jego roznamięt-niona męskość dotknęła brzucha Daphne, poczuł, że jej uda rozwierają się.

- Już teraz ci dziękuję - odparł, wtapiając te słowa w zagłębienie nad jej obojczykiem, gdzie wycisnął gorący pocałunek. - Uwierz mi, już teraz ci dziękuję.

Pierwszy raz w życiu odczuwał taką głęboką wdzięczność za wprowadzenie się w arkana niełatwej sztuki samokontroli. Całe jego ciało cierpiało męki, nie mogąc zanurzyć się w Daphne i sprawić wreszcie, by naprawdę stała się jego, wiedział jednak, że ta noc - ich noc poślubna - była przeznaczona dla niej, a nie dla niego.

To był jej pierwszy raz. On był jej pierwszym kochankiem - *jedynym* kochankiem, pomyślał z dziką satysfakcją - i na nim spoczywa odpowiedzialność za to, aby ta noc dostarczyła Daphne samej przyjemności.

Wiedział, że go pragnęła. Jej oddech stał się urywany, jej oczy szklily się pożądaniem. Bał się patrzeć na jej twarz, bo kiedy widział, jak usta żony rozchylają się, jak cała dyszy namiętnością, omal nie ulegał impulsowi, aby wbić się w nią aż do końca.

Więc zamiast tego całował ją. Całował ją wszędzie, ignorując gwałtowne uderzenia krwi w swoich żyłach, ilekroć słyszał, że westchnęła lub zakwiliła z rozkoszy. Dopiero kiedy zaczęła się wic i jęczeć pod jego ciałem, gdy zrozumiał, że jest bliska utraty zmysłów, zsunął dłoń pomiędzy jej uda, aby jej dotknąć.

Jedynym dźwiękiem, jaki mógł wydać, było jej imię, ale i to nawet przypominało raczej zduszony jęk. Daphne była mu bardziej niż chętna, bardziej rozpalona i wilgotniejsza, niż kiedykolwiek marzył. A jednak, tylko dla pewności - a może dlatego, że nie mógł opanować perwersyjnego impulsu, aby dręczyć samego siebie - wsunął palec do środka, sprawdzając jej ciepło, drażniąc jej kobiecość.

- Simon! - wysapała, prężąc się pod nim. Mięśnie Daphne były już napięte i Simon wiedział, że jest bliska spełnienia. Brutalnie wycofał rękę, nie bacząc na jęki protestu.

Za pomocą kolan rozłożył jej uda jeszcze szerzej i z przyporządkowanym o dreszcz pomrukiem ustawił się do wejścia w nią.

- To m-może trochę zabolęć - szepnął chrapliwie - ale ob-biecuję, że...

- Zrób to *wreszcie* - jęknęła, gwałtownie rzucając głową z boku na bok.

I zrobił. Jedno mocne pchnięcie i był w niej. Czuł, że błona dziewicza ustąpiła pod naciskiem, ale Daphne jakoś nie zwinęła się z bólu.

- Dobrze się czujesz? - jęknął, napinając każdy mięsień ciała, aby powstrzymać się od ruchów wewnątrz niej.

Skinęła głową, oddychając nerwowo.

- To takie dziwne uczucie - przyznała.

- Ale nie jest złe? - spytał, prawie wstydząc się rozpaczliwego tonu swojego głosu.

Potrząsnęła głową, maleńki, rozkoszny uśmiezek przemknął po jej wargach.

- Całkiem niezłe - szepnęła. - Ale wcześniej... kiedy... palcami...

Nawet w nikłym blasku świec dostrzegł rumieniec zakłopotania na jej policzkach.

- Tak właśnie chcesz? - szepnął, wycofując się w pół drogi-

- Nie! - zawołała.

- To może wolisz *tak*. - Zanurzył się z powrotem.

Schwytła dech.

- Owszem. Nie. I tak, i tak.

Zaczął poruszać się w niej rozmyślnie powolnym i jednostajnym tempem. Przy każdym pchnięciu wytłaczał z jej ust powietrze, a słodki ton poszczególnych cichych jęków doprowadzał go do obłędu.

Po chwili jęki Daphne przerodziły się w piski, a urywany oddech stał się ciężkim sapaniem. Simon wiedział już, że jest bliska szczytowania. Przyśpieszał coraz bardziej i, zaciskając zęby, starał się zachować panowanie nad sobą, kiedy ciało Daphne przenikały strumyki rozkoszy wiodące ją ku ostatecznemu spełnieniu.

Wyjęczała jego imię, potem je zawołała, a następnie całe jej ciało zeszytniało pod Simonem. Oplotła ramionami jego plecy, wyginając biodra w łuk z taką siłą, że Simon ledwo wierzył własnym oczom. Wreszcie szarpnęła się po raz

ostatni i obsunęła się na posłanie, niepomna niczego prócz otchłani swego ukojenia.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Simon pozwolił sobie na ostatnie pchnięcie i wbił się do samego końca, delektując się słodkim ciepłem jej ciała.

Po czym, złożywszy na jej ustach ogniście namiętny pocałunek, wycofał się, znacząc prześcieradło obok niej.

Miała to być dopiero pierwsza z szeregu namiętnych nocy. Młoda para przyjechała do Clyvedon, a następnie, ku bezgranicznemu zażenowaniu Daphne, zniknęła w książęcym apartamencie na ponad tydzień.

(Daphne nie była oczywiście zażenowana na tyle, by choć raz sama zechciała opuścić apartament *naprawdę*.)

Kiedy już wyłonili się ze swego poślubnego zacisza, urządzono Daphne wycieczkę po Clyvedon - wycieczkę niezwykle potrzebną, gdyż po przyjeździe do zamku miała szansę zobaczyć tylko szlak wiodący od frontowych drzwi do małżeńskiej sypialni. Następnie spędziła kilka godzin na zapoznawaniu się z wyższym personelem. Po przyjeździe została oczywiście oficjalnie przedstawiona służbie zamkowej, doszła jednak do wniosku, że najważniejsze osoby lepiej będzie poznać na drodze indywidualnych kontaktów.

Ponieważ Simon od dawna nie rezydował w Clyvedon, dużo osób spośród nowszego personelu w ogóle go nie znało, natomiast pozostali, którzy pracowali tam od czasu jego dzieciństwa, wydawali się - zdaniem Daphne - oddani jej mężowi prawie do szaleństwa. Powiedziała mu to ze śmiechem w czasie przechadzki we dwoje po zamkowym parku i chwilę później aż się wzdrygnęła, czując na sobie jego zdecydowanie tępe spojrzenie.

- Mieszkałem tutaj aż do mojego wyjazdu do Eton - bąknął, jak gdyby miało jej to wystarczyć za wyjaśnienie.

Stanowczy ton jego odpowiedzi sprawił Daphne przykrość.

- Nigdy nie jeździłeś do Londynu? Kiedy byliśmy mali, często...

- Mieszkałem wyłącznie tutaj.

Jego ton był sygnałem, że pragnął - nie, *zyczył sobie*, by zakończyć tę rozmowę, ale Daphne zlekceważyła ostrzeżenie i mimo wszystko zdecydowała się pociągnąć go za język.

- Musiałeś być słodkim dzieckiem - powiedziała rozmyślnie wesołym głosem - a może wyjątkowym rozrabiaką, że zaskarbiłeś sobie taką życzliwość.

Nic nie odpowiedział.

Daphne brnęła dalej.

- Z moim bratem - z Colinem, no wiesz - jest prawie tak samo. W dzieciństwie był prawdziwym diablątkiem, ale tak czarującym, że cała służba go uwielbiała. Otóż pewnego razu...

Jej usta zastygły na wpół otwarte. Nie było sensu mówić dalej. Simon obrócił się na pięcie i odszedł.

Nie interesował się różami. I nigdy nie zaprzętał sobie głowy istnieniem jakichś tam fiołków, teraz jednakże stał oparty o drewniane ogrodzenie i spoglądał na sławny ogród kwiatowy Clyvedon, jakby poważnie myślał o zajęciu się uprawą kwiatów.

Wszystko przez to, że nie mógł znieść pytań Daphne na temat jego wczesnej młodości.

Prawda jednak wyglądała tak, że nienawidził wspomnień. Gardził pamiątkami Z przeszłości. Już sam pobyt tu, w Clyvedon, był nieprzyjemny. Przywiózł Daphne do domu swojego dzieciństwa wyłącznie dlatego, że był on jedyną jego rezydencją w odległości dwóch dni jazdy od Londynu, gotową do natychmiastowego zamieszkania.

Wspomnienia ożywiały stare uczucia. A Simon nie chciał zamienić się na nowo w tamtego małego chłopca. Nie chciał pamiętać mnóstwa listów, które wysyłał do ojca po to tylko, by daremnie czekać na odpowiedź. Nie chciał pamiętać tych uprzejmych uśmiechów służby - uprzejmych uśmiechów, którym zawsze towarzyszyło litościwe spojrzenie. Kochali go, owszem, ale jednocześnie było im go żal.

A fakt, że ze względu na niego czuli nienawiść do jego ojca - cóż, ten fakt wcale nie poprawia! mu samopoczucia. Wówczas - a szczerze mówiąc, także i teraz - Simon nie był

aż tak wielkoduszny, by nie odczuwać pewnej satysfakcji z powodu powszechnej niechęci do ojca, ale to nigdy nie usuwało w cień zażenowania i psychicznego dyskomfortu.

Ani uczucia wstydu.

Chciał, żeby go podziwiano, a nie litowano się nad nim. Dopiero gdy na własną rękę wyjechał bez zapowiedzi do Eton, po raz pierwszy poznał smak sukcesu.

Odbył daleką drogę; wolałby pójść do piekła, niż cofnąć się do stanu, w którym znajdował się kiedyś.

W niczym tu oczywiście *Daphne* nie zawiniła. Wiedział, że nie miała ukrytych motywów, kiedy wypytywała go o jego przeszłość. No bo niby skąd? Nie miała pojęcia o jego sporadycznych kłopotach z mówieniem. Pracował ciężko jak cholera, aby to przed nią ukryć.

Nie, pomyślał, wzdychając ze znużeniem, rzadko musiał ciężko pracować, aby to przed nią ukryć. *Daphne* zawsze stwarzała wokół siebie przyjazną atmosferę, sprawiała, że czuł się przy niej swobodnie. Jego jąkanie ujawniało się rzadko i tylko w chwilach napięcia i gniewu.

Czego jak czego, ale na pewno powodów do napięcia czy gniewu życie mu nie dostarczało, kiedy był z *Daphne*.

Opierał się ciężko na ogrodzeniu, uginając się pod brzemieniem poczucia winy. Potraktował ją strasznie. Wyglądało na to, że jest skazany na częste tego rodzaju postępowanie.

- Simonie?

Wyczuł jej obecność, zanim się odezwała. Podeszła do niego od tyłu, stawiając na trawie miękkie i ciche kroki w swoich pantofelkach. Ale Simon zdawał sobie sprawę, że ona tam jest. Czuł jej delikatny zapach i słyszał szept wiatru w jej włosach.

- Jakie piękne róże - powiedziała. Wiedział, że jest to jej sposób na udobruchanie go. Wiedział, że umierała z pragnienia, by zadać mu więcej pytań. Ale *Daphne* była nad wiek mądra, i mimo że Simon lubił dokuczać jej w tej sprawie, świetnie znała się na mężczyznach i ich kretyńskich usposobieniach. Nic więcej nie powie. Przynajmniej nie dziś.

- Dowiedziałem się, że posadziła je jeszcze moja matka

- rzekł. Jego słowa zabrzmiały bardziej gburowato, niżby sobie tego życzył, miał jednak nadzieję, że Daphne potraktuje je niczym gałązkę oliwną, z którą wyciągnął do niej rękę. Kiedy nie odpowiedziała, dodał tytułem wyjaśnienia: - Zmarła przy moim porodzie.

Daphne kiwnęła głową.

- Słyszałam. Bardzo mi przykro.

Wzruszył ramionami.

- W ogóle jej nie znałem.

- Mimo wszystko to była ogromna strata.

Simon wrócił myślami do lat dziecińczych. W żaden sposób nie mógł wiedzieć, czy matka traktowałaby jego kłopoty z większą wyrozumiałością niż ojciec, wyobrażał sobie jednak, że nijak nie mogłaby traktować ich gorzej.

- Owszem - mruknął. - Chyba strata.

Później tego samego dnia, kiedy Simon przeglądał jakieś księgi majątkowe, Daphne doszła do wniosku, że już czas, by poznała panią Cołson, ochmistrzynię. Choć ani ona, ani jej mąż, nie wiedzieli jeszcze, gdzie będą mieszkać, Daphne nie mogła sobie wyobrazić, że nie spędzą trochę czasu tu, w zamku Clyvedon, rodowej siedzibie Simona, i jeśli w ogóle nauczyła się czegoś od swojej matki, to właśnie tego, że dama *musi* mieć dobre układy ze swoją ochmistrzynią.

Nie, żeby Daphne jakoś specjalnie przejmowała się stosunkami z panią Cołson. Widziała ochmistrzynię przelotnie, kiedy Simon przedstawił ją personelowi, lecz szybko stało się dla niej jasne, że pani Cołson jest z natury osobą rozmowną i życzliwą.

Na krótko przed podwieczorkiem zatrzymała się obok jej kancelarii - maleńkiej izdebki na tyłach kuchni. Ochmistrzyni, przystojna kobieta po pięćdziesiątce, pochylała się nad swoim małym biurkiem, układając jadłospis na następny tydzień.

Daphne zapukała do otwartych drzwi.

- Pani Cołson?

Ochmistrzyni podniosła wzrok i natychmiast wstała.

- Wasza wysokość - powiedziała i złożyła lekki dyg. - Trzeba było mnie wezwać.

Daphne uśmiechnęła się niezręcznie, wciąż nieprzywykła do swego wyniesienia z szarej masy skromnych panienek.

- Byłam już na nogach - odparła, wyjaśniając swoją nietypową obecność na terytorium służby. - Ale gdyby pani miała chwileczkę, pani Colson, liczyłam, że mogłybyśmy lepiej się poznać. Mieszka pani w tym domu od wielu lat i ja mam nadzieję pomieszkać w nim przez wiele najbliższych lat.

Pani Colson zareagowała uśmiechem na ciepły ton Daphne.

- Oczywiście, wasza wysokość. Czy sprowadza panią do mnie jakaś konkretna sprawa?

- Bynajmniej. Muszę się jednak jeszcze wiele nauczyć o Clyvedon, skoro mam nim kierować właściwie. Czy nie moglibyśmy na przykład jadać podwieczorków w żółtym pokoju? Bardzo mi się podoba jego wystrój. Jest taki ciepły i słoneczny. Mam nadzieję uczynić z niego mój osobisty salonik.

Ochmistrzyni spojrzała na nią dziwnym wzrokiem.

- Poprzednia księżna miała podobne odczucia.

- Och - westchnęła Daphne. Nie wiedziała, czy słowa pani Colson powinny sprawić jej przykrość.

- Przez te wszystkie lata otaczałam ten pokój szczególną troską - ciągnęła ochmistrzyni. - Faktycznie wpada doń sporo słońca, jako że wychodzi na południe. Przed trzema laty oddałam meble do ponownego obicia. - Wysunęła podbródek z wyrazem pewnej dumy. - Pojechałam aż do Londynu, żeby zdobyć ten sam materiał.

- Rozumiem - odparła Daphne, kierując się do wyjścia z kancelarii. - Nieboszczyk książę musiał bardzo kochać swoją żonę, skoro kazał tak starannie pielęgnować jej ulubiony pokój.

Pani Colson nie za bardzo odwzajemniła jej spojrzenie.

- To była moja decyzja - powiedziała cicho. - Książę zawsze dawał mi pewien fundusz na konserwację domu. Uważałam to za najwłaściwszy sposób spożytkowania tych pieniędzy.

Daphne zaczęła, aż ochmistrzyni wezwie służącą i przekaże jej instrukcje co do podwieczorku.

- To bardzo ładny salon - stwierdziła, kiedy wyszły z kuchni - i choć obecny książę nie miał okazji poznać swojej matki, na pewno będzie niezwykle wzruszony, że uznała pani za stosowne zachować jej ulubiony pokój.

- Przynajmniej tyle mogłam uczynić - powiedziała pani Colson, kiedy szły obok siebie korytarzem. - W końcu nie od zawsze posługuję rodzinie Bassetów.

- Och? - zdziwiła się Daphne. Wyższy personel był znany ze swej lojalności, niejednokrotnie posługiwał tej samej rodzinie od pokoleń.

- Tak, byłam osobistą pokojówką księżnej. - Ochmistrzyńni zatrzymała się przed drzwiami do żółtego pokoju, aby przepuścić Daphne. - A wcześniej byłam jej damą do towarzysztwa. Moja matka była jej boną. Rodzina jej wysokości była na tyle uprzejma, że pozwoliła mi uczestniczyć w lekcjach panienki.

- Musiałyście być bardzo zżyte ze sobą - mruknęła Daphne. Pani Colson pokiwała głową.

- Po jej śmierci pełniłam w Clyvedon wiele rozmaitych funkcji, póki nie zostałam wreszcie ochmistrzynią.

- Rozumiem - uśmiechnęła się do niej Daphne, sadwiąc się na sofie. - Zechce pani usiąść - powiedziała, wskazując jej krzesło naprzeciw siebie.

Pani Colson wydawała się speszona taką poufałością, ale ostatecznie usiadła.

- Pękło mi serce, kiedy biedaczka umarła - rzekła, zerkając z lękiem na Daphne. - Ufam, że nie ma pani nic przeciwko temu, abym opowiadała?

- Oczywiście, że nie - rzuciła Daphne. Była niezwykle zainteresowana dzieciństwem Simona. Powiedział jej tak niewiele, a jednak miała przeczucie, że miało to bardzo duże znaczenie. - Proszę opowiedzieć mi coś więcej. Chętnie posłucham.

Oczy pani Colson zaszły mgłą.

- Była najmiłą, najsympatyczniejszą istotą, jaką znał świat. Ona i książę - no cóż, nie było to małżeństwo z miłości, ale żyli w zgodzie. Przyjaźnili się na swój sposób. - Spojrzała wysoko w górę. - Oboje byli świadomi powinno-

ści księżnej i księcia. Podchodzili do swoich obowiązków bardzo poważnie.

Daphne skinęła głową ze zrozumieniem.

- Tak bardzo pragnęła dać mu syna. Starła się nawet po tym, kiedy lekarze kategorycznie jej tego zabronili. Płakała w moich ramionach co miesiąc, kiedy okazywało się, że ma menstruację.

Daphne skinęła ponownie w nadziei, że ruchem głowy ukryje swój nagle nienaturalny wyraz twarzy. Trudno było słuchać opowieści o niemożności posiadania dzieci. Sądziła jednak, że będzie musiała się do tego przyzwyczaić. Odpowiadanie na pytania w tej sprawie będzie jeszcze bardziej męczące.

A pytania *będą*. Boleśnie taktowne i obrzydliwie litościwe.

Lecz pani Colson na szczęście nie zauważyła jej zmieszania. Pociągnęła nosem i kontynuowała swoją opowieść.

- Lubiła narzekać, że co z niej za księżna, skoro nie potrafi dać mu syna. Serce mi się krajało, kiedy tego słuchałam. Co miesiąc krajało mi się serce.

Daphne zadawała sobie pytanie, czy jej też co miesiąc będzie się krajało serce. Pewnie nie. Ona w końcu wiedziała, że nie będzie miała dzieci. Nadzieje matki Simona rozwiewały się co cztery tygodnie.

- I oczywiście - ciągnęła ochmistrzyni - wszyscy się tak zachowywali, jakby to była jej wina, że dziecka wciąż nie ma. Pytam panią, skąd mogli o tym wiedzieć? Nie zawsze niepłodna jest kobieta. Jak pani wie, czasami wina leży po stronie mężczyzny.

Daphne nic nie odpowiedziała.

- Mówiłam jej to ciągle, ale biedaczka wciąż czuła się winna. Na przykład... - Twarz ochmistrzyni zaróżowiła się. - Czy mogę być z panią zupełnie szczerą?

- Ależ oczywiście.

Pani Colson kiwnęła głową.

- Otóż, powtórzyłam jej to, co usłyszałam od mojej matki. Łono nie ożywi się bez silnego, zdrowego nasienia.

Spojrzenie Daphne nie wyrażało żadnych uczuć. To było wszystko, na co mogła się zdobyć.

- No, ale wreszcie powiła panicza Simona. - Ochmistrzy-
ni westchnęła po macierzyńsku, a potem spojrzała z prze-
strachem na Daphne. - Proszę o wybaczenie - dodała pręd-
ko. - Nie powinnam go tak nazywać. Obecnie jest księciem.

- Proszę sobie nie przerywać z mojego powodu - oznaj-
miła Daphne z zadowoleniem, że znalazła pretekst, aby się
uśmiechnąć.

- W moim wieku człowiek trudno się zmienia - westchnę-
ła pani Colson. - I obawiam się, że w głębi mojej duszy mło-
dy księżę zawsze pozostanie małym, nieszczęśliwym chłop-
cem. - Spojrzała na Daphne i potrząsnęła głową. - Miałby
dużo łatwiejsze życie, gdyby księżna nie umarła.

- Łatwiejsze życie? - mruknęła Daphne z nadzieją, że pani
Colson nie potrzebuje już lepszej zachęty do dalszych zwierzeń.

- Księżę nigdy nie rozumiał biednego chłopca - oświad-
czyła stanowczo ochmistrzyni. - Awanturował się, wyzywał
go od głupców i...

Daphne złapała się za głowę.

- Księżę uważał Simona za głupca? - przerwała jej. To by-
ło absurdalne. Simon należał do najmądrzejszych ludzi, ja-
kich znała. Wypytywała go kiedyś trochę o studia w Oks-
fordzie i dowiedziała się ze zdumieniem, że jego dział ma-
tematyki obywa się w ogóle bez *liczb*.

- Księżę nie widział dalej niż czubek własnego nosa - zach-
nęła się pani Colson. - Nigdy nie dał szansy temu chłopcu.

Daphne przechyliła się do przodu, nadstawiając uszu. Co
takiego stary księżę zrobił synowi? Czy dlatego Simon zawsze
zamieniał się w sopol lodu, kiedy wspomniano imię jego ojca?

Ochmistrzyni wyjęła chusteczkę i przycisnęła ją do oczu.

- Trzeba było widzieć nadludzki wysiłek chłopca, który
starał się robić postępy. Serce mi się krajało. Po prostu ser-
ce mi się krajało.

Dłonie Daphne zaciskały się rytmicznie na obiciu sofy.
Pani Colson *nigdy* nie przejdzie do sedna sprawy.

- Niestety księciu wszystko było mało. To tylko moje
prywatne zdanie, ale...

W tym momencie weszła służąca z podwieczorkiem. Daph-

ne omal nie krzyknęła ze złości. Ustawianie naczyń i rozlewanie herbaty ciągnęło się dobre dwie minuty i cały czas ochmistrzyni paplała o ciasteczkach, dopytując się, czy Daphne woli je posypane gruboziarnistym cukrem, czy też bez niego.

Daphne musiała oderwać dłonie od sofy, żeby nie wywiercić dziur w obiciu. Pani Colson ciężko się napracowała, żeby je odnowić. Wreszcie służąca wyszła, ochmistrzyni upiła łyk herbaty i zapytała:

- Więc na czym skończyłyśmy?

- Mówiła pani o księciu - przypomniała jej szybko Daphne. - O nieboszczyku księciu. Że wszystko było mu mało i pani zdaniem...

- Mój Boże, a więc pani *śluchała* - rozpromieniła się pani Colson. - To mi bardzo pochlebia.

- Mówiła pani... - zachęcała ją Daphne.

- Ach, tak, oczywiście. Chciałam po prostu powiedzieć, że już od dawna uważam, że stary książę nigdy nie wybaczył synowi jego odstępstwa od doskonałości.

- Ależ pani Colson - rzekła cicho Daphne - nikt z nas nie jest doskonały.

- Oczywiście, że nie, lecz... - Ochmistrzyni na krótki moment wywróciła oczy do góry w wyrazie pogardy dla nieboszczyka księcia. - Gdyby pani знаła jego wysokość, to by pani zrozumiała. Tak długo czekał na syna. A według niego, nazwisko Basset było synonimem doskonałości.

- I mój mąż nie okazał się synem, jakiego pragnął?

- On nie pragnął syna. On pragnął doskonałej kopii siebie samego.

Daphne nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

- Ale czym Simon budził w ojcu taką odrazę?

Pani Colson wybałuszyła oczy ze zdziwienia i przycisnęła rękę do piersi.

- No jakże to, pani nie wie? - szepnęła. - Oczywiście, skąd może pani o tym wiedzieć.

- *O czym?*

- Simon nie umiał mówić.

Usta Daphne rozchyliły się z oburzenia.

- Co proszę?

- Nie umiał mówić. Ani słowa, do czwartego roku życia, a potem bez przerwy jąkał się i zacinał przy mówieniu. Krajało mi się serce, gdy tylko otworzył usta. Widziałam, że siedzi w nim bystry chłopiec. Nie potrafił tylko prawidłowo wymawiać słów.

- Przecież teraz mówi idealnie - wtrąciła Daphne, zaskoczona defensywnym brzmieniem swojego głosu. - Nigdy nie słyszałam, żeby się jąkał. A jeśli nawet, to nie zauważyłam t-t-tego. Widzi pani? Sama tak zrobiłam. Każdy się trochę zacina w chwilach rozdrażnienia.

- Ciężko pracował, żeby osiągnąć postęp. To trwało siedem lat, o ile pamiętam. Przez siedem lat nie robił nic innego, tylko ćwiczył się w mówieniu ze swoją boną. - Twarz pani Colson zmarszczyła się w zamyśleniu. - Zaraz, zaraz, jak ona się nazywała? Ach, tak. Bona Hopkins. Święta kobieta, święta kobieta. Oddana chłopcu jak swojemu rodzonemu dziecku. Byłam wówczas pomocnicą ochmistrzyni, ale często pozwalała mi przychodzić i pomagać Simonowi w ćwiczeniach mowy.

- Czy to było dla niego trudne? - szepnęła Daphne.

- W niektóre dni myślałam już, że się załamie. Ale on był uparty. Na Boga, ależ on był uparty. Jak żyję, nie widziałam człowieka równie zaciętego. - Potrząsnęła ze smutkiem głową. - A ojciec w dalszym ciągu go odtrącał. Serce...

- Się pani krajało - skończyła za nią Daphne. - Mnie też by się krajało.

Zapadła długa i nieprzyjemna cisza. Wreszcie pani Colson wypięła łyk herbaty i powiedziała:

- Dziękuję bardzo za pozwolenie mi zjedzenia podwieczorku w pani towarzystwie, wasza wysokość. - Ochmistrzyni błędnie zinterpretowała milczenie Daphne jako wyraz niezadowolenia. - To było z pani strony wysoce niezwykłe, ale bardzo...

Daphne przyglądała się, jak ochmistrzyni szuka właściwego słowa.

- Uprzejme - dokończyła pani Colson. - To było bardzo uprzejme z pani strony.

- Dziękuję - mruknęła z roztargnieniem Daphne.

- Och, ale nie odpowiedziałam na żadne z pani pytań na temat Clyvedon - stwierdziła nagle ochmistrzyni.

Daphne potrząsnęła lekko głową.

- Może innym razem - rzekła cichym głosem. Już i tak miała za dużo do myślenia.

Wyczuwając u swojej chlebodawczyni pragnienie pozostania w samotności, pani Colson wstała, dygnęła grzecznie i wyszła po cichu z pokoju.

16

Duszna londyńska spiekota wywołała bezspornie zamęt w życiu śmietanki towarzyskiej. Pisząca te słowa widziała pannę Prudencję Featherington mdlejącą na balu u Huxleyów, ale niepodobna stwierdzić, czy ta chwilowa utrata równowagi to skutek upałów, czy może obecności pana Colina Bridgertona, który od powrotu z kontynentu robi furorę w szeregach elity.

Niewczesna spiekota odbiła się również na lady Danbury, która kilka dni temu opuściła Londyn, jako że jej kot (długowłosa, kudłata bestia) nie znosi takiej pogody. Wyjechała jakoby do swej wiejskiej rezydencji w Surrey.

Można się domyślić, że książę i księżna Hastings nie zostali dotknięci falą wysokich temperatur; przebywają wszakże na wybrzeżu, gdzie wiatr wiejący od morza należy zawsze do przyjemności. Pisząca te słowa nie dałaby jednakże głowy za ich dobre samopoczucie; wbrew obiegowej opinii pisząca te słowa nie ma szpiegów we wszystkich najważniejszych domach, a już na pewno ani jednego poza Londynem!

Kronika towarzyska lady Whistledown, 2 czerwca 1813

To dziwne, doszedł do wniosku Simon. Nie minęły nawet dwa tygodnie od ich ślubu, a już popadli w wygodną rutynę codziennych zajęć. Na przykład teraz, stał boso

W drzwiach swojej garderoby, poluzowując krawat i przyglądając się, jak żona czesze szczotką włosy.

I dokładnie to samo robił wczoraj. Było w tym coś dziwnie pokrępowanego.

I za każdym razem, myślał z odrobiną przewrotności w oczach, snuł plan zwabienia jej do łóżka. Wczoraj rzecz jasna osiągnął sukces.

Fachowo zawiązany niegdyś krawat wylądował na podłodze, obwisły i zapomniany, Simon zaś ruszył powoli przed siebie.

Dzisiaj także osiągnie sukces.

Zatrzymał się obok żony, przycupniętej na brzegu swojej toaletki. Daphne podniosła wzrok i zamrużyła oczami niczym sowa.

Przytknął swoją dłoń do jej dłoni, jego i jej palce owinęły się na rękojeści szczotki.

- Lubię patrzeć, jak się czeszesz - powiedział - ale jeszcze bardziej lubię robić to sam.

Spojrzała na niego dziwnie badawczym wzrokiem. Powoli wypuściła szczotkę z ręki.

- Odwaliłeś już całą robotę przy tych księgach? Zakopałeś się w papierach z zarządcą na dłuższy czas.

- Tak, to było dość nudne, lecz konieczne, a... - Nagle twarz mu zastygła. - Na co tak patrzysz?

Odwróciła wzrok.

- Na nic - odparła nienaturalnym głosem.

Potrząsnął lekko głową, kierując to bardziej do siebie niż do niej, a potem zabrał się do czesania jej włosów. Przez chwilę wydawało mu się, że patrzyła na jego usta.

Zapanował nad odruchowym wzdrygnięciem. W dzieciństwie ludzie ciągle przyglądali się jego ustom, gapili się na nie z przerażającą fascynacją. Wprawdzie czuli się niekiedy zmuszeni podnieść wzrok na jego oczy, ale zawsze potem wracali spojrzeniem do ust, jakby nie mogli uwierzyć, że ten całkiem zwyczajnie wyglądający organ mowy potrafi wytwarzać aż taki bełkot.

Ale na pewno ulega przywidzeniom. Czemu Daphne miałyby się przyglądać jego ustom?

Przeciągał delikatnie szczotką po jej włosach, pozwalając również palcom na muskanie jedwabistych kosmyków.

- Miło ci się gawędziło z panią Colson? - zapytał.

Drgnęła lekko. Był to nieznaczny ruch i zdołała go zamaskować całkiem nieźle, ale Simon i tak go zauważył.

- Tak - odpowiedziała. - Ta kobieta zna się na rzeczy.

- Niewątpliwie. Jest tu od zaw... Na *co* patrzysz?

Daphne aż podskoczyła na swoim krzeselku.

- Na lustro - odrzekła stanowczo.

Była to prawda, ale Simon wciąż miał wątpliwości. Jej wzrok był nieruchomy i badawczy, skupiony w jednym punkcie.

- Jak mówiłam - dodała pośpiesznie - jestem pewna, że pomoc pani Colson okaże się bezcenna w czasie moich przygotowań do zarządzania Clyvedon. To duży majątek i czeka mnie mnóstwo nauki.

- Nie zadawaj sobie zbyt wiele trudu. Nie będziemy tutaj spędzać dużo czasu.

- Nie?

- Sądziłem, że naszą główną rezydencją uczynimy dom w Londynie. - Widząc zaskoczenie w jej oczach, dodał: - Będziesz bliżej swojej rodziny, nawet jak wyjadą na wieś. Sądziłem, że ci się to spodoba.

- Tak, naturalnie. Rzeczywiście tęsknię za nimi. Nigdy jeszcze nie byłam tak długo poza domem. Zawsze wiedziałam, oczywiście, że kiedy wyjdę za mąż, założę rodzinę i..

Zapadła głucha cisza.

- No tak, teraz ty jesteś moją rodziną - dokończyła z odrobiną rozpacz w głosie.

Simon 'westchnął, posrebrzana szczotka do "włosów znieruchomiała na swoim szlaku wśród ciemnych loków jego żony.

- Daphne, twoja rodzina na zawsze pozostanie twoją rodziną - powiedział. - Ja nigdy nie zajmę ich miejsca.

- Wiem - zgodziła się. Odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz. - Ale ty możesz stać się kimś więcej - szepnęła z blaskiem w czekoladowych oczach.

I Simon zrozumiał, że wszystkie jego plany uwiedzenia

żony straciły na znaczeniu, bo najwyraźniej to *ona* planowała uwieść *jego*.

Wstała, a jedwabny peniuar zsunął się z jej ramion. Pod spodem nosiła dopasowany negliż, który tyle samo odsłaniał, ile ukrywał.

Jedna z dużych dłoni Simona odnalazła drogę do jej piersi, jego palce wyraźnie odróżniały się na tle seledynowego materiału nocnej koszuli.

- Podoba ci się ten kolor, prawda? - spytał ochryple.

Uśmiechnęła się i Simon zapomniał oddychać.

- Miał pasować do moich oczu - drażniła się z nim. - Pa-miętasz?

Zdołał zrewanżować się uśmiechem, choć nie wiedział, w jaki sposób. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że będzie się w stanie uśmiechać, gdy za chwilę może paść trupem z braku powietrza. Czasami potrzeba dotknięcia Daphne była tak wielka, że już samo patrzenie na nią sprawiało ból.

Przyciągnął ją do siebie bliżej. *Musiał* ją przyciągnąć. Dostałby pomieszania zmysłów, gdyby tego nie uczynił.

- Chcesz mi powiedzieć - mruknął w skórę jej szyi - że kupiłaś ją specjalnie dla mnie?

- Oczywiście - odparła urywanym głosem, gdy koniuszek jego języka prześledził płatek jej ucha. - Kto jeszcze mógłby mnie w tym oglądać?

- Nikt - poprzysiągł jej, otaczając ramionami jej szczupłą kibić i przyciskając ją do swojej nabrzmiałej męskości.

- Nikt. I nigdy.

Nagły przejaw jego poczucia własności przyjęła lekko otumaniona.

- Poza tym - dodała - ona należy do mojej wyprawy.

Simon aż zajęczał.

- Kocham twoją wyprawę. Uwielbiam. Czy już ci to mówiłem?

- Nie aż tyloma słowami - wysapała - lecz nietrudno było to wywnioskować.

- Najbardziej lubię cię bez twojej wyprawy - oświadczył,

popychając Daphne łokciem w stronę łóżka i zrywając z siebie koszulę.

Cokolwiek chciała Daphne powiedzieć - a Simon był pewien, że chciała coś powiedzieć, bo jej usta otworzyły się zachwycająco - przepadło na zawsze, bo kiedy legła na łóżku, przykrył ją w jednej chwili. Położył ręce na jej biodrach, a potem przesunął je w górę, spychając jej ramiona za głowę. Zatrzymał się na gołej skórze nad łokciami i zaczął je delikatnie uciskać.

- Jesteś bardzo silna - oświadczył. - Silniejsza od większości kobiet.

Rzuciła mu zuchwałe spojrzenie.

- Nie chcę słuchać o żadnej większości kobiet.

Simon zachichotał wbrew sobie. Następnie, ruchem szybkim jak błyskawica, chwycił nadgarstki Daphne i przyniósł je do pościeli po obu stronach głowy.

- Ale nie silniejsza ode mnie - wycedził.

Sapnęła ze zdziwienia, a na ten dźwięk Simona przeszły niezwykle dreszcz. Lewą dłoń ujął szybko oba nadgarstki Daphne, a prawą rozpoczął wolną wędrówkę po jej ciele.

- A jeżeli nie jesteś kobietą doskonałą - jęknął, zadzierając brzeg nocnej koszuli swojej młodej żony powyżej bioder - to cały świat jest...

- Przestań - rzuciła roztrzęsionym głosem. - Dobrze wiesz, że wcale nie jestem doskonała.

- Wiem? - Z mrocznym i przebiegłym uśmiechem na twarzy wsunął rękę pod jej pośladki. - Musisz mieć złe informacje, bo ona... - zacisnął palce - jest doskonała.

- Simon!

- A jeśli chodzi o nie... - Sięgnął do góry i nakrył pierś dłońmi, łaskocząc sutek poprzez jedwab koszulki. - No, tobie nie muszę chyba mówić, jakie one są w dotyku.

- Jesteś szalony.

- Całkiem możliwe - przyznał - mam za to czuły smak. A ty... - nagle pochylił się niżej i przywarł do jej ust - jesteś przepyszna.

Zachichotała, zupełnie nie mogła się pohamować.

Simon poruszył brwiami.

- Ośmielasz się mnie przedrzeźniać?

- Normalnie nie odmówiłabym sobie, ale nie teraz, kiedy przytrzymujesz mi ręce za głową.

Wolna dłoń Simona zajęła się rozpinaniem jego spodni.

- Zdaje się, że poślubiłem niegłupią pannicę.

Spoglądała na niego z dumą i miłością. Obserwowała, jak każde słowo bez wysiłku wychodzi z jego ust. Słyszając go teraz, nikt by się nie domyślił, że Simon jąkał się jako dziecko.

Jakiego wspaniałego mężczyznę poślubiła. Żeby napotkać takie przeszkody i pokonać je samą siłą woli - musiał być najsilniejszym, najbardziej zdyscyplinowanym człowiekiem pod słońcem.

- Tak się cieszę, że wyszłam za ciebie - wyznała w przyływie czułości. - Jestem taka dumna, że należysz do mnie.

Simon znieruchomiał, wyraźnie zaskoczyła go nagła powaga w jej głosie.

- Ja też jestem dumny, że należysz do mnie - odparł niskim i szorstkim tonem. Szarpnął za spodnie. - I pokazałbym ci, jak bardzo - warknął - gdybym zdołał ściągnąć z siebie to cholerstwo.

Daphne poczuła kolejną falę śmiechu, wpływającą jej do gardła.

- Może gdybyś użył obu rąk... - zasugerowała.

Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć nie-jestem-aż-ta-ici-głupi.

- Wówczas musiałbym cię puścić.

Przekręciła skromnie głowę.

- A gdybym obiecała, że nie poruszę rękami?

- Nawet nie zacząłbym ci wierzyć.

Jej uśmiech zrobił się nieprzyzwoicie sugestywny.

- A gdybym obiecała, że *będę* nimi ruszać?

- No, *to* brzmi zachęcająco. - Zeskoczył z łóżka z dziwną kombinacją zwinności i rozszalałej energii, po czym w ciągu trzech sekund zdołał rozebrać się do naga. Wskoczył na łóżko z powrotem i rozciągnął się obok jej ciała. - No, gdzie byliśmy?

Ponownie zachichotała.

- Zdaje się, że mniej więcej tutaj.

- A-ha - rzucił ze śmiesznie karcącym wyrazem twarzy. - Nie uważałaś. Byliśmy... - wślizgnął się na nią, przyciskając ją do materaca swoim ciężarem - dokładnie tu.

Jej chichoty eksplodowały śmiechem na całe gardło.

- Czy nikt ci nie po-wiedział, żebyś się nie śmiała, kiedy męczyzna próbuje cię uwieść?

Jeśli przedtem miała jakąś szansę na przerwanie śmiechu, to teraz ją straciła.

- Och, Simonie - wysapała. - Kocham cię nad życie.

Zastygł w absolutnym bezruchu.

- Co?

Uśmiechnęła się tylko i przytuliła do jego policzka. Rozumiała go już o wiele lepiej. Poznawszy już jako dziecko smak odrzucenia, nie uświadamiał sobie prawdopodobnie, że zasługuje na miłość. I prawdopodobnie nie wiedział, jak można ją odwzajemnić. Ale ona może czekać. Na takiego męczyznę mogłaby czekać całą wieczność.

- Nie musisz niczego mówić - wyszeptała. - Wiedz tylko, że cię kocham.

W dziwny sposób w jego oczach uwidaczniała się zarówno radość, jak i cierpienie. Daphne zastanawiała się, czy ktoś kiedykolwiek przedtem skierował do niego słowa *Kocham cię*. Dorastał bez rodziny, bez osłony miłości i ciepła, które ona traktowała jako rzeczy oczywiste.

Jego głos, kiedy go już odzyskał, był szorstki i niemalże załamany.

- D-Daphne, ja...

- Szszz - zanuciła, kładąc palec na jego ustach. - Teraz nic nie mów. Zaczekaj, aż będzie ci łatwo.

A potem złąkła się, że wyrzekła najbardziej bolesne słowa, jakie można tylko sobie wyobrazić - czy Simonowi *kiedykolwiek* było łatwo mówić?

- Pocałuj mnie tylko - wyszeptała pośpiesznie. Jak najszybciej chciała mieć za sobą tę niezręczną sytuację. - Proszę, pocałuj mnie.

I pocałował.

Pocałował ją z dziką gwałtownością, płonąc z namiętności i pożądania, jakie przepływały między nimi. Jego wargi i palce nie pomijały niczego, całując, ściskając i pieszcząc ją wszędzie. Wreszcie nocna koszula leżała ciśnięta na podłodze, a pościel i koce tkwiły skłębione w nogach łóżka.

Ale inaczej niż każdej poprzedniej nocy Simonowi nie udało się sprawić, żeby Daphne padła bez zmysłów. Dano jej zbyt dużo do myślenia tego dnia - nic, nawet najbardziej nienasycone pragnienia jej ciała nie zdołały wstrzymać szaleńczego biegu jej myśli. Płynęła na falach pożądania, każda zuchwałość Simona wzmagała gorączkową intensywność potrzeb, a mimo to jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

Kiedy jego błękitne oczy, tak błyszczące nawet w nikłym blasku świec, wwierały się w jej oczy, zastanawiała się, czy nie dzieje się tak za sprawą emocji, których nie umiał wyrazić słowami. Kiedy szeptał jej imię, nie mogła się powstrzymać, żeby nie łowić uchem kolejnego drobnego zająknięcia. A kiedy zatopił się w niej, odrzucając głowę do tyłu, aż uwypukliły się ścięgna na jego szyi, złękła się, że może cierpieć straszny ból.

Ból?

- Simon? - spytała na próbę. Zmartwienie tylko w niewielkim stopniu stłumiło jej pragnienia. - Dobrze się czujesz?

Skinał głową, a jego zęby zazgrzytały. Opadł na nią, poruszając biodrami w rytmie pradawnym jak świat i szepcząc jej do ucha:

- Zabiorę cię tam.

To nie będzie takie trudne, myślała. Zaczęła nerwowo połykać powietrze, gdy Simon chwycił ustami czubek jej piersi. To nigdy nie było takie trudne. Zdawał się wiedzieć dokładnie, gdzie i jak ją dotknąć, kiedy się poruszyć, a kiedy dokuczać jej złośliwym pozostawaniem w jednym miejscu. Jego palce ślizgały się pomiędzy ich ciałami, łaskocząc jej rozpaloną skórę, aż jej biodra zaczęły się podnosić i pracować z identyczną siłą jak jego.

Czuła, że zapada się w znajomą otchłań niepamięci. A to było takie przyjemne...

- Proszę - szepnął błagalnie, wsuwając pod nią drugą dłoń, żeby jeszcze mocniej przycisnąć ją do siebie. - Chcę, żebyś... Teraz, Daphne, teraz!

I ona go usłuchała. Cały świat eksplodował wokół niej, oczy zacisnęły się tak mocno, że ujrzała i plamy, i gwiazdy, i napływające nieprzerwanym potokiem jaskrawe błyski światła. Słyszała muzykę - a może był to tylko jej piskliwy jęk, w chwili gdy osiągnęła spełnienie, melodyjnie zagłuszający gwałtowne uderzenia serca.

Simon, z jękiem brzmiącym tak, jakby go wydzierano z samego dna jego duszy, niemal w ostatnim momencie wyszarpnął się z jej ciała, aby finiszować - jak zwykle to robił - na pościeli przy krawędzi łóżka.

Chwilę później przeturlał się na bok i wciągnął ją w swe ramiona. Był to rytuał, w którym się rozmiłowała. Leżąc za jej plecami, przytulał ją mocno do siebie i zatapiał twarz w jej włosach. A potem, gdy przyśpieszony oddech obojga nabierał powoli zgodnego rytmu, zapadali w sen.

Jednakże tej nocy było inaczej. Tej nocy Daphne czuła dziwny niepokój. Wprawdzie jej ciało było błogo znużone i nasycone, ale coś psuło nastroj. Coś drażyło zakamarki jej umysłu, pobudzając jej podświadomość.

Simon odwrócił się na bok i przywarł do niej swoim ciałem, spychając ją na czystą stronę łóżka. Zawsze to czynił, wykorzystując swoje ciało jako barierę odgradzającą ją od naznaczonej przez niego pościeli. Właściwie było to posunięcie rozsądne oraz...

Daphne raptownie otworzyła oczy. Omal nie zaparło jej tchu.

Łono nie ożywi się bez silnego, zdrowego nasienia.

Nie zastanawiała się nad słowami pani Colson, kiedy ochmistrzyni przytoczyła je po południu. Była za bardzo pochłonięta opowieścią o bolesnym dzieciństwie Simona, zbyt zatroskana, czy zdoła wnieść w jego życie tyle miłości, aby mogła ona odpędzić złe wspomnienia raz na zawsze.

Gwałtownie usiadła, kołdra opadła jej do pasa. Drżącymi palcami zapaliła świecę, która stała obok na sekretarzyku.

Simon otworzył jedno zaspane oko.

- Co się dzieje?

Nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w płamę po drugiej stronie łóżka.

W jego nasienie.

- Daff?

Powiedział, że nie może mieć dzieci. *Okłamał ją.*

- Daphne, co się stało? - Usiadł prosto. Na jego twarzy malował się niepokój.

Czy to też było kłamstwo?

Pokazała ręką.

- Co to jest? - spytała takim cichym głosem, że ledwo było ją słychać.

- Co jest co? - Jego oczy powędrowały w ślad za jej palcem i zobaczyły jedynie łóżko. - O czym ty mówisz?

- Simonie, dlaczego nie możesz mieć dzieci?

Zacisnął powieki. Nic nie odpowiedział.

- *Dlaczego, Simonie?* - Praktycznie wykrzyczała te słowa.

- Daphne, szczegóły nie są ważne.

Ton jego głosu był delikatny, uspokajający, odrobinę protekcyjny. Daphne poczuła, że coś w niej pęka.

- Wyjdź - powiedziała.

Z wrażenia aż opadła mu szczęka.

- To moja sypialnia.

- No, to ja wyjdę. - Wskoczyła z łóżka, ciągnąc za sobą prześcieradło.

W czasie jednego uderzenia serca zerwał się na nogi.

- Nie *waż się* opuścić tego pokoju! - syknął.

- Okłamałeś mnie.

- Wcale nie...

- Okłamałeś mnie! - wrzasnęła. - Okłamałeś mnie i nigdy ci tego nie daruję!

- Daphne...

- Wykorzystałeś moją głupotę. - Wydała z siebie jęk niedowierzania, taki, co pochodzi z głębi ludzkiego gardła tuż przed doznaniem uczucia dławienia z powodu silnych emo-

ej i. - Musiałeś się ucieszyć, kiedy się zorientowałeś, jak mało wiem o stosunkach małżeńskich.

- To się nazywa uprawianie seksu, Daphne.

- Nie, nie pomiędzy nami.

Simon omal się nie zachwiał, porażony rozgoryczeniem w jej głosie. Stał całkowicie goły na środku sypialni, rozpaczliwie próbując znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Wciąż nie miał pewności, co wiedziała albo co *jej. się здаwało*, że wiedziała.

- Daphne, może powinnaś mi dokładnie wyjaśnić, o co ci chodzi? - rzekł bardzo powoli, aby nie zająknąć się z emocji.

- Ach, więc będziemy prowadzić *taką* grę? - Zaśmiała się szyderczo. - Doskonale, pozwól, że opowiem ci pewną bajkę. Pewnego razu żyła sobie...

Rosnąca irytacja w jej głosie przebiła jego serce ostrzem sztyletu.

- Daphne - powiedział, zamykając oczy i potrząsając głową - nie podchodź do tego w taki sposób.

- Pewnego razu - powtórzyła, tym razem dużo głośniej - żyła sobie młoda dama. Nazwiemy ją Daphne.

Simon podszedł szybko do swojej garderoby i narzucił na siebie szlafrok. Są sprawy, których mężczyzna nie może załatwiać na golasa.

- Daphne była bardzo, bardzo głupia.

- Daphne!

- A, no dobrze. - Zamachała ugodowo ręką. - Powiedzmy, nieświadomiona. Była bardzo, ale to bardzo nieświadomiona.

Simon skrzyżował ręce.

- Nie miała pojęcia, co się dzieje między mężczyzną a kobietą. Nie wiedziała nic poza tym, że znajdują się w łóżku i że kiedyś efektem tego będzie dziecko.

- To nie wystarczy, Daphne.

Jedynym dowodem na to, że go usłyszała, były błyski furii w jej oczach.

- Ale, widzisz, ona w ogóle *nie wiedziała*, w jaki sposób zachodzi się w ciążę, więc kiedy jej mąż oznajmił, że nie może mieć dzieci...

- Poinformowałem cię o tym przed ślubem. Umożliwiłem ci rezygnację. Nie zapominaj o tym - powiedział gorączkowo. - Nie *waż się* o tym zapomnieć.

- Sprawiliś, że było mi cię żal!

- Ach, doprawdy, oto słowa, które pragnie usłyszeć mężczyzna - zadrwił.

- Na miłość boską, Simonie - rzuciła - przecież wiesz, że nie wyszłam za ciebie z litości.

- Więc dlaczego?

- Bo cię kochałam - odparła, lecz zgryźliwość jej tonu podważyła nieco ten argument. - I ponieważ nie chciałam patrzeć na twoją śmierć, której szukałeś jak dureń.

Nie miał na to gotowej odpowiedzi, więc zakasłał tylko i przeszył Daphne spojrzeniem.

- Ale nie próbuj tej sztuczki ze *mną* - ciągnęła z pasją. - Nie ja byłam stroną, która skłamała. Powiedziałeś, że nie możesz mieć dzieci, ale prawda wygląda tak, że ty po prostu *nie chcesz* ich mieć.

Milczał, wiedział jednak, że odpowiedź można znaleźć w jego oczach.

Postąpiła krok ku niemu, nacierając z ledwo kontrolowaną furją.

- Gdybyś naprawdę nie mógł mieć dzieci, byłoby obojętne, gdzie wyląduje twoje nasienie, prawda? Nie uważałbyś z takim zapamiętaniem każdej nocy, żeby trafiło wszędzie, tylko nie we mnie.

- Nic o t-tym nie wiesz, Daphne. - Jego głos był cichy, gniewny i tylko trochę zniekształcony.

Splotła ręce na piersiach.

- No, to mi powiedz.

- Nigdy nie będę miał dzieci - syknął. - *Nigdy*. Rozumiesz?

- Nie.

Poczuł ogarniającą go falę wściekłości, skręcającą mu żołądek, napierającą na skórę, aż przestraszył się, że eksploduje. Nie był wściekły na Daphne ani nawet na samego siebie. Był wściekły, jak zwykle, na tego człowieka, którego istnienie... a może nieistnienie... nieustannie decydowało o jego życiu.

- Mój ojciec - powiedział, starając się desperacko zapamiętać nad sobą - nie był człowiekiem kochającym.

Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Wiem o twoim ojcu - odparła.

- Skąd wiesz? - rzucił zaskoczony.

- Wiem, że zadał ci ból. Że się ciebie wyrzekł. - Coś zamigotało w jej ciemnych oczach - niezupełnie litość, ale coś zbliżonego do niej. - Wiem, że uważał cię za głupca.

Serce zatrzasnęło mu się w piersiach. Nie wiedział, jak zdoła mówić - jak zdoła oddychać - ale udało mu się jakoś wykrztusić:

- A zatem wiesz, że...

- Że się jąkaasz? - dokończyła za niego.

Podziękował jej swoim milczeniem. Jak na ironię, słów „jąkać” i „zacinać” nigdy nie potrafił wymówić płynnie.

Wzruszyła ramionami.

- On był idiotą.

Wytrzeszczył na nią oczy. Nie mógł pojąć, jak można dziesiątki lat jego wściekłości skwitować jednym beztróskim stwierdzeniem.

- Nic nie rozumiesz. - Potrząsnął głową. - Nie możesz tego zrozumieć. Mając taką rodzinę jak twoja. Jedyne, co się dla niego liczyło, to była krew. Krew i tytuł. A kiedy okazało się, że nie jestem doskonały... Daphne, on powiedział wszystkim, że ja umarłem!

Krew odpłynęła z jej twarzy.

- Nie wiedziałam, że aż do tego doszło - szepnęła.

- Było jeszcze gorzej - odciął się. - Wysyłałem do niego listy. Setki błagalnych listów, żeby do mnie przyjechał. Nie odpowiedział na ani jeden.

- Simonie...

- W-wiedziałaś, że dopiero w czwartym roku życia nauczyłem się mówić? Nie? Otóż, dopiero wtedy. A kiedy ojciec przyjeżdżał, szarpał mną i groził, że biciem wydusi ze mnie głos. *Taki* był mój o-ojciec.

Daphne starała się nie zwracać uwagi na to, że Simon zaczyna się jąkać. Starała się ignorować uczucie niesmaku i bó-

lu wywołane wyznaniem męża o ohydny traktowaniu go przez ojca.

- Ale jego już nie ma - odparła roztrzęsionym głosem. - Jego nie ma, natomiast ty jesteś tutaj.

- Twierdził, że nawet nie m-może na mnie patrzeć. Tyle lat modlił się o następcę. Nie o *syna* - ciągnął, podnosząc niebezpiecznie głos - tylko o następcę. I po co? Hastings przejdzie w ręce półgłówka. Jego bezcenne księstwo będzie rz-rządzone przez idiotę!

- Ale się pomylił.

- Nie obchodzi mnie to, czy się pomylił! - ryknął Simon. - Jemu zależało jedynie na tytule. Nigdy nie poświęcił mi nawet jednej myśli. Nie zastanowił się, co muszę odczuwać, skazany na p-posiadanie ust, które nie chcą f-funkcjonować!

Cofnęła się o krok, czując się niepewnie w obliczu takiej furii. Był to gwałtowny wybuch dziesiątki lat tłumionej urazy.

Nagle podszedł do niej i bardzo mocno przycisnął twarz do jej policzka.

- Ale wiesz co? - zapytał strasznym głosem. - Ja będę się śmiał ostatni. Myślał, że nie ma już nic gorszego niż przejście Hastings w ręce półgłówka...

- Simonie, nie jesteś...

- Czy ty mnie słuchasz?! - ryknął.

Daphne wpadła w przerażenie. Przechyliła się w stronę drzwi, wyciągając rękę do klamki, na wypadek gdyby musiała uciekać.

- Dobrze wiem, że nie jestem idiotą! - wydarł się. - I myślę, że on w końcu też to z-zrozumiał. Idę o zakład, że p-poczuł ogromną ulgę. Hastings było uratowane. N-nieważne, że już nie cierpiałem tak jak kiedyś. Hastings - tylko *to* się liczyło.

Daphne zrobiło się niedobrze. Wiedziała, co teraz nastąpi.

Nagle Simon uśmiechnął się. Był to okrutny, złośliwy uśmiech, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziała.

- Ale Hastings umrze razem ze mną - oświadczył. - Ci wszyscy kuzyni, sukcesją których tak się zamartwiał... - Wzruszył ramionami i zaniósł się urywanym śmiechem. - Oni wszyscy mają same córki. Czyż to nie piękne?

Znowu wzruszył ramionami.

- Może d-dlatego ojciec nagle doszedł do wniosku, że nie jestem aż takim idiotą. Wiedział, że jestem jego ostatnią nadzieją.

- Wiedział, że popełnił błąd - odezwała się z cichą determinacją. Raptem przypomniała sobie listy, które dostała od księcia Middlethorpe'a. Te, które napisał do Simona jego ojciec. Zostawiła je w Bridgerton House, w Londynie. To się nawet dobrze składało, bo dzięki temu nie musiała na razie decydować, co z nimi zrobić.

- To bez znaczenia - odparł nonszalancko. - Po mojej śmierci tytuł wygaśnie. Już większe szczęście nie mogłoby mnie spotkać.

Z tymi słowy opuścił pokój przez swoją garderobę, ponieważ Daphne zatarasowała mu drzwi.

Opadła na krzesło, wciąż otulona w miękkie, płócienne prześcieradło, które zerwała z łóżka. Co ona teraz miała zrobić?

Czuła, że drży na całym ciele, wstrząsały ją dziwne dreszcze, nad którymi nie umiała zapanować. A potem uświadomiła sobie, że płacze. Nie wydając dźwięku, nie wstrzymując oddechu, płacze.

Dobry Boże, *co* ona teraz miała zrobić?

17

Powiedzenie, że mężczyzna potrafi być uparty jak osioł, byłoby zniewagą dla osła.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 2 czerwca 1813

Wreszcie Daphne zrobiła jedyną rzecz, którą potrafiła. Bridgertonowie zawsze stanowili niesforną i hałaśliwą rodzinę, żadne z nich nie było skore do zachowywania tajemnicy ani długiego noszenia urazy w sercu.

Tak więc postanowiła rozmówić się z Simonem. Odwołać się do jego rozsądku.

Nazajutrz rano (nie miała pojęcia, gdzie spędził noc, w każdym razie nie w ich łóżku) znalazła go w jego gabinecie. Był to ciemny, zdecydowanie męski pokój, prawdopodobnie urządzone jeszcze przez starego księcia. Daphne była szczerze zaskoczona tym, że Simonowi odpowiadało takie otoczenie, bo przecież nienawidził pamiątek po ojcu.

Ale Simonowi najwyraźniej one nie przeszkadzały. Siedział za biurkiem z nogami arogancko wspartymi na oprawionym w skórę bibularzu, który osłaniał ciemnowiśniowe drewno blatu. W dłoni trzymał gładko wypolerowany kamień, który nieprzerwanie przekładał z ręki do ręki. Na biurku obok niego stała butelka whisky; Daphne miała wrażenie, że butelka tkwiła tam przez całą noc.

Jej mąż jednakże nie opróżnił jej zupełnie. Daphne z wdzięcznością przyjęła ten drobny dowód galanterii.

Drzwi były uchylone, toteż nie zapukała. Ale nie była na tyle odważna, żeby bezceremonialnie wparadować do środka.

- Simon? - zapytała, stojąc plecami do drzwi.

Podniósł na nią wzrok, marszcząc czoło.

- Jesteś zajęty?

Odłożył kamień.

- Skądże.

Pokazała ręką.

- To z twoich podróży?

- Z Karaibów. Pamiątka czasu spędzonego nad brzegiem morza.

Daphne zwróciła uwagę, że Simon mówił z idealną dykcją. Nie było najmniejszego śladu jąkania, które uwidoczniło się zeszłej nocy. Teraz był spokojny. Prawie denerwująco spokojny.

- Czy tamtejszy brzeg różni się czymś od tutejszego?

Nastroszył brwi.

- Jest cieplejszy.

- Aha. No "wiesz, tyle to i sama bym się domyśliła.

Spoglądał na nią przenikliwym, nieruchomym wzrokiem.

- Daphne, przecież wiem, że nie po to mnie szukałaś, żeby rozprawiać o tropikach.

Miał oczywiście rację, ale rozmowa nie zapowiadała się na łatwą i zamiaru odwołania jej o kilka chwil Daphne nie uważała za oznakę wielkiego tchórzostwa.

Wzięła głęboki oddech.

- Musimy porozmawiać o wypadkach dzisiejszej nocy.

- Domyślam się, że tak ci się zdaje.

Stłumiła pokusę, aby pochylić się do przodu i za pomocą prztyczka w nos przegonić z jego oblicza ten wyraz obojętności.

- Mnie się nic nie *zdaje*. Ja *wiem*.

Milczał przez chwilę, a następnie powiedział:

- Przykro mi, jeśli czujesz, że cię okłamałem...

- Nie na tym rzecz polega.

- ...musisz jednak pamiętać, że starałem się unikać małżeństwa z tobą.

- Pięknie to ująłeś, nie ma co - mruknęła.

Mówił takim tonem, jakby prowadził wykład.

- Wiesz, że moim zamiarem było nigdy się nie ożenić.

- Nie o to chodzi, Simonie.

- Właśnie o to. - Spuścił nogi na podłogę i w tym momencie krzesło, które bujało się na dwóch tylnych nogach, z głośnym hukiem runęło na podłogę. - Jak myślisz, dlaczego z taką determinacją unikałem małżeństwa? Dlatego, że nie chciałem brać żony, żeby jej później zadawać ból, skazując ją na życie bez dzieci.

- Ty nigdy nie myślałeś o swojej potencjalnej żonie - odparowała. - Myślałeś tylko o sobie.

- Być może - przyznał - ale kiedy tą potencjalną żoną stałaś się *ty*, Daphne, wszystko się zmieniło.

- Nieprawda - powiedziała z goryczą.

Wzruszył ramionami.

- Wiesz, że żywię do ciebie najwyższy szacunek. Nigdy nie chciałem zadać ci bólu.

- Teraz to robisz - szepnęła.

W oczach zamigotała mu isierka wyrzutów sumienia, ale szybko zastąpił ją wyraz żelaznej determinacji.

- O ile pamiętasz, nie chciałem ci się oświadczyć nawet wtedy, kiedy żądał tego twój brat. Mimo że - dodał z naciśkiem - oznaczało to moją śmierć.

Daphne nie zaprzeczyła jego słowom. Oboje wiedzieli, że byłby zginął w tym pojedynku. Bez względu na to, co sądziła o nim teraz i jak bardzo gardziła nienawiścią, która go zżerała, Simon był zbyt szlachetny, aby strzelić do Anthony'ego.

Anthony natomiast zanadto cenił sobie honor siostry, by celować w jakiegokolwiek inne miejsce niż serce Simona.

- Postąpiłem w ten sposób - ciągnął - bo wiedziałem, że nigdy nie uda mi się być dla ciebie dobrym mężem. Wiedziałem, że chcesz mieć dzieci. Powtarzałaś mi to przy wielu okazjach i oczywiście nie mam o to do ciebie pretensji. Ty pochodzisz z dużej i kochającej się rodziny.

- Ty też mógłbyś mieć taką rodzinę.

- Kiedy przerwałaś pojedynek i poprosiłaś mnie, żebym się z tobą ożenił - ciągnął, jakby jej nie słyszał - wtedy cię uprzedziłem. Powiedziałem ci, że nie będę miał dzieci...

- Powiedziałeś, że *nie możesz* mieć dzieci - przerwała mu, piorunując go wzrokiem. - To wielka różnica.

- Nie dla mnie - odparł zimno. - Ja *nie mogę* mieć dzieci. Nie pozwoli mi na to moja dusza.

- Rozumiem. - W tym momencie poczuła, że chwyta ją jakiś kurcz, i przestraszyła się nie na żarty, że to może być serce. Nie wiedziała, czym odeprzeć taki argument. Nienawiść Simona do ojca była najwyraźniej silniejsza niż miłość, jaką mógłby nauczyć się odczuwać do niej. - Doskonale - rzekła łamiącym się głosem. - Widzę, że nie jest to temat, na który jesteś skłonny dyskutować.

Posłał jej jedno lakoniczne skinienie głowy. |

Odwzajemniła mu się tym samym.

- A zatem, do widzenia - powiedziała i wyszła.

Większość dnia Simon spędził w samotności. Zwłaszcza nie chciał widzieć Daphne; miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie, żeby miał się o co obwiniać, przekonywał sam siebie. Poinformował ją przed ślubem, że nie może mieć

dzieci. Dał jej sposobność do wycofania się, a ona i tak postanowiła wyjść za niego. Nie zmuszał jej do niczego. To nie *jego* wina, iż błędnie zinterpretowała jego słowa, sądząc, że jest *fizycznie* niezdolny do płodzenia bachorów.

Choć trapiły go wyrzuty sumienia, ilekroć o niej pomyślał (to znaczy właściwie przez cały dzień), i choć wnętrzości się w nim przewracały za każdym razem, gdy oczami wyobraźni widział jej udręczoną twarz (to znaczy, że prawie przez cały dzień miał rozstrój żołądka), czuł, że z jego pleców zniknął jakiś wielki ciężar i teraz wszystko było wydobyte na jaw.

Tajemnice potrafią być śmiertelne, a obecnie między nimi nie było żadnych tajemnic. To z pewnością była korzyść.

Nim noc zapadła, omal nie przekonał samego siebie, że nie zrobił nic złego. Omal, ale niezupełnie. Zawarł to małżeństwo, nękanym przecuciem, że złamie serce Daphne, a to nigdy nie dawało mu spokoju. Lubił Daphne. Do diabła, z pewnością lubił ją najbardziej ze wszystkich ludzi, których kiedykolwiek poznał - i właśnie dlatego nie kwapił się do małżeństwa z nią. Nie chciał zniszczyć jej marzeń. Nie chciał odbierać jej rodziny, której tak desperacko pragnęła. Był skłonny usunąć się na bok i przyglądać się, jak wychodzi za kogoś innego, kto dałby jej całą furę dzieciaków.

Nagle wzdrygnął się. Wizja Daphne w ramionach innego mężczyzny nie była ani trochę łatwiejsza do zniesienia niż miesiąc temu.

To oczywiście, myślał, starając się uruchomić racjonalną stronę swojego umysłu. Teraz była jego żoną. Należała do *niego*.

Teraz wszystko było inaczej.

Wiedział, jak bardzo pragnęła dzieci, i ożenił się z nią, mając pełną świadomość, że ich jej nie da.

Ale, powiedział do siebie, uprzedziłem ją. Doskonale wiedziała, w co się pakuje.

Simon, który od kolacji siedział w swoim gabinecie, przeczucując w rękach ten głupi kamień, nagle wyprostował się. On jej nie okłamał. To nieprawda. Oznajmił jej, że nie będą mieli dzieci, a ona i tak zgodziła się wyjść za niego. Rozumiał, co mogło ją zdenerwować, kiedy poznała jego mo-

tywy, ale nie miała prawa twierdzić, że zawarła to małżeństwo z jakimiś głupimi nadziejami i oczekiwaniami.

Wstał. Nadszedł czas, aby znów porozmawiali, tym razem na jego żądanie. Daphne nie przyszła na obiad, skazując go na jedzenie w samotności. Wieczorną ciszę przerywał tylko metaliczny szczęk jego widelca o talerz. Nie widział żony od rana, najwyższa pora, aby ją zobaczył.

Ona była jego *żoną*, przypomniał samemu sobie. Powinien móc ją widzieć, do cholery, ilekroć przyjdzie mu ochota.

Pomaszerował na drugi koniec korytarza i otworzył na oścież drzwi do książęcej sypialni. Miał zamiar pouczyć ją o *czymś* (był pewien, że w razie potrzeby temat przyjdzie mu do głowy), ale Daphne nie było.

Nie wierzył własnym oczom. Gdzie ona się, u diabła, podziała? Dochodziła północ. Powinna leżeć w łóżku.

Garderoba. Na pewno jest w garderobie. Głupia dzierlatka upierała się co noc przy wdziewaniu swojej koszuli, choć ścigał ją z niej już kilka minut później.

- Daphne? - burknął, podchodząc do drzwi garderoby. - Daphne?

Żadnej odpowiedzi. I żadnego blasku w szczelinie między drzwiami a podłogą. Na pewno nie przebierałyby się w ciemnościach.

Szarpnięciem otworzył drzwi na oścież. Zdecydowanie nie było jej w środku.

Targnął za taśmę od dzwonka. Z całej siły. Po czym wypadł na korytarz, gdzie miał zamiar zaczekać na kogoś ze służby, kto będzie miał nieszczęście odpowiedzieć na jego wezwanie.

Była to jedna z pracujących na górze pokojówek, drobna blondynka, której imię wyleciało mu z pamięci. Rzuciła okiem na jego twarz i poblądła.

- Gdzie moja żona? - warknął.

- Pańska żona, wasza wysokość?

- Tak - rzucił niecierpliwie - moja żona.

Patrzyła na niego tępym wzrokiem.

- Zakładam, że wiecie, o kim mówię. Mniej więcej waszego wzrostu, długie, ciemne włosy... - Mógłby mówić dalej,

ale przerażona twarz pokojówki sprawiła, że zawstydził się swojej ironii. Odetchnął głęboko i przeciągle. - Wiecie, gdzie ona jest? - spytał nieco łagodniejszym tonem, choć trudno byłoby określić go jako uprzejmy.

- Nie ma jej w łóżku, wasza wysokość?

Wskazał głową w stronę pustej sypialni.

- No pewnie, że nie.

- Ale księżna nie tam sypia, wasza wysokość.

Jego brwi ściągnęły się.

- Co proszę?

- Czyż ona nie... - Oczy pokojówki rozszerzyły się ze zgrozy, a potem jak szalone zaczęły krążyć po holu. Simon nie miał wątpliwości, że szukała drogi ucieczki. Albo kogoś, kto mógłby ocalić ją przed jego krewkim temperamentem.

- Wykrztuście to z siebie - zażądał.

Głos służącej był bardzo cieniutki.

- Czyż pańska żona nie zajęła sypialni księżnej?

- Księżnej? - powtórzył, tłumiąc nową eksplozję wściekłości. - Od kiedy?

- Od dzisiaj, jak sędzę, wasza wysokość. Wszyscyśmy sądzili, że pod koniec miodowego miesiąca zajmą państwo oddzielne sypialnie.

- Tak sądziliście, co? - warknął.

Pokojówka zaczęła drzeć.

- Pańscy rodzice tak postąpili, wasza wysokość, oraz...

- *My nie jesteśmy naszymi rodzicami* - ryknął.

Pokojówka aż odskoczyła do tyłu.

- A ja nie jestem moim ojcem - dodał grobowym głosem.

- O... oczywiście, wasza wysokość.

- Możecie mi powiedzieć, który pokój zechciała moja żona wyznaczyć na sypialnię księżnej?

Służąca wyciągnęła drżący palec w stronę drzwi na końcu korytarza.

- Dziękuję. - Oddalił się na cztery kroki, po czym odwrócił głowę do tyłu. - Możecie odejść. - Służba będzie miała nazajutrz o czym plotkować, zważywszy, że Daphne uciekła z ich wspólnej sypialni. Po co dawać im więcej te-

matów do plotek, robiąc z tej pokojówki świadka zapewne karczemnej awantury?

Zaczekał, aż czmychnie schodami na dół, a potem ruszył z gniewem na drugi koniec korytarza do nowej sypialni Daphne. Stał przed drzwiami, zastanawiając się, co powiedzieć; kiedy zrozumiał, że nie ma pojęcia, śmiało zapukał do drzwi.

Żadnej reakcji.

Załomotał.

Odpowiedziała mu cisza.

Podniósł pięść, żeby ponownie załomotać, gdy nagle przyszło mu do głowy, że może wcale nie zamknęła drzwi. Czyż nie poczułby się jak dureń, gdyby...

Przekręcił gałkę.

Zamknęła. Szybko i płynnie zaklął pod nosem. Ciekawe, że nigdy w życiu nie jąkał się, kiedy przeklinał.

- Daphne! Daphne! - Jego głos znajdował się w pół drogi między wołaniem a wyciem. - Daphne!

W końcu po drugiej stronie dały się słyszeć kroki.

- Tak? - rozległ się jej głos.

- Wpuść mnie.

Jedno uderzenie ciszy, a potem:

- Nie.

Simon ze zgrozą w oczach patrzył na masywne, drewniane drzwi. Nie przyszło mu do głowy, że Daphne może sprzeciwić się jego stanowczemu poleceniu. Była jego żoną, do cholery. Czyż nie przysięgała mu posłuszeństwa?

- Daphne - rzucił ze złością - masz natychmiast otworzyć te drzwi.

Musiała stać tuż za nimi, ponieważ usłyszała, że westchnęła, zanim mu odpowiedziała.

- Simonie, jedynym powodem wpuszczenia cię do tego pokoju mogłaby być moja chęć wpuszczenia cię do mojego łóżka, a ponieważ jej nie mam, więc byłabym wdzięczna... w istocie cały dom byłby wdzięczny... gdybyś zechciał odejść stąd i położyć się spać.

Usta Simona otworzyły się ze zdumienia. Począł w myślach wyłamywać drzwi i rachować, ile kopniaków na sekun-

dę będzie potrzebnych, żeby to cholerstwo ruszyć z miejsca.

- Daphne - odezwał się tak spokojnym głosem, że aż sam się przestraszył - jak w tej chwili nie otworzysz drzwi, to je wyłamie.

- Nie zrobisz tego.

Nic nie odpowiedział. Stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a jego oczy miotały pioruny. Mógłby dać głowę, że *dobrze* wiedziała, jaki miał teraz wyraz twarzy.

- Prawda, że nie zrobisz?

Ponownie zdecydował, że najwymowniejszą odpowiedzią będzie milczenie.

- *Wolałabym*, żebyś tego nie zrobił - rzekła z lekka proszącym tonem.

Zerknął z niedowierzaniem na drzwi.

- Mógłbyś się pokaleczyć - dodała.

- No, to otwórz je do cholery - wycodził przez zaciśnięte usta.

Cisza, a po niej zgrzyt klucza, obracającego się powoli w zamku. Simon miał tyle przytomności umysłu, że nie rzucił się na drzwi z całym impetem, Daphne raczej na pewno znajdowała się tuż za nimi. Przepchnął się do wnętrza i zobaczył ją na środku pokoju. Stała z rękami na piersiach w szerokim, wojskowym rozkroku.

- Nigdy więcej nie zamykaj się przede mną - wykrztusił.

Wzruszyła ramionami. Nie do wiary, wzruszyła ramionami!

- Zapragnęłam odrobiny prywatności.

Postąpił parę kroków.

- Do rana twoje rzeczy mają się znaleźć z powrotem w naszej sypialni. *Ty zaś* wrócisz jeszcze dzisiaj.

- Nie.

- Co masz, do cholery, na myśli, mówiąc - nie?

- Co mam, do cholery, na myśli, twoim zdaniem? - odcięła się.

Simon nie był pewien, co zaszokowało go i rozżłościło bardziej - że mu się sprzeciwiła czy że klęła na cały głos.

- Nie - ciągnęła donośniej - to znaczy - nie.

- Jesteś moją żoną! - ryknął. - Będziesz spała ze mną.
W *moim* łóżku.

- Nie.

- Daphne. Ostrzegam cię...

Jej oczy zwęziły się do szparek.

- Postanowiłeś mi czegoś odmówić. Więc i ja postanowiłam ci czegoś odmówić. Siebie.

Simona zamurowało. Kompletnie zamurowało.

A Daphne nie zamurowało. Pomaszerowała do drzwi i w dość obcesowy sposób pokazała mu wyjście.

- Do widzenia.

Simon zaczął się trząść z wściekłości.

- Ten pokój należy do mnie - warknął. - *Ty* należysz do mnie.

- Nic do ciebie nie należy prócz tytułu twojego ojca - odgryzła się. - Nawet ty sam do siebie nie należysz.

Niski ryk wypełnił jego uszy - ryk rozpalonej do czerwoności furii. Simon cofnął się o krok ze strachu, że w przeciwnym razie może coś zrobić Daphne.

- Co, *do cholery*, masz na m-myśli? - zapytał.

Jeszcze raz "wzruszyła ramionami, pal ją diabli.

- Sam to wydedukuj.

Wszelkie dobre intencje Simona pierzchły z tego pokoju, on zaś rzucił się przed siebie, chwytając żonę za ręce. Wiedział, że jego uścisk jest za mocny, ale był bezsilny wobec potężniejącej wściekłości, która wypełniała jego żyły.

- Wytłumacz się - wycodził przez zęby, bo nie mógł rozzerzeć szczęk. - I to zaraz.

Spojrzała mu w oczy takim chłodnym i zuchwałym wzrokiem, że prawie przepadł.

- Nie należysz do siebie - powiedziała zwyczajnie. - Twój ojciec nadal włada tobą z za grobu.

Simon aż się zatrząsł z oburzenia.

- Twoje uczynki, twoje wybory... - ciągnęła ze smutkiem w oczach - nie mają nic wspólnego z tobą, z twoją -wołą, z twoimi potrzebami. Cokolwiek robisz, Simonie, każdy wykonany przez ciebie ruch, każde wypowiedziane przez

ciebie słowo - to wszystko jest tylko na złość ojcu. - Na koniec dodała łamiącym się głosem: - A jego nawet nie ma pośród żywych.

Simon sunął do przodu z osobliwym wdziękiem drapieżnika.

- Nie każdy ruch - powiedział cicho. - Nie każde słowo.

Daphne cofnęła się, przestraszona zdziętym wyrazem jego oczu.

- Simonie? - spytała niepewnie, czując nagły odpływ odwagi i dumy, które pozwoliły jej stawić czoło mężowi, mężczyźnie dwa razy od niej większemu i pewnie ze trzy razy silniejszemu.

Koniuszek jego wskazującego palca zjechał w dół po jej ramieniu. Miała na sobie jedwabną koszulę, ale parzyło ją bijące od niego ciepło. Podszedł bliżej, jego prawa dłoń niepostrzeżenie zatoczyła za nią łuk, ujęła jej pośladek i ścisnęła.

- Kiedy dotykam cię w ten sposób - szepnął, a jego głos rozległ się niebezpiecznie blisko jej ucha - nie ma to nic wspólnego z moim ojcem.

Daphne zadrżała, czując nienawiść do siebie, że go pożąda. I do Simona, że wzbudził w niej pożądanie do siebie.

- Kiedy moje wargi dotykają twojego ucha - mruknął, chwytając w zęby małżowinę - nie ma to nic wspólnego z moim ojcem.

Spróbowała go odepchnąć, ale kiedy jej dłonie odnalazły jego ramiona, zdołały jedynie zacisnąć się kurczowo.

Zaczął ją popychać, powoli, nieustępliwie, w stronę łóżka.

- A kiedy zabieram cię do łóżka - dodał, każdym słowem odciskając ciepłe ślady na jej szyi - i leżymy ciało przy ciele, to jesteśmy tylko we dwoje...

- Nie! - wykrzyknęła, z całej siły odpychając go od siebie. Wzięty przez zaskoczenie, aż się zatoczył. - Kiedy zabierasz mnie do łóżka - wykrztusiła - nigdy nie jesteśmy tylko we dwoje. Tam jest *zawsze* twój ojciec.

Jego palce, które tymczasem zakradły się pod szeroki rękaw jej koszuli, wpijały się teraz w jej ciało. Nie odezwał^{si?} ale nie musiał nic mówić. Mrozące krew w żyłach spoj-

rzenie jego jasnoniebieskich oczu mówiło wszystko.

- Czy możesz spojrzeć mi prosto w twarz - szeptała - i powiedzieć, że kiedy wycofujesz się z mojego ciała, by twoje nasienie spłynęło na łóżko, to wtedy myślisz o *mnie*?

Twarcz mu się wydłużyła i zeszywniała, a oczy skoncentrowały się na jej ustach.

Pokręciła głową i uwolniła się spod jego władzy, która i tak była już bardzo słaba.

- Wiedziałam, że nie - powiedziała ciekawym głosem.

Odsunęła się od niego, ale przy okazji także od łóżka. Nie miała wątpliwości, że mógłby ją uwieść, gdyby tak zdecydował. Mógłby ją całować i pieścić, i doprowadzić do granic ekstazy, a nazajutrz rano czułaby do niego nienawiść.

I jeszcze większą do samej siebie.

W pokoju panowała cisza grobowa, kiedy tak stali jedno przed drugim. Simon trzymał ręce opuszczone wzdłuż boków, wyraz jego twarzy stanowił rozdzierającą serce kombinację szoku, bóleści i furii. Ale przede wszystkim malowało się na niej zażenowanie. Daphne czuła, że jej serce pęka, ilekroć jej oczy napotykały jego spojrzenie.

- Uważam - powiedziała cicho - że powinieneś już iść.

Patrzył na nią posępnym wzrokiem.

- Jesteś moją żoną.

Nie odezwała się.

- Zgodnie z prawem należysz do mnie.

Daphne tylko zerknęła na niego i rzuciła:

- To prawda.

Zamknął przestrzeń między nimi w czasie jednego uderzenia serca, jego dłonie odnalazły jej ramiona.

- Mogę sprawić, że będziesz mnie pragnęła - szepnął.

- Wiem.

- A gdybym nawet nie mógł, jesteś moja. Należysz do mnie. Mógłbym cię zmusić, żebyś pozwoliła mi tu zostać - szepnął jeszcze ciszej, szorstkim i agresywnym tonem.

- Nigdy byś tak nie postąpił - odparła, czując się o jakieś sto lat starsza.

Dobrze wiedział, że Daphne miała rację, więc nie pozo-

stało mu nic innego, jak tylko oderwać się od niej gwałtownym ruchem i wypaść jak burza z pokoju.

18

Czy tylko pisząca te słowa ma dobre oko, czy faktycznie (dżentel) meni z socjety w dzisiejszych czasach zalewają robaka bardziej niż zazwyczaj?

Kronika towarzyska lady Whistledown, 4 czerwca 1813

Simon wyszedł z domu i pojechał się upić. Nieczęsto to robił. Nawet nie bardzo lubił to robić, ale faktem jest, że tym razem zrobił.

Niedaleko morza, zaledwie parę mil od Clyvedon, było mnóstwo knajp. I zatrzęsienie żeglarzy, którzy lubili szukać zwady. Dwóch takich weszło w drogę Simonowi.

Rozniósł ich obu.

Zawładnęła nim złość, furia, która wrzała w głębi jego duszy od lat. Wreszcie znalazła drogę ujścia i starczyła drobna prowokacja, aby Simon posunął się do rękoczynów.

Był już na tyle pijany, że kiedy zadawał cios, widział przed sobą nie marynarzy z ich ogorzałą skórą, tylko swojego ojca. Za każdym razem jego zaciśnięta pięść trafiała prosto w ten nieustannie pogardliwy grymas odrzucenia. A to sprawiało przyjemność. Nigdy nie uważał się za człowieka szczególnie skłonnego do bijatyk, ale psiakrew, to sprawiało przyjemność.

Kiedy skończył z tymi żeglarzami, nikt więcej nie śmiał już zbliżyć się do niego. Miejscowa ludność rozpoznała się, a co ważniejsze, rozpoznała wściekłość. Wszyscy wiedzieli zaś, że to drugie było jeszcze bardziej mordercze.

Hastings siedział w barze, dopóki pierwsze światła poranka nie zarysowały nieba. Pociągał miarowo z butelczyny, za którą zapłacił z góry, a potem, kiedy nadeszła pora

•wyjścia, wstał niepewnie na nogi, wetknął butelkę do kieszeni i ruszył w drogę powrotną do domu.

Siedział w siodle i pił, a podła "whisky paliła go w żołądku. Stawał się coraz bardziej pijany i tylko jednej myśli udawało się przebijać przez mgiełkę zamroczenia.

Daphne ma do niego wrócić.

Była jego żoną, niech ją diabli. Przywykł do jej obecności. Nie miała prawa ot tak sobie -wstać i wynieść się z ich sypialni.

Zmusi ją do powrotu. Będzie się do niej wdzięczył i będzie ją namawiał, a potem...

Czknął głośno i nieładnie. No cóż, tyle będzie musiało wystarczyć za wdzięczenie się i namowy. Był zanadto wstawiony, aby wymyślić coś lepszego.

Zanim dotarł do zamku Clyvedon, wprowadził się w cudowny stan alkoholowego samouwielbienia. A zanim stanął kołyszając się przed drzwiami Daphne, narobił tyle hałasu, że mógłby zbudzić umarłego.

- Daphneeeeeeeee! - ryknął, próbując zagłuszyć pewną nutkę desperacji w swoim głosie. Po co ma wpadać w patos?

Zamyślił się, marszcząc czoło. Swoją drogą, gdyby wpadł w patos, to może byłaby bardziej skłonna otworzyć drzwi? Pociągnął nosem kilka razy, po czym znowu zawył:

- Daphneeeeeeeee!

Kiedy minęły dwie sekundy, a ona wciąż nie reagowała, Simon przywarł do masywnych drzwi (głównie dlatego, że jego zmysł równowagi kapał się w morzu whisky).

- Och, Daphne - westchnął, przyciskając czoło do drewna. - Gdybyś...

Raptem drzwi się otworzyły i Simon runął jak kłoda.

- Musia'as o'wierac je tak... 'ak *nagle!* - wymamrotał.

Daphne, która jeszcze wciągała na siebie peniuar, ujrzała na podłodze ludzki ochłap i z ledwością rozpoznała w nim swojego męża.

- Dobry Boże - powiedziała. - Coś ty ze sobą... - Schyliła się, żeby mu pomóc, po czym odskoczyła jak oparzona. Simon otworzył usta i chuchnął na nią. - Jesteś pijany! - zawołała karcącym tonem.

Pokiwał uroczyście głową.

- 'yba tak.

- Gdzieś ty był?

Zamrugał i spojrzał na nią, jakby nigdy w życiu nie słyszał równie głupiego pytania.

- Poszedłem się zaprawicz - odpowiedział, a potem mu się odbiło.

- Simonie, powinieneś leżeć w łóżku.

Znowu pokiwał głową, tym razem ze znacznie większym wigorem i entuzjazmem.

- Jaszne, jaszne, w łóżku. - Próbował dźwignąć się na nogi, ale w chwili gdy zdołał jakoś uklęknąć, z miejsca stracił równowagę i z powrotem padł na dywan. - Hmm - mruknął, przyglądając się swej dolnej połowie ciała. - Hmm, to dżywne. - Jeszcze raz podniósł wzrok na żonę i spojrzał na nią z wyrazem najwyższego zmieszania. - Mógłbym przyznać, że to były moje nogi.

Daphne przewróciła oczami.

Simon znowu wypróbował sprawność swoich dolnych kończyn, z identycznym rezultatem.

- Chyba moje członki nie funkcjonują prawidłowo - stwierdził.

- *Mózg* ci nie funkcjonuje prawidłowo! - odparła. - Co ja mam z tobą zrobić?

Spojrzał w jej kierunku i wyszczerzył zęby.

- Kochasz mnie? Mówiłaś, że mnie kochasz, wiesz? - Nachmurzył się. - Nie sądzę, żebysz mogła to cofnąć.

Daphne westchnęła przeciągle. Powinna wściec się na niego - niech to licha, *była* na niego wściekła - ale trudno płonać oburzeniem, gdy Simon robi taką patetyczną minę.

Poza tym, mając trzech braci, nabyła trochę doświadczenia w postępowaniu z pijanymi bałwanami. Będzie musiał to przespać, nic więcej nie da się zrobić. Obudzi się z koszmarным bólem głowy (dobrze mu tak!), a potem będzie się upierał, żeby przyrządzić mu jakąś trującą miksturę, która jak nic zlikwiduje całkowicie jego kaca.

- Simonie? - zapytała cierpliwie - bardzo jesteś pijany?

Poczęstował ją kretyńskim uśmiechem.

- Bardzo.

- Tak myślałam - mruknęła pod nosem. Zgięła się w pół i podłożyła ręce pod jego barki. - A teraz, jazda do góry, musimy położyć cię do łóżka.

Lecz Simon nie poruszył się, siedział tylko i patrzył na nią w górę. Z wyjątkowo głupim wyrazem twarzy.

- Po co mam 'stawacz? - wybełkotał. - Nie 'ożesz ze mną poszedzecz? - Otoczył ją ramionami w smętym uścisku. - Daphne, chodź i 'oszedź ze mną.

- Simon!

Poklepał dywan obok siebie.

- Tak tu ładnie na 'odłódze.

- Nie, Simonie. Nie mogę z tobą posiedzieć - wycodziła, z wysiłkiem uwalniając się z jego mocnego uścisku. - Musisz iść do łóżka. - Znowu spróbowała go podnieść, z takim samym opłakany skutkiem. - Jezu Chryste - szepnęła pod nosem - dlaczego musiałeś tak się upić?

Nie powinien usłyszeć tych słów, ale 'widać je usłyszał, bo zadarł głowę i oznajmił:

- Chciałem czę odzyskacz.

Daphne patrzyła na niego ze zgrozą. Oboje wiedzieli, co zrobił, by ją odzyskać, jednak postanowiła, że z tak pijanym Simonem nie będzie prowadziła żadnych rozmów na ten temat. Pociągnęła go więc tylko za ramię i powiedziała:

- Pogadamy o tym jutro.

Zamrugał kilka razy w krótkich odstępach czasu.

- Zrozum, teraz jest jutro. - Wyciągał szyję to w lewo, to w prawo, zerkając w stronę okien. Zasłony były zaciągnięte, ale sączyło się już przez nie światło nowego dnia. - Dżeń jak diabli - bąknął. - Widzisz? - Machnął ręką w kierunku okna. - Już jutro.

- Więc pogadamy o tym wieczorem - odparła z odrobiną desperacji. Czuła się tak, jakby jej serce dostało się między kamienie młyńskie; bała się, że już więcej tego nie znieśie. - Proszę, Simonie, zostawmy to na razie, tak jak jest.

- Rzecz "w tym, Daphrey... - Rzucił gwałtownie głową,

całkiem tak jak pies, który otrząsa się z wody. - Daph-ne - powiedział w skupieniu. - Daph-ne Daph-ne.

Daphne nie do końca udało się powstrzymać uśmiech.

- Co, Simonie?

- Problem, 'ozumiesz... - poskrobał się w głowę - nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem? - spytała łagodnie.

- Dlaczego nie mogę tego zrobić - odparł. Uniósł twarz na wysokość twarzy Daphne; ta omal się nie wzdrygnęła na widok szalonej rozpacz w oczach męża.

- Nigdy nie chciałem cię zranic, Daff - powiedział ochryple. - Wiesz o tym, prawda?

Kiwnęła głową.

- Wiem o tym, Simonie.

- Szwietnie, bo sęk w tym... - Zrobił głęboki wdech, który aż zatrzęsł całym jego ciałem. - Nie mogę zrobić tego, czego pragniesz.

Nic nie odpowiedziała.

- Przez całe moje życie - ciągnął ze smutkiem - przez całe moje życie on wygrywał. Wiedzia'asz o tym? On zawsze wygrywał. Tym razem ja będę zwycięzcą. - Niezgrabnym ruchem opisał ręką łuk i dźgnął kciukiem swoją klatkę piersiową. - Ja. Chocz raz chcę wygrać.

- Och, Simonie - szepnęła. - Wygrałeś dawno temu. Aż nadto spełniłeś jego oczekiwania. Kiedy pokonałeś przeciwności, nawiązałeś przyjaźń lub przemierzyłeś nowy ląd, wygrałeś. Dokonałeś niezwykłych wyczynów, o których on nawet nie pomyślał. - Zaparło jej dech i ścisnęła go za ramiona. - Pokonałeś go. Wygrałeś. Dlaczego tego nie widzisz?

Simon potrząsnął głową.

- Nie chcę stacz się człowiekiem, jakiego pragnął - odparł. - Nawet jeżeli... - czknął. - A jak nawet nie oczekiwał tego ode m-mnie, to faktem jest, że pragnął doskonałego syna, kogosz, kto byłby doskonałym k-kszęciem, kto p-pozsłubiłby doskonałą księżną i spłodził d-doskonale dzieci.

Dolna warga Daphne utknęła między jej zębami. Znowu się jąka. Musi być naprawdę zagniewany. Serce jej się kra-

jało z jego powodu, z powodu małego chłopczyka, który nie pragnął niczego innego prócz aprobaty swojego papy.

Simon przechylił głowę na bok i obrzucił żonę zaskakująco badawczym spojrzeniem.

- Czebie by zaakceptował.

- Och - westchnęła niepewna, jak ma to rozumieć.

- A jednak... - "wzruszył ramionami, posyłając jej tajemniczy, figlarny uśmiech - i tak się z tobą ożeniłem.

Wyglądał tak melancholijnie, tak chłopięco poważnie, że musiała stoczyć ciężki bój z samą sobą, by nie chwycić go w ramiona i nie spróbować go pocieszyć. Lecz bez względu na to, jak głęboki był jego ból, albo jak bardzo zraniona była jego dusza, Simon zabierał się do walki z przeszłością bardzo źle. Najlepszą zemstą na ojcu byłoby po prostu spełnione i szczęśliwe życie, zdobycie tych wszystkich szczytów i splendorów, których ojciec tak zaciekle mu odmawiał.

Daphne zdławiła ciężki szloch frustracji. Nie wiedziała, jak Simon mógłby wieść szczęśliwe życie, skoro wszystkie jego decyzje sprowadzały się do udaremniania życzeń martwego człowieka.

Nie chciała jednakże wnikać w to wszystko akurat teraz. Była zmęczona, a on był pijany i to nie był odpowiedni czas.

- Położymy cię do łóżka - powiedziała na koniec.

Spoglądał na nią dobrą chwilę, oczy miał wypełnione odwiecznym pragnieniem pocieszenia.

- Nie odchodź ode mnie - szepnął.

- Simonie - wykrztusiła.

- Proszę, nie rób tego. On odszedł. Wszyscy odeszli. Po-tem ja odszedłem. - Ścisnął ją za rękę. - Ty zostań.

Kiwnęła niepewnie głową i podniosła się na nogi.

- Możesz przespać to w moim łóżku - zaproponowała. - Rano na pewno poczujesz się lepiej.

- Ale zostaniesz przy mnie?

To był błąd. Wiedziała, że to był błąd, ale brnęła dalej.

- Zostanę.

- Dobrze. - Stał na trzęsących się nogach. - Bo nie

mógłbym... Ja naprawdę... - Westchnął i zwrócił ku niej swe udręczone oczy. - Ja ciebie potrzebuję.

Zaprowadziła go do łóżka i omal nie przewróciła się razem z nim, kiedy zwałił się na materac.

- Leż spokojnie - nakazała, przyklękając, aby zdjąć mu buty. Robiła to już kiedyś braciom, wiedziała więc, że trzeba złapać za obcas, a nie za nosek. Ale te akurat miały obcisły fason i gdy w końcu stopa Simona została uwolniona, Daphne rozciągnęła się jak długa na podłodze.

- Na Boga - mruknęła, podnosząc się w celu powtórzenia okropnej procedury. - A powiadają, że to kobiety są niewolnicami mody.

Jej mąż wydał dźwięk podejrzenia przypominający chrapanie.

- Spisz? - spytała z niedowierzaniem. Szarpnęła za drugi but, który zszedł nieco łatwiej, po czym chwyciła jego nogi - sprawiające wrażenie zbędnego balastu - i dźwignęła je na łóżko.

Wyglądał tak młodo i spokojnie z tymi swoimi ciemnymi rzęsami, spoczywającymi na policzkach. Odgarnęła mu włosy z czoła.

- Spij dobrze, mój słodki - szepnęła.

Ale kiedy zaczęła się odsuwać, jego ramię wystrzeliło w powietrze i objęło ją w pół.

- Mówiłeś, że zostaniesz - poskarżył się.

- Myślałam, że śpisz!

- To ci nie daje prawa do złamania obietnicy. - Szarpał ją za rękę, tak że Daphne w końcu przestała się sprzeciwiać i ułożyła się obok męża. Był ciepły i należał do niej, a jeśli nawet miała poważne obawy o ich przyszłość, to w tym momencie nie potrafiła oprzeć się jego delikatnemu uściskowi.

Zbudziła się około godziny później, zaskoczona, że w ogóle zasnęła. Simon wciąż leżał obok niej i pochrapywał Z cicha. Oboje byli w ubraniu, on w odzieży cuchnącej whisky, ona w swojej nocnej koszuli.

Pogładziła go delikatnie po policzku.

- Co ja mam z tobą zrobić? - wyszeptwała. - Kocham cię,

wiesz. Kocham cię, ale nie mogę znieść tego, co robisz samemu sobie. - Drżąc, nabrała tchu. - Oraz mnie. Nie mogę znieść tego, co robisz mnie.

Przekręcił się na drugi bok i przez jedną straszną chwilę bala się, że mógł się obudzić.

- Simonie? - szepnęła i odetchnęła z ulgą, kiedy nie zareagował. Wiedziała, że nie powinna wypowiadać głośno słów, które nie do końca były przeznaczone dla niego, ale Simon prezentował się tak niewinnie na tle śnieżnobiałych poduszek, iż zwierzenie się z najskrytszych myśli przyszło Daphne bez trudu.

- Och, Simonie - westchnęła, zaciskając powieki przed łzami, którymi napełniały się jej oczy. Powinna wstać. Powinna absolutnie zdecydowanie wstać i wyjść, aby nie zakłócać mu spokoju. Rozumiała, dlaczego tak się zawniósł, by nie wydać dziecka na ten świat, ale nie wybaczyła mu i oczywiście nie zgadzała się z nim. Gdyby się obudził, trzymając ją nadal w swoich ramionach, mógłby pomyśleć, że przystała na jego wariant rodziny.

Powoli i niepewnie spróbowała się wysunąć. Ale ramiona męża natychmiast zacisnęły się mocno wokół niej, a zaspany głos mruknął:

- Nie.

- Simonie, ja...

Przytulił ją do siebie mocniej i Daphne uzmysłowiła sobie, że jest solidnie podniecony.

- Simonie? - szepnęła, otwierając gwałtownie oczy. - Czy ty w ogóle śpisz?

Odpowiedzią było kolejne senne mamrotanie, ale nie wykonał żadnego niedwuznacznego gestu, tylko przygarnął ją do siebie jeszcze bliżej.

Aż zamrugała ze zdumienia. Nie miała pojęcia, że mężczyzna może pożądać kobiety przez sen.

Odchyliła głowę do tyłu, by móc widzieć jego twarz, a potem wyciągnęła rękę i musnęła linię jego szczęki. Cicho zajęczał. Był to suchy, niski dźwięk, który przywiódł ją do szaleństwa. Dręcząco powolnymi ruchami odpięła guziki

przy jego koszuli, zatrzymując się tylko raz, by prześledzić palcem obrzeże jego pępka.

Poruszył się niespokojnie i Daphne poczuła najdziwniejszy, najbardziej upajający przypływ poczucia władzy. Pojęła, że panuje nad nim. Spał i był wciąż nieźle zamroczony, ale mogła zrobić z nim, co tylko chciała.

Mogła *dostać*, co tylko chciała.

Rzuciwszy okiem na jego twarz, stwierdziła, że nadal śpi, więc szybko rozpięła mu spodnie. Wewnątrz Simon był twardy i pobudzony. Otoczyła jego męskość dłonią, czując pod palcami pulsowanie jego krwi.

- Daphne - wysapał. Jego powieki zatrzepotały i rozchyliły się, po czym Simon wydał chrapliwy jęk. - O, Boże. Jak cudownie.

- Szszsz - zanuciła, pozbywając się swej jedwabnej koszuli. - Pozwól, że sama zajmę się wszystkim.

Leżał na plecach, zaciskając rytmicznie dłonie obok ciała w reakcji na jej pieszczoty. Nauczył ją niemało w przeciągu dwóch krótkich tygodni małżeństwa i już niebawem wil się z pożądania, oddychając krótko, spazmatycznie.

I niech jej Bóg dopomoże, ale ona pragnęła go także. Czuła swą wielką potęgę, kiedy tak nad nim górowała. Miała władzę i był to najbardziej niesamowity afrodyzjak, jaki była w stanie sobie wyobrazić. Poczowała mrowienie w nogach, a potem dziwny rodzaj ożywienia i "wiedziała już, że go pożąda.

Chciała go mieć wewnątrz siebie, wypełniającego ją, dającego jej wszystko to, co mężczyzna winien dawać kobiecie.

- Och, Daphne - jęknął, rzucając głową z boku na bok. - Pragnę cię, pragnę cię *teraz*.

Wślizgnęła się na niego i objęła go udami, przyciskając dłonie do jego barków. Pomagając sobie ręką, umieściła go u wejścia do siebie, już "wilgotnego z pożądania.

Leżący pod nią Simon wygiął się w łuk, a ona powoli opuściła się na dół, dopóki jej kobiecość nie wchłonęła go prawie do samego końca.

- Bardziej - wysapał. - Teraz.

Odrzuciwszy głowę do tyłu, zjechała ostatni, krótki odcii-

nek w dół. Zaciśnęła palce na jego ramionach i zaczęła nerwowo połykać powietrze. Znajdował się całkowicie w jej wnętrzu i Daphne miała wrażenie, że zaraz skona z zachwytu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak w pełni, tak bez reszty kobietą.

Poruszała się nad nim, pojękując, a jej ciało wiło się i wyginało z rozkoszy. Rozczapierzyła palce na swoim brzuchu, i przechylając się z boku na bok, przesuwiała je w górę, w kierunku piersi.

Simon wydawał gardłowe jęki, obserwując ją błyszczącymi oczami, a z jego rozchylonych ust wydobywał się ciężki i gorący oddech.

- O mój Boże! - szepnął suchym, chropawym głosem. - Co ty ze mną wyprawiasz? Coś ty zrobiła... - Dotknęła swojego sutka i w tym momencie jego całe ciało poderwało się do góry. - Gdzieś ty się tego nauczyła?

Opuściła na niego wzrok i poczęstowała go zakłopotanym uśmiechem.

- Nie wiem.

- Jeszcze - wyjęczał. - Chcę na ciebie patrzeć.

Daphne nie była całkowicie pewna, co robić, toteż zdała się na instynkt. Okrężnymi ruchami zaczęła ugniatać swym ciałem jego biodra, wyginając plecy w łuk, wypinając sterzące piersi. Ujęła jedną i drugą w otwarte dłonie i zaczęła ścisnąć je delikatnie, rolując sutki w palcach, ani razu nie odwracając oczu od twarzy Simona.

Jego biodra zaczęły niecierpliwie i gwałtownie podrygiwać, a wielkie dłonie zaciskać się rozpaczliwie na pościeli. I Daphne wiedziała, że Simon jest już bliski spełnienia. Zawsze dbał o to, żeby ją zadowolić, żeby mieć pewność, że Daphne doświadczy rozkoszy wcześniej, niż on pozwoli sobie na ten przywilej, ale tym razem to on eksploduje jako pierwszy.

Była już blisko, ale nie tak blisko jak on.

- O Boże! - wybuchnął raptownie, głos miał szorstki i ochrypły z pożądania. - Zaraz będę... Już nie... - Przyłgnął do jej twarzy dziwnym, błagalnym spojrzeniem i podjął anemiczną próbę wycofania się na zewnątrz.

Daphne całym swoim ciężarem przyparła go do łóżka.

Eksplodował w jej wnętrzu, odrywając biodra od pościeli i unosząc ją wraz z sobą. Ona zaś wsunęła pod niego dłonie i z całej siły przycisnęła go do siebie. Tym razem go nie straci. Nie zmarnuje tej szansy.

W chwili dojścia rozwarł powieki i zrozumiał poniewczasie, co zrobił. Ale jego ciało minęło punkt krytyczny; nie było już sposobu na powstrzymanie go. Gdyby to on był na górze, może znalazłby w sobie siłę, aby się wycofać, ale leżąc pod nią, patrząc, jak Daphne zamienia swoje ciało w naczynie wypełnione pożądaniem, był całkowicie bezbronny wobec szalejącej siły własnego pragnienia.

Kiedy jego zęby zacisnęły się i ciało podskoczyło do góry, poczuł, jak drobne dłonie Daphne wsunęły się pod niego i przycisnęły go jeszcze mocniej do jej rozpalonej kobiecości. Zobaczył na twarzy żony wyraz czystej ekstazy i doznał nagle olśnienia - zrobiła to z rozmysłem. Ona to ukartowała.

Rozbudziła go przez seri, wykorzystała, gdy był jeszcze trochę odurzony, i przycisnęła do siebie, kiedy przelewał w nią nasienie.

Otworzył szeroko powieki i skupił wzrok na jej oczach.
- Jak mogłaś? - wyszeptał.

Nie odpowiedziała, widział jednak, że jej twarz się zmieniła, i domyślił się, że go usłyszała.

Czując, że ciało Daphne zaczyna się prężyć, zepchnął ją z siebie, bezlitośnie odmawiając jej rozkoszy, której przed chwilą sam doświadczył.

- Jak mogłaś? - powtórzył. - W-wiedziałaś, że j-ja...

Ale Daphne zwinęła się już w małą kulkę, kolana miała podciągnięte do piersi i było widać, że nie zamierza stracić ani jednej kropli Simona.

Ten zaklął wulgarnie i zerwał się na nogi. Otworzył usta, aby obrzucić ją obelgami, nawymyślać jej, że go zdradziła, że go wykorzystała, ale coś chwyciło go za gardło, język stanął mu kołkiem i nie mógł nawet zacząć wypowiadać słowa, a co dopiero go skończyć.

- T-t-ty... - wykrztusił w końcu.

Daphne patrzyła na niego ze zgrozą.

- Simonie? - szepnęła.

Nie chciał tego. Nie chciał, żeby patrzyła na niego jak na jakiegoś odmieńca. O Boże, o Boże, znowu czuł się jak siedmiolatek. Nie mógł mówić. Nie mógł zmusić ust do pracy.

Na twarzy Daphne malowała się troska. Zbyteczna, litościwa troska.

- Dobrze się czujesz? - szepnęła. - Możesz oddychać?

- N-n-n-n-n... - Było to odległe od *nie lituj się nade mną*, ale na nic więcej Simon nie mógł się zdobyć. Czuł szyderczą obecność swojego ojca, ściskającą go za gardło, pozbawiającą władzy nad językiem.

- Simonie? - rzuciła, przypadając do jego boku. Jej głos graniczył z histerycznym płaczem. - Simonie, odezwij się!

Sięgnęła ręką, aby dotknąć jego ramienia, ale odrzucił ją od siebie.

- Nie dotykaj mnie! - wybuchnął.

Odsunęła się do tyłu.

- Nadal jednak umiesz coś powiedzieć - rzekła cienkim, smutnym głosem.

Simon czuł nienawiść do siebie, do głosu, który mu się sprzeniewierzył, i do żony, bo zdołała zdruzgotać jego władzę w pył. Ta całkowita utrata mowy, to dławienie się, to uczucie duszenia - całe życie starał się przed tym uciec, a teraz *ona* jak na złość przywołała to wszystko z powrotem.

Nie może jej na to pozwolić. Nie może jej pozwolić zamienić go w człowieka, którym był niegdyś.

Próbował wymówić jej imię, ale nie zdołał wykrztusić najmniejszego dźwięku.

Musiał wyjść. Nie mógł na nią patrzeć. Nie mógł przebywać w tym samym miejscu co ona. Nie chciał nawet przebywać sam ze sobą, ale niestety przekraczało to jego skromne możliwości.

- N-nie z-zbliżaj s-się do m-mnie - wysapał, grożąc jej palcem i wciągając na siebie spodnie. - Z-zrobiłaś t-t-t-to!

- Co? - zawołała, owijając się prześcieradłem. - Simonie, przestań. Co ja takiego straszego zrobiłam? Pragnąłeś mnie. Nie zaprzeczysz, że mnie pragnąłeś.

- T-t-to! - wybuchnął, wskazując na swoje gardło. Po czym wskazał na jej brzuch. - O-o-oraz t-t-to.

Następnie, nie mogąc dłużej znieść jej widoku, wypadł jak burza z pokoju.

Oby z taką samą łatwością zdołał uciec od samego siebie.

Dziesięć godzin później Daphne znalazła następujący liścik:

Pilna sprawa w jednym z majątków wymaga mojej interwencji. Ufam, że dasz mi znać, jeśli twoje wysiłki zajęcia w ciążę zostały uwieńczone powodzeniem.

W razie potrzeby zarządca poda ci mój adres.

Simon

Pojedyncza kartka papieru wyślizgnęła się z jej palców i opadła z wolna na podłogę. Z piersi Daphne wydarł się chrapliwy szloch. Przycisnęła dłoń do ust, jakby to mogło powstrzymać falę emocji, która w niej rozgorzała.

On ją porzucił. Nie do wiary, on ją porzucił. "Wiedziała, że jest zdenerwowany, że może nigdy jej nie wybaczy, ale nie sądziła, że aż ją porzuci.

Sądziła... ach, nawet kiedy wypadł jak burza za drzwi, sądziła, że zdołają pokonać dzielące ich przeszkody, teraz jednak nie była już taka pewna.

Może była zbyt wielką marzycielką. Łudziła się samolubnie, że potrafi go uzdrowić, wyleczyć jego duszę. Teraz rozumiała, że przypisywała sobie większą moc, niż naprawdę posiadała. Uważała, iż wystarczy jej miłość, tak cudowna, tak promieniejąca, tak czysta, aby Simon z miejsca zapomniał o latach urazy i bólu, które stanowiły siłę napędową całej jego egzystencji.

Jakże była zarozumiała. Jakże głupio się teraz czuła.

Niektóre rzeczy były poza jej zasięgiem. W swoim bezpiecznym życiu w ogóle tego nie rozumiała, dopiero teraz. Nie spodziewała się, że świat podadzą jej na złotym półmisku, ale liczyła na to, że jeśli będzie pracować wystarczają-

co ciężko, traktować wszystkich tak, jak sama chce być traktowana, to wówczas spotka ją nagroda.

Ale nie tym razem. Simon był poza jej zasięgiem.

W domu panowała niezwykła cisza, kiedy Daphne pokonywała drogę na dół do żółtego pokoju. Zastanawiała się, czy służba wie o wyjeździe jej męża, i dlatego teraz wszyscy unikają jej starannie. Musieli usłyszeć to i owo z ich wczorajszej kłótni.

Westchnęła. Smutek i żal znieść jeszcze trudniej, kiedy człowiekowi towarzyszy niewielka armia widzów.

Lub niewidzialnych widzów, jak zapewne w tym przypadku, myślała, szarpiąc za taśmę dzwonka. Nie spotkała nikogo, wiedziała jednak, że gdzieś tam są, szepczą za jej plecami i użalają się nad nią.

Zabawne, że nigdy "wcześniej nie przejmowała się plotkowaniem służby. Teraz jednak - z cichym jękiem boleści klapnęła na sofę - teraz czuła się tak nieszczęśliwie samotna. Czym innym miałyby się obecnie przejmować?

- Wasza wysokość?

Daphne podniosła wzrok i zobaczyła młodą, stojącą niepewnie w drzwiach pokojówkę. Ta złożyła lekki dyg i posłała swej pani pytające spojrzenie.

- Poproszę o herbatę - powiedziała cicho Daphne. - Bez ciasteczek, tylko herbatę.

Młoda dziewczyna skinęła głową i wyszła.

Czekając na powrót pokojówki, Daphne gładziła się po brzuchu, patrząc z jakimś uznaniem na dolną połowę swego ciała. Zamknęła oczy i wzniosła modlitwę. Błagam cię, Panie Boże, błagam cię, proszę, pozwól mi mieć dziecko.

Mogła nie mieć drugiej szansy.

Nie wstydziała się swojego postępowania. Odnosiła wrażenie, że powinna, ale nie wstydziała się.

Nie ukartowała niczego. Nie popatrzyła na niego, kiedy spał, i nie pomyślała: - Pewnie wciąż jest pijany. Mogę się z nim kochać i zdobyć jego nasienie, a on nigdy się nie dowie.

To nie stało się w ten sposób.

Daphne nie była do końca przekonana, jak to się stało,

ale w jednym momencie znajdowała się nad nim, a w drugim uzmysłowiła sobie, że Simon nie próbuje wycofać się przed czasem, i zrozumiała, że on już nie zdąży...

A może... Zacisnęła powieki. Mocno. Może to stało się inaczej. Może *naprawdę* wykorzystała nie tyle sprzyjającą chwilę, ile *jego samego*.

Już nic nie wiedziała. Wszystko zlewało się ze sobą. Jąkanie Simona, jej desperackie pragnienie posiadania dziecka, jego nienawiść do ojca - wszystko wirowało i mieszało jej się w głowie, i nie mogła się zorientować, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie.

Na dodatek czuła się taka opuszczona.

Wtem usłyszała jakiś szmer przy drzwiach. Odwróciła głowę, spodziewając się powrotu młodej i nieśmiałej pokojówki z herbatą, ale zamiast niej ujrzała panią Colson. Twarz ochmistrzyni była ściągnięta, a w jej oczach odbijało się zatroskanie.

Daphne uśmiechnęła się blado.

- Spodziewałam się pokojówki - mruknęła.

- Miałam coś do załatwienia w sąsiednim pokoju, więc pomyślałam, że sama przyniosę pani herbatę - odparła pani Colson.

Daphne kiwnęła głową, choć wiedziała, że ochmistrzyni kłamie.

- Pokojówka mówiła, że bez ciasteczek, ale wiem, że pani nie jadła śniadania, więc mimo to położyłam na tacy kilka sztuk.

- To bardzo roztropne z pani strony. - Daphne nie poznała barwy swojego głosu. Brzmiał dość płasko, prawie tak jakby należał do kogoś innego.

- To żaden kłopot, zapewniam panią. - Widać było po jej minie, że chce coś dodać, ale ostatecznie wyprostowała się tylko i zapytała: - Czy to wszystko?

Daphne kiwnęła głową.

Kiedy pani Colson ruszyła w stronę drzwi, Daphne omal nie zawołała na nią. Omal nie wymówiła jej nazwiska, nie poprosiła, aby usiadła obok niej i wypiła razem z nią her-

batę. Wyjawiłaby jej wszystkie swoje sekrety, wyznała swój wstyd, a potem wylałaby potok łez.

I to nie z powodu bliskiej zażyłości z ochmistrzynią, tylko dlatego, że w pobliżu nie było nikogo innego.

Ale nie zawołała i pani Colson wyszła z pokoju.

Daphne wzięła herbatnik i wbiła w niego zęby. Zdaje się, że najwyższa pora wracać do domu, pomyślała.

19

Widziano dzisiaj w Mayfair nową księżnę Hastings. Philipa Featherington zauważyła byłą pannę Daphne Bridgerton, kiedy ta zażywała świeżego powietrza, maszerując dziarsko po ulicy. Panna Featherington zawołała do niej, ale księżna udała, że nie słyszy.

Dobrze wiemy, że udawała, bo przecież trzeba być głuchą jak pień, by nie zareagować na którykolwiek okrzyk panny Featherington.

Kronika towarzyska lady Whistledown, 9 czerwca 1813

Ból głowy nigdy nie ustaje raptownie, dowiedziała się wreszcie Daphne; on po prostu stopniowo tępieje. Ostry, przejmujący ból, który wzmacnia się przy każdym oddechu, przechodzi z czasem w apatyczną, drobną dolegliwość, którą daje się niemal - ale nie do końca - ignorować.

Daphne opuściła zamek Clyvedon nazajutrz po wyjeździe Simona i wzięła kurs na Londyn ze szczerym zamiarem powrotu do Bridgerton House. Ale ponowne zamieszkanie w rodzinnym domu oznaczałoby w jakiś sposób przyznanie się do klęski, toteż w ostatniej chwili kazała stangretowi zawieźć się do Hastings House. Jeśli odczuje potrzebę wsparcia z ich strony albo ich towarzystwa, będzie bliżej rodziny, teraz jest jednak mężatką i powinna przebywać we własnym domu.

Tak więc przedstawiła się nowemu personelowi, który za-

akceptował ją bez zastrzeżeń (choć nie bez sporej dozy ciekawości), i rozpoczęła nowe życie jako porzucona żona.

Matka była pierwszą osobą, która ją odwiedziła. Daphne nie robiła sobie kłopotu z informowaniem innych osób o powrocie do Londynu, więc to nie było zbyt zaskakujące.

- Gdzie on jest? - spytała Violetta bez wstępów.

- Mój mąż, jak sądzę?

- Nie, twój stryjeczny dziadek Edmund - wicehrabina aż warknęła. - No jasne, że twój małżonek.

- Widzi mi się, że załatwia jakieś sprawy w którejś z większych posiadłości - odparła Daphne, unikając wzroku matki.

- *Widzi ci się?*

- No, wiem o tym - poprawiła się Daphne.

- A czy *wiesz*, dlaczego nie jesteś razem z nim?

Daphne zastanawiała się, czy nie skłamać. Czy nie nadrobić bezczelnością i nie naopowiadać matce bzdur o jakichś dzierżawcach, o żywym inwentarzu, o chorobie albo o *czymkolwiek*. W końcu jednak wargi zaczęły się jej trząść, z oczu ciurkiem popłynęły łzy i oświadczyła bardzo cieniutkim głosem:

- Bo postanowił wyjechać beze mnie.

Violetta ujęła ją za rękę.

- O, Daff - westchnęła - co się stało?

Daphne klapnęła na sofę, pociągając za sobą matkę.

- Więcej, niż umiałabym ci wyjaśnić.

- Nie chcesz spróbować?

Daphne potrząsnęła głową. Nigdy w życiu, bodaj ani razu, nie ukryła czegokolwiek przed matką. Nigdy nie stało się nic takiego, o czym bałaby się z nią porozmawiać.

Ale nigdy nie doszło do czegoś podobnego.

Poklepała matkę po ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze.

Violetta nie wyglądała na przekonaną.

- Jesteś tego pewna?

- Nie. - Daphne przez chwilę patrzyła na podłogę. - W każdym razie muszę w to wierzyć.

Violetta wyszła, a Daphne położyła dłoń na brzuchu i odmówiła modlitwę.

Następnym gościem okazał się Colin. Jakiś tydzień później Daphne wróciła ze spaceru w parku i zastała go w salonie ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i wściekłym wyrazem twarzy.

- Och - bąknęła na jego widok, ściągając rękawiczki. - Widzę, że dowiedziałeś się już o moim przyjeździe.

- Co się, u diabła, dzieje?

Colin wyraźnie nie odziedziczył po matce subtelności języka, pomyślała Daphne z goryczą.

- Mów! - zażądał.

Przymknęła na chwilę oczy. Tylko na jedną chwilę, aby spróbować zmniejszyć ból głowy, który męczył ją od wielu dni. Nie chciała mówić Colinowi o swoich problemach. Nie chciała nawet powiedzieć mu tyle co matce, choć była pewna, że już wiedział. Sensacje zawsze szybko rozchodziły się po Bridgerton House.

Doprawdy nie wiedziała, skąd ma wziąć tyle energii, w każdym razie opłacało się robić dobrą minę, założyła więc ramiona, zmarszczyła czoło i spytała:

- Chodzi ci o?...

- Tak, o to - warknął - gdzie twój mąż?

- Jest zajęty innymi sprawami - odparła. To brzmiało o wiele lepiej niż *odszedł ode mnie*.

- Daphne... - tembr głosu brata dawał jej ostatnie ostrzeżenie.

- Jesteś tu sam? - spytała, ignorując jego ton.

- Anthony i Benedict wyjechali na wieś do końca miesiąca, jeśli to masz na myśli.

Omali westchnęła z ulgą. Brakowało jej tylko wizyty najstarszego brata. Już raz uniemożliwiła mu zabicie Simona; kto wie, czy dokazałaby tej sztuki powtórnie. Zanim jednak zdążyła wymówić bodaj jedno słowo, Colin dodał:

- Daphne, masz natychmiast mi powiedzieć, gdzie ten łajdak się ukrywa.

Poczuła, że sztywnieje jej kręgosłup. Sama miała chyba prawo wymyślać swojemu zbłąkanemu małżonkowi od najgorszych, ale na pewno nie jej brat.

- Odnoszę wrażenie - rzekła lodowato - że przez „tego fajdaka” rozumiesz mojego męża.

- Masz rację, do cholery, rozumiem...

- Będę zmuszona prosić cię, abys wyszedł.

Colin popatrzył na siostrę, jakby jej nagle wyrosły rogi.

- Wypraszam sobie.

- Nie zamierzam rozmawiać z tobą na temat mojego małżeństwa, więc skoro nie umiesz powstrzymać się od wypowiedzania nieproszonych opinii, będziesz musiał wyjść.

- Nie możesz kazać mi wyjść - powiedział z niedowierzaniem.

Skrzyżowała ramiona.

- To mój dom.

Colin zmierzył ją wzrokiem, po czym rozejrzał się po pokoju - salonie księżnej Hastings - następnie znowu popatrzył na Daphne, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie, że ta mała siostrzyczka, którą zawsze traktował jako całkiem pocieszne przedłużenie samego siebie, stała się kobietą samodzielną.

Sięgnął i chwycił ją za rękę.

- Daff - powiedział cicho - pozwolę ci załatwić to po twojemu.

- Dziękuję.

- *Na razie* - ostrzegł. - Nie sądzę, że dopuszczę do tego, by taka sytuacja ciągnęła się w nieskończoność.

Nic nie będzie ciągnęło się w nieskończoność, pomyślała Daphne pół godziny później, po wyjściu Colina. To było niemożliwe. W ciągu dwóch tygodni sytuacja się wyjaśni.

Każdego ranka Daphne budziła się cała w nerwach. Już na jakiś czas przed terminem menstruacji zagryzała wargi, odmawiała w myślach krótką modlitwę i dopiero wtedy z zapartym tchem odrzucała kołdrę.

I co rano nie znajdowała tam niczego prócz śnieżnobiałego płótna.

W tydzień po terminie pozwoliła sobie na pierwszy promyczek nadziei. Jej organizm nigdy nie funkcjonował idealnie re-

gułarnie; mógł ją zaskoczyć w każdej chwili, mówiła do siebie. Ale nigdy jeszcze menstruacja nie spóźniała się *tak bardzo*...

Jednakże po upływie kolejnego tygodnia przyłapywała się co rano na tym, że się uśmiecha. Strzegła swojej tajemnicy jak najdroższego skarbu. Nie była na razie skłonna dzielić się nią z nikim. Ani z matką, ani z braćmi, a już na pewno nie z Simonem.

Nie miała okropnego poczucia winy z powodu powstrzymywania się od udzielenia mu tej informacji. Ostatecznie powstrzymał się od ofiarowania jej swego nasienia. Ale co ważniejsze, bała się, że jego reakcja będzie gwałtownie negatywna, a nie zamierzała pozwolić, by irytacja Simona zakłóciła chwile jej absolutnego szczęścia. Skreśliła wszakże parę słów do jego zarządcy z prośbą o adres męża.

W końcu jednak, kiedy minął trzeci tydzień, sumienie wzięło górę i Daphne usiadła przy biurku, aby napisać do księcia list.

Na nieszczęście dla Daphne pieczęć woskowa nie zdążyła jeszcze wyschnąć na jej korespondencji, gdy do pokoju wtargnął Anthony, najwyraźniej zakończywszy już pobyt na wsi. Daphne znajdowała się akurat na piętrze, w prywatnym apartamencie, gdzie *nie* przyjmowało się gości, toteż bała się nawet pomyśleć, ilu lokajów poturbował po drodze na górę.

Widząc wściekłość na jego twarzy, doszła do wniosku, że lepiej brata nie prowokować, ten jednak zawsze wprowadzał ją w lekko zaczepny nastrój, a więc zapytała:

- Jak się dostałeś tu na górę? Czy ja nie mam lokaja?

- *Miałas*.

- O, Boże!

- Gdzie on jest?

- Na pewno nie tutaj. - Nie było sensu udawać, że nie wie dokładnie, o kogo mu chodzi.

- Ja go zabiję.

Daphne wstała i spiorunowała go wzrokiem.

- O nie, nie zrobisz tego!

Anthony, który stał z rękami opartymi na biodrach,

w tym momencie pochylił się ku przodowi i przewiercił siostrę spojrzeniem.

- Zaprzysiągłem coś Hastingsowi, zanim jeszcze ożenił się z tobą, wiedziałaś o tym? - Potrząsnęła głową. - Przypomniałem mu, że byłem go gotów zabić za zaszarganie twojej reputacji. Niech Bóg ma go w swej opiece, gdyby zniszczył twoją duszę.

- Anthony, Simon nie zniszczył mojej duszy. - Ręka Daphne zabłąkała się na jej brzuch. - Szczerze mówiąc, wręcz przeciwnie.

Nie wiadomo, czy brat przyjął słowa Daphne ze zdziwieniem, ponieważ w tym momencie jego wzrok padł na biurko.

- Co to? - zapytał.

Daphne podążyła za jego spojrzeniem do stosu papieru, kryjącego nieudane próby napisania przez nią listu do Simona.

- Nic takiego - odparła, sięgając ręką, żeby przechwycić dowody rzeczowe.

- Smarujesz do niego list, co? - Groźne dotąd spojrzenie Anthony'ego stało się teraz piorunujące. - Och, na miłość boską, nie próbuj mnie okłamywać. Widziałem jego imię w nagłówkach tych listów.

Daphne zmięta zużyte kartki i wrzuciła je do kosza pod biurkiem.

- Nie twoja sprawa.

Anthony zatopił oczy w koszu, jakby miał zamiar rzucić się pod stół i powyciągać te nie dokończony listy. Wreszcie spojrział ponownie na siostrę i oznajmił:

- Nie pozwolę, aby mu to uszło na sucho.

- Anthony, to nie twoja sprawa.

Nie zaszczycił tego stwierdzenia swoją odpowiedzią.

- Znajdę go, rozumiesz? Znajdę, a potem zabiję...

- Och, na litość boską! - Daphne w końcu wybuchła. - To jest *moje* małżeństwo, a nie twoje. Jak będziesz wtykał nos w moje sprawy, Bóg mi świadkiem, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Oczy miała spokojne, jej głos był pełen siły, Anthony zaś wyglądał na lekko oszołomionego słowami siostry.

- Doskonale - mruknął. - Nie zabiję go.
- Dziękuję - powiedziała z ironią.
- Ale go znajdę - poprzysiągł. - I prosto z mostu wyrażę mu swoją dezaprobatę.

Zerknęła na jego twarz i wiedziała, że mówił serio.

- Świetnie. - Sięgnęła po skończony list, który zdążyła schować do szuflady. - Pozwolę ci dostarczyć to.

- Dobrze. - Wyciągnął dłoń po kopertę.

Cofnęła list poza zasięg jego ręki.

- Ale dopiero, jak złożysz mi dwie obietnice.

- Mianowicie?...

- Po pierwsze, musisz obiecać, że nie będziesz tego czytał.

Zrobił śmiertelnie obrażoną minę, że taka myśl w ogóle przysła jej do głowy.

- Nie próbuj ze mną tego swojego wyrazu twarzy „jestem-człowiekiem-honoru” - parsknęła śmiechem. - Znam cię, Anthony Bridgertonie, i wiem, że przeczytałbyś go od razu, gdybyś sądził, że nie poniesiesz żadnych tego konsekwencji. - Sztyletował ją wzrokiem. - Ale wiem również - ciągnęła - że nigdy nie złamałbyś obietnicy, którą mi uroczyście złożyłeś. Wobec tego, Anthony, będę potrzebowała twojej obietnicy.

- To nie jest konieczne, Daff.

- Ja czekam!

- No dobrze - wystękał. - Obiecuję.

- Znakomicie. - Podała mu list. Spojrzał na niego przeciągle. - Po drugie - rzekła głośno, zmuszając go do skierowania uwagi z powrotem na nią - musisz obiecać, że nie wyrządzisz mu żadnej krzywdy.

- Och, zaraz, chwileczkę, Daphne - wybuchnął. - Żądasz zbyt wiele.

Wyciągnęła rękę.

- Poproszę o zwrot listu.

Schował go za plecami.

- Już mi go dałaś.

Uśmiechnęła się afektownie.

- Ale bez adresu.

- Potrafię go zdobyć - odparł.

- Nie, nie uda ci się, dobrze o tym wiesz. On ma majątków co niemiara. Trzeba tygodni, żeby dowiedzieć się, w którym akurat przebywa.

- Aha! - zawołał triumfalnie. - Więc przebywa w jednym z majątków. Wymknęła ci się, moja droga, bardzo istotna informacja.

- Czy to jakaś *gra*? - zdziwiła się Daphne.

- Po prostu powiedz, gdzie on jest.

- Najpierw obietnica - żadnej przemocy, Anthony. - Skrzyżowała ramiona. - Ja nie żartuję.

- Zgoda - mruknął.

- Słucham.

- Uparta z ciebie jędza, Daphne Bridgerton.

- Teraz jestem Daphne Basset, i miałam dobrych nauczycieli.

- Obiecuję - powiedział z trudem. Właściwie, wydukał.

- Potrzebuję czegoś więcej - stwierdziła. Rozłożyła ramiona i pokiwała prawą dłońią, jak gdyby zamierzała wydrzeć te słowa z jego gardła. - Obiecuję nie...

- Obiecuję nie zrobić krzywdy temu cholernemu idiocie w osobie twojego męża - wypalił Anthony. - No. Wystarczy?

- Ależ oczywiście - odparła pogodnie. Sięgnęła do szuflady i wyjęła pismo z adresem Simona, które przyszło przed kilkoma dniami od jego zarządcy. - Proszę.

Anthony wziął go ze zdecydowanie niezdarnym oraz niewdzięcznym - dosłownie i w przenośni - machnięciem ręki. Spojrzał na kopertę, przebiegł wzrokiem tekst i oświadczył:

- Wracam za cztery dni.

- Już dziś wyjeżdżasz? - zdziwiła się.

- Nie wiem, jak długo zdołam powstrzymać się od przemocy - wycodził.

- W takim razie, jak najbardziej jedź dzisiaj.

Co też uczynił.

- Daj mi choć jeden dobry powód, dla którego nie powinienem wydrzeć ci płuc przez gardło.

Simon podniósł wzrok znad biurka i ujrzał w drzwiach

swojego gabinetu pokrytego podróżnym kurzem Anthony'ego, miotającego się z gniewu.

- Mnie też miło cię widzieć, Anthony - mruknął.

Bridgerton wpadł do środka z całym wdziękiem burzy z piorunami, huknął dłońmi o blat biurka i pochylił się nad nim z groźną twarzą.

- Mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, czemu moja siostra przebywa w Londynie i wypłakuje oczy, dopóki jej sen nie zmorzy, podczas gdy ty przesiadujesz w... - Rozejrzył się dookoła ze skrzywioną miną. - Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

- W Wiltshire - odpowiedział mu Simon.

- Podczas gdy ty przesiadujesz w Wiltshire i zbijasz bąki w tym zapadłym majątku?

- To Daphne jest w Londynie?

- Można by sądzić - warknął Anthony - że jako mąż powinienes o tym dobrze wiedzieć.

- Można by sądzić niejedno - wymamrotał księżę - ale na ogół niesłusznie. - Minęły dwa miesiące, odkąd wyjechał z Clyvedon. Dwa miesiące, odkąd spojrzał na Daphne i nie zdołał wykrztusić słowa. Dwa miesiące absolutnej pustki.

Właściwie był szczerze zdziwiony, że aż tyle czasu potrzebowała na podjęcie decyzji o skontaktowaniu się z nim, zwłaszcza że postanowiła to zrobić za pośrednictwem swego wojowniczo nastawionego starszego brata. Simon nie był do końca przekonany dlaczego, sądził jednak, że Daphne odezwie się wcześniej, choćby po to, żeby wiercić mu dziurę w brzuchu. Nie była z tych, co to duszą w sobie złość; spodziewał się raczej, że go odnajdzie i na sześć rozmaitych sposobów wyjaśni mu, dlaczego jest skończonym durniem.

Prawdę mówiąc, po jakimś miesiącu, wręcz zapragnął, aby tak zrobiła.

- Urwałbym ci ten tępy łeb - warknął Anthony, przemocą wdzierając się w myśli księcia - ale obiecałem Daphne, że nie wyrządę ci fizycznej krzywdy.

- Pewnie niełatwo było złożyć taką obietnicę - domyślił się Simon.

Anthony założył ręce na piersiach i zatopił spojrzenie w twarzy szwagra.

- Dotrzymać też.

Simon zakasłał. Szukał w myślach jakiegoś sposobu zapytania o Daphne bez zbytniego narzucania się jej bratu. Tęsknił za nią. Czuł się jak idiota, czuł się jak głupiec, ale tęsknił za nią. Brakowało mu jej śmiechu, jej zapachu i tego, że zawsze potrafiła splątać jego nogi ze swoimi - czasami w samym środku nocy.

Był przyzwyczajony do samotności, ale nie do aż takiej.

- Czy Daphne wysłała cię po mnie? - spytał w końcu.

- Nie. - Bridgerton sięgnął do kieszeni, wyjął małą kopertę koloru kości słoniowej i rzucił ją na biurko. - Zastałem ją przy wzywaniu posłańca, który miał ci to dostarczyć.

Książę ze zgrozą wlepił wzrok w kopertę. To mogło oznaczać tylko jedno. Próbował powiedzieć coś błahego, na przykład: „Rozumiem”, ale w ustach wyrósł mu knebel.

- Powiedziałem jej, że chętnie ci ten list zawiozę - oznajmił ze zjadliwą ironią Anthony.

Simon zignorował go. Sięgnął po kopertę, licząc na to, że przyjaciel nie zauważy, jak mu drżą palce.

Ale zauważył.

- Co się, u licha, z tobą dzieje? - rzucił szorstkim tonem. - Wyglądasz jak wszyscy diabli.

Simon chwycił kopertę i przyciągnął ją do siebie.

- Mnie też zawsze niezwykle miło cię widzieć - zdołał zażartować.

Anthony wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem, na jego twarzy gniew zmagął się z troską. Kilka razy zakasłał i spytał wreszcie zaskakująco łagodnym tonem:

- Jesteś chory?

- Ale skąd.

Anthony zbladł.

- A może Daphne jest chora?

Simon poderwał głowę do góry.

- Nic mi o tym nie mówiła. A co? Wygląda na chorą? Czy ona...

- Nie, wygląda na zdrową. - Oczy Anthony'ego załśniły ciekawością. - Simonie, co ty tu robisz? - zapytał, kiwając głową. - Przecież ty ją kochasz. I mimo że tego nie rozumiem, Daphne chyba również kocha ciebie.

Simon przycisnął palce do skroni, próbując uśmierzyć pulsujący ból głowy, który zdawał się nie odstępować go w tych dniach.

- Są sprawy, których nie znasz - powiedział ze znużeniem, przytykając z bólu oczy. - Sprawy, których nigdy byś nie zrozumiał.

Anthony milczał dobrą minutę. Wreszcie, gdy tylko Simon otworzył oczy, odepchnął się od biurka i ruszył do drzwi.

- Nie zaciągnę cię siłą do Londynu - rzekł cicho. - Powiniennem, ale tego nie zrobię. Daphne musi wiedzieć, że sam przyjechałeś do niej, a nie dlatego, że jej starszy brat przyłożył ci pistolet do pleców.

Simon chciał mu przypomnieć, że właśnie dlatego się z nią ożenił, ale ugryzł się w język. To nie była prawda. Przynajmniej nie cała. Za innego życia błagałby o jej rękę na kolanach.

- Powinieneś jednakże wiedzieć - ciągnął Bridgerton - że ludzie zaczynają gadać. Daphne wróciła do Londynu sama w dwa tygodnie po waszym dość pośpiesznym ślubie. Biedaczka nadrabia miną, ale to musi boleć. Wprawdzie nikt nie wyskoczył jeszcze z żadną obraźliwą aluzją, lecz z drugiej strony, jak długo można znosić wyrazy szczerzego współczucia? A ta przekłeta Whistledown już zaczęła ją obsmarowywać.

Książę aż zadrżał. Przebywał w Anglii dopiero od niedawna, ale wystarczająco długo, aby się zorientować, że ta mityczna lady Whistledown potrafi wyrządzić ludziom krzywdę i zadać im wiele bólu.

Anthony zaklął z obrzydzeniem.

- Zgłoś się do jakiegoś lekarza, Hastings. A potem zabieraj się stąd i wracaj do żony. - Z tymi słowami wyszedł za drzwi.

Simon spoglądał na trzymaną w rękach kopertę przez wiele minut, zanim zdecydował się ją otworzyć. Wizyta Bridgertona wywołała u niego szok. Świadomość, że Anthony widział się niedawno z Daphne, rozdzierała mu serce.

Niech to szlag, psiakrew! Kto się mógł spodziewać, że będzie za nią tęsknił?

Co nie znaczy, że przestał się na nią złościć. Zabrała mu coś, czego zupełnie otwarcie nie zamierzał dawać. Nie chciał dzieci. Poinformował ją o tym. Wyszła za niego za męża, wiedząc o tym. A jednak użyła podstęp.

A może nie? Tarł czoło i oczy z narastającym znużeniem, próbując przypomnieć sobie najważniejsze szczegóły tego fatalnego poranka. Daphne na pewno przewodziła w ich miłosnym obcowaniu, jednakże pamiętał wyraźnie własny głos przynaglający ją do działania.

Ale na pewno nie zaszła w ciążę, pocieszał się. Czyż jego matka nie potrzebowała z górą dziesięciu lat na wydanie na świat choćby jednego żyjącego dzieciaka?

Lecz kiedy nocą przewracał się w łóżku sam, wtedy nie miał żadnych wątpliwości. Uciekł nie dlatego, że Daphne go oszukała, ani dlatego, że być może spółdził bachora.

Uciekł dlatego, że nie mógł znieść relacji między nimi. Daphne sprawiła, że znów stał się jąką, nie potrafiącym się wysłowić głupkiem z jego dzieciństwa. Odebrała mu mowę, przywołała to straszne uczucie dławienia, koszmar niemożności wypowiedzenia wszystkiego, co się czuje.

Nie wiedział już, czy mógłby z nią żyć, gdyby miało to oznaczać, że na powrót zamieni się w chłopca, który ledwo duka. Próbował przypominać sobie ich zaloty - takie na ni-by, myślał z uśmiechem - i rozpamiętywał beztróskę, która towarzyszyła ich spotkaniom i pogawędkom. Niestety, wszystkie te wspomnienia nieuchronnie wiodły go do jednego miejsca - do sypialni Daphne owego straszego poranka, kiedy potykał się o własny język i głos mu uwiązał w gardle.

Znienawidził ją za to.

Więc uciekł do jednego ze swych wiejskich majątków - jako ksiązę miał ich bez liku. Ten konkretny dom znajdował się Wiltshire, które, jak doszedł do wniosku, wcale nie było zanadto oddalone od Clyvedon. Mógłby wrócić za półtora dnia, gdyby wziął konie do galopu. To nie była prawdziwa ucieczka, skoro tak łatwo można było wrócić.

A teraz wyglądało na to, że będzie musiał wracać.

Wziąwszy głęboki oddech, podniósł nożyk do listów i rozciął kopertę. Wyjął pojedynczą kartkę papieru i opuścił na nią wzrok.

Simonie,

Moje wysiłki, jak byłeś łaskaw je określić, zostały uwiecznione powodzeniem. Przeniosłam się do Londynu, gdyż chciałam znaleźć się bliżej rodziny i tam poczekać na twoje instrukcje.

Twoja Daphne

Simon nie miał pojęcia, jak długo siedział za biurkiem; ledwo oddychał, a spomiędzy palców wystawał mu kremowy świstek papieru. W końcu owiał go lekki wietrzyk, a może zmieniło się oświetlenie lub zaskrzypiał dom - tak czy owak, coś wyrwało go z zadumy i Simon skoczył na równe nogi, wypadł do holu i wrzasnął na lokaja.

- Każ zaprzęgać do karety - rozkazał, kiedy pojawił się lokaj. - Wyjeżdżam do Londynu.

20

W małżeństwie sezonu najwyraźniej coś się popsło. Księżna Hastings (dawniej panna Bridgerton) bez mała dwa miesiące temu wróciła do Londynu, natomiast pisząca te słowa nie widziała ani śladu jej niedawno poślubionego małżonka, księcia.

Krążą plotki, że nie ma go w Clyvedon, gdzie młoda para spędziła wcześniej miodowy miesiąc. Co gorsza, pisząca te słowa nie potrafi znaleźć nikogo, kto mógłby się pochwalic znajomością miejsca pobytu księcia. (Jeśli nawet księżna je zna, to trzyma to dla siebie, ponadto brakuje okazji, by o to zapytać, bo jej wysokość unika wszystkich prócz swej okazałej tudzież licznej rodziny).

Psim prawem rzecz jasna i naturalnie psim obowiązkiem piszącej te słowa jest dociekanie przyczyn takowego rozkładu, lecz pisząca te słowa musi przyznać, że nawet i ona znalazła się w kropce. Wydawali się tacy zakochani...

Kronika towarzyska lady Whistledown, 2 sierpnia 1813

Podróż zajęła dwa dni, to znaczy o dwa dni dłużej niż okres, przez jaki Simon chciałby przebywać sam na sam ze swymi myślami. Wziął ze sobą kilka książek, licząc, że oderwą go od rzeczywistości w trakcie nudnej jazdy, ale jeśli nawet udało mu się którąś otworzyć, i tak tylko leżała potem zapomniana na jego kolanach.

Trudno było usunąć Daphne z pamięci.

A jeszcze trudniej było usunąć z pamięci perspektywę ojcostwa.

Kiedy wreszcie znalazł się w Londynie, kazał stangretowi zawieźć się prosto do Bridgerton House. Czuł zmęczenie po długiej podróży i zapewne powinien wykorzystać zmianę ubrania, lecz przez dwa ostatnie dni nie zajmował się niczym innym poza odgrywaniem w myślach nieuchronnej konfrontacji z Daphne - odkładanie jej zatem na później byłoby głupim posunięciem.

Jednak znalazłszy się w Bridgerton House, Simon odkrył, że jego żony tam nie ma.

- Co to znaczy, że księżnej nie ma? - zapytał morderczym głosem. Nie przejmował się za bardzo tym, że lokaj niczym specjalnym nie zasłużył na jego gniew.

Lokaj zignorował jego ton i tylko wydał wargi.

- To znaczy, wasza miłość - nie było to powiedziane ze szczególną miłością - że nie ma jej w rezydencji.

- Mam tu list od żony... - Simon wepchnął rękę do kieszeni, ale - niech to diabli - nie wyciągnął jej na zewnątrz wraz z kartką papieru. - Cóż, mam tu gdzieś list od niej - mruknął. - Stoi w nim wyraźnie, że przeniosła się do Londynu.

- Tak też uczyniła, wasza miłość.

- No, to gdzie się do cholery podziewa? - wycodził.

Lokaj poruszył tylko brwiami.

- W Hastings House, wasza miłość.

Simon zasznurował usta. Nie ma nic równie poniżającego, jak okpienie przez lokaja.

- Przecież wyszła za *pana*, czyi nie? - ciągnął już wyraźnie rozbawiony lokaj.

Książę spiorunował go wzrokiem.

- Musicie być bardzo pewni swojej pozycji.

- Bardzo.

Simon posłał mu lakoniczne skinienie głowy (nie potrafił zmusić się do podziękowania temu człowiekowi) i odszedł, czując się jak dureń. Oczywiście, że Daphne pojechały do Hastings House. Przecież go nie *porzuciła*; po prostu chciała być tylko bliżej swojej rodziny.

Gdyby po drodze do karety mógł się kopnąć, byłby to zrobił.

Ale kiedy już do niej wsiadł, faktycznie się kopnął. Mieszkał tuż po drugiej stronie Grosvenor Square, naprzeciwko Bridgertonów. Pieszko zdołałyby pokonać ten cholerny trawnik w dwa razy krótszym czasie.

Kwestia czasu nie okazała się jednakże szczególnie istotna, gdyż kiedy przekroczył próg Hastings House, odkrył, że żony w domu nie ma.

- Wybrała się na przejażdżkę - oznajmił Jeffries.

Z niedowierzaniem wybałuszył oczy na lokaja.

- Na przejażdżkę? - powtórzył.

- Tak, wasza wysokość - odparł Jeffries. - Na przejażdżkę. Konną.

Simon zastanawiał się, jaki wyrok mógłby dostać za uduślenie służącego.

- Dokąd pojechała? - burknął.

- Chyba do Hyde Parku.

Simonowi krew uderzyła do głowy, a jego oddech stal się urywany. Na koniu? Czy ona zwariowała? Na miłość boską, przecież jest w ciąży. Nawet *on* wiedział, że ciężarnym kobietom nie wolno jeździć konno.

- Każ osiodłać dla mnie konia - rozkazał. - Natychmiast.

- Któregoś konkretnego?

- Szybkiego - rzucił Simon. - I zrób to od razu. Albo jeszcze lepiej, sam to zrobię. - Z tymi słowami wymaszerował z domu.

Ale w połowie drogi do stajni panika Simona przesączyła się z krwi do szpiku kostnego i jego desperacki, chód zamienił się w sprint.

To nie to samo co jazda okrakiem, myślała Daphne, ale przynajmniej jechało się *prędko*.

W dzieciństwie, kiedy mieszkali na wsi, lubiła pożyczać bryczesy Colina i wybierać się wraz z braćmi na przejażdżkę, gdzie oczy poniosą. Matka zwykle dostawała ataku hysterii, gdy najstarsza córka wracała cała umazana błotem, często wystawiając na pokaz nowy, wstrząsająco wielki siniak, ale Daphne w ogóle się tym nie przejmowała. Było jej wszystko jedno, dokąd albo skąd jechali. Chodziło wyłącznie o szybkość.

W mieście rzecz jasna nie mogła wdziawać bryczesów, co skazywało ją na damskie siodło i jazdę bokiem. Wystarczyło jednak wsiąść na konia wczesnym rankiem, gdy wytworny Londyn wylegiwał się jeszcze w łóżku, i poprzestać na co odleglejszych zakątkach Hyde Parku, aby móc pochylić się nad siodłem i puścić konia galopem. Pęd powietrza wyrwał z koczka włosy i wyciskał z oczu łzy, ale przynajmniej pomagał zapomnieć.

Galopując po łąkach na ulubionej klaczy, czuła się wolna. Nie ma lepszego lekarstwa na złamane serce.

Minęło już sporo czasu, odkąd wystrychnęła stajennego na dudka, udając, że nie słyszy, jak do niej woła: - Proszę zaczekać! Wasza wysokość! Proszę zaczekać!

Później go przeprosi. Stajenni w Bridgerton House byli przyzwyczajeni do wybryków Daphne i świetnie znali jej jeździeckie umiejętności. Ten nowy człowiek - jeden ze słujących męża - będzie się na pewno niepokoił.

Trochę gryzło ją sumienie - ale tylko trochę. Musiała być sama. Musiała jechać co koń wyskoczy.

Zwolniła nieco, zbliżając się do lekko zalesionego terenu, i odetchnęła głęboko rześkim, jesiennym powietrzem. Na chwi-

lę przymknęła oczy, by chłonać dźwięki i zapachy parku. Przypomniała sobie spotkanego niegdyś ślepcę, który opowiadał, że z chwilą kiedy stracił wzrok, reszta jego zmysłów niezwykle się wyostriżyła. Kiedy siedziała na koniu, wdychając zapachy przyrody, odnosiła wrażenie, że ślepiec chyba miał rację.

Wyteńczyła słuch, rozpoznając najpierw piskliwy świergot ptaków, a później delikatny tupot łapek przemykających wiewiórek, gromadzących zapasy na zimę. Następnie...

Zmarszczyła brwi i otworzyła szeroko oczy. Do diabła! Wyraźnie ktoś jedzie konno i na dodatek zbliża się do niej.

Daphne nie potrzebowała towarzystwa. Chciała być sama ze swymi myślami i bólem, a już na pewno nie miała ochoty wyjaśniać jakiemuś życzliwemu dżentelmenowi, dlaczego znajduje się sama w parku. Ponownie nadstawiła uszu, zlokalizowała zbliżającego się intruza i ruszyła w przeciwną stronę.

Puściła konia równym kłusem, wychodząc z założenia, że jeśli zjedzie nieznanemu z drogi, to on po prostu nie zwróci na nią uwagi. Ale dokądkolwiek skręcała, ten uparcie jechał za nią.

Nabrała szybkości, większej, niż należało w tej nieco zalesionej okolicy. Za dużo było tu niskich gałęzi i wystających korzeni. Ale Daphne już zaczynała się bać. W uszach pulsowało jej tętno, a umysł przewiercały tysiące straszliwych pytań.

A jeśli jeździec nie należy, jak początkowo myślała, do śmietanki towarzyskiej? A jak to opryszek? Albo pijak? Jest jeszcze wcześniej; w okolicy nie ma żywej duszy. Gdyby zaczęła krzyczeć, to kto ją usłyszy? Czy jest dostatecznie blisko stajennego? Czy ruszył się z miejsca, w którym go zostawiła, i czy spróbował za nią pojechać? Jeśli spróbował, to czy wybrał dobry kierunek?

Stajenny! Prawie wykrzyknęła z ulgą. To na pewno stajenny. Nawróciła klacz, żeby sprawdzić, czy nie zdoła ujrzeć jeźdźca w przelocie. Służba Hastingsów nosiła czerwona liberię; na pewno uda jej się stwierdzić, czy...

Trzask!

Jakaś gałąź trafiła Daphne prosto w klatkę piersiową, gwałtownie wytłaczając powietrze z jej płuc aż do ostatniej cząstecz-

ki. Zduszony jęk dobył się z jej krtani i zauważyła, że klacz biegnie dalej sama, bez niej. A potem zaczęła spadać... spadać...

Wylądowała z głuchym chrzęstem kości, jesienne, brązowe listowie nie osłabiło niestety uderzenia. Zwinęła się natychmiast w pozycji embrionalnej, jak gdyby chciała zmniejszyć ciało do minimum, aby tym samym zmniejszyć do minimum również ból.

Boże, jak ją bolało. Do diabła, bolało ją wszędzie. Zaciśnęła mocno powieki i skoncentrowała się na oddychaniu. Jej umysł zalewała fala przekleństw, których w życiu nie ośmieliłaby się powiedzieć na głos. Ależ ją bolało. Psiakrew, cholera, bolało przy każdym oddechu.

Lecz musiała oddychać. Oddychać. Oddychaj, Daphne, nakazała sobie. Oddychaj. Oddychaj. Dasz radę to zrobić.

- Daphne!

Nie zareagowała. Jedynym dźwiękiem, który zdawała się słyszeć, było kwilenie. Nawet jęk nie leżał w jej możliwościach.

- Daphne! Jezu Chryste, Daphne!

Usłyszała, że ktoś zeskakuje z konia, a potem powstał jakiś ruch wśród liści wokół niej.

- Daphne?

- Simon? - wyszeptała z niedowierzaniem. To nie miało sensu, że on tu jest, ale ten głos należał do niego. I choć jeszcze nie rozwarła oczu, *instynkt jej podpowiedział*, że to on. Powietrze ulegało metamorfozie, gdy w pobliżu znajdował się Simon.

Jego ręce musnęły ją lekko w poszukiwaniu złamanych kości.

- Powiedz, gdzie cię boli - poprosił.

- Wszędzie - sapnęła.

Zaklął pod nosem, ale dotyk jego palców pozostawał boleśnie delikatny i kojący.

- Otwórz oczy - polecił jej łagodnie. - Spójrz na mnie. Skup wzrok na mojej twarzy.

Pokręciła głową.

- Nie mogę.

- *Możesz.*

Usłyszała, że ściąga rękawiczki, następnie poczuła na

skroniach jego ciepłe palce, łagodzące silne napięcie. Przesunęły się do jej brwi, a potem do zgarbienia na nosie.

- Szszsz - zanucił. - Ból powolutku ustępuje. Zaraz go już nie będzie. Daphne, otwórz oczy.

Stopniowo i z wielkim trudem udało jej się je otworzyć. Pole widzenia wypełniła twarz Simona i przez chwilę nie pamiętała niczego, co się stało między nimi, niczego poza tym, że go kocha, że on tu jest i próbuje uśmierzyć jej ból.

- Spójrz na mnie - poprosił jeszcze raz cichym i uporczywym głosem. - Spójrz na mnie i nie odrywaj ode mnie wzroku.

Kiwnęła głową jak najdelikatniej i skupiła na nim oczy, pozwalając unieruchomić się intensywności jego spojrzenia.

- Teraz masz się odprężyć - powiedział. Jego głos był łagodny, a jednocześnie władczy, i właśnie tego było jej potrzeba. W czasie kiedy Simon mówił do niej, jego ręce przesuwały się po jej ciele, szukając ewentualnych złamań albo zwicnięć.

Ani na moment nie odrywał od niej wzroku.

Ciągle przemawiał do niej tym cichym, kojącym tonem, sprawdzając urazy na jej ciele. Jakoś nie doznała większych obrażeń, jeśli nie liczyć kilku okropnych siniaków i utraty oddechu, lecz ostrożności nigdy za dużo, a gdy jest dziecko...

Krew odpłynęła mu z twarzy. Zdjęty strachem o Daphne, zapomniał w ogóle o dziecku, które nosiła. Jego dziecku.

Ich dziecku.

- Daphne - odezwał się niespiesznie. Ostrożnie. - Czy sądzisz, że nic ci się nie stało?

Kiwnęła głową.

- Jeszcze cię boli?

- Trochę - przyznała, przełykając niedołącznie i mrugając oczami. - Ale czuję się coraz lepiej.

- Na pewno?

Znowu kiwnęła.

- To świetnie - westchnął uspokojony. Milczał kilka sekund, następnie ryknął głośno: - *Co ty, na miłość boską, wyprawiasz?*

Daphne aż rozdziawiła usta, a jej powieki z wielką szybkością zaczęły się otwierać i zamykać. Wydała zduszony

dźwięk, który mógł przemienić się w jakieś słowo, ale Simon zagłuszył ją kolejnym wrzaskiem:

- Coś ty, do cholery, robiła tu bez stajennego? I dlaczego galopowałaś, skoro teren wyraźnie na to nie pozwala? - Ściągnęły mu się brwi. - I na miłość boską, kobieto, coś ty robiła na koniu?

- Jechałam? - odparła słabo.

- Czy ciebie w ogóle nie obchodzi nasze dziecko? Nawet przez moment nie pomyślałaś o jego bezpieczeństwie?

- Simonie - bąknęła cienkim głosem.

- Brzemenna kobieta nie powinna nawet na trzy kroki podchodzić do konia! Powinnaś mieć więcej rozumu.

Kiedy spojrzała na niego, miała oczy staruszki.

- Czemu cię to obchodzi? - spytała apatycznie. - Nie chciałeś tego dziecka.

- Owszem, nie chciałem, ale skoro już jest, to nie chcę, żebyś je *zabiła*.

- No więc nie musisz się już martwić. - Zagryzła wargę. - Jego nie ma.

Simonowi zaparło dech.

- Jak to?

Uskoczyła wzrokiem w bok.

- Nie jestem w ciąży.

- Nie jesteś... - nie zdołał dokończyć zdania. Jego ciało ogarnęło przedziwne uczucie. Raczej nie rozczarowania, choć nie był wcale tego pewien. - Okłamałaś mnie? - szepnął.

Gwałtownie potrząsnęła głową i usiadła prosto, patrząc mu w oczy.

- Nie! - zawołała. - Nie, ja wcale nie kłamałam. Przysięgam. Myślałam, że zaszłam w ciążę. Naprawdę tak myślałam. Ale... - Stłumiła szloch, zaciskając powieki przed naporem łez. Podciągnęła nogi do ciała i przytuliła twarz do kolan.

Simon nigdy nie widział jej w takim stanie, pogrążonej w tak bezbrzeżnym smutku. Patrzył na nią nieruchomo szeroko otwartymi oczami, czując się rozpaczliwie bezradny. Pragnął jedynie sprawić, żeby poczuła się lepiej, lecz świadomość, że *to on* jest przyczyną jej bólu, nie bardzo mu w tym pomagała.

- Ale co, Daff?

Kiedy wreszcie podniosła na niego wzrok, oczy miała ogromne i przepełnione żalnością.

- Sama nie wiem. Może tak bardzo chciałam mieć dziecko, że siłą woli zatrzymałam krwawienie. W zeszłym miesiącu byłam taka szczęśliwa. - Jej głos powoli zaczynał przemieniać się w szloch. - Czekałam i czekałam, nawet przygotowałam sobie kilka tamponów, i nic się nie działo.

- Nic? - Simon w życiu nie słyszał czegoś podobnego.

- Nic. - Usta jej drżały, wyginając się w autoironicznym uśmiechu. - Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa, że nic się nie dzieje.

- Miałaś mdłości?

Pokręciła głową.

- Czułam się tak samo. Z tym że nie miałam krwawienia. Ale dwa dni temu...

Pogłaskał ją po głowie.

- Bardzo mi przykro, Daphne.

- Nie, wcale ci nie jest przykro - odparła z goryczą, odsuwając głowę. - Nie udawaj uczuć, które są ci obce. I na litość boską, nie okłamuj mnie znowu. Nigdy nie chciałeś tego dziecka. - Wybuchnęła głuchym, nerwowym śmiechem. - *Tego* dziecka? Mój Boże, mówię o nim, jakby w ogóle kiedykolwiek istniało. Jak gdyby było czymś więcej niż tylko wytworem mojej wyobraźni. - Spuściła wzrok, a kiedy przemówiła ponownie, jej głos był boleśnie zasmucony. - Oraz moich marzeń.

Usta Simona poruszyły się kilkakrotnie, zanim zdołał powiedzieć:

- Nie lubię oglądać cię w takim złym humorze.

Popatrzyła na niego z wyrazem niedowierzania i jednocześnie współczucia.

- Nie rozumiem, jak możesz oczekiwać czegoś innego.

- Ch-ch-ch - przełknął ślinę, próbując rozluźnić sobie gardło i w końcu wyrzekł tylko jedną rzecz, która leżała mu na sercu: - Chcę cię odzyskać.

Nic nie odpowiedziała. Simon błagał ją w myślach, żeby się odezwała, ale ona wciąż milczała. I złorzeczył bogom za jej mil-

czenie, bo to znaczyło, że będzie musiał powiedzieć więcej.

- Kiedy się pokłóciliśmy - zaczął powoli - straciłem panowanie nad sobą. N... nie mogłem mówić. - Zamknął oczy i pograżył się w rozpacz, czując, jak zaciskają mu się szczęki. Wreszcie, zrobiwszy długi, urywany wydech, dodał: - Aż tak nienawidzę siebie samego.

Głowa Daphne trochę się przechyliła, a jej czoło przecięły bruzdy.

- Dlatego odszedłeś?

Kiwnął głową.

- Nie chodziło o to... co zrobiłam?

Wymienili łagodne spojrzenia.

- Nie podobało mi się to, co zrobiłaś.

- Ale nie dlatego odszedłeś? - dopytywała się.

Zapadła chwila ciszy, po czym Simon odpowiedział:

- Nie dlatego.

Daphne podciągnęła kolana pod brodę, zastanawiając się nad jego słowami. Myślała przez cały czas, że porzucił ją z nienawiści do niej, a nienawidzi jej za to, co zrobiła, ale tak naprawdę nienawidził tylko samego siebie.

- Wiesz, nie uważam cię za kogoś gorszego, kiedy się jąkasz - odezwała się łagodnie.

- Sam się uważam za gorszego.

Pokiwała powoli głową. Oczywiście, że za takiego się uważała. Simon był dumny i uparty. Cała socjeta go poważała. Mężczyźni zabiegali o jego łaski, kobiety flirtowały z nim jak szalone. A tymczasem on, ilekroć otwierał usta, wpadał w panikę.

No, może nie zawsze, myślała, wpatrując się w jego twarz. Kiedy byli tylko we dwoje, mówił z taką swobodą, odpowiadał jej tak szybko, że na pewno nie zastanawiał się nad każdym słowem.

Położyła dłoń na jego rękę.

- Nie jesteś chłopcem, za jakiego uważał cię ojciec.

- Wiem o tym - odparł, ale nie spojrzął jej w oczy.

- Simonie, popatrz na mnie - poprosiła grzecznie. Kiedy to zrobił, powtórzyła to, co powiedziała przed chwilą: - Nie jesteś chłopcem, za jakiego uważał cię ojciec.

- Wiem o tym - powtórzył, tym razem wyglądał na zdziwionego i może trochę zirytowanego.

- Jesteś tego pewny? - spytała delikatnie.

- Do licha, Daphne, ja o tym wiem... - zamilkł, a całe jego ciało zaczęło dygotać.

Przez straszną chwilę Daphne bała się, że Simon się rozpłaczę. Ale łzy, które napływały mu do oczu, nie przelały się. Kiedy podniósł na nią wzrok, a jego ciałem nadal wstrząsały dreszcze, powiedział tylko:

- Ja go nienawidzę, Daphne. Ja g-g-g-

.Przeniosła ręce na jego policzki i obróciła jego twarz ku swojej, zmuszając go, aby na nią spojrzął.

- W porządku - oznajmiła. - Wydaje się, że był strasznym człowiekiem. Ale musisz się z tym pogodzić.

- Nie mogę.

- *Możesz*. To nic, że się gniewasz, ale niech to nie będzie decydujący czynnik twojego życia. Nawet teraz pozwalasz ojcu dokonywać wyboru za ciebie.

Simon odwrócił wzrok.

Daphne cofnęła ręce od jego twarzy, ale postarała się, żeby spoczęły na jego kolanach. Potrzebowała tego kontaktu. W dziwny sposób bała się, że jeśli teraz wypuści Simona z rąk, to straci go na zawsze.

- Czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie, czy *ty* chcesz mieć rodzinę? Czy chcesz mieć swoje własne dziecko? Byłbyś cudownym ojcem, Simonie, a jednak nawet nie dopuszczasz do siebie takiej myśli. Sądzisz, że bierzesz odwet, ale w rzeczywistości tylko pozwalasz mu rządzić tobą z za grobu.

- Jak dam mu dziecko, on wygra - szepnął Simon.

- Nie, jak dziecko dasz *sobie*, to ty wygrasz. - Przełknęła konwulsyjnie. - Wygramy wszyscy.

Simon nic nie odpowiedział, ale Daphne spostrzegła, że jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Jeśli nie chcesz mieć dziecka, ponieważ to *ty* go nie chcesz, to trudno. Ale jeśli odmawiasz sobie radości ojcostwa z powodu nieżyjącego człowieka, to jesteś tchórzem. - Skrzywiła się, wypowiadając tę zniewagę, ale musiała to po-

wiedzieć. - Kiedyś musisz rozstać się z nim i żyć własnym życiem. Musisz zapomnieć o gniewie i...

Simon potrząsnął głową, a na jego twarzy malowała się rozpacz i zagubienie.

- Nie prosź mnie o to. To jest wszystko, co mam. Zrozum, to jest *wszystko, co mam*.

- Nie rozumiem.

- Dlaczego twoim zdaniem nauczyłem się poprawnie mówić? - spytał podniesionym głosem. - Co mną kierowało? To był gniew. To był zawsze gniew, zawsze - żeby mu pokazać.

- Simon...

W jego gardle eksplodował wulkan szyderczego śmiechu.

- Prawda, jakie to zabawne? Nienawidzę go. Nienawidzę go głęboko, a jednak wyłącznie przez niego zdołałem odnieść sukces.

Daphne potrząsnęła głową.

- To nieprawda - rzuciła z żarem - odniósłbyś sukces bez względu na wszystko. Jesteś uparty i błyskotliwy, i ja *ciębie znam*. Nauczyłeś się mówić dzięki *sobie*, a nie dzięki niemu. - Kiedy nie odpowiadał, dodała łagodnym tonem: - Gdyby okazał ci miłość, wszystko poszłoby o wiele łatwiej.

Simon zaczął potrząsać głową, ale Daphne powstrzymała go, ściskając go za rękę.

- Mnie okazano miłość - szepnęła. - Kiedy dorastałam, poznałam jedynie miłość i oddanie. Uwierz mi, to sprawia, że wszystko staje się łatwiejsze.

Przez kilka minut Simon siedział w milczeniu, usiłując odzyskać panowanie nad sobą, a jedynym dobiegającym ich odgłosem był szum jego oddechu. Wreszcie, gdy Daphne zaczęła się już niepokoić, że go straciła, podniósł na nią swoje przepełnione cierpieniem oczy.

- Chcę być szczęśliwy - szepnął.

- Będiesz - obiecała solennie, obejmując go w pól. - Będziesz.

Książę Hastings wrócił!

Kronika towarzyska lady Whistledown, 6 sierpnia 1813

Kiedy jechali powoli do domu, Simon w ogóle się nie odzywał. Klacz Daphne odnalazła się piętnaście kroków dalej - pasła się cała szczęśliwa na kępie trawy, a choć Daphne upierała się, że jest w stanie jechać, Simon uparł się, że nic go to nie obchodzi. Przywiązał cugle klaczy do uprzęży swojego wałacha, podsadził żonę na swoje siodło, następnie wskoczył za nią i ruszyli z powrotem na Grosvenor Square.

A poza tym musiał się jej trzymać.

Zaczął zdawać sobie sprawę, że musi się w życiu czegoś trzymać i że może Daphne ma rację - może gniew nie jest najlepszym rozwiązaniem. Może - tylko może - zamiast od czuwać gniew, zdoła zawierzyć miłości.

Gdy dotarli do Hastings House, z domu wybiegł stajenny, aby odprowadzić konie. Simon i Daphne wdrapali się po frontowych schodach do drzwi i weszli do holu. Tu natknęli się na trzech starszych braci Bridgertonów, którzy piorunowali ich wzrokiem.

- Co wy, u diabła, robicie w moim domu? - Simon omal nie krzyknął. Marzył tylko o tym, by pobiec na górę i kochać się z żoną, a tu wojownicze trio urządza mu powitanie. Wszyscy stali w takiej samej pozycji - nogi szeroko rozstawione, ręce wsparte na biodrach, podbródki wysunięte do przodu. Gdyby Simona nie wzięła taka cholerna złość na tę całą bandę, miałyby chyba tyle przytomności umysłu, że by się przestraszyć.

Nie wątpił, że da sobie radę z jednym - no, *może* z dwoma - ale przeciw całej trójce nie miał żadnych szans.

- Słyszeliśmy, żeś wrócił - oznajmił Anthony.

- No więc wróciłem - odparł Simon. - A teraz, wynocha.

- Nie tak prędko - oświadczył Benedict, zakładając ręce na piersi.

Simon zwrócił się do Daphne.

- Którego mogę zastrzelić najpierw?

Obrzuciła ich groźnym spojrzeniem.

- Nie mam żadnych preferencji.

- Za to my oczekujemy paru wyjaśnień, zanim pozwolimy ci Daphne zatrzymać - odezwał się Colin.

- Co? - zawyła.

- *To moja zonal* - ryknął Simon, skutecznie unieważniając jej gniewne zapytanie.

- Najpierw była naszą siostrą - warknął Anthony - a przez ciebie teraz cierpi.

- Nie wasza sprawa - upierała się Daphne.

- *Ty jesteś* naszą sprawą - oświadczył Benedict.

- Ona jest *moją* sprawą - rzucił Simon - więc wynoście się do wszystkich diabłów z mojego domu.

- Kiedy się sami pożenicie, wtedy będziecie mieli prawo udzielać mi rad - powiedziała ze złością Daphne - ale na razie wtykajcie swoje wścibskie nochale we własne sprawy.

- Przykro mi, Daff - rzekł Anthony - ale nie zmienimy zdania w tej kwestii.

- W jakiej? - rzuciła. - Nie do was należy wygłaszanie kazań. To nie wasz interes!

Colin wysforował się przed szereg.

- Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie będziemy mieli pewności, że on cię kocha.

Daphne odpłynęła krew z twarzy. Simon nigdy jej nie powiedział, że ją kocha. Okazał to na tysiące maleńkich sposobików, ale nigdy nie wyrzekł tych słów. Kiedy wreszcie padną, niech nie będą przeznaczone dla uszu aroganckich braciszków; niech popłyną bez przymusu, z uczuciem, z głębi serca.

- Nie rób tego, Colinie - szepnęła, nienawidząc tego patosu, tego żebraczego tonu w swoim głosie. - Musisz mi pozwolić samej toczyć moje walki.

- Daff...

- Proszę - rzuciła błagalnie.

Simon wkroczył między nich.

- Zechcesz nam wybaczyć - powiedział do Colina, rozciągając te słowa na Anthony'ego i Benedicta. Szarmancko zaprowadził żonę w kąt holu, gdzie mogli porozmawiać bez świadków. Co prawda, wolałby przenieść się do zupełnie innego pomieszczenia, ale nie miał żadnej pewności, czy jej trzech durnowaci braciszkanie nie pobiegną tam za nimi.

- Przepraszam za nich - wyszeptała gorączkowo. - To nieokrzesani idioci i nie mieli żadnego prawa nachodzić twojego domu. Gdybym mogła się ich zaprzec, tobym się zaparła. Po tym, jak zrobili z siebie widowisko, wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś w ogóle nie chciał już mieć dzieci...

Simon uciszył ją, przyciskając palec do jej ust.

- Po pierwsze, to nasz dom, a nie mój. A co do twoich braci - denerwują mnie jak wszyscy diabli, ale powodowali się miłością. - Pochylił się w dół, tylko o jeden cal, ale starczyło, by poczuła jego oddech na swojej skórze. - I kto ma prawo ich potępiać?

Daphne zamarło serce.

Simon przysunął się najbliżej jak tylko mógł, aż jego nos dotknął do jej.

- Kocham cię, Daff - szepnął.

Jej serce na nowo ruszyło do pracy, całą naprzód. ,

- Tak?

Pokiwał głową, trąc czubkiem swojego nosa o jej.

- Nic na to nie mogłem poradzić.

Jej usta z drżeniem rozchyliły się w niepewnym uśmiechu.

- Romantyczne to to nie było.

- Ale prawdziwe - odparł z bezradnym wzruszeniem ramion. - Ty najlepiej powinnaś wiedzieć, że nie pragnąłem niczego z tych rzeczy. Nie chciałem mieć żony, nie chciałem mieć rodziny, a już *stanowczo* nie chciałem się *zakochać*. - Delikatnie musnął jej wargi swoimi, wywołując fale dreszczy w obu ciałach. - Przekonałem się jednak - jego usta znowu musnęły jej - ku mojemu wielkiemu przerażeniu - i zno-

wu - że fizyczną niemożliwością było ciebie *nie* pokochać.

Daphne dosłownie roztopiła się w jego ramionach.

- O, Simonie - westchnęła.

Jego usta zawładnęły jej wargami, usiłował udowodnić jej pocałunkiem to, co dopiero uczył się wyrażać słowami. Kochał ją. Ubóstwiał. Przeszedłby dla niej przez ogień. Miał... wciąż publiczność w osobach trzech jej braci.

Przerywając powoli pocałunek, odwrócił twarz. Anthony, Benedict i Colin nadal stali w holu. Anthony wodził badawczym wzrokiem po suficie, Benedict udawał, że liczy paznokcie, a Colin wręcz bezwstydnie strzelał oczami w ich kierunku.

Simon przytulił Daphne mocniej, co nie przeszkodziło mu cisnąć kilku spojrzeń w głąb holu.

- Co wy, do cholery, robicie jeszcze w moim domu? - Nic dziwnego, że żaden nie miał gotowej odpowiedzi. - Zabierajcie się *stąd* - warknął.

- Proszę was. - Ton głosu Daphne niezupełnie zdradzał uprzejmość.

- Racja - odpowiedział Anthony, klepiąc Colina w potylicę. - Mam wrażenie, chłopcy, że nasza robota jest skończona.

Simon zaczął ciągnąć żonę w stronę schodów.

- Jestem pewny, że potraficie sami dotrzeć do wyjścia - rzucił przez ramię.

Anthony kiwnął głową i trącił braci łokciami, popychając ich w kierunku drzwi.

- Dobrze - powiedział Simon zwięźle. - A teraz na górę.

- Simonie! - zapiszczała.

- I tak się na pewno domyślają, co zamierzamy robić - szepnął jej do ucha.

- Niemniej... to moi *bracia!*

- Niech nas Bóg ma w swej opiece - wymamrotał.

Ale nie zdążyli nawet dotrzeć na półpiętro, gdy frontowe drzwi otwały się na oścież przy akompaniamencie całego potoku zdecydowanie kobiecych wyzwisk.

- Mamusia? - bąknęła Daphne, a słowo to wręcz zaskrzeczało w jej gardle.

Lecz wicehrabina nie widziała nikogo poza swoim męskim potomstwem.

- Wiedziałam, że was tu znajdę - rzuciła oskarżycielsko. - Ze wszystkich najgłupszych i najbardziej upartych...

Daphne nie dosłyszała reszty matczynego przemówienia, utonęło bowiem w gromkim śmiechu Simona w najbliższym sąsiedztwie jej ucha.

- To przez niego tak cierpi! - zaprotestował Benedict. - Jako jej bracia mamy obowiązek...

- Szanować rozum siostry na tyle, by pozwolić jej samej rozwiązywać swoje problemy - dokończyła Violetta. - Jakoś nie wygląda mi w tym momencie na szczególnie nie-szczęśliwą.

- To dlatego, że...

- A jak mi powiecie, że to dlatego, że wasza zgraja wtargnęła do jej domu jak stado baranów, to zaprę się was wszystkich trzech raz na zawsze.

Wszyscy trzej pozamykali gęby na kłódki.

- A zatem - ciągnęła żwawo wicehrabina - chyba już najwyższy czas, żebyśmy sobie poszli, nie uważacie? - Ponieważ synowie wycofywali się zbyt wolno jak na jej gust, sięgnęła ręką i...

- Proszę, mamó! - zaskomlał Colin. - Tylko... - Szarpnęła go za ucho. - Nie za ucho - dokończył smętnie.

Daphne chwyciła Simona za ramię. Zaczął się już pokładać ze śmiechu i bała się, że mógłby spaść ze schodów.

Z donośnym: - Maszerować mi! - Violetta wypchnęła synów na zewnątrz, po czym odwróciła głowę ku Simonowi i Daphne nadal stojącym na podeście.

- Cieszę się, że cię widzę w Londynie, Hastings - zawołała, obdarzając zięcia szerokim, promiennym uśmiechem. - Jeszcze tydzień i sama bym cię tu przywlokła.

Po czym wyszła na zewnątrz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Simon obrócił twarz ku Daphne, jego ciało nadal trzęsło się ze śmiechu.

- Czy to była twoja matka? - wyszczerzył zęby.

- Ma ukryte zalety.

- Właśnie zobaczyłem.

Nagle zrobiła poważną minę.

- Przykro mi, jeśli bracia zmusili cię do...

- Nonsens - przerwał jej - twoi bracia nigdy nie zdołali-
by mnie zmusić do powiedzenia czegoś, czego nie czuję na-
prawdę. - Zadarł głowę i zastanawiał się nad tym przez
chwilę. - No, chyba że pod pistoletem.

Daphne szturchnęła go w bok.

Simon zignorował to i przyciągnął ją do siebie bliżej.

- Mówiłem na serio, każde słowo - mruknął, obejmując ją
w talii. - Kocham cię. Wiem o tym już od jakiegoś czasu, ale...

- Nie ma sprawy - westchnęła, przytulając mocno poli-
czek do jego piersi. - Nie musisz się z niczego tłumaczyć.

- Owszem, muszę - nalegał. - Ja ci... - Ale słowa nie chcia-
ły popłynąć. Zmagał się z nadmiarem emocji, kipiało w nim
za dużo uczuć. - Zaraz ci pokażę - rzucił ochryple. - Zaraz
ci pokażę, jak bardzo cię kocham.

Odpowiedzią Daphne było zadarcie do góry twarzy, by
przyjąć jego pocałunek. A kiedy ich wargi spotkały się ze
sobą, westchnęła:

- Ja też ciebie kocham.

Wargi Simona przywarły do jej ust z całkowitym odda-
niem, jego dłonie zacisnęły się na jej plecach, jakby ze stra-
chu, że w każdej chwili Daphne może zniknąć.

- Chodź na piętro - szepnął. - W tej chwili chodź ze mną.

Kiwnęła głową, ale nim zdążyła postawić choć jeden
krok, porwał ją w kołyskę swoich ramion i sam poniósł na
schody.

Jeszcze nie dotarł do podestu, a już jego ciało było twar-
de niczym skała i dopominało się ukojenia.

- Który pokój zajmowałaś? - wysapał.

- Twój - odparła, zaskoczona, że w ogóle zapytał.

Chrząknął z radością i żwawo ruszył do swego - nie, do
ich - pokoju, kopniakiem zamykając za sobą drzwi.

- Kocham cię - powiedział, kiedy zwałili się na łóżko.
Gdy raz wymówił te dwa słowa, zaczęły odtąd same wzbie-
rać w jego duszy i domagać się wypowiedzenia. Musiał ją

o tym zapewnić, utwierdzić się, że ona wie, utwierdzić się, że ona rozumie, ile dla niego znaczyła.

A gdyby przyszło mu je powtórzyć tysiące razy, to nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Kocham cię - powiedział znowu, a jego palce zatańczyły jak szalone przy zapięciach jej sukienki.

- Wiem - odparła urywanym głosem. Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu prosto w oczy. - Ja też ciebie kocham.

- Po czym wciągnęła jego wargi do swych ust, całując go ze słodką niewinnością, która rozpaliła w nim ogień namiętności.

- Gdybym kiedyś, kiedykolwiek, zadał ci ból ponownie - powiedział z żarem, badając językiem kąciki jej ust - rozkazuję ci mnie zabić.

- Niedoczekanie twoje - westchnęła z uśmiechem.

Jego usta powędrowały do czułego miejsca, tam, gdzie sżyja sąsiaduje z uchem.

- To mnie okalecz - wymruczał. - Wykręć mi rękę, złam nogę w kostce.

- Nie pleć głupstw - odparła, gładząc go po brodzie i obracając jego twarz z powrotem w stronę swojej. - Nie zadasz mi bólu.

Przepełniała go miłość do tej kobiety. Wzbierała w jego klatce piersiowej, czuł jej ukłucia w palcach i w każdym oddechu.

- Kocham cię tak bardzo - wyszeptał - że czasami aż mnie to przeraża. Gdybym mógł oddać ci cały świat, wiesz, że zrobiłbym to bez wahania, prawda?

- Chcę tylko ciebie - szepnęła. - Nie potrzebuję całego świata, jedynie twoją miłość. I może... - dodała z figlarnym uśmiechem - żebyś zdjął te buty.

Simon poczuł, że jego twarz rozkwitła erupcją uśmiechu. Jego żona zawsze jakoś wiedziała, czego naprawdę potrzebował. Gdy tylko zaczynały dławić go emocje, doprowadzając niebezpiecznie blisko granicy łez, zmieniała nastrój i sprawiała, że się uśmiechał.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedział i przeturlał się do jej boku, aby zrzucić obuwie z nóg.

Lewy trzewik klapnął na podłogę, prawy przekoziółkował na drugi koniec pokoju.

- Coś jeszcze, wasza wysokość? - spytał.

Zarzuciła głową skromnie.

- Pańska koszula też mogłaby się ulotnić, jak sądzę.

Usłuchał jej i płócienna szata wylądowała na nocnym stole.

- Czy to już będzie -wszystko?

- One - przeciągnęła palcem wzdłuż paska jego bryczesów - zdecydowanie zawadzają.

- Zgadzam się - mruknął, wyskakując ze spodni. Wczołgał się na nią i jego rozpalone ciało stało się jej więzieniem. - A teraz co?

- Jesteś cały goły - stwierdziła z zapartym tchem.

- To prawda - przyznał, a z jego oczu spływały języki ognia na jej twarz.

- A ja nie.

- Też prawda. - Uśmiechnął się szelmowsko. - A na dodatek, wielka szkoda.

Daphne kiwnęła głową, wszelkie słowa były zbyteczne.

- Usiądź prosto - powiedział miękko.

Zrobiła to i w kilka sekund później nad jej głową pofrunęła sukienka.

- Tak - rzucił ochryple, pożerając wzrokiem jej piersi - jest już dużo lepiej.

Kłęczeli teraz w poprzek masywnego łóżka z baldachimem. Daphne wpatrywała się w swojego męża, jej puls zwiększał tempo na widok szerokiego torsu, unoszącego się i opadającego przy każdym ciężkim oddechu. Wyciągnęła drżącą rękę i dotknęła go, jej palce zaczęły lekko drapać jego ciepłą skórę.

Simon przestał oddychać, dopóki palec Daphne nie zatrzymał się na jego sutku, a wtedy jego ręka wystrzeliła do góry, żeby nakryć jej dłoń.

- Pragnę cię - powiedział.

Zamrugała, spuszczać wzrok, a jej usta zadrżały nieznacznie.

- Wiem.

- Nie - zajęczał, przyciągając ją *bliżej*. ~ Pragnę znaleźć się w twym sercu. Pragnę... - Całe jego ciało zadygotało pod wpływem zetknięcia się z jej skórą. - Pragnę znaleźć się w twojej duszy.

- O, Simonie - westchnęła, zatapiając palce w jego gestych, ciemnych włosach. - Od dawna tam jesteś.

Słowa się wyczerpały, zostały tylko usta i dłonie, i ciało tuż przy ciele.

Simon oddawał jej cześć na wszelkie sposoby, jakie znal. Błądził dłońmi po jej nogach i całował wnętrze ud. Delikatnie uciskał jej biodra i łaskotał w pępek. Kiedy zaś uniósł się, aby w nią wejść, a całe jego ciało napięło się z wszechogarniającego pożądania, jakiego nigdy dotąd nie odczuwał, wtedy spojrzął na nią z wyrazem takiego uwielbienia, że jej oczy napełniły się łzami.

- Kocham cię - szepnęła. - Przez całe moje życie istniałaś tylko ty.

Daphne kiwnęła głową i choć nie wydała żadnego dźwięku, jej usta wyszeptały: „Ja też cię kocham”.

Pchnął do przodu, powoli i nieustępliwie, aż usadowił się wygodnie wewnątrz jej ciała.

Spojrzał w dół na jej twarz. Głowę miała odrzuconą do tyłu, wargi rozchyłały się w rytmie niespokojnego oddechu. Ustami musnął jej pałające rumieńcem policzki.

- Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem - szeptał. - Ja nigdy... nie wiem, jak...

Zareagowała wygięciem pleców w łuk.

- Kochaj mnie tylko - rzuciła bez tchu. - Proszę, kochaj mnie.

Simon zaczął się poruszać, jego biodra podnosiły się i opadały w rytmie prastarym jak świat. Palce Daphne wcisnęły się w jego plecy, paznokcie wbijały w skórę za każdym razem, gdy zanurzał się w jej ciele coraz głębiej.

Zaczęła pojękiwać i kwilić, a jego ciało zapłonęło od echa jej namiętności. Cały świat zawirował mu przed oczami i powoli zaczął tracić kontrolę na sobą, jego ruchy stały się gwałtowniejsze, coraz bardziej rozszalałe.

- Już dłużej nie wytrzymam - wysapał bez tchu. Chciał zaczekać na nią, musiał się upewnić, że dał jej rozkosz, zanim pozwoli sobie na ostateczne ukojenie.

Ale właśnie wtedy, w chwili gdy pomyślał, że jego ciało rozleci się zaraz w kawałki od wysiłku, z jakim powstrzymywał się od spełnienia, Daphne szarpnęła się pod nim, jej najbardziej intymne mięśnie zacisnęły się wokół jego napierającej męskości i usłyszał własne imię wykrzyczane przez nią w porywie rozkoszy.

Patrzył na jej twarz, czując, że więźnie mu w gardle oddech. Przedtem był zawsze tak zajęty uważaniem, by nie przelać w nią nasienia, że jeszcze nigdy nie miał okazji zobaczyć twarzy Daphne w chwili doznawania rozkoszy. Głowę trzymała odrzuconą do tyłu, żyły na jej szyi wyprężyły się jak struny, a usta otwierały się w niemym krzyku.

Przejęła go groza.

- Kocham cię - wymruczał. - O, Boże, jak ja cię kocham. - A potem zanurzył się głębiej.

Zatrzepotała powiekami, otwierając oczy, czując, że podjął przerwany rytm.

- Simonie? - spytała, a w jej głosie pobrzmiwała nutka usilnej prośby. - Jesteś pewny?

Oboje wiedzieli, co miała na myśli.

Kiwnął głową.

- Nie chcę, abyś zrobił to wyłącznie dla mnie - powiedziała. - To musi być również i dla ciebie.

Najdziwniejsze z uczuć ścisnęło go za gardło - niech się schowa jąkanie, niech się schowają wszystkie kłopoty z mówieniem. Pojął nagle, że to nic innego tylko miłość. Grad łez szczypał go w oczy, kiwał więc tylko głową, niezdolny wydać głosu.

Zanurzył się w niej do samego końca i... eksplodował. Było mu dobrze. O, Boże, jak było mu dobrze. Nigdy w życiu nie było mu jeszcze tak dobrze.

Jego łokcie dały wreszcie za wygraną i Simon opadł na Daphne, a jedynym dochodzącym dźwiękiem był świst jego urywanego oddechu.

Daphne odgarnęła mu włosy z czoła i ucałowała czule jego brwi.

- Kocham cię - szeptała. - Zawsze będę cię kochała.

Wtulił twarz w jej szyję, wdychając jej zapach. Owinęła go całą sobą, spowiała we własne ciało, i zaznał spełnienia.

Wiele godzin później Daphne zatrzepotała powiekami i po chwili miała już oczy otwarte. Rozprostowała ramiona nad głową, zwracając uwagę, że wszystkie zasłony były już zaciągnięte. Musiał to zrobić Simon, pomyślała, ziewając. Poprzez zasłony przenikały promienie słońca, kąpiąc cały pokój w delikatnej poświacie.

Pokręciła szyją, wyplątując się z pościeli, po czym wyskoczyła z łóżka i podreptała do garderoby po szlafroczek. Spanie w ciągu dnia nie było w jej stylu. Ale, powiedziała do siebie, przecież to nie był zwyczajny dzień.

Włożyła szlafroczek, przewiązując się w talii jedwabną szarfą. Dokąd mógł pójść Simon? Miała wrażenie, że nie wstał z łóżka dużo wcześniej od niej; pamiętała jeszcze dotyk jego ramion, obejmujących ją we śnie.

Skrzydło mieszkalne składało się łącznie z pięciu pomieszczeń: dwóch sypialni, każda z własną garderobą naprzeciwko wejścia, połączonych przestronnym salonem. Drzwi do salonu były uchylone i przez szczelinę wpadały jasne promienie słońca, co "wskazywało, że zasłony w salonie były już rozsunięte. Stąpając na palcach, Daphne podeszła do otwartych drzwi i zajrzała do środka.

Simon stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Miał na sobie jaskrawopurpurowy szlafrok, ale jego stopy nadal były bosc. Spojrzenie jasnoblękitnych oczu było trochę nieobecne i tylko z lekka ponure.

Daphne zmarszczyła czoło zatroskana. Przeszła przez pokój i kiedy znalazła się najwyżej pół kroku od męża, powiedziała cicho:

- Dzień dobry.

Simon odwrócił się na dźwięk jej głosu, a jego strapiona twarz pojaśniała na jej -widok.

- Ja też ciebie witam - mruknął, biorąc ją w ramiona. I już po chwili przywierała plecami do szerokiego torsu męża, czując we włosach jego podbródek i spoglądając z góry na Grosvenor Square.

Potrzebowała kilku chwil, by zebrać się na odwagę i zapytać:

- Jakieś przykrości?

Nie mogła go widzieć, ale poczuła jego podbródek, kiedy potrzęsnał głową.

- Nie przykrości - odparł miękko. - Tylko... natłok myśli.

Coś w jego głosie ją zaniepokoiło, toteż Daphne obróciła się w jego ramionach, chcąc zobaczyć jego twarz.

- Simonie, co się stało? - wyszeptwała.

- Nic - odpowiedział, ale jego oczy unikały jej wzroku.

Zaprowadziła go do otomany i usiadła, pociągając go za sobą.

- Jeśli nie jesteś jeszcze gotowy zostać ojcem - szeptała - to nie szkodzi.

- Nie w tym rzecz.

Nie dawała jednak wiary jego słowom. Odpowiedział zbyt szybko, a w jego głosie pojawił się stłumiony dźwięk, który ją zaniepokoił.

- Mogę poczekać - powiedziała. - Szczerze mówiąc - dodała chytrze - nie miałabym nic przeciwko temu, żebyśmy spędzili trochę czasu tylko we dwoje.

Nie odpowiedział, lecz w jego oczach malował się ból, a potem przymknął powieki, uniósł rękę i zaczął pocierać czoło.

Uczucie nagłego lęku rozlało się po ciele Daphne i zaczęła mówić coraz szybciej.

- Nie o to chodzi, że chcę mieć dziecko od razu. Po prostu.... chciałabym je kiedyś w końcu mieć, to wszystko, poza tym sądzę, że ty też mógłbyś, gdybyś tylko dopuścił tę myśl do siebie. Zdenerwowałam się, bo byłam zła, że nie zgadzasz się, byśmy stali się prawdziwą rodziną tylko dlatego, żeby zrobić na złość twojemu ojcu. To nie jest...

Położył swoją ciężką dłoń na jej udzie.

- Daphne, przestań - westchnął. - Proszę cię.

W jego głosie słyhać było wystarczająco wiele cierpienia, aby Daphne natychmiast zamilkła. Przygryzła dolną wargę i zaczęła ją nerwowo żuć. Teraz była jego kolej na mówienie. Najwyraźniej coś ciężkiego leżało mu na sercu, lecz gdyby nawet musiał poświęcić cały dzień na szukanie słów, aby to opisać, ona mogła zaczekać.

Na tego mężczyznę mogłaby czekać zawsze.

- Nie mogę powiedzieć, żebym był zachwycony perspektywą posiadania dziecka - powiedział bez pośpiechu.

Daphne zwróciła uwagę, że oddychanie stało się dla niego nieco męczące, więc położyła mu rękę na ramieniu, aby go trochę pocieszyć.

Obrócił ku niej swoje błękitne oczy, w których malowała się błagalna prośba o wyrozumiałość.

- Zrozum, tyle czasu trwałem w zamiarze nie posiadania dziecka. - Przełknął nerwowo. - Nie wiem nawet, jak mam zacząć o tym myśleć.

Obdarowała go uspokajającym uśmiechem, który, jak uświadomiła sobie później, przeznaczony był dla nich obojga.

- Nauczysz się tego - szepnęła. - A ja będę się uczyła razem z tobą.

- Nie o to ch-chodzi - kontynuował, potrząsając głową. Wydał z siebie jęk zniecierpliwienia. - Ja wcale nie... chcę... żeby treścią mego życia było robienie na złość mojemu ojcu.

Odwróci! się w jej stronę i Daphne omal nie zemdleła na widok czystej emocji, od której płonęła jego twarz. Drżały mu szczęki, a na policzku pulsował nerwowo mięsień. Skóra jego szyi była niezwykle naprężona, jak gdyby każda uncja energii była poświęcona zadaniu wypowiedzenia słów.

Tak bardzo chciała go przytulić, dodać otuchy temu małemu chłopcu, który krył się w jego duszy. Chciała pogłaskać go po czole i ścisnąć go za rękę. Chciała zrobić tysiące rzeczy, lecz zamiast tego siedziała cicho i zachęcała go do mówienia swoimi spojrzeniami.

- Miałaś rację - powiedział, wypychając każde słowo spomiędzy warg. - Od początku masz rację. Co do mojego ojca. Ze p-pozwalam mu wygrywać.

- O, Simonie - wymruczała.

- A-ale co będzie... - Jego twarz - jego silna, przystojna twarz, zawsze taka opanowana - teraz zrobiła się zwiędła. - A co, jeśli... pocznijemy dziecko, a o-o-ono okaże się takie jak ja?

Daphne zaniemówiła na moment. Oczy ją zapiekły od nie wylanych łez, a jej dłoń mimo woli powędrowała do góry i przycisnęła się do ust, które rozchyliły się z przerażenia.

Simon odwrócił twarz w drugą stronę, ale przedtem zdążyła zauważyć w jego oczach bezmiar udręki. Zdążyła usłyszeć, że zapało mu dech, że wreszcie wydał nerwowe technienie w rozpaczliwej próbie opanowania się.

-Jeśli będziemy mieli dziecko, które się jąka - powiedziała powoli - to ja będę je kochała. I będę mu pomagała. I... - przełknęła konwulsyjnie, modląc się w myślach, żeby jej postępowanie okazało się słuszne. - I zwrócę się do ciebie o radę, bo przecież ty już nauczyłeś się to przewycięzać.

Z zaskakującą chyżością odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie chcę, żeby moje dziecko miało cierpieć, tak jak ja cierpiałem.

Dziwny uśmieszek przemknął po twarzy Daphne, a ona nawet tego nie poczuła, jakby samo jej ciało wcześniej niż umysł wiedziało, co powinna powiedzieć:

- Ależ ono wcale nie będzie cierpiało - oświadczyła z przekonaniem - bo ty będziesz jego ojcem.

Twarz Simona nie zmieniła wyrazu, ale jego oczy zapłonęły przedziwnym, nowym światłem.

- Czy odrzuciłbyś dziecko, które się jąka? - spytała półgłosem.

Jego przecząca odpowiedź była niezwłoczna, stanowcza i towarzyszyło jej tylko drobne bluźnierstwo.

Uśmiechnęła się miękko.

- Wobec tego nie mam żadnych obaw co do naszych dzieci.

Simon wstrzymywał się jeszcze przez jedną chwilę, a potem gwałtownym ruchem wciągnął ją w swoje ramiona, wtulając twarz w zagięcie jej szyi.

- Kocham cię, Daphne - wykrztusił. - Tak bardzo cię kocham.

A ona wreszcie nabrała pewności, że wszystko będzie dobrze.

Kilka godzin później Daphne i Simon siedzieli nadal w salonie na otomanie. To popołudnie było przeznaczone na trzymanie się za ręce, na czułe przytulanie się. Słowa nie były potrzebne; obojgu wystarczyło po prostu przebywanie obok siebie. Prażyło słońce, śpiewały ptaki, a oni milczeli.

Nie potrzebowali niczego więcej.

Aczkolwiek Daphne nurtował pewien niepokój, i gdy przypadkiem spojrzała na przybory do pisania leżące na biurku, dopiero wtedy sobie przypomniała.

Listy od ojca Simona.

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, zbierając się na odwagę, wiedziała bowiem, że będzie jej potrzebowała, aby przekazać mężowi te listy. Prosząc ją o przechowanie pliku listów, książę Middlethorpe oświadczył, że sama będzie wiedziała, kiedy przyjdzie na to właściwy czas.

Wyplątała się z ciężkich ramion Simona i podreptała do buduaru księżnej.

- Co robisz? - zapytał ją sennie. Ucinał sobie drzemkę w ciepłym, popołudniowym słońcu.

- Hmm... Muszę coś wziąć.

Zapewne usłyszał wahanie w jej głosie, otworzył bowiem oczy i obrócił się z wysiłkiem na otomanie, aby spojrzeć na Daphne.

- Co chcesz wziąć?

Uchyliła się od odpowiedzi na jego pytanie, czmychnąwszy do sąsiedniego pokoju.

- Za chwilę wracam - zawołała przez ramię.

Listy, przewiązane czerwono-złotą wstążeczką - rodowymi barwami Hastingsów - trzymała w najniższej szufladzie biurka. Właściwie nie pamiętała o nich przez kilka pierwszych tygodni po powrocie do Londynu, one zaś leżały niezniknięte w jej starej sypialni w Bridgerton House. Natknęła się na nie przypadkiem, kiedy odwiedzała matkę. Violetta zaproponowała jej, aby poszła na górę po trochę swoich rze-

czy, i kiedy Daphne zbierała stare flakoniki z perfumami oraz poszewki, które uszyła w wieku dziesięciu lat, przypominała sobie o nich.

Kusiło ją nieraz, żeby otworzyć jeden czy drugi, choćby po to, by lepiej rozumieć męża. Bogiem a prawdą, gdyby nie zamknięto ich woskową pieczęcią, prawdopodobnie odrzuciłaby skrupuły i zabrała się do czytania.

Wzięła zawiniątko i wróciła powoli do salonu. Simon nadal wypoczywał, ale już nie spał. Przyglądał się jej z ciekawością.

- Mam tu coś dla ciebie - oznajmiła, machając zawiniątkiem.

- Co to jest? - spytał.

Ale z tonu jego głosu wywnioskowała, że on już wie.

- Listy od twojego ojca - odparła. - Dał mi je Middlethorpe. Pamiętasz?

Kiwnął głową.

- Pamiętam również, że kazałem mu je spalić.

Daphne uśmiechnęła się nieznacznie.

- Najwyraźniej był innego zdania.

Simon spoglądał na plik listów. Na cokolwiek, tylko nie na jej twarz.

- Ty też, jak widzę - powiedział bardzo cichym głosem. Skinęła głową i przycupnęła obok niego.

- Chcesz je przeczytać?

Przez kilka sekund zastanawiał się nad odpowiedzią, po czym zdecydował się na absolutną szczerość.

- Nie wiem.

- Może ci to pomóc pozostawić ojca za sobą raz na zawsze.

- Może też wszystko pogorszyć.

- Może - zgodziła się.

Przyglądał się listom przewiązanym kolorową wstążką, spoczywającym niewinnie na jego kolanach. Spodziewał się, że poczuje urazę. Spodziewał się, że poczuje wściekłość.

A zamiast tego odczuwał jedynie...

Pustkę.

Było to uczucie dziwne. Miał przed sobą komplet listów

napisanych bez wyjątku ręką ojca. A mimo to nie objawiał chęci wrzucenia ich do ognia ani podarcia na strzępy.

A także żadnej chęci przeczytania ich.

- Myślę, że zaczekam - uśmiechnął się.

Daphne zamrugała parę razy, jakby jej oczy nie dawały wiary uszom.

- Nie chcesz ich przeczytać? - spytała.

Potrząsnął głową.

- I nie chcesz ich spalić?

Wzruszył ramionami.

- Nieszczególnie.

Popatrzyła na listy, a potem wróciła spojrzeniem na jego twarz.

- Co chcesz z nimi zrobić?

- Nic.

- Nic?

Wyszczrzył zęby.

- Tak właśnie powiedziałem.

- Och - westchnęła, z całkiem ponętnie zamroczoną miną. - Mam je schować do biurka z powrotem?

- Jak sobie życzysz.

- I będą tam sobie leżały?

Złapał za szarfę, którą przepasany był jej szlafrok, i zaczął przyciągać Daphne do siebie.

- Mmm-hmm.

- Ale... - rzuciła gwałtownie. - Ale... ale...

- Jeszcze jedno „ale” - przekomarzał się - i zaczniesz przypominać mnie ze sposobu mówienia.

Daphne aż otworzyła usta. Jej reakcja nie zaskoczyła Simona. Pierwszy raz w życiu zdołał obrócić własne kłopoty w żart.

- Listy mogą poczekać - powiedział, z chwilą gdy spadły z jego kolan na podłogę. - Dopiero co zdołałem nareszcie - dzięki tobie - wykopać ojca ze swego życia. - Potrząsnął głową, uśmiechając się jednocześnie. - Czytanie ich teraz byłoby po prostu wezwaniem ojca do powrotu.

- Naprawdę nie chcesz się przekonać, co miał ci do powiedzenia? - nalegała. - Może wyraził skruchę. Może nawet czoł-

gał się u twoich stóp! - Schyliła się po zawiniątko, ale mąż przyciągnął ją silnie do siebie, więc nie dała rady dosięgnąć.

- Simon! - jęknęła.

Nastroszył brew.

-Tak?

- Co ty wyprawiasz?

- Próbuję cię uwieść. Dobrze mi idzie?

Spłonęła rumieńcem.

- Kto wie - wymruczała.

- Tylko kto wie? Niech to diabli, chyba tracę wyczucie.

Wsunął dłoń pod jej pośladki, co dało impuls do małego pisku.

- Myślę, że masz niezłe wyczucie.

- Tylko niezłe? - Udał niezadowolenie. - „Niezłe” to takie banalne słowo, nie uważasz? Prawie zdawkowe.

- No dobrze - zgodziła się. - Może się przejęzyczyłam.

Simon czuł, że w jego sercu zaczyna formować się uśmiech. Nim uśmiech zdążył wypłynąć na jego usta, był już na nogach i ciągnął żonę najogólniej biorąc w kierunku łóżka z baldachimem.

- Daphne - starał się nadać głosowi oficjalny ton - mam propozycję.

- Propozycję? - zdziwiła się, marszcząc czoło.

- Życzenie - poprawił się. - Mam życzenie.

Zadarła głowę i rozplynęła się w promiennym uśmiechu.

- Co za życzenie?

Wypychał ją delikatnie za drzwi w stronę sypialni.

- Właściwe to składa się ono z dwóch części.

- Umieram z ciekawości.

- Pierwsza dotyczy ciebie, mnie... - podniósł ją i cisnął na pościel wśród chichotów - i tego mocnego, zabytkowego łoża.

- Mocnego?

- Lepiej, żeby było mocne - mruknął, wczolgując się na górę obok niej.

Wśród śmiechów i pisków wyswobodziła się z jego objęć.

- Według mnie jest mocne. A druga część twojego życzenia?

- Ta, niestety, wymaga pewnej ofiary z czasu z twojej strony.

Jej oczy zwięziły się, ale nie przestała się uśmiechać.

- Jakiej ofiary z czasu?

Jednym niesamowicie szybkim ruchem przyszpilił ją do materaca.

- Mniej więcej dziewięciu miesięcy.

Jej usta rozchyliły się ze zdziwienia.

- Jesteś pewny?

- Ona trwa dziewięć miesięcy. - Wyszczrzył zęby. - Zawsze tak słyszałem.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi - powiedziała miękko, ale wyraz bez troski już zniknął z jej oczu.

- Wiem - przyznał, odwzajemniając poważne spojrzenie Daphne jednym z arsenału własnych. - Ale owszem, jestem pewny. I śmiertelnie przerażony. I przejęty do szpiku kości. I targa mną jeszcze sto innych uczuć, na które nie pozwalałem sobie, dopóki w moim życiu nie pojawiłaś się ty.

Łzy szczypały ją w oczy.

- To najśrodsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałeś.

- Mówiłem serio - zaprzysiągł. - Zanim cię spotkałem, byłem tylko na pół żywy.

- A teraz? - szepnęła.

- A teraz? - powtórzył niczym echo. - „Teraz” nagle oznacza szczęście i radość, i żonę, którą uwielbiam. Ale wiesz ty co?

Pokręciła głową, nazbyt przejęta, by się odezwać.

Pochylił się i ucałował ją czule.

- „Teraz” nawet nie ma porównania z jutrem. A jutro nie będzie w stanie konkurować z pojutrzem. Choć w tym momencie nic mi już do szczęścia nie brakuje, jutro będzie jeszcze lepiej. Aha, Daff - wymruczał, przysuwając wargi do jej ust - codziennie będę cię kochał bardziej. Obiecuję ci to. Codziennie...

Epilog

Księżę i księżna Hastings mają syna!

Po trzech dziewczynkach najbardziej odurzona para śmietanki towarzyskiej spłodziła wreszcie następcę. Pisząca te słowa może się tylko domyślać, z jak wielką ulgą odechnął dwór Hastingsów. Było nie było, ogólnie wiadomo, że żonaty mężczyzna, posiadacz niezgorszej fortuny, wprost nie może doczekać się następcy.

Imię noworodka nie zostało podane jeszcze do wiadomości publicznej, ale pisząca te słowa czuje się wyjątkowo upoważniona do pewnych spekulacji. Ostatecznie, mając siostry o imionach Amelia, Belinda i Caroline, czyż nowy lord Clyvedon mógłby się nazywać inaczej niż David?

Kronika towarzyska lady Whistledown, 15 grudnia 1817

Zdumiony Simon wyrzucił w górę ramiona, a jednokartkowa gazетка pofrunęła aż pod drugą ścianę.

- Skąd ona to wie? - zapytał. - Nikogo nie informowaliśmy o naszej decyzji, żeby dać mu na imię David.

Powstrzymując uśmiech, Daphne przyglądała się mężowi, jak pomstuje i miota się po całym salonie.

- Jestem pewna, że to nie jest tylko szczęśliwy traf - odpowiedziała, wracając wzrokiem do niemowlęcia, które trzymała na rękach. Jeszcze długo nie będzie wiadomo, czy oczy małego pozostaną błękitne, czy może zbrązowieją, jak w przypadku starszych sióstr, ale już był z niego wykapany papa; Daphne nie mieściło się w głowie, żeby oczy miały ściemnieć i zepsuć cały efekt.

- Musi mieć w naszym domu szpiega - oświadczył Simon, opierając ręce na biodrach. - Musi.

- Głowę dają, że ona nie ma żadnego szpiega w naszym domu - odparła, nie podnosząc wzroku. Za bardzo ciekawił ją sposób, w jaki małe rączka Davida ścisnęła ją za palec.

- Ależ...

Wreszcie podniosła głowę.

- Simonie, jesteś po prostu śmieszny. To zwykłe plotkarskie piśmidło.

- Whistledown - ha! - burknął. - W życiu nie słyszałem o żadnych Whistledownach. Chciałbym wiedzieć, kim jest to przekłete babsko.

- Ty i cała reszta Londynu - mruknęła pod nosem.

- Ktoś powinien wysadzić ją z interesu raz na zawsze.

- Jak chcesz ją wysadzić z interesu - Daphne nie mogła się powstrzymać od palnięcia mówki - to nie powinieneś babsku jeszcze pomagać, kupując jej piśmidło.

- Ja...

- I nawet nie próbuj mi wmawiać, że kupujesz *Whistledowna* specjalnie dla mnie.

- Przecież go czytasz.

- Ty też. - Złożyła pocałunek na czubku główki Davida. - I to na ogół dużo wcześniej, zanim ja wezmę go do ręki. Poza tym ostatnio polubiłam tę lady Whistledown.

- A to dlaczego? - zdziwił się Simon.

- Czytałeś, co napisała o nas? Nazwała nas najbardziej odurzoną parą Londynu. - Uśmiechnęła się występnie. - Bardzo mi się to podoba.

Simon aż jęknął.

- To wszystko przez tę Philipę Featherington...

- Teraz jest Philipą Berbrooke - przypomniała mu Daphne.

- Och, niech się nazywa, jak chce, ale i tak żoźza ma najbardziej niewyparzoną gębę w Londynie. W listopadzie podsłuchiwała w teatrze, jak zwracam się do ciebie „serdeńko”, i odtąd nie mogę pokazać oczu w moim klubie.

- To już takie niemodne kochać własną żonę? - zadrwiła Daphne. Twarz Simona wydłużyła się i przypominał teraz zirytowanego smarkacza. - Mniejsza z tym - stwierdziła. - Nie chcę słyszeć twojej odpowiedzi.

Uśmiech męża stanowi! ucieszne skrzyżowanie nieśmiałości z chytrąścią.

- Proszę - powiedziała, wyciągając ręce z Davidem. - Chcesz go potrzymać?

- No jasne. - Simon przeszedł przez pokój i wziął syna na ręce. Pokołysał go przez kilka chwil, potem zerknął na Daphne i wyszczerzył zęby: - Chyba jest do mnie podobny.

- Wiem o tym.

Pocałował go w nos i szepnął:

- Nie martw się, mój mały mężczyzno. Zawsze będę cię kochał. Nauczę cię pisać i rachować, i wsiadać na konia. I będę cię chronił przed tymi wszystkimi złymi ludźmi na całym świecie, szczególnie przed tą Whistledown...

Tymczasem w niewielkim, elegancko umeblowanym apartamencie, nie tak znowu daleko od Hastings House, przy biurku z gęsim piórem i kałamarzem atramentu usiadła młoda kobieta i wyjęła z szuflady kartkę papieru.

Z uśmiechem na ustach umoczyła pióro w kałamarzu, przyłożyła je do papieru i napisała:

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 19 grudnia 1817
Och, Łaskawy Czytelniku. Pisząca te słowa ma przyjemność donieść...*